

11796

JAN SOBIESKI

~~BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GŁOWICACH
Nr 2463~~



TEGOŻ AUTORA:

- MICKIEWICZ JAKO POLITYK. — KRAKÓW, 1908. (WYCZERPAŃE).
- JOACHIM LELEWEL. — ZARYS BIOGRAFICZNY. 1786 — 1831.
WARSZAWA, 1918.
- MAURYCY MOCHNACKI. — ŻYWOT I DZIEŁA. WYDANIE DRUGIE.
WARSZAWA, 1922.
- POLSKA NIEPODLEGŁA. — OPOWIADANIA Z DZIEJÓW POLSKI.
WARSZAWA, 1919.
- TADEUSZ KOSCIUSZKO. — WYDANIE DRUGIE. WARSZAWA, 1922.
- STEFAN BATORY. — WARSZAWA, 1922.
- HETMAN ŻÓŁKIEWSKI. — WARSZAWA, 1920.
- JAN KAROL CHODKIEWICZ. HETMAN WIELEI LITEWSKI.
WARSZAWA, 1922.
- KONSTYTUCJA 3 MAJA. — WYDANIE TRZECIE. WARSZAWA, 1921.
- POWSTANIE KOŚCIUSZKOWSKIE. — WYDANIE DRUGIE. 1920.
- POWSTANIE LISTOPADOWE. — WYDANIE PIĄTE. 1921.
- POWSTANIE STYCZNIOWE. — WYDANIE DRUGIE. 1921.
-

ARTUR ŚLIWIŃSKI

JAN
SOBIESKI



~~BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH
Nr 2463~~

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

1924



sliv
J. Sob.
92/93(438)

2463



SN 19134



No 0009925

Sp. Akc. w Warszawie.

94/438).04:929-03774167

- WARSZAWA, Księgarnia, Nowy-Świat 35.
 ODZIAŁY I PRZEDSTAWICIELSTWA:
- DROHOBYCZ, Księg. Naukowa, gm. Sokoła.
 - GDANSK, Ks. Kolej. „Ruch”, Rynek Kaszubski.
 - KATOWICE, Księgarnia Polska, Poprzeczna 2.
 - KRAKÓW, Księgarnia Jagiellońska, Wiślna 3.
 - LIDA, Księgarnia Wojskowa, Suwalska 46.
 - LUBLIN, M. Arct i S-ka, Krak.-Przedm. 17.
 - LWÓW, Księgarnia Naukowa, Zimorowicza 17.
 - LÓDŹ, M. Arct i S-ka, Piotrkowska 105.
 - POZNAŃ, M. Arct, Księgarnia, plac Wolności 7.
 - RÓWNE, Księgarnia Naukowa, Szosowa 27.
 - WILNO, Księg. Stow. Naucz. Pol., Królewska 1.

PRZEDMOWA



ureola sławy wojennej, otaczająca imię Sobieskiego, uczyniła go jedną z najpopularniejszych w narodzie naszym postaci. Po śmierci Jana III, wśród zamętu, który zapanował w Rzeczypospolitej, przez długie lat dziesiątki żadne świetne a donioślejsze wydarzenie nie opromieniło ponurych dziejów narodu. Śród klęsk rozbiorów, a później wśród życia w niewoli, potomność przyzwyczała się widzieć w Sobieskim ostatniego obrońcę wielkości Rzeczypospolitej, bohaterskiego strażnika jej sławy i honoru. Wprawdzie po stu latach nieszczęść, upadków i rozkładu rozpoczęła Polska wielkie dzieło odrodzenia moralnego i naprawy fatalnych urządzeń państwowych. Poczucie sromoty i hańbiącej od obcych potęg zależności obudziło drzemiące siły społeczeństwa, popchnęło je do czynów. W majestacie Konstytucji 3 Maja powstał naród z błota, otrząsał się z przesądów, a później w powstaniu 1794 roku szablą Kościuszki, krwią mieszczactwa i kosami chłopów demonstrował przed światem swe prawa i zdolność do życia w wolności.

Rozszarpany przez zdradzieckich sąsiadów, kilka razy jeszcze krwawił się w nierównej walce o swój byt niepodległy, przypominał świętymi czynami oręża najwspanialsze dzieła wojenne przeszłości, ale upadał pod ciosami przemocy i na chwilę nie zdołał wznieść się do roli samodzielnej na widowni świata. A gdy pogrążony w żałobie, rozpamiętywał swe dzieje, w Janie Sobieskim widział ostatniego w niepodległej Polsce bohatera, który nie tylko umiał gromić jej wrogów, ale ważył na szali losów Europy i wiekopomną sławą okrył imię polskie.

Zjawisko to jest niewątpliwie jedną z przyczyn, które sprawiły, że Sobieski olbrzymiał w perspektywie czasu i coraz większą popularnością cieszył się wśród potomnych. Prócz genialnego wojownika, przyzwyczajono się w nim widzieć światłego króla, który nie tylko mieczem, ale i reformami chciał ratować naród od upadku, lecz w samym narodzie natrafił na nieprzewidywane przeszkody.

Taki pogląd wypowiedziano zarówno w Polsce, jak i zagranicą, a przede wszystkim we Francji.

Już w roku 1762 im ks. Coyer wydał dwutomową „Historję Jana Sobieskiego” i acz wypowiedział niejedną krytyczną a trafną uwagę, złożył Janowi III hołd, jako królowi, „który rządzić i bronić potrafił”, a posiadał „najwyższe cnoty tronu”. Praca Coyer'a wielkim cieszyła się rozgłosem, uzyskała nawet pochwały Woltera, a przetłumaczona na język niemiecki, przypomniła i Niemcom sławę oswoobodziciela Wiednia. A rzecz ciekawa: autor, choć ksiądz, nie zachwyca się bynajmniej wojowniczą postawą Polski w stosunku do Turcji mużulmańskiej, wyprawę pod Wiedeń traktuje,

jako wielki błąd polityczny i radzi Polakom żyć w zgodzie z Turkami.

O wiele mniej krytycyzmu, a znacznie więcej entuzjazmu dla Sobieskiego wykazał późniejszy pisarz francuski, Narcyz de Salvandy, poeta i publicysta, dyplomata i mąż stanu, minister oświaty za rządów Ludwika Filipa, badacz, mający dostęp do wszystkich tak ważnych dla epoki Sobieskiego archiwów paryskich, a korzystający z pomocy Leonarda Chodźki oraz kilku innych emigrantów polskich. Obszerniejsza jeszcze, niż dzieło Coyera, ale lekka, powabnem piórem Francuza skreślona praca doczekała się w krótkim czasie pięciu wydań i niezmiernie przyczyniła się w XIX stuleciu do popularności Sobieskiego poza granicami Polski.

Salvandy jest pełen zachwytu dla bohaterskiej postaci Jana III. Podnosi wysoko jego geniusz wojenny, powiada, że w najrozpaczliwszem położeniu wygrał Sobieski najwięcej bitew i najskuteczniej broził Rzeczypospolitą. Zachwyca się rozumem, ofiarnością i poświęceniem króla, który wszystkie swe siły, dostatki, ba! całe swe życie oddał wyłącznie na usługi umiłowanej ojczyzny.

— „Wielki obywatel, wielki mówca, wielki wódz, wielki monarcha, był najbystrzejszym i zarazem najdoskonalszym z ludzi, jacy kiedykolwiek żyli”.

To bezgraniczne uwielbienie cudzoziemca i do tego Francuza znalazło oczywiście odgłos w piśmiennictwie polskiem, acz rzadko wyrażało się w sposób tak stanowczy i tak bezwzględny. Naogół podziwiano u nas Sobieskiego, jako wodza, krytykowano, jako statystę. Długo przecież mroki otaczały postać Jana III. Dopiero ogrom opublikowanych ma-

terjałów, a przedewszystkiem wydana przez Helcla korespondencja oraz olbrzymie akta i zbiory do wieku, spraw i dziejów Jana Sobieskiego, które zgromadzili Kluczycki i Waliszewski, a wydrukowała Akademia Umiejętności, rzuciły wiele światła tak na znakomitego wodza, jak jego otoczenie. Niejeden ponury cień padł na ludzi i czasy Sobieskiego, niejedna postać w blasku nowych dokumentów ukazała swoje właściwe, a nieznane przedtem oblicze. Jednakże pomimo tylu opublikowanych już materiałów, zwycięzca z pod Wiednia dotychczas nie doczekał się pełnej biografji w języku ojczystym.*) Wielkie dzieło Tadeusza Korzona: „Dola i niedola Jana Sobieskiego”, doprowadzone do obioru pogromcy Turków królem, nie obejmuje najważniejszej epoki jego żywota.

Dzieło to, pisane na podstawie nieznanych autorom francuskim źródeł, z całym aparatem nowoczesnego krytycyzmu, nieubłagane w swej docieklivosti, a śmiało obnażające długo ukryte sprężyny, tajemnice i kulisy machinacyj dyplomatycznych, daleko odbiegło od entuzjastycznych zachwyków Salvandy'ego.

Dziś, w świetle ogłoszonych materiałów i badań historycznych, czyny orężne Sobieskiego nie przestają

*) W roku 1847-ym ukazała się w Warszawie obszerna książka p. t »Dzieje Jana III Sobieskiego, króla polskiego, wielkiego księcia litewskiego przez Leona Rogalskiego«. Jest to przeważnie dosłowne, acz niezupełne tłumaczenie dzieła Salvandy'ego, chociaż p. Rogalski, strojąc się w piórka autorstwa, jednym słowem o Salvandy'm nie wspomniał. Czterotomowa praca Ludwika Piotra Leliwy — »Jan Sobieski i jego wiek«, »dzieło napisane na dwuwiekową rocznicę oswobodzenia chrześcijaństwa i Wiednia przez Sobieskiego«, jak głosi podtytuł, składa się z cytat innych pisarzy i rozważań autora na tematy i zagadnienia, nieraz bardzo luźnie z Janem Sobieskim związane.

budzić podziwu. Ale jego rola w dziele poprawy narodu, jego dyplomacja i polityka nie pozwalają zgodzić się na opinię, która wyniosła Jana III na szczyty cnót obywatelskich i uczyniła z niego skończoną doskonałość. Sobieski, jako obywatel i statysta nigdy nie dorównywał Sobieskiemu-wodzowi. Jego zadziwiający genjusz wojenny, jego zalety rycerskie nie szły, niestety, w parze z tęgością charakteru w życiu publicznem, z bystrością umysłu na arenie intryg i mactw dyplomacji; jego siła woli, przełamująca największe trudności w obliczu nieprzyjaciela, jego nieustraszone męstwo i lwie rzuty na placu boju nie miały odpowiednika w rozstrzyganiu zawitych spraw politycznych, w śmiałej decyzji i w wyborze dróg, prowadzących zwycięsko do świadomie wytkniętego celu.

Genjusz wojny nie miał w sobie nic z genjusu polityka i dyplomaty.

Aby Sobieskiego należycie ocenić, trzeba nieustannie mieć na względzie epokę, w której wielki wojownik żył, działał i walczył. Krwawa łuna pożaru wojny domowej z Kozakami oświetliła jego młodość i po raz pierwszy poprowadziła go na pola bitew. Potem poniosły go fale owego „potopu”, który zalał Polskę i groził jej ostateczną zagubą. Następnie znowu zaczęła się wojna z Kozakami i Moskwą, a wkońcu walka śmiertelna z potęgą turecką. Śród ciągłych wojen i niebezpieczeństw olbrzymie zadania polityczne musiała rozstrzygać Rzeczpospolita. Bo właśnie w tych czasach dokonywał się doniosły przewrót w stosunkach międzynarodowych i toczyła się walka o palmę pierwszeństwa i przewagę wpływu na losy Europy. W połowie XVII stulecia zachwiana w swej powadze i w zna-

czeniu Hiszpanja ustępowała miejsca Francji, której słońce wznosiło się coraz wyżej. A wzrostowi monarchji Ludwika XIV przeciwstawiał się wszystkimi siłami dom Habsburgów. Walka między królem francuskim a cesarzem stała się na długie lata ośrodkiem walki politycznej w Europie, osią, około której obracały się usiłowania i zabiegi innych państw i krajów.

Polska, zepchnięta już do znaczenia państwa drugorzędnego, musiała stanąć po stronie cesarza, lub też związać się ściślej z polityką francuską. Zadanie było nielada, bo przyjaźń z cesarzem narażała Polskę Turcji i wystawiała ją na niebezpieczne ciosy dyplomacji Ludwika XIV, a sojusz z Francją i dobre z Portą Otomańską stosunki podnosiły przeciw Rzeczypospolitej wszystkie państwa chrześcijańskie, otoczone protekcją papieża i cesarza. Stojąc pomiędzy dwoma obozami, a nie mogąc zachować neutralności, przechodziła Polska okres przesileń, walk wewnętrznych i wahań, chwiała się to w jedną, to w drugą stronę, aż ostatecznie pod wodzą Sobieskiego ruszyła na odsiecz Wiedniowi. A z kłopotów i przesileń w Polsce korzystało umiejętnie państwo moskiewskie i, bijąc taranem zaborczości we wschodnie ściany Rzeczypospolitej, posuwało się na zachód i utrzymywało swoją przewagę nad osłabionym i wojną z Turcją zajęтым sąsiadem. I polityka w wyzwolonym przez Sobieskiego Wiedniu przeciw Sobieskiemu zaczęła się zwracać.

W tym okresie, tak ważnym dla przyszłości narodu, Rzeczpospolita przedstawiała dziwny kontrast z resztą Europy. Od absolutyzmu Ludwika XIV, streszczającego się w słynnym powiedzeniu: „państwo, to ja”, od despotyzmu Moskwy i katowskich rządów

Mahometa IV, od silnej władzy, ześrodkowanej w rękach monarchów, starających się naśladować króla francuskiego, dziwnie odbijały urządzenia polskie, doprowadzające wszelką władzę do zupełnej niemocy. Nie mógł rządzić król, ani jego urzędnicy, bo król, wielce ograniczony w swych prawach, dzielił władzę z sejmami, a w sejmach panowało bezmyślne krzykactwo, interes prowincjonalny brał górę nad interesem państwa i coraz częściej warcholstwo jednostki zatrzymywało w biegu machinę prawodawczą, obalało niezbędne dla życia państwowego projekty i z władzy rządzącej czyniło pośmiewisko. Za czasów Jana Sobieskiego zatriumfowało *liberum veto* i do znaczenia ideału podniosło się pojęcie anarchji. Instynkt samozachowawczy narodu zamordowało nadużycie wolności. W największych nieszczęściach życia państwowego: w niemocy rządów, w pustym skarbie, w braku wojska, fortec i środków obronnych, znakomity ideolog tej anarchji, Andrzej Maksymiljan Fredro, widział najskuteczniejsze rękojmie zachowania wolności szlacheckiej i szczęście ojczyzny. I, sławiąc nierząd, bronił świadomie słabości i niemocy Polski. W płomieniach złotej wolności spalały się na popiół spoidła i wiązania gmachu państwowego, ale wołanie o ratunek zamierało bez echa. Mieszczanstwo chyliło się do zupełnej ruiny, upadał przemysł i handel, lud wiejski żył w ucisku i nędzy, lecz taki stan rzeczy nie raził oligarchów a dogadzał szlachcie.

— „Nasz ludek, — utrzymywał Fredro, — urodzony jest tylko do posłuszeństwa i nie umiałby żyć w wolności!..”

Wyrodniały wyższe uczelnie, w szkolnictwie panował średniowieczny fanatyzm. W ciemnocie i prze-

sądach wyrastały nowe pokolenia. Zacieśniało się życie polskie, zamierała w narodzie inicjatywa twórcza, a szerokie widnokreśli polityczne przesłaniała góra egoizmu i coraz bardziej wyrodniejących poglądów.

A na dworze królewskim ostatniego Wazy rozpa- noszyły się lekkie obyczaje i z wysokości tronu szerokiemi falami rozlewało się po kraju zepsucie. Jednocześnie potworne intrygi wlargnęły do życia publicznego, rozhulała się chciwość, niecne przekupstwa brukały ręce i plamiły sumienia.

Czasy Jana Sobieskiego, to czasy rozkładu Rzeczy- pospolitej. Po epoce świetności i blasku nadchodziła noc niesławy. W tym mroku, który otulał ziemię polską i z każdym rokiem gęstniał, po raz ostatni, dzięki Sobieskiemu, zabłysnąć miały przed światem wiekopomne dzieła orężne zbliżającego się ku prze- paści narodu.

Ale czas i na Janie Sobieskim wycisnął niezatarte piętno.

I. MŁODOŚĆ SOBIESKIEGO.



uś Czerwona, kolebka Jana Sobieskiego, żyła w XVII stuleciu pod grozą nieustannych najazdów tatarskich. Niemal co roku wczesną wiosną, a nieraz i latem, gdy w połokach słońca rozbrzysły złotem olbrzymie łany bujnej pszenicy, gdy oko nęciła puszysta zieleń winnic i sadów, gdy cała kraina, usiana malowniczo wzgórzami, połyskująca modremi taflami rozłożystych jezior, przesycona aromatem dojrzałych zbóż, łąk i lasów, rozbrzmiewała pieśniami i gwarem wytężonej pracy, zjawiały się tutaj zagony tatarskie i, płynąc falą zniszczenia poprzez tę wonną, kwietną, urodzajną ziemię, spadały pożogą, rabunkiem i mordem na siedziby ludzkie. W ogniach i dymach stawały wtedy wsie i miasteczka, a szcęk broni i odgłosy wrzawy wojennej wypełniały przestworza. Najazdy na tę cudną ziemię często przeciw własną kłęską opłacali Tatarzy, bo Ruś Czerwona nieustraszonych miała obrońców. Przez długie lata bronił tej ziemi hetman Stanisław Żółkiewski, a po jego zgonie zasłynął zwycięstwami nad łupieską dziczą legendarny rycerz kresowy, „Bicz Tatarów”, Stefan Chmielecki,

ukochany ludu ruskiego bohater i najdzielniejszy kresów polskich obrońca.

W sierpniu 1629 roku orda tatarska, pod wodzą Dewlet-Giraja, runęła czarnym szlakiem na Wołyń, a wstrzymana w zapędzie, zawróciła ku Sokalowi i rozlała się po Czerwonej Rusi. Śród zagrożonych najazdem miejscowości znajdowało się także Olesko, stara magnacka siedziba, z obronnym zamkiem na samotnej górze, wznoszącej się śród bagien i lasów na obszernej nizinie, z której Bug i Styr zbierają wody, spływające do nich siecią błotnistych strumieni.

Dnia 17 sierpnia 1629 roku dawno niepamiętna burza szalała w tych stronach i z ogłuszającym trzaskiem piorunów przeciągała nad starem zamczyskiem. A wraz z huczącą nawałnicą, z rykiem wichru i szumem ulewy spadli na Olesko Tatarzy i z wyciem rzucili się ku murom zamkowym. Strasznych gości spłoszyły hufce Stefana Chmieleckiego, który czuwał nad okolicą i gromił puszczone na rabunek zagony.

W takiej chwili, między godziną 14-ą a 15-ą dnia tego, urodził się na zamku oleskim drugi z kolei syn Jakóba i Teofili Sobieskich.

¶ Synowi nadano imię Jan.

Przyszedszy na świat śród burzy i w czasie najazdu Tatarów, chłopiec od pierwszych godzin swego życia wsłuchiwał się w szcęk oręża i oddychał gorącą atmosferą wojny. A wyrastał w domu rycerskim, przechowującym pełne grozy dramatycznej wspomnienia dzieł i czynów, dokonanych przez bohaterskich przodków zarówno po mieczu, jak po kądzieli.

Starożytny ród Sobieskich, herbu Janina, osiadły zdawna w województwie lubelskiem, wywodził swe

początki z zamierzchłej przeszłości. Ale zarówno Bartosz Paprocki, jak Jan. III podają bliższe wiadomości dopiero o dziadzie króla, Marku Sobieskim, zawołanym rębaczem, podziwianym przez króla Stefana, a cieszącym się przyjaźnią i zaufaniem kanclerza Zamoyskiego. Śmiały rycerz odznaczył się w wojnie z Gdańszczanami i w wyprawach Batorego na Moskwę, a wielce przyczynił się do świetnego zwycięstwa, które w roku 1600 odniósł Zamoyski nad hospodarem Michałem. Wyniesiony na godność wojewody lubelskiego, pomnożył znacznie swe majątności, a przez nabycie Złoczowa, ogromnych dóbr na Czerwonej Rusi, stworzył podwaliny późniejszej potęgi i magnackiej fortuny Sobieskich.

Syn Marka a ojciec króla, Jakób Sobieski służył Rzeczypospolitej, jako żołnierz i statysta. Spędziwszy sześć lat poza granicami kraju, poznał Francję, Włochy, Niemcy, Holandję, Hiszpanję i Anglję. Kształcił się czas dłuższy w Paryżu. Człowiek wielkiej ogłady, dworski, wytworny, władający wybornie kilkoma językami, a słynący z bystrego umysłu i swady oratorskiej, był jednym z najoświeceńszych swego czasu obywateli. Ceniono jego zdanie na dworze Zygmunta III i nieraz powierzano mu misje dyplomatyczne. Zręczny statysta prowadził w różnych czasach układy z Turcją, Szwecją, Kozakami, a umiejętnie wywiązywał się z ciężkich obowiązków. Musiał też cieszyć się popularnością wśród braci szlacheckiej, bo izba pomselska cztery razy wybierała go swoim marszałkiem. Nagrodzony za zasługi starostwami krasnostawskim i jaworowskim, szybko posuwał się po szczeblach dostojęństw: był krajczym koronnym, wojewodą beł-

skim, potem wojewodą ruskim, a pod koniec życia zaszczycony został kasztelanją krakowską. Ze swej strony nie szczędził ofiar na potrzeby Rzeczypospolitej. Gdy królewicz Władysław wyruszał na podbój Moskwy, Jakób Sobieski przyprowadził mu kilka własnym kosztem wystawionych chorągwi, tak świetnych i strojnych, że złotemi rotami je nazywano. W roku 1621-ym towarzyszył Chodkiewiczowi pod Chocim, zasiadał w przydanej do boku hetmańskiego radzie wojennej i dzielił sławę zwycięstwa, jako uczestnik wiekopomnych bojów i jeden z głównych twórców zawartego z Turcją pokoju. Pochopny do pióra, giętki i ozdobny w słowie, przekazał potomności cenne wspomnienia z czasów tej pamiętnej wojny w dziurjusz, pisanym po polsku i w pamiętniku łacińskim.

Jakób Sobieski żonaty był dwukrotnie. Pierwsza żona, Marjanna, z potężnego w Rzeczypospolitej rodu książąt Wiśniowieckich, zmarła młodo, nie pozostawiając po sobie potomstwa, bo dwie córki z tego małżeństwa zgasły w wieku dziecięcym. Drugą żoną p. Jakóba była Teofila Daniłowiczówna, córka wojewody ruskiego, Jana Daniłowicza i Zofji z Żółkiewskich, dziedziców Oleska. Wnuczka nieśmiertelnej sławy kanclerza i hetmana Stanisława Żółkiewskiego, wychowana w bezgranicznej czci dla swego dziada, odznaczała się surowością zasad i, jak się wyraził Jan III, „nie białołowskiego, ale męskiego była serca”. Za nic wążąc sobie niebezpieczeństwa, głęboko przejęta bohaterskimi czynami Żółkiewskich i Daniłowiczów, honor i cnoty rycerskie od lat najwcześniejszych wszczepiała w swych synów. Towarzyszem lat pa-cholących przyszłego króla był starszy zgorą o rok

brat Marek*), jako syn pierworodny wyróżniany przez rodziców, a ze względu na przymioty umysłu i serca od lat najwcześniejszych budzący wielkie nadzieje.

Bracia wyrastali w Żółkwi, wspaniałej rezydencji hetmańskiej, w której czasem na stałe zamieszkali rodzice. Tutaj na każdym kroku spotykając pamiątki po swym wielkim pradziadzie, chowali się niejako pod znakiem jego świetnych przewag i czynów. W zamku, zbudowanym przez hetmana, z wielką czcią przechowywano zbroje, broń i sprzęty Żółkiewskiego, a pokoje, które zamieszkiwał, utrzymywane były w takim stanie, w jakim je pozostawił, wyjeżdżając na ostatnią wyprawę. W nienaruszonej jego sypialni, nad prostem, bez żadnych ozdób i draperyj łóżkiem, płonęła przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej złotolita lampa, zawieszona jeszcze przez hetmanową Reginę Żółkiewską, w dniu sprowadzenia zwłok małżonka do Żółkwi. Tuż obok obrazu zdobyły ścianę pamiątki po bohaterze: miecz z rękojeścią, wysadzaną bogatymi kamieniami, buława, ofiarowana przez papieża i porąbany szablami płaszcz hetmański z rdzawymi śladami krwi, przelanej pod Cecorą. A w pięknym kościele, który hetman wznosił w Żółkwi, oglądali młodzieńcy Sobiescy wykute z czarnego marmuru pomniki pradziada i dziada: Stanisława i Jana Żółkiewskich.

Na grobowcu hetmańskim wyryty był napis:

*) Dwaj młodsi bracia Jana Sobieskiego, Stanisław i Michał oraz siostra Zofja zmarli w wieku dziecięcym. Siostra Anna wstąpiła do klasztoru benedyktynek we Lwowie i również młodo umarła, siostra Katarzyna wyszła za mąż za ks. Dominika Ostrogskiego-Zasławskiego, a po śmierci pierwszego męża poślubiła ks. Michała Radziwiłła.



O quam dulce et decorum pro patria mori — (o, jak słodko i chlubnie jest umrzeć za ojczyznę!)

Rodzice nieraz przed ten grobowiec prowadzili swoje chłopięta i, chcąc upamiętnić w ich sercach wielkie wskazanie, tak zgodne z całym życiem pradziada, kazali im ów grobowy napis powtarzać z pamięci.

Z dobrze znaną historją kanclerza i hetmana, założyciela i dobrodzieja Żółkwi, ściśle wiązały się dzieje jego jedynaka, Jana Żółkiewskiego, który chcąc pomścić krew swego ojca i raz na zawsze uwolnić Rzeczpospolitą od najazdów tatarskich, powziął zuchwały zamiar zawojowania Krymu. Na ten cel przeznaczył całą swą olbrzymią fortunę. Ale losy nie pozwoliły mu dokonać wielkiego dzieła. W czasie przygotowań do wyprawy i starań, podjętych w Warszawie, by uzyskać zgodę króla na śmiałe przedsięwzięcie, otworzyła się źle zagojona rana, odniesiona w potrzebie cecorskiej — i jedyny syn hetmański zgasł przedwcześnie ku rozpaczyci matki i żalowi narodu.

Była to druga w najbliższej rodzinie ofiara walk, prowadzonych przez Rzeczpospolitą z Turcją i z Tatarami.

Męskim spadkobiercą hetmana Żółkiewskiego został z kolei wnuk hetmana a rodzony brat pani Jakóbowej Sobieskiej, Stanisław Daniłowicz, starosta czechryński i korsuński. Młody, wielkie nadzieje budzący rycerz przez kilka lat z rządu wyruszał w Dzikie Pola i walczył zwycięsko z hordami Tatarów. Ale w roku 1636 zawiodło go szczęście. Otoczony przez przeważające siły, dostał się do niewoli i wpadł w ręce głośnego wodza Nohajców, Kantemira. Był to śmiertelny wróg Polaków, a słynął zarówno z męstwa, jak z bezlito-

snych okrucieństw. On to w odwrocie Żółkiewskiego z pod Cecory szedł trop w trop za uchodzącym ku granicom Polski taborem, a gdy bunt w wojsku hetmańskim wybuchnął, uderzył na rozbitków i dokonał dzieła pogromu. Z rąk jego wojowników legł hetman. Gdy do namiotu Kantemira wprowadzono Daniłowicza, dziki murza wpadł w gniew i w przystępie wściekłości krzyknął na swego syna, by głowę odrąbał Lachowi. Zawahał się młody Tatar, widząc przed sobą bezbronnego jeńca, ale na nalegania rozjuszonego ojca porwał szablę i ciął rycerza w szyję. Trysnęła krew i młody rycerz zwałił się na ziemię, ale że ręka nie dopisała katowi, więc męczył się nieludzko. Dopiero koniuch Kantemira pchnął więźnia dzirytem i dokonał dzieła morderstwa. Świadkiem tej sceny był wierny sługa i towarzysz broni zabitego, Rzeszowski, którego puszczono na wolność. Rzeszowski zabrał ze sobą zwłoki Daniłowicza i przywiózł je do Żółkwi.

Podczas uroczystości pogrzebowych Jakób Sobieski gorącą mową uczcił swego szwagra, a pani Teofila prowadziła za ręce obu synów i, modląc się głośno, wzywała pomsty Boga na okrutnych morderców.

W kościele żółkiewskim stanął wkrótce nowy grobowiec, na którym wryto napis: *Aviti sanguinis ultor*—niedoszły mściciel krwi dziada swego.

Była to w trzecim pokoleniu trzecia ofiara walk z „pohańcami”.

Nic dziwnego, że oboje Sobiescy wycłowywali swych synów w „przyrodzonej do pogan a typatji”, że pragnęli w nich widzieć mścicieli krwi przodków, co legli w bojach z Turkiem i Tatarem. I nic dziwnego, że obaj wojewodzice przejęli się temi wskazaniami, że w życiu późniejszego króla ta „przyro-

dzona do pogan antypatja", wyniesiona z domu rodzicielskiego, rozrosła się i wyolbrzymiała do tego stopnia, że nieraz zaważyć miała na szalach jego decyzji.

W podniosłej, przesyconej szczerym patryotyzmem, atmosferze upłynęły lata dziecięce Jana Sobieskiego.

W roku 1640-ym obaj bracia wysłani zostali dla dalszej edukacji do Krakowa. Dał im p. wojewoda opiekuna i guwernera w osobie niejakiego p. Orchowskiego, a panu Orchowskiemu udzielił szczegółowej pisemnej instrukcji, jak synowie mają czas spędzać. Ciekawa ta instrukcja, dobrze malująca obyczaje czasu, przepisywała, jak panięta mają się uczyć, bawić, modlić, jak pielęgnować swe zdrowie, co jeść, z kim i w jaki sposób przestawać, komu ustępować miejsca, a komu nie pozwolić na to, kogo zaś traktować, jak równego. Pragnął Jakób Sobieski, aby synowie jego „w logiki, w metafizyki się nie wdawali”, gdyż był zdania, że te nauki jeno teologom lub próżniakom przydatne być mogą. Zalecał natomiast przedmioty, mogące się przydać w późniejszej działalności publicznej, a więc stylistykę, dialektykę, retorykę, historję, filozofję moralną, prawo, matematykę, a z nauk przyrodniczych: fizykę. Ponadto wielką wagę przywiązywał do znajomości języków obcych, bo, jak pisał, „zacnych kawalerów tych wieków nic bardziej nie zdobi, jako umiejętność różnych języków”.

Uczęszczali wojewodzice do uczelni, założonej jeszcze w roku 1588 przez Akademię krakowską, a noszącej od roku 1617 miano szkół Nowodworskich, nazywanych tak od imienia swego dobrodzieja, słynnego kawalera maltańskiego, Bartłomieja Nowodworskiego, towarzysza broni wojewody. W tych szko-

łach, istniejących do dziś w Krakowie, jako gimnazjum św. Anny, kształcili się przez pięć półroczy pomiędzy 1640 a 1643-im rokiem. Potem uczęszczali już do Akademii na wydział filozoficzny.

W początkach 1646-go roku Jakób Sobieski, zgodnie z panującym w magnackich domach polskich obyczajem, wysłał synów zagranicę. Towarzyszyli im dwaj opiekunowie: pp. Orchowski i Gawarecki. I tym razem napisał p. wojewoda instrukcję, według której mieli synowie w obcych krajach uzupełniać swe wykształcenie. Jak w poprzedniej, tak i w tej nowej instrukcji kładł główny nacisk na uczenie się obcych języków, a przede wszystkim francuskiego, jako że język ten najbardziej obok łaciny był już po świecie rozpowszechniony. W Holandji radził synom uczyć się inżynierji wojskowej, we Włoszech szermierki i sztuki dosiadanania konia, we Francji — dyplomacji i wymowy. Żądał, aby przyjechawszy do Paryża, postarali się „o profesora co najprzedniejszego, coby to był wielki polityk i wielki orator”. Zalecał gorąco czytanie dzieł historycznych, baczne przypatrywanie się zwiedzanym krajom i zapisywanie swoich spostrzeżeń. Nadto jako człek bywały udzielał wielu ostróg, dotyczących prowadzenia się zagranicą i obcowania z ludźmi. Przestrzegał szczególnie przed wchodzeniem w bliższe stosunki z nieznanymi bliżej Francuzami, bo to „naród letki, niestateczny”, urażają się byle czem, „lada fraszkę mają sobie za dyshonor i zaraz o to umierać chcą i pojedynkować (się)... Życzył sobie p. wojewoda, aby synowie nauczyli się dobrych manier, radził nawet uczyć się modnych na dworze królewskim w Paryżu tańców, ale radził dość kwaśno.

— „Co się mnie tknie, — pisał, — ja o to nie dbam. Bodajęście na koniach, da Bóg, tańcowali, bijąc się z Turki i Tatary!”

Pozostawił również do woli synów uczenia się gry na lutni lub innym instrumencie, co również do mody ówczesnej należało, ale muzyka, jako w jego oczach zajęcie, właściwsze dla ludzi podlejszego stanu, nie wydawała mu się koniecznem uzupełnieniem edukacji szlachcica.

— „Przyznam się, — objaśniał synów, — żebym żałował tego czasu, co byście na tem błazeństwie strawili. Będziecie, da li Bóg, mieli sto (?) substancji swojej, że możecie muzykę chować. Lepiej, — dodaje nie bez fantazji szlacheckiej, — że oni sami będą wam grać, niż wy sobie!..”

W ciągu dwóch lat zwiedzili bracia Sobiescy Niemcy, Holandję, Francję i Anglję, a wszędzie, z wyjątkiem Anglii, gdzie bawili krótko, świetność rodu oraz listy polecające króla i królowej otwierały im przystęp do dworów panujących, książąt, znakomitych statystów i wodzów. W salonach księżnej Longueville poznali jej brata, sławnego później w Europie zwycięzcę i wodza, księcia Kondusza, byli zaproszeni na łowy królewskie do St. Germain, poznali wiele głośnych i wybitnych w owym czasie osobistości. Wyuczili się wybornie języka francuskiego, „słuchali (nauki) fortyfikacji od mistrza matematyki ks. Orańskiego”, Stampiana, ale nie ukończyli wojażu według pierwotnych projektów.

Wieści z kraju wzywały ich do powrotu: Rzeczpospolita stała w ogniu wojny domowej.

Wracali więc w strony rodzinne, a nie mieli już zobażyć swego rodzica. Jakób Sobieski wkrótce po

wyjeździe synów, bo w czerwcu 1646 roku rozstał się z tym światem. Dzieciom, prócz dobrego imienia, pozostawił olbrzymią fortunę. I dwa starostwa, któremi był obdarzony, przeszły na synów: Marek został starostą krasnostawskim, Jan — jaworowskim.

W końcu lipca 1648 roku Sobiescy opuścili Brukselę, a na jesieni tegoż roku przedostali się do Zamościa, dokąd przed szalejącą w kraju burzą schroniła się pani Teofila.

Polska w owym czasie upadała pod brzemieniem klęsk, które, jak piorun za piorunem biły w ogłuszony katastrofą naród. Zbuntowany Chmielnicki, jak duch zniszczenia i pomsty szedł w głąb Rzeczypospolitej i przez rzeki wylanej krwi a płomień olbrzymich pożarów wygrażał swym mieczem panom i królewicom polskim.

Położenie było rozpaczliwe.

Król Władysław IV, cieszący się wielką u Kozaków powagą, już nie żył, wybór nowego króla miał się odbyć jesienią, stronnictwo pokojowe z Ossolińskim na czele walczyło ze stronnictwem wojennem księcia Jeremjasza Wiśniowieckiego, rozprzęgała się władza i rósł chaos, a tymczasem wieści o postępach i zwycięstwach Chmiela mroziły krew w żyłach i trwożą o losy kraju najmężniejsze przeszywały serca. Cała Rzeczpospolita rozbrzmiewała jeszcze odgłosami klęsk pod Żółtymi Wodami i Korsuniem, gdy gruchnęła wieść o Pilawcach. Dnia 23 września 1648 roku olbrzymi obóz polski, liczący trzydzieści kilka tysięcy rycerstwa, a 200.000 sług i pacholków oraz 100.000 naładowanych wszelkiem bogactwem wozów, z którymi przeciw Kozakom, jak na polowanie wybrała się szlachta, na samą wieść, że z Chmielnickim łączy się orda

tatarska, poszedł w rozsypkę. 80 dział ze wszystkimi bogactwami pozostawili rycerze pilawieccy na pastwę Kozakom i Tatarom, a sami, uciekając wszystkimi traktami na złamanie karku, roznieśli po reszcie wolnego kraju strach i przerażenie. Nigdy większa hańba nie dotknęła oręża polskiego i nigdy rozmiarom klęski nie towarzyszyła w tak wielkich rozmiarach sromota.

Słusznie rozpacział Wespazjan Kochowski:

Jako od wieków Polska tu usiadła,
Na nią takowa obelga nie padła!

Tę obelgę odczuwali wszyscy, w kim nie zagasło poczucie honoru.

W takiej to chwili młodzi Sobiescy stanęli w Zamościu przed panią Teofilą. Wnuczka Żółkiewskiego do głębi duszy wstrząśnięta była nową katastrofą.

— „Gdyby tak który z synów moich miał ująć z potrzeby, nigdybym go nie miała za syna”, — niejednokrotnie powtarzała z naciskiem.

A że synowie przygotowywali się do wyruszenia w pole, wskazywała im tarczę herbową Sobieskich i powtarzała słowa matki Spartanki:

— Z nią albo na niej.

Z taką nauką matki pociągnęli kasztelanice na wojnę, prowadząc z sobą chorągwie własnego zaciągu. Marek podzielił niebawem sławę bohaterskich obrońców Zbaraża, a Jan, znajdujący się przy osobie Jana Kazimierza, brał udział w nieszczęśliwej potrzebie pod Zborowem.

W roku 1651-ym obaj uczestniczyli w pamiętnej bitwie pod Beresteczkiem, obaj walczyli z wielką rezolucją, a chorągwie ich ogromne poniosły straty. Jan, ranny w głowę, omal nie dostał się do niewoli.

Rok 1652-gi był dla rodziny Sobieskich rokiem najcięższej żałoby. Jan, złożony chorobą, leczył się na wiosnę tego roku we Lwowie, a Marek, poszedłszy wzmocnić siły hetmana Kalinowskiego, zginął pod Batohem. A zginął nie w bitwie, lecz dostawszy się do niewoli, zamordowany został przez Tatarów i to, jak pisał Jan, „przykładem okrucieństwa nigdy niesłychanym”. Tak skończył 25-letni starosta krasnostawski, głośny już ze swoich przymiotów i nieustraszonego serca, duma i ukochanie matki, głowa rodu, nadzieja ojczyzny.

Po tragicznym zgonie Marka Jan Sobieski pozostał jedynym męskim spadkobiercą sławy i fortuny, a zarazem „mścicielem” trzech znakomitych i zasłużonych w Rzeczypospolitej rodów: Żółkiewskich, Daniłłowiczów i Sobieskich, których krew nie tylko płynęła w jego żyłach, ale przelana w walkach za ojczyznę przez pradziada, dziada, wuja i brata na nim się kończyła.*)

Młody magnat nie przestał służyć krajowi szablą. W roku 1653-im na czele własnej chorągwi pancernej pociągnął z Janem Kazimierzem pod Żwaniec. Gdy

*) Pozostały jeszcze rodziny o tych samych nazwiskach, ale z linii dalszych. Jan Sobieski odziedziczył po Sobieskich ogromne dobra Złoczów i Pomorzany na Rusi, w województwie lubelskiem — piękną majątność Pielaskowice, na Podolu — Zborów, na Wołyniu — Błudów, po Żółkiewskich — Żółkiew, po Daniłłowiczach — Olesko. Dobra Żółkiewskiego na Ukrainie przeszły pod panowanie carskie, otrzymał za nie Sobieski wynagrodzenie pieniężne. O rozmiarach jego fortuny może zaświadczyć fakt, że do samej Żółkwi należało 50 wsi, rozsiadłych na 20 milach kwadratowych. Siostra Katarzyna bogato została wyposażona, ale jej posąg stanowił zaledwie drobną część olbrzymiej fortuny Sobieskiego.

zamieniano z Tatarami zakładników, król ze swej strony Sobieskiego posłał w zakład chanowi. Miał tedy sposobność bliżej przyjrzeć się życiu i zwyczajom swych wrogów. W roku następnym znacznie rozszerzył swą znajomość świata muzułmańskiego, gdyż wraz z poselstwem Bieganowskiego wybrał się do Turcji i dwa miesiące spędził w Konstantynopolu. Po wojażu na zachód poznał wschód i w samej stolicy padyszacha spoglądał w oczy owej strasznej potędze, z którą później miał stanąć do śmiertelnych zapasów.

W styczniu roku 1655-go bił się z Moskwą i Kozakami pod Ochmatowem, a wkrótce potem zjawił się na dworze królewskim w Warszawie.

Pomimo trwającej jeszcze wojny, w niefrasobliwej stolicy odbywały się huczne bale, zabawy, bankiety. Bawił się król, bawili się senatorowie i posłowie, nie przeczuwając jeszcze, jak wielkie niebezpieczeństwo grozi już Rzeczypospolitej.

Jan Sobieski rzucił się w wir zabaw, błyszczał w stolicy i używał życia. Świetny młodzieniec zwracał na siebie powszechną uwagę. Olbrzymiej fortuny, układnych manier, pełen wdzięku i radosnej lekko-myślności, jaśniał młodością, siłą i zdrowiem. Był pięknym mężczyzną. Wysokiego wzrostu, kształtny i postawny, miał żywe, głębokie oczy, orli nos, piękne wąsy, twarz jasną, uczciwą, opromienioną pogodą i szczerością. Z przyrodzenia wesóły, posiadał temperament, jak proch zapalny i skłonny do wybuchów, ale gniew jego przemijał szybko i jak burza wiosenna rozplywał się w słonecznej pogodzie młodości. Skory do szabli i kielicha, serce miał tkliwe, a na wdzięki niewieście czuły był niezmiernie. Że zaś cieszył

się u dam powodzeniem, więc wieść niesła, że wielkie spustoszenia szerzy w sercach białogłowskich.

Sobieski, łącząc w sobie polor francuski z fantazją polską, gasił rówieśników, ale umysłem i charakterem nie różnił się od otoczenia i nie wyrastał ponad poziom wyrodnijących już obyczajów i poglądów szlacheckich. Wiele w swem młodem życiu widział i słyszał, władał wybornie łaciną i językiem francuskim, mówił po niemiecku, angielsku, włosku, mógł w rodzowitym języku porozumieć się z Turkiem i Tatarem, był czytany, posiadał nawet dość duży zasób wiedzy, a z domu rodzinnego wyniósł zasady najszlachetniejszego patriotyzmu. Pomimo to epoka wyciskała na nim swe piętno, upodobniała go do innych, przenikała nawskroś swem rozkładowem działaniem. Sobieski nazywał się szlacheicem i myślał, jak masa szlachecka, stawiająca swą złotą wolność ponad interesy kraju, a w *liberum veto* widząca filar, podtrzymujący ustrój państwowy Rzeczypospolitej. Z lekkim sercem, nie pozierając w przyszłość, przyswoił sobie kilka kardynalnych zasad mądrości politycznej ówczesnego szlachcica i płynął z prądem czasu. Wkrótce miał nawet postępowaniem swoim złożyć smutne dowody, że w sercu jego zatarły się wspomnienia Żółkwi i przygasała pamięć o nieskałanym żywocie pradziada.

W owym czasie poznał Sobieski wielce urodziwą pannę, należącą do fraucymeru królowej. Była to czternastoletnia Marja Kazimiera d'Arquien, wychowawica Ludwiki Marji, córka kapitana gwardji księcia orleańskiego. Sobieski od pierwszego wejrzenia zakochał się w cudzoziemce, a zapłonął tak gorącym afektem, iż zaprzysiągł sobie, że ją tylko pojmie za żonę.

Piękna panna miała zczasem odegrać złowrogą rolę w dziejach Rzeczypospolitej.

Sobieski dotrzymał swej przysięgi, ale lata jeszcze upłynęły, nim stanął na kobiercu ślubnym z urodziwą Francuzką. Marja Kazimiera, ciesząca się możną protekcją królowej, miała zmysł praktyczny i przez zamążpójście chciała zrobić najświetniejszą karierę, a wielu magnatów zwracało na nią swe oczy. I jej przypadł do serca dziarski a pełen życia starosta jaworowski, ale poślubiła innego, bo się jej wydawał możniejszym, bogatszym a rokującym świetniejszą, niż Sobieski przyszłość.

Jan, pomimo bolesnego zawodu, pozostał wiernym damie swego serca.

Ale nim losy pozwoliły mu znowu zbliżyć się do niej, nowe klęski i burze, które nawiedziły Polskę, rozdzieliły urodziwą parę.

Wybuchła wojna szwedzka.

Na ciężką próbę wystawiony został charakter Jana Sobieskiego.

* * *

Nigdy Rzeczypospolitej nie groziły większe niebezpieczeństwa.

Zbuntowany Chmielnicki, opuszczony przez swych sojuszników Tatarów, a nie mogący liczyć na pomoc Turcji, w lutym 1654 r. poddał Ukrainę carowi. Na wiosnę tegoż roku dwie armje moskiewskie ruszyły przeciw Polsce: 100,000 wojska zalało Litwę, a 40,000 wtargnęło na Ukrainę. Nie uporała się jeszcze Rzeczpospolita z groźnym najazdem, gdy w lipcu 1655 r. wkroczyli do Wielkopolski Szwedzi. Zgromadzone pod Ujściem pospolite ruszenie, głównie za sprawą

wojewody Krzysztofa Opalińskiego, kapitulowało przed feldmarszałkiem Wittenbergiem, przyjęło protektorat Karola Gustawa i tym haniebnym aktem wydało Wielkopolskę w ręce najeźdźców. Równie potwornej zdrady dopuścił się w sierpniu hetman wielki litewski ks. Janusz Radziwiłł i Litwę zaprzedał królowi szwedzkiemu.

Niebawem całe państwo znalazło się w rękach wrogów.

Chmielnicki oblegał Lwów, Moskale zajmowali Wilno, a pozostałe ziemie zagarniali Szwedzi. Opadło uzbrojone ramię narodu, zwątpienie ogarnęło serca, zatriumfowała zdrada i z każdym dniem czyniła coraz bardziej zastraszające postępy. Poddawali się Szwedom magnaci, szlachta, wojsko. Miasta, zamki, województwa, całe prowincje bez jednego wystrzału przechodziły w ręce Karola Gustawa.

Jan Kazimierz z królową na Śląsku musiał szukać dla siebie schronienia.

W tej tragicznej chwili zaledwie garstka wiernego sprawie ojczystej rycerstwa nie oddała swych szabel na usługi najeźdźnika. Niestety, w tej garstce nie było Jana Sobieskiego. Zbrodniczy oblęd, ogarniający masy, i jemu się udzielił.

Jako pułkownik w wojsku kwarcianem, pozostającym w okolicach Lwowa pod wodzą Aleksandra Koniecpolskiego, Sobieski wraz z tymże Koniecpolskim, Janem Sapiehą, Dymitrem Wiśniowieckim i innymi podpisał nawet instrukcję dla delegatów, jadących wojsko kwarciane poddawać władzy Karola Gustawa. Później wysłał pismo, obowiązując się do wierności i posłuszeństwa królowi szwedzkiemu, a 26 października 1655 roku złożył wraz z towarzyszami broni

przysięgę poddańczą temuż królowi, odebraną przez feldmarszałka Wittenberga.

Postępowanie Sobieskiego starano się wytłumaczyć różnemi okolicznościami. Nawet instygator koronny Żytkiewicz, wysłany przez Jana Kazimierza do traktowania z kwarcianymi, usprawiedliwiał starostę jaworowskiego młodym wiekiem i wrodzoną mu porywcznością. Ale są występki, których podłoże można wyjaśnić, ale których niczem usprawiedliwić się nie da. Wprawdzie Sobieski nie knuł zdrady, jak jego brat cioteczny Hieronim Radziejowski, nie wchodził z wrogiem w bezecne umowy, jak to uczynili Radziwiłł i Opaliński, nie szukał protekcji i osobistej korzyści, ulegał tylko wpływow obłąkanej masy, jak ta masa myślał, rozumował, wierzył i jak ta masa płynął z falą powszechnego obłędu. Ale składając najeżdźcy przysięgę, a pomagając mu później do ujarznienia Polski, plamił swój honor i popełniał zbrodnię względem ojczyzny. Zbrodnia to była tem cięższa, że trwał w niej dłużej, niż inni. Nie obudził w nim sumienia huk armat z pod Częstochowy, nie wyrwała go z obozu szwedzkiej konfederacji tyszowieckiej. Walczył ze Szwedami Jerzy Lubomirski, szarpał ich i gnębił Stefan Czarniecki, stawiał czoło najeżdźcom Paweł Sapięha, bili się z wielką zajadłością chłopci, we wszystkich województwach powstawała już uleczona z obłędu szlachta, a Sobieski ciągle jeszcze trwał przy Karolu Gustawie i wraz z nim odbywał marsze wzdłuż kraju, objętego płomieniami wojny narodowej.

Dopiero w marcu 1656 roku, gdy ziemia polska zaczęła się palić pod stopami Szwedów, porzucił ich wojska i w okolicach Łańcuta złączył się ze Stefanem Czarnieckim. Teraz, pod wodzą znakomitego wojow-

nika, starał się męstwem i szaloną odwagą w walce z najeźdźcami odwrócić ściągniętą na swe imię hańbę, a zapewne i zagłuszyć dręczące go wyrzuty sumienia. W pogoni za Karolem Gustawem, Sobieski i jednocześnie z nim nawrócony książę Dymitr Wiśniowiecki nacierali na Szwedów z rezolucją szaleńców i, zapędzając się aż w sam tabor szwedzki, z wielką dla nieprzyjaciela szkodą szli za nim trop w trop pod Sandomierz. Wkrótce potem odznaczył się starosta jaworowski w zwycięstwie pod Warką nad margrabią badeńskim Fryderykiem, którego niedobitków ścigał pod samą Warszawę. Oddany pod komendę Jerzego Lubomirskiego, poszedł z nim do Wielkopolski i Prus Królewskich, bił się, jak straceniec, a zuchwałą szarżą na działa i szanice szwedzkie pod Toruniem wzbudził podziw rycerstwa.

Przebaczył mu odstępstwo Jan Kazimierz, jak zresztą przebaczyć musiał prawie całej Polsce. A że przebaczeniu często towarzyszyły nagrody, więc i Sobieski za okazane męstwo w walkach ze Szwedami został wyróżniony. Chorąży koronny Koniecpolski, ten sam, który wojsko kwarciane przywiódł do przysięgi Karolowi Gustawowi, wyniesiony został na godność wojewody sandomierskiego, a chorążostwo koronne otrzymał Sobieski.

W tej nowej godności uczestniczył w oblężeniu Warszawy, a w drugiej bitwie warszawskiej 26—30 lipca 1656 r., mając pod swem dowództwem 6 000 Tatarów, przysłanych przez chana na pomoc Janowi Kazimierzowi, odznaczył się kilkakroć śmiałością, a mieszącymi wroga atakami. Od jesieni 1658 roku walczył w Prusach Królewskich, brał potem udział w oblężeniu Torunia. A gdy Szwedzi zostali wypędzeni z Pol-

ski, nie spoczął na laurach, lecz wraz z hetmanami Potockim i Lubomirskim pociągnął przeciw Moskalom na Ukrainę i przyczynił się do zwycięstwa nad Szeremietjewem w sławnej bitwie pod Cudnowem dnia 7 października 1660 roku.

W okresie tym, tak ciężkim dla kraju i tak smutnym dla narodu, odznaczył się Sobieski, jako dzielny żołnierz, jako śmiały i przedsiębiorczy dowódca, ale jako obywatel nie wykazał w najtragiczniejszej chwili ani rozumu, ani hartu ducha, ani patriotyzmu, jakiego, znając jego wychowanie, można się było po nim spodziewać. Zasady, wpajane w domu rodzicielskim w Żółkwi, zatarła w sercu Sobieskiego nielitościwa dłoń czasu. W późniejszych latach nigdy już nie poniżył się przed wrogiem, choć nieraz jeszcze miał poddać się otaczającym go wpływom i ulec naciskowi okoliczności.

Wydobycie się z przepastnej toni klęsk i nieszczęść, wysiłkiem wszystkich warstw narodu, dumą nappełniło szlachtę, ale nie odrodziło jej ducha, nie starło bielma z jej oczu. A była chwila, gdy zdawać się mogło, że w pożarze wojny narodowej wykuwa się nowa myśl i prądy odrodzenia przenikać zaczynają Polskę. Gdy masy ludowe z własnego natchnienia rzuciły się do obrony ojczyzny i gdy pod wpływem tego zjawiska Jan Kazimierz uroczyście w świątyni lwowskiej ślubił uwolnić lud od ucisku, gdy w burzy, grożącej narodowi niewolą, widział karę Boga „za łyż i ucisk włościan”, a senatorowie, szlachta, rycerstwo i wszyscy obecni z radosnem wzruszeniem przyjęli ślubowanie króla, można było mniemać, że na posępnem niebie Rzeczypospolitej zapala się nowe słońce i nowe życie otwiera się przed narodem. Niestety, były



Jan Kazimierz, według portretu w klasztorze kamedułów na Bielanych pod Krakowem.

to tylko dobre chęci, które zaświeciły jasnym płomieniem i przemięły razem z nawałnicą. Jan Kazimierz zapomniał o swych ślubach, przestał się wzruszać „łzami i uciskiem włościan”, a w sejmujących stanach nikt nie podniósł głosu, by przypomnieć ów akt uroczysty w obliczu Boga przez króla dokonany.

Życie polskie wróciło po wojnie do dawnego stanu i popłynęło płytkim, choć burzliwym nurtem. Było to życie bez troski o przyszłość, bez drogowskazu w polityce zewnętrznej, bez myśli przewodniej w sprawach wewnętrznych, a więc życie, które musiało poprowadzić naród na bezdroża.

Sobieski w takiej chwili miał wkroczyć na szeroką widownię publiczną. Nieszczęściem jego było, że jak cały ogół szlachecki, tak i on w owym czasie pozbawiony był idei, a więc siły niezbędnej do odegrania dodatniej roli w życiu narodowym.

II. W SIECIACH INTRYGI I MIŁOŚCI.



czasie przebywania Jana Kazimierza na Śląsku, w smutnych chwilach tułactwa i przerażenia postęпами wrogów, otoczenie królewskie, szukając sposobów ratowania kraju, powzięło myśl pozyskania sojusznika za cenę korony polskiej. Prowadziło to do obrania następcy żyjącego króla, a więc było krokiem bezprawnym, ale wobec grozy położenia nie zważano na to i częstowano tronem polskim Habsburgów, Rakoczego, cara. Jednocześnie z temi rozpaczliwemi, nie dającymi wyników zabiegami, snuto projekty innych reform, mających uzdrowić Polskę i zapobiec w przyszłości powtórzeniu się podobnej katastrofy. Odczuwano konieczność naprawy Rzeczypospolitej, ale ze wszystkich pięknych planów i zamierzeń ocalał jedynie projekt elekcji jeszcze za życia Jana Kazimierza.

Wybór następcy panującego króla chronił niewątpliwie kraj od burzy bezkrólewia, zapobiegał walkom wewnętrznym i groźnym zawsze matactwom dworów zagranicznych w okresie najniebezpieczniejszym dla państwa. Ale był sam w sobie rewolucją, gdyż zmie-

niał formę rządu i godził w wolną elekcję, którą szlachta uważała za swój wyłączny przywilej, rękomię swych praw i swojej wolności. W ciągu całych stuleci opierała się masa szlachecka wszelkim na ten przywilej zakusom, a jasnym było, że i teraz bronić go będzie zawzięcie.

Dobrze wiedzieli o tem król i królowa, ale nie ulękli się wrzawy i postanowili rzucić szlachcie rękawicę. Wielka to była odwaga wyzywać do boju opinję całego kraju, a jedynie czystość pobudek i głębokie przekonanie projektodawców, że bronią dobrej sprawy, mogły odwagę tę usprawiedliwić. Niestety, ani Jan Kazimierz, ani Ludwika Marja nie kierowali się światłem idei i nie szli za owym moralnym nakazem wewnętrznym, który pozwala iść do celu przebojem a z otwartą przyłbicą. Oboje mieli dużo do ukrywania, oboje grali w zakryte karty i dalecy byli od bezinteresowności.

W ten sposób dobra sprawa stawała się złą sprawą.

Jan Kazimierz nie dorósł do wielkich zadań, które spadły na jego barki. Bez energii i jasnego planu w sprawach politycznych, wrażliwy, kapryśny a zmienny, był mężnym żołnierzem, ale nie był człowiekiem czynu. Miewał chwile porywów, ale jego uniesienia, jak zapalona słoma buchały jasnym płomieniem i natychmiast gasły. W dążeniu do celu nieraz wykazywał zawziętość, ale gdy stanął u mety, cel osiągnięty szybko tracił w oczach jego wartość. Nie umiał nic głęboko ukochać, choć umiał mocno nienawidzić. W gruncie swej istoty nie był zły, ani dobry, był lekomyślny. Umysł miał bystry, ale nieukształcony, usposobienie zmienne, charakter ze względu na swą nieokreśloność wysoce niebezpieczny. Panowaniem

znudził się szybko i już w czasie wojny szwedzkiej myślał o złożeniu korony, którą nie bez słuszności nazywał cierniową, choć sam wiele czynił, aby tych cierni sobie przysporzyć. Jako król nie miał inicjatywy twórczej, ani wielkich przed oczyma celów. Najczęściej szedł za wypadkami, które tworzyły się poza nim, a na które spozierał później z rezygnacją, a nieraz nawet z tępą bezmyślnością. Był to dziwny król: miał poczucie swego majestatu, ale jednocześnie nie lubił władzy i nie umiał jej używać, choć często nadużywał. Odważny na placu boju, niezdecydowany w polityce, nierówny w stosunkach z ludźmi, gwałtowny, zapalczywy i zarazem szybko obojętniejący, wypuścił z rąk swoich ster nawy państwowej i silniejszej woli pozwolił kierować sobą i sprawami państwa.

Taką wolę posiadała właśnie królowa Ludwika Marja. Żądna znaczenia, kochająca nadewszystko władzę, przedsiębiorcza, ruchliwa, trawiona ogniem namiętności politycznych, śmiała i bezwzględna, oplątała męża siecią misternej intrygi, otoczyła oddanymi sobie ludźmi, o władnęła królem i stała się na dworze polskim panią położenia.

— „Na dworze panuje wszechwładnie królowa, — pisał poseł cesarski Lissola, a inni posłowie cudzoziemscy taką samą opinię przesyłali swoim monarchom. I w masie szlacheckiej utrwalił się pogląd, że w Polsce rządzi nie król, lecz królowa. Wyrzekął na „praktyki” Ludwika p. Pasek, skarżył się na nią Joachim Jerlicz i utrzymywał, że królowa, „przez którą, jak siła złego (się) stało, wypisać trudno”, jako niedźwiedzia „królem za nos wodziła”.

Tak było istotnie.

Ludwika Marja nie zdołała opanować pierwszego swego męża, bo król Władysław IV umiał być królem i nie pozwolił powodować sobą. Ale wyszedłszy za mąż po raz wtóry za Jana Kazimierza, dopięła celu swych marzeń: mogła rządzić i upajać się władzą. Nie przeszkadzając nowemu małżonkowi w jego życiu prywatnem, patrząc przez palce na jego kaprysy, zachcianki, miłostki, nie zrażając się dowodami braku przywiązania, kierowała królem w życiu politycznem zręcznie, przebiegle, bo nie dając mu odczuć śmiesznej roli, jaką przez nią i przy niej odgrywał. Wychowana we Francji w atmosferze intryg i kno- wań, nie przebierała w środkach dla dopięcia celu. Niemoralna i zepsuta, choć paradująca często w płaszczu dewocji i zajmująca się miłosierdziem, w każdej chwili, gdy to jej wydawało się potrzebnem, gotowa była odepchnąć najszczerzych przyjaciół i wyciągnąć rękę do najzawziętszych swych wrogów. Walczyła przekupstwem, intrygą, zdradą, podstępem. Umiała być bezlitośnie mściwą i każdą zbrodnię przebaczyć. Przeklęty przez naród Hieronim Radziejowski, dzięki jej zabiegom, powrócił do wpływów w ojczyźnie, którą zdradził, sponiewierał i zaprzedał Szwedom. Drugi zdrajca, książę Bogusław Radziwiłł jeden z najprzewrotniejszych magnatów, również jej nie odstraszał. Za pozyskanie go dla swych planów gotowa była oddać mu buławę wielką i ożenić ze swą siostrzenicą. Wszystkie środki były dla niej dobre, najbezpieczniejszy człowiek mógł stać się w jej oczach najpożądającym sojusznikiem. Posiadała wszelkie dane, by w walce stać się niebezpieczną: gardziła moralnością, nie słyszała głosu sumienia, lubiła hazard, miała wolę, odwagę, namiętność. A jednak często nie mogła do-

piąć celu i ponosiła klęski. Sporo elementów niepowodzenia tkwiło w niej samej. Przeszkadzała jej trawiąca ją ciągle gorączka, niecierpliwość w działaniu, niepohamowana płomienista pasja, która wytrącała umysł z równowagi i czyniła z dumnej królowej bardzo pospolitą, gadatliwą, a nawet płaczącą kobietę, zdradzającą mimo woli swe tajne myśli i zamiary. Urodzona intrygantka zbyt często traciła panowanie nad sobą, zapominając, że nie łyzy, lecz zimna krew jest duszą powodzenia w chwilach niebezpieczeństw. Przeszkadzał jej jeszcze brak miary, powodujący nadużywanie silnych, nieraz nawet osłatecznych środków, które, paraliżując się wzajem, osłabiały skuteczność działania. Wyrachowana, ale nieostrożna, ambitna, ale bez idei, była jakby stworzona, by wywoływać w kraju ciągle niepokoje, hałasy i burze.

Jakiż cel miała królowa i do czego dążyła?

Przywiązana nadewszystko do władzy, przejęta rolą, jaką odgrywała w Polsce, a przez Polskę i poza jej granicami, za wszelką cenę chciała tę władzę utrzymać. Tymczasem Jan Kazimierz znudzony był panowaniem i myślał o abdykacji, a z abdykacją króla kończyła się rola Ludwiki. Więc z obawy o utratę swych wpływów, z największą energją zabrała się do przeprowadzenia wyboru następcy Jana Kazimierza, oczywiście następcy, któryby dawał jej rękojmię, że nie zostanie zepchnięta z tego dominującego stanowiska, jakie zajmowała na dworze warszawskim.

Plany królowej bardzo zręcznie wyzyskała dla swych celów dyplomacja francuska.

Ludwik XIV pragnął wprząc Rzeczpospolitą w rydwan swej polityki, a najlepszą drogą, wiodącą do tego celu, było osadzenie na tronie polskim księcia fran-

cuskiego. Plany królowej nie były tajemnicą w Paryżu. Więc postanowiono dogodzić królowej i zarazem zabezpieczyć własny swój interes. Uczyniono to w sposób dowcipny: ułożono małżeństwo młodego księcia Anguien, syna sławnego wodza Kondeusza z przebywającą we Francji siostrzenicą królowej. Ten manewr rozstrzygnął w Warszawie o wyborze kandydata do tronu polskiego: stał się nim oczywiście ks. Anguien. Skutkiem zbiegu różnych okoliczności kandydaturę tę zastąpiła zczasem kandydatura samego Kondeusza, ale istota rzeczy nie ulegała zasadniczym zmianom. Małżeństwo przyszłego króla lub też jego syna było, jeśli nie rękojmią, to przynajmniej pozwalało żywić nadzieję, że królowa czy to w razie śmierci Jana Kazimierza, czy w razie jego abdykacji, zachowa w Warszawie swe wpływy, a namiętnej, żądnej nadewszystko władzy intrygantce o to głównie chodziło.

Sam projekt zmiany elekcji, prowadzący w swych następstwach do dziedziczości tronu, był znacznym we wzmocnieniu ustroju państwowego postępem, a wybór księcia francuskiego otwierał przed Rzeczpospolitą szerokie perspektywy: zbliżał do siebie Francję i Polskę, łączył je sojuszem, który obu państwom zapewniał ważne korzyści. Odosobniona Polska, narażona na niebezpieczeństwo ze strony sąsiadów, otrzymywała pomoc potężnego mocarstwa i zabezpieczała się przed inwazją groźnej zawsze Turcji, z którą Ludwik XIV dobre utrzymywał stosunki. Nie mniejszą korzyść odnosiła Francja. Ludwik XIV, wróg Habsburgów, pragnął, według dobitnego określenia Mazariniego, „wziąć cesarstwo w kleszcze pomiędzy Francję a Polskę”, tak jak w swoim czasie Francja ściśnięta była z jednej strony przez cesarstwo, z drugiej

przez Hiszpanję. Doprowadzenie do skutku takiego sojuszu stać się mogło wielkiem w Europie wydarzeniem: wzmagając siły Francji, podnosiło jednocześnie znaczenie międzynarodowe Polski, pozwalało jej bowiem oddziaływać na kształtowanie się i rozwój stosunków pomiędzy wszystkimi państwami Europy.

Ludzie uczciwi, wiernie służący swemu krajowi, z czystym sumieniem mogli poprzeć i projekt elekcji i francuskiego kandydata do tronu i bronić tych zamiarów wszystkimi godziwemi a legalnemi środkami.

Niestety, królowa nie używała środków godziwych.

Za kulisami całej sprawy uknuta została olbrzymia intryga, której nici trzymał w swych rękach Ludwik XIV.

Wiedziała dobrze Ludwika Marja, że planu swego nie urzeczywistni bez przełamania oporu mas szlacheckich, a że w kraju nie posiadała dostatecznej siły, więc siły obcej postanowiła użyć.

W ten sposób sprawa elekcji i sojuszu z Francją, mogąca zapoczątkować doniosły zwrot w dziejach narodu, stawała się wyraźnym przeciw narodowi spiskiem i to spiskiem haniebnie uknutym.

We wrześniu 1661 r. zawarty został w Fontainebleau traktat francusko-szwedzki, mający ścisły związek z przygotowywanym w Polsce zamachem, a poprzedzony konszachtami królowej ze Szwecją. Na mocy zawartych umów wojska szwedzkie, opłacane przez Ludwika XIV, miały w odpowiedniej chwili wtargnąć do Polski i siłą orężną zapewnić tron polski Francuzowi. Ci sami Szwedzi, których jarzmo tak niedawno, kosztem największych wysiłków, zrzuciła Rzeczpospolita, mieli znowu wkroczyć do stojącego w ruinach kraju i znowu przelewać krew polską.

A Ludwika Marja brała tę krew na swoje sumienie i przygotowywała się do wojny z narodem, wzywając na pomoc opłaconych przez króla francuskiego łupieżców. Co więcej! wiedziała królowa, że z Francuzem na tronie polskim niełatwo pogodzi się Austrija. Ale i to jej nie przestraszało. Jakby wszystkie klęski na kraj nieszczęsny chciała sprowadzić, snuła jeszcze plan wojny z cesarzem.

Dla zapewnienia zamysłom swoim widoków trzeba było mieć w samej Polsce oddanych sobie stronników. Wymagało to ogromnych środków, a tych nie posiadała królowa. Więc zwróciła się o pomoc do Ludwika XIV, który szczerą ręką rozsypywał złoto, gdy chodziło o osiągnięcie celów politycznych. Ta fala złota popłynęła teraz do Polski i przez ręce królowej rozprysła się mnóstwem strumieni. Przekupstwa Ludwika Marji plamiły ręce, brukały sumienia, rozżęgały chciwość, ale znakomicie przyczyniały się do utworzenia potężnego stronnictwa. Tych przekupstw, zgodnie z panującymi wówczas w Europie pojęciami, nie uważano nawet za uchybienie. W różnych czasach za panowania Ludwika XIV byli jurgielnikami Francji król angielski, król szwedzki, elektor brandenburski, brali złoto francuskie dygnitarze państwowi niemal wszystkich krajów, dlaczegóżby nie mieli brać w Polsce?

Więc kanclerze, hetmani, biskupi, wojewodowie ulegli demoralizacji i nie wstydzieli się pobierania pieniędzy, rzucanych hojnie przez ambasadora francuskiego i królową. Nawet Stefan Czarniecki, mąż prawy i czysty, przyjął z tego źródła 30.000 liwrów na załagodzenie pretensji podległego mu wojska i 1.200 liwrów dla siebie osobiście. Nic dziwnego, że i So-

bieski nie powstydził się przyjęcia 4.800 liwrów w roku 1661-ym, 8.000 w roku następnym i sum jeszcze większych w latach późniejszych.

Dzięki hojności Ludwika XIV stronnictwo francuskie rosło i wpływy królowej zataczały coraz szersze kręgi.

Oddał się w służbę Ludwika Marji i Francji biskup Mikołaj Prazmowski, kanclerz wielki koronny, wkrótce potem prymas, człowiek ambitny, przewrotny, słynący z niemoralnego życia, intrygant wielkiej zuchwałości, dorobkiewicz, pnący się zręcznie po złotych szczeblach kariery. Przyłączyli się do knowań królowej Krzysztof Pac, kanclerz wielki litewski, magnat pyszny, dumny, ożeniony z wychowanicą królowej, a pragnący wpływem swoim na Litwie dorównać Radziwiłłom, dalej Andrzej Morsztyn, referendarz, a wkrótce podskarbi koronny, giętki dworak, wytrawny dyplomata i wybitny poeta, obaj wielcy hetmani: koronny: Stanisław Rewera Potocki i litewski: Paweł Sapieha, prymas Leszczyński, podkanclerzy Jan Leszczyński, podskarbi Krasiński, panowie Potoccy, Jan Sapieha, Stanisław Jabłonowski i wielu innych dygnitarzy, ludzi wielkiego znaczenia, często uczciwych i z dobrą wiarą popierających plany królowej.

Przy jednaniu stronników nie mógł ująć uwagi Ludwika Marji chorąży koronny Jan Sobieski, jeden z największych w Rzeczypospolitej magnatów, dobrze nateczas widziany w wojsku, rycerz waleczny, śmiały, znany już ze swoich czynów wojennych, a wielką przyszłość mający przed sobą.

Sobieski był zrazu przeciwnikiem planów królowej, ale Ludwika Marja różnemi drogami chadzała

dla zjednania sobie potrzebnych jej ludzi, a do Sobieskiego znalazła, jak się okazało, drogę niezawodną.

Serce chorążego przeszła strzała Amora, a przedmiot miłości, Marja Kazimiera d'Arquien była pojętną i oddaną swej opiekunce wychowanicą.

Wojna szwedzka daleko uniosła Sobieskiego od dworu i pięknej Francuzki, która, jak wiadomo, od pierwszego wejrzenia tak piorunujące uczyniła na młodym rycerzu wrażenie, iż zaprzysiął sobie, że jest tą jedyną, z którą się ożeni. Lecz minęło lat kilka. Zawierucha wojenna wiele zmieniła i wiele przyniosła niespodzianek: Marja Kazimiera nie była już wolna. W swoim czasie i jej serce biło dla Sobieskiego, a może nawet nigdy bić nie przestawało, lecz młodziutka Francuzka, bardzo sprytna i wyrachowana, przejęta dworską intrygą i w intrydze tej przez swą możną protektorkę ćwiczona, nie powodowała się uczuciem. Silniej, niż głos serca, przemawiał w niej wzgląd na karierę. A po rękę jej zgłosił się Jan Zamoyski, wnuk sławnego hetmana i kanclerza, jeden z najbogatszych w Europie panów, człek hojny, a nawet rozrzutny, niezbyt bystrego rozumu, ale uczciwy, mężny, ofiarny, dobrze w czasie wojny ze Szwedami Polsce zasłużony, przez cały czas pomimo zabiegów Karola Gustawa na jedną chwilę w wierności swej dla prawego króla niezachwiany. Magnat o najpopularniejszym bodaj w Rzeczypospolitej nazwisku, był partją tak świetną nęcącą, że córka podupadłego markiza francuskiego nigdy nie mogła marzyć o lepszej. Ze swej strony Ludwika Marja, zawsze zabiegająca o ludzi możnych i wpływowych, nie miała najmniejszego do odmowy powodu. Więc oświadczyły wdzięcznie zostały przyjęte — i ukochana przez So-

bieskiego panna w marcu 1658 roku została panią Zamoyską, wojewodziną kijowską, a później sandomierską.

Osadzony na koszu Sobieski nie pogodził się z zawodem i nie przestał kochać się w wojewodzinie. Znał dobrze jej męża, swego towarzysza broni, a ich stosunki rodzinne sięgały jeszcze dziadów, związanych ze sobą węzłami przyjaźni. W odległości kilku mil od Zamościa, rezydencji wojewody, leżała piękna majątność Sobieskiego, Pielaskowice. Tę majątność często teraz odwiedzał, bo w ten sposób miał możliwość częstego bywania w domu Zamoyskich. Spotykał nadto damę swego serca na zamku królewskim w Warszawie, a korzystał z każdej okazji, aby się zbliżyć do wojewodziny. Tych okazji wynajdywał dużo, bo kochał się na zabój, kochał się ślepo, burzliwie, bez pamięci, do zupełnego warjactwa i zapomnienia o wszystkim na świecie. Pani Zamoyska, źle żyjąca z mężem, umiejętnie podsycala ten ogień miłosny i chętnie korzystała z mnóstwa drobnych usług pięknego rycerza. Z biegiem czasu zacieśniają się między chorążym koronnym a wojewodziną stosunki, stają się coraz bliższe i czulsze, a w r. 1661-ym dochodzi do tego, że zakochana para udaje się tajemnie do kościoła Karmelitów w Warszawie i tam przed ołtarzem poprzysięga sobie dożgonną miłość. Szczególna to była przysięga, bo wojewoda Zamoyski żył, a nawet żył wesoło i hucznie, zaś pani Zamoyska ani myślała o rozwodzie z mężem. Ale mniejsza o logikę zakochanych! Dość że Sobieski świata poza wojewodziną nie widział, a wojewodzina wielce interesowała się światem i jego intrygami. Mile widząc Sobieskiego, pamiętała zawsze o swoich interesach, o swej biednej,

podupadłej rodzinie, której los był w rękach Ludwika XIV, o życzeniach swej ukoronowanej protektorki, wreszcie o Francji, której, jako wierna poddana króla francuskiego, chciała się przysłużyć. Przedewszystkiem jednak liczyła się z wolą Ludwika Marji, nie tylko sprzyjającej romansowi, ale osłaniającej zakochaną parę przed złośliwym światem opiekuńczemi skrzydłami swej królewskiej protekcji. Przez panią Zamoyską dostał się Sobieski na służbę królowej i na falach intryg dworu królewskiego wznosił się coraz wyżej, aż czasem, wbrew swej woli i chęci, wyrósł na najwidoczniejszego w stronnictwie francuskim męża.

Dla człowieka, który jak Sobieski był szczerym żołnierzem, a nie miał ambicij politycznych i namiętności działacza, ciężka była to służba, zwłaszcza że nie zawsze mógł się godzić z postępowaniem Ludwika Marji. Więc nieraz szamotoł się i szarpał narzucone mu więzy. Ale wtedy pani wojewodzina przybiegała królowej z pomocą, a pod wpływem miłosnych czarów uciszały się burze buntownicze w duszy Sobieskiego. Omotany siecią intrygi politycznej, gdy chciał się z niej wyrwać, wpadał w sieci miłosne, a z tych dostawał się znowu pod władzę królowej.

Nadchodził właśnie czas, w którym Ludwika Marja miała przeciwstawić Sobieskiego najpoważniejszemu wrogowi swych planów.

Tym wrogiem był marszałek wielki koronny i hetman polny Jerzy Lubomirski.

Losy tych dwóch ludzi dziwnie miały się splatać, rozchodzić i krzyżować z sobą. Gdy Sobieski złączył się ze Szwedami i walczył z wojskami prawowitego króla, Lubomirski był jednym z tych nielicznych magnatów, którzy nie sprzeniewierzyli się Janowi Kazi-

mierzowi i najpoważniejsze oddali mu usługi. A gdy Sobieski porzucił Szwedów, to niejednokrotnie dostawał się pod komendę Lubomirskiego i w jego szeregach ratował swą reputację. Stosunki między obu magnatami były dobre i przyjazne. Zgodni w poglądach, hołdujący mądrości politycznej Andrzeja Maksymiljana Fredry, przyjaciela marszałka, tchnący jedną odrazą do Francji, pamiętni na braterstwo broni, a złączeni wspomnieniami dawniejszych stosunków pomiędzy swemi rodzinami, mieli wiele danych, by całe życie żyć ze sobą w przyjaźni.

Losy uczyniły ich wrogami.

Jerzy Lubomirski, okryty chwałą, jako biegły i nieustrudzony wojownik, niedawno jeszcze sławiony był na dworze królewskim i nazywany „ojcem ojczyzny”. Obdarzony zaufaniem króla i królowej, sprzyjał planom tej ostatniej i godził się za żywota króla jego-ności popierać obiór jego sukcesora, nie Polaka i nie żadnego z sąsiadów, ale katolika, pana bezżennego, mogącego zaślubić siostrzenicę królowej. Lecz dobre z dworem stosunki nie trwały długo. Zaufanie Ludwiki Marji w stosunku do sprzymierzeńców nigdy nie sięgało daleko, a Lubomirski umiał się cenić, znał swą wartość, mógł być sojusznikiem i współtwórcą zamierzonych planów, ale nie pionkiem i nie narzędziem w czyichkolwiek rękach, choćby to były ręce królewskie. Powszechnie pomawiano go o pychę i magnatem, całe piekło tej pychy noszącym w swej piersi, przedstawiają go najczęściej dziejopisowie. Niewątpliwie nie był od tej wady wolny, ale nie miał jej w wyższym stopniu, niż inni możni panowie. Tem się jednak od innych różnił, że chciał działać z całą świadomością, o wszystkim, do czego przykładał rękę,

wiedzieć, na wszystko wywierać wpływ i brać udział we wszystkich ważniejszych decyzjach. Był drażliwy, przewidujący, krytyczny. Królową przejrzał, więc nie mógł jej darzyć bezwzględny zaufaniem. A że nieufność rodzi nieufność, więc i królowa niezbyt mu do wierzała. Tymczasem Lubomirski chciał grać w otwarte karty. Gdy się przekonał, że na grę taką liczyć nie może, zaczął się z niej wycofywać, aby zaś dać dowód, jaką siłę przedstawia, pokazał królowej swoje pazury.

Sejm 1661 roku miał rozstrzygnąć, czy plany królowej dadzą się urzeczywistnić bez użycia wewnątrz kraju sił obcych, czy też następcę Jana Kazimierza przemocą wypadnie narzucić narodowi.

Ołóż w marcu 1661 roku na dwa miesiące przed zebraniem się sejmu walnego, marszałek zjechał na sejmik do Proszowic i tam skłonił szlachtę do ułożenia na sejm walny instrukcji, wymierzonej wyraźnie przeciw Ludwice. Instrukcja ta, acz warowała na przyszłość prawa niewybierania następcy tronu za życia panującego króla, pozwalała tym razem uczynić wyjątek, pod różnemi wszakże warunkami, z których jeden zastrzegał, że jejmość królowa nie może się do tej sprawy wtrącać.

Instrukcja ta nie paliła mostów za Lubomirskim i pozwalała jeszcze Ludwice Marji porozumieć się z marszałkiem, ale królowa podjęła rzuconą jej rękawicę i nie czyniła poważniejszych wysiłków, by zjednać sobie urażonego magnata.

Sejm majowy 1661 r. miał zdecydować, kto odniesie zwycięstwo: marszałek, czy królowa?

Stronnictwo francuskie, rozporządzając znacznymi środkami, po całym kraju rozwinęło ogromną propagandę, a sam król zjednywał na bankietach szlachtę.

Świetny, bardzo liczny sejm, rozpoczęty wjazdem triumfalnym zwycięskich wodzów w ostatniej wojnie moskiewskiej: Czarnieckiego, Lubomirskiego i Sapiehy, w naprężeniu oczekiwał na wniesienie sprawy. W całej Warszawie wielkie zapanowało ożywienie. Słuchali nowin i krzżeli się żywo posłowie państw zagranicznych, zwłaszcza zaś posłowie cesarza i elektora, zatrwożeni niesłychanie wzrostem wpływów francuskich w Rzeczypospolitej.

Wreszcie dnia 6 czerwca, śród skupionej uwagi całego sejmu, powstał król i nie przez kanclerza, jak to było we zwyczaju, ale osobiście głos zabrał, by nakłonić sejmujące stany do widoków królowej.

Uroczyście świadcząc się Bogiem, że nie powoduje nim żadna namiętność, ani też żaden wzgląd osobisty, upewniał Jan Kazimierz słuchaczów, że do obioru swego sukcesora mieszać się nie będzie i zgodzi się na tego, kogo „lud obierający” jednomyślnie na tron polski powoła.

Szlachta ciekawie nadstawiała uszu.

Król mówił dalej, mówił z wielkiem wzruszeniem, ale w miarę tego, jak rozwijał swe myśli, śród audytorjum rosły wątpliwości. Oto po solennem zaręczeniu, że zgodzi się na każdego wybranego przez naród następcę, zastrzegł się, że ma to być król-katolik z dawnego panującego rodu, że nie może być wasalem sąsiednich monarchów, ani księciem świeżej kreacji, ani też osobą, mogącą wywołać wojnę Rzeczypospolitej z Turcją, ani też pochodzić z domu panującego, który z Polską prowadził wojnę.

W ten sposób ów sukcesor Jana Kazimierza nie mógł być Polakiem, Szwedem, Moskałem, Anglikiem, nie mógł pochodzić z domu cesarskiego, bo zastrze-



*Królowa Ludwika Marja, według współczesnego portretu w zbiorach
Ordynacji Krasieńskich w Warszawie.*

żenia króla tak były pomyślane, że każde z nich innego wykluczało kandydata, pozostawiając na placu jedynie kandydaturę francuską.

Dla szlachty, alarmowanej wieściami o zamachu na jej kardynalne prawa, dyplomacja króla odrazu stała się przejrzystą i wzbudziła niedowierzanie. Więc nawet wielce dramatyczne, a ze wszech miar zasługujące na uwagę zwroty mowy królewskiej nie uczyniły wrażenia. Janowi Kazimierzowi nie tajne były intencje sąsiadów i słabość wewnętrzna Polski. Więc spoglądając w przyszłość, straszny obraz odsłonił przed oczyma sejmu.

— „Obawiać się należy, — mówił, — iż bez takiej elekcji stanie się Rzeczpospolita łupem okolicznych narodów. Moskwa i Ruś odwołają się do ludów jednego z nimi języka i Litwę dla siebie przeznaczą. Granice Wielkopolski staną otworem dla Brandenburszczyka, a przypuszczać należy, że o całe Prusy certować zechce, czy to przez ugodę ze Szwedami, czy przez wojnę na własnym teatrze. Wreszcie dom austriacki, spoglądający łakomie na Kraków, nie dopuści dogodnej dla siebie sposobności i przy powszechnem rozrywaniu państwa nie wstrzyma się od zaboru!..”

I ta straszliwa przepowiednia nie trafiła do przekonania szlachcie.

— „Wszyscy, — powiada historyk i poeta tych czasów Wespazjan Kochowski, — zadumieni słuchali, potem ciekawość wielu opanowała, dlaczego to król, będąc jeszcze rzeźwy i zdrowy”, po przebytych tylu niebezpieczeństwach i poskromieniu wszystkich nieprzyjaciół, chce koniecznie sukcesora, który może

rozdwoić stany, bo większość bardziej „wschodzące słońce adorować zechce, niżeli zachodzące”.

I zaraz trysnęły podejrzenia, że za tem wszystkim kryją się jakieś tajne zamysły, wobec których trzeba się mieć na baczności, aby tak „sprawy nie pokawić, jako Węgrowie i Czechowie, co wolną zgubiwszy elekcję”, i byt niepodległy wraz z nią utracili.

To też gdy zabrał głos przyjaciel Lubomirskiego, Andrzej Maksymiljan Fredro, głośny w owym czasie obrońca złotej wolności, ideolog anarchji polskiej, uczciwy fanatyk obłąkańczej doktryny szlacheckiej, i zaczął wykazywać niezgodność projektu króla z prawami Rzeczypospolitej, sprawa została przesądzona i projekt, kosztujący wiele złota, pracy, trudu i zabiegów, nie otrzymał zgody sejmujących stanów.

Lubomirski nie zabierał głosu, ale Ludwika Marja jego wpływom przypisywała opozycję sejmu. Była zagniewana, obrażona, ale nie myślała o złożeniu broni. Przedewszystkiem dla ratowania w oczach Ludwika XIV swej reputacji, skłoniła grono dostojników państwowych do zamanifestowania swych uczuć względem kandydatury francuskiej pomimo stanowiska sejmu. W tym celu ułożone zostało do ks. Kondeusza pismo, w którym podpisani oświadczyli mu swoją wierność i przyrzekli nadal służyć sprawie, „od której zależy ocalenie i zachowanie kraju”. Ten poniżający Polskę dokument podpisali Andrzej i Jakób Potoccy, Jan Sapieha, Stanisław Jabłonowski i Jan Sobieski. List podobnej treści, acz ostrożniejszy w wyrażeniach, wysłali prymas Leszczyński, kanclerz wielki koronny Mikołaj Prażmowski, hetman wielki koronny Stanisław Rewera Potocki i wojewoda kijowski Stefan Czarniecki.

Ten drugi list dano do podpisu Lubomirskiemu, ale marszałek stanowczo żądaniu odmówił.

Od tej pory królowa zaczęła traktować Lubomirskiego, jako przeniwiercę i zdrajcę. Zapłonęła do niego nienawiścią, która, potęgując się w miarę niepowodzeń, pozbawiła rozsądku nie znającą miary intrygantkę i przemieniła się w dyszące zemstą zaślepienie. W tem zaślepieniu chciała Ludwika Marja wyzyskać utworzone z powodu niewypłacenia żołdu konfederacje wojskowe, skierować je zapomocą przekupstwa przeciw Lubomirskiemu i nagiąć do swych planów. Zaczęła więc przez swych stronników wielką w wojsku agitację. Ale rycerstwo miało w poważaniu hetmana polnego, a nie ufało dworowi. A że Lubomirski nie zasypiał sprawy, więc wszystkie wysiłki królowej zwróciły się przeciw niej samej.

Na sejmie ekstraordynaryjnym, zwołanym przez króla na luty 1662 roku, sprawa elekcji wywołała już burzę, a konsystujące w Piasecznie chorągwie koronne ruszyły ku Warszawie z rozwiniętymi sztandarami i okrzykiem:

— Precz z sukcesją! Boże, zachowaj Polskę!..

I tę nową klęskę przypisywano na dworze królewskim Lubomirskiemu. Ludwika Marja, uniesiona gniewem, postanowiła chwycić się środków ostatecznych, skompromitować nienawistnego jej marszałka, zgubić go w opinji, oddać pod sąd sejmowy, jako zbrodniarza stanu i uzyskaniem wyroku śmierci na swego wroga zakończyć z nim walkę.

W tym czasie właśnie Sobieski, kierowany przez panią Zamoyską, zbliżał się coraz bardziej do dworu i coraz głębiej pogrążał się w odmęcie intrygi. Gdy królestwo zjechało na Ruś, podejmował ich we wspa-

niałej rezydencji w Żółkwi i w Jaworowie, pomagał w agitacji, coraz jawniej występował, jako stronnik dworu królewskiego.

Rozpoczęta w r. 1663-im wojna z Moskwą i Kozakami oderwała chorążego na pewien czas od polityki. W tej wojnie, dowodząc znaczniejszemi siłami, odznaczył się Sobieski wielce umiejętnem kierownictwem, ale z niewiadomych powodów porzucił plac boju przed ukończeniem wojny i wrócił do działania na widowni politycznej.

Królowa przygotowywała się właśnie do zadania śmiertelnego ciosu swemu wrogowi.

Nieugięty marszałek na skierowaną przeciw sobie agitację odpowiadał agitacją przeciw planom sukcesyjnym, a postępował sobie hardo i buńczucznie. Im bardziej go dwór potępiał, tem śmieiej przeciwstawiał się machinacjom króla i królowej, tem większą zyskiwał popularność wśród mas szlacheckich i wojska. Zostawszy ze zwolennika Francji jej przeciwnikiem, zaczął porozumiewać się na własną rękę z cesarzem i elektorem, a gdy chciano oburzyć na niego skonfederowane wojsko, on w tem wojsku starał się utwierdzić swe wpływy. Janowi Kazimierzowi, gdy ten na radzie senatu wypowiedział się za wezwaniem Kozaków i Tatarów dla poskromienia trwającego w buncie wojska, marszałek wręcz oświadczył, że godzenie Polaków orężem pogan przyniosłoby ujmę ojczyźnie i byłoby „okrutnem lekarstwem”. Wiadomość o tem przedostała się do szeregów i zjednała Lubomirskiemu takie uznanie, że skonfederowane rycerstwo okrzyknęło go swoim protektorem. Oburzył się król i, widząc w hetmanie polskiego Kromwella, wołał z gniewem, że „psy się krwi tych protektorów napiją”.

Groźbę króla poparł niebawem pozew sądowy, odczytany publicznie na sejmiku w Proszowicach, a oskarżający marszałka o zbrodnię stanu. Zarzucono mu, że dążył do obalenia tronu, siał do króla nienawiść, podniecał bunty w wojsku, zaburzył sejm 1662 roku, przeszkodził przyjsciu Tatarów i Kozaków na obronę Jana Kazimierza, słowem, popełnił wiele „zbrodniczych postępków”, za które groziła najwyższa kara kryminalna.

Postępowaniu Lubomirskiego dużo można było zarzucić, ale tyle bez porównania większych i jawniejszych zbrodni uchodziło wielkim panom w Rzeczypospolitej bezkarnie, że pociąganie marszałka do odpowiedzialności przed sąd sejmowy za zbrodnię stanu było krzyczącym dowodem stronnictwa dworu.

Więc do króla zaczęły się udawać liczne deputacje z prośbą, aby sprawa Lubomirskiego została zamieszana.

Ale król był zawzięty, a królowa nie cofała się w połowie drogi. Czyniono wszystko, aby zgubić Lubomirskiego. Zbierano dowody jego winy, starano się o świadków, a szczególnie krzątał się i pomagał w tem wszystkim królestwu osławiony zdrajca, Hieronim Radziejowski.

Na sejmie listopadowym 1664 roku udało się królowi przeforsować wybór marszałka poselskiego w osobie Jana Tracha Gnińskiego, który z pogwałceniem praw zarządził wybór deputatów do sądu sejmowego. Sejm zerwał poseł bractawski Żaboklicki, ale sąd pomimo to zebrał się pod prezydencją króla i znowu z pogwałceniem prawa przystąpił do rozpatrzenia sprawy Lubomirskiego, który na sąd się nie stawiał. Dzięki temu, że większość sądu składała się ze stronników

dworu, sprawę ukończono w ciągu trzech dni i zaocznie wydano wyrok, skazujący popularnego w kraju magnata na infamję, karę śmierci i utratę majątków.

Sobieski, posłując na ten sejm z ziem lwowskiej, przemyskiej i sanockiej, związany był instrukcją, biorącą w obronę marszałka. Jakoż wstawiał się za Lubomirskim przez swe osobiste na dworze wpływy, a gdy wyrok zapadł, uznał, jak cała opinja kraju, że wyrok jest niesłuszny. Ludwika Marja z przestachem zauważyła tę zmianę w swoim stronniku. Aby go ująć, jeszcze przed ogłoszeniem wyroku, proponowała mu jedno z piastowanych przez Lubomirskiego dostojństw: marszałkostwo lub buławę polną. Sobieski oparł się temu jawnemu szantażowi i, mimo gniewów, prósb, a nawet łez królowej, odrzucił ofiarowywane mu dary. Wtedy Ludwika Marja sprowadziła do Warszawy wojewodzinę Zamoyską i za jej pośrednictwem przypuściła nowy szturm do Sobieskiego.

Pod wpływem pięknej Marysieńki rozkochany rycerz chwiał się, miękł, jak wosk, aż wkońcu „uczynił sobie gwałt dosyć wielki”, obiecał zastanowić się nad propozycją i dać po pewnym czasie odpowiedź.

Wtedy buławą polną obdarzył król Stefana Czarneckiego. Ale znakomity wojownik umarł wkrótce po tem wyróżnieniu — i oba urzędy znowu wakowały. Pani Zamoyska listami nagliła Sobieskiego, aby się decydował, lecz tym razem długo nie mogła przełamać jego oporu.

— „Mnie, że tak Ich M. swemi szacują mowami, — pisał Sobieski do wojewodziny, dnia 27 lutego z Żółkwi, — niesłusznie czynią, bo moja, chwała Bogu, doświadczona już rezolucja. Niech mnie, dla Boga, Ich Mość zaniechają; wszak w niwczem Ich M-om

nie przeszkadzam, a i z Polski z drogą duszą gotówem Ichmościom ustąpić i tak tylko prostym być szlachcicem...”

Nie przestawano przecież tortuować namowami buntującego się sprzymierzeńca, a wśród tych namów zaszedł wypadek, który zaważył nie tylko na życiu Sobieskiego, ale i na dziejach Polski. Dnia 7 kwietnia 1665 roku zmarł Jan Zamoyski, wojewoda sandomierski — i owdowiała wojewodzina mogła oddać swą rękę Sobieskiemu.

Za taką cenę rozkochany chorąży wszystko gotów był uczynić.

Jakoż dnia 18 maja przyjął łaskę marszałkowską, a 6 lipca tegoż 1665-go roku nuncjusz papieski Pignatelli w kaplicy zamkowej związał go węzłem małżeńskim z ubóstwianą Marją Kazimierą.

Teraz królowa mogła być pewna, że świeżo kreowany marszałek wielki koronny nie wypowie jej służby.

Zaczęła się wojna z Lubomirskim, który uszedłszy po wyroku na Śląsk, wrócił do kraju z siłą zbrojną i szablą postanowił krzywd swoich dochodzić. Niestety, uczynił jeszcze coś gorszego, bo zwrócił się o pomoc do cesarza, elektora brandenburskiego i cara. Temu ostatniemu ofiarowywał na służbę swego syna i prosił o przyznanie synowi dóbr na Ukrainie, aby mógł strzec granic moskiewskich przed napadami Tatarów i Polaków. Zasłużony obywatel dopuszczał się już nikczemnej zdrady i stawał na jednym poziomie ze swą prześladowczynią: królową Ludwiką Marją.

O tych krokach Lubomirskiego nie wiedział nic szeroki ogół szlachecki, stojący ławą za prześladowaną przez dwór królewski ofiarą, a widzący w niej tyl-

ko obrońcę pokrzywdzonego rycerstwa i rzecznika praw szlachty oraz jej złotej wolności.

Nowy marszałek ściągnął na siebie „inwidję” całej Polski.

Jakoż w wojnie domowej, którą trudno było prowadzić królowi, bo wojsko królewskie sprzyjało buntownikom, Sobieski czuł się najniezszczęśliwszym człowiekiem. Nie umiał on przejąć się nienawiścią do Lubomirskiego i pragnął zgody, mimo że Lubomirski w okropny sposób spustoszył mu dobra żółkiewskie i jako swego najwidoczniejszego wroga szczerze nienawidził. Ale próby ugody nie dawały rezultatów i wojna domowa nie ustawała. W szczególny sposób obie strony prowadziły tę wojnę. Zdawało się, iż czyniono wszystko, aby nie dopuścić do starcia.

Wesoły i szczery pan Pasek tak o tej wojnie pisał:

— „Wyprowadził król wojsko w pole dosyć dobre i porządne, i ja też musiałem być, choć mi się nie chciało, regalistą, bo chorągiew w tem tu była wojsku. Ale po staremu chociaż tu byli, tośmy tamtej stronie bardziej wygranej życzyli, widząc krzywdę Lubomirskiego, a w jego osobie całego stanu rycerskiego. Bo ta wszystka wywarła wściekłość o nic inszego nie była, tylko, żeby jako przeważny ręką i radą, nie przeszkadzał elekcji Kondeusza, którego królowa Ludwika wszelkimi sposobami na królestwo prowadziła... To nie wojna była, ale właśnie goniony taniec, bośmy ustawicznie z miejsca na miejsce gonili, nie goniąc, a oni też przed nami uciekali, nie uciekając...”

Tak usposobionych żołnierzy wiódł król przeciw Lubomirskiemu. Przy ciągłych marszach i kontrmarszach wojsk obu dopiero we wrześniu 1665 roku

przyszło do spotkania pod Częstochową. W krwawej bitwie wojska królewskie straciły 1.500 ludzi. Pomimo tego zwycięstwa Lubomirski cofnął się, wziętych do niewoli więźniów uraczył ucztą, i przysięgając im ze łzami, że nie chciał rozlewu krwi, lecz musiał się bronić, wszystkich jeńców wypuścił na wolność.

Sobieski nie brał w tej bitwie udziału, ale wyrzekł ogromnie na ten „goniony taniec”, i na całą wojnę, do której, jak zresztą rycerstwo stron obu, żywił w sercu odrazę. Lecz nawiązywane o zgodę układy rwały się nieustannie — i wojna bez działań wojennych trwała w dalszym ciągu.

W takich okolicznościach w marcu 1666 r. zebrał się sejm.

Sobieski tak był zniechęcony wszystkim, że na sejm jechać nie chciał, choć w Warszawie bawiła Marja Kazimiera. Rozumiał, że stracił dobrą u szlachty opinię i że łatwo może go spotkać „konfuzja”. Ale gdy Marysieńka napisała, że tęskni do niego, natychmiast przysły wszystkie refleksje i czuły małżonek pędem się puścił na takie zakłęcie „ukochanej jego serca i duszy pociechy”.

W Warszawie istotnie czekały go różne przykrości, ale największą niedolą Sobieskiego było słuchanie rad i życzeń żony, uleganie jej z jakimś ślepem, wręcz ubliżającym posłuszeństwem. Ciężyla Sobieskiemu godność marszałkowska i radby ją zwrócił Lubomirskiemu, byle tylko przyczynić się do zażegnania rokoszu. Tymczasem skutkiem nalegań i prośb Marysieńki nie tylko nie złożył swej laski, ale w dniu 2 maja (1666 r.) przyjął drugie zkolei po Lubomirskim dostojęństwo: buławę polną.

Spodziewano się, że sejm zakończy wojnę domową. Lecz nieublagane stanowisko królowej i upór króla, który godził się na amnestję dla Lubomirskiego, ale nie chciał jej udzielić wszystkim jego stronnikom, rozbił wróżące pomyślny rezultat układy. A Sobieski, przyjmując buławę hetmańską, przyczynił się do pogłębienia uraz Lubomirskiego i trzymającej jego stronę szlachty.

Przerwana wojna zaczęła się na nowo.

Dnia 13 lipca 1666 roku pod Małtami w okolicach Kruszwicy przyszło do bitwy, która skończyła się najokropniejszą dla Jana Kazimierza klęską. Blisko 4.000 trupów zaległo plac boju, zginęło 187 oficerów, padli co do nogi sławni weterani regimentu Czarneckiego, a 73 sztandary i 7 armat dostało się zwycięzcom.

Sobieski znajdował się podczas tej bitwy w ogromnym niebezpieczeństwie i trafem tylko ocalał. Był jak wszyscy przerażony ogromem strat, a choć wobec króla i hetmana wielkiego nie sprawował dowództwa i nie on, lecz Jan Kazimierz nieostrożnem zarządzeniem bitwę spowodował, to przecież przeciw niemu w całym wojsku podniosły się szemrania i jego niesłusznie za sprawcę katastrofy uważało porażone rycerstwo.

Nieszczęśliwy hetman polny trapił się i gorzko na tę niesprawiedliwość wyrzekał w listach do swej ukochanej żony. Ale nie znajdował u niej współczucia. Marja Kazimiera, która spodziewała się, że mąż jej wróci z wyprawy opromieniony sławą, była zawiedziona i ze swej strony zasypywała Sobieskiego listami, pełnemi złośliwych wymówek. Więc wśród marszów i kłopotów, a w trosce o Warszawę, której za-

częli zagrażać rokoszanie, pędził Sobieski dni, zaprawione smulkiem i goryczą. Krzywdzony, szarpany, znikąd nie znajdował pociechy. Na szczęście dla niego i kraju, krwawa kąpiel pod Mławami w obu obozach zatrzęsa sumieniami szlachty, a wyczerpanie finansowe króla i Lubomirskiego, odmowa dalszego wspierania ich zasiłkami z jednej strony przez Francję, z drugiej przez cesarza, położyły nareszcie koniec bratobójczej wojnie.

Dnia 31 lipca 1666 roku w Łęgonicach nad Pilicą doszło do ugody. Jan Kazimierz, dopiero teraz przełamany w swoim uporze, zgodził się na powszechną amnestję i złożył deklarację, że za życia swego nigdy nikogo nie będzie do tronu polskiego zalecał, gdyby zaś uczynił to kto inny, to wystąpi przeciw niemu, jako przeciw wrogowi ojczyzny. Lubomirski, nie odzyskawszy straconych urzędów, zobowiązał się rozpuścić swe wojska, uroczyście przeprosić króla, a następnie udać się do wskazanego mu miejsca i przebywać tam dopóty, dopóki nie uspokoją się podniecone wojną domową umysły.

Dnia 8 sierpnia w Jaroszynie na lewym brzegu Wisły odbyła się ceremonia przeprosin. Lubomirski, wszedłszy do królewskiego namiotu, ujrzał Jana Kazimierza w otoczeniu senatorów. Tuż przy królu stał Jan Sobieski z laską marszałkowską, wydartą dawnemu swemu wodzowi. Lubomirski zbliżył się do króla i rozpoczął przemowę. Wzywając Boga na świadka, że był zawsze wierny królowi, a „praw i ustaw kraju stróżem poprzysiężonym”, oświadczył, że i teraz acz „obnażony z honorów i w nienawistną przybrany sukienkę”, staje jako wierny poddany jego królewskiej

mości. To rzekłszy, upadł do nóg królowi i gorzko zapłakał.

Plakał i król, a wzruszenie udzieliło się wszystkim.

Po ucałowaniu ręki królewskiej, Lubomirski witął uściskiem senatorów. Zbliżywszy się z kolei do Sobieskiego, ujął go w milczeniu za rękę i położył tę rękę na swojej głowie. Pozbawiony buławy wódz stawał przed swoim dawnym podkomendnym i tym dziwnym niemym wyrzutem odwoływał się do sumienia rywala i żalił się na doznaną krzywdę.

Obaj nie przemówili słowa.

Tak się skończyła wszczęła przez intrygi królowej zawierucha.

Rezultaty jej były fatalne. Prócz strat materialnych i doszczętnego wyniszczenia wielkich przestrzeni zrujnowanego przez niedawne burze kraju, stała się ta wojna domowa klęską moralną. Obniżyła poziom życia publicznego, zatrąła dusze polskie jadem przekupstwa, pogłębiła anarchję i sponiewierawszy piastowaną przez króla władzę, zmusiła go do uroczystego wyrzeczenia się projektu elekcji, a więc zadała śmiertelny cios ambitnym planom królowej.

Smutną rolę odegrał Sobieski w tej wojnie. Współdziałając z ludźmi przedajnymi, a nie mającymi skrupułów, nie umiał zerwać więzów, któremi go spętano. Był lepszy i uczciwszy, niż najbliżsi stronnicy Ludwika Marji. Ale ile razy ujawnił tęższy charakter i zdecydowaną wolę, tyle razy wyzyskiwano jego uczucie i przez miłość prowadzono go w błoto. A Sobieski pozwalał się prowadzić. Odpokutował to srodze. Stracił reputację, o którą zawsze dbał wielce, a niebawem na samym sobie miał doświadczyć, do czego jest zdolna Ludwika Marja.

Pomimo poniesionej klęski, pomimo potoków krwi, które zbryzgały sumienie królowej, nie wyrzekła się ona swych planów i, nie bacząc na uroczystą deklarację króla, że za wroga ojczyzny uważać będzie każdego, kto za jego życia wznowi sprawę sukcesji, w dalszym ciągu wraz z królem nieustannie pracowała nad obiorem jego „sukcesora”. W porozumieniu z Ludwikiem XIV doprowadziła do tego, że ksiązę Kondeusz na czele wojsk francuskich miał wkroczyć do Polski i przez krew polską zdobywać tron polski.

Wiadomości o tych planach i zamierzonej wyprawie przedostawały się do szerokich mas szlacheckich, budziły w nich gniew, czyniły w Polsce nienawistnem samo imię Francji, rozżęgały namiętności polityczne, odrywały uwagę ogółu od innych zadań państwowych, od niebezpieczeństw, od grożącej Polsce wojny i pochłaniając wszystkie myśli, w całym kraju rozplomieśniały strasliwą ku dworowi królewskiemu nienawiść.

Lecz królowa nie zrażała się niczem i zawzięcie przygotowywała się do nowej batalji.

Sobieski nie był jej więcej potrzebny. Nie pobił Lubomirskiego, a skompromitował się w opinji. Cóż jej było po takim sojuszniku? Ludwika Marja upatrzyła sobie innego sprzymierzeńca. Cieszył się on największą wśród szlachty popularnością, a dowiódł, że umie się bronić i zwyciężać. Tym nowym, wymarzonym sprzymierzeńcem był... Jerzy Lubomirski. Sądziła królowa, że zjedna go sobie, zwróciwszy mu wydarte dostojęństwa. Więc postanowiła odebrać Sobieskiemu łaskę marszałkowską i buławę polną. Rozumiała przecież, iż nie może drugiego magnata doprowadzać do ostateczności. Ale i na to znalazła sposób. Marja Kazimiera tęskniła do Francji. Olśniona

blaskami najświetniejszego w Europie dworu, marzyła o osiedleniu się w Paryżu. Królowa postanowiła spełnić teraz marzenia swej wychowawicy i wyprawić ją z Polski, oczywiście w towarzystwie męża. Wszystkie koszty tej imprezy chętnie godził się ponieść Ludwik XIV-y.

Sobieski wpadł w nowe sidła. Nękany przez żonę, a wielce cierpiący nad utratą swej reputacji w kraju, nęcony perspektywą świetnej kariery we Francji, chwiał się, łamał i chwilami był gotów zgodzić się na wszystko.

W październiku 1666 roku Ludwik XIV przysłał mu wielce uprzejmy list, w którym pisał, iż wie, że p. Sobieski nie uważałby za zgodne ze swoim honorem pozostawać w Polsce po pozbawieniu go piastowanych urzędów i że chciałby przenieść się do Francji, wobec czego król na dowód swej wielkiej wdzięczności ofiarowywał mu godność marszałka Francji, dziedziczny tytuł księcia-para i wstęę orderu św. Ducha.

Niewiele brakowało, by powolny swej Marysieńce Sobieski opuścił na zawsze ojczyznę. Lecz losy zrzędziły inaczej.

Dnia 31 stycznia 1667 roku zmarł Jerzy Lubomirski, a w maju tegoż roku ciężko zachorowała królowa. Pomimo zbliżającej się śmierci do ostatniej chwili była czynna, interesowała się wszystkim, uczęszczała na posiedzenia sejmu, udzielała audjencji i kaptowała sobie stronników. Była nawet najlepszej myśli, bo Ludwik XIV zapowiedział wysłanie do Polski dziesięciotysięcznego korpusu.

Śród marzeń elekcyjnych dnia 10 maja 1667 roku zabrała ją śmierć.

Intryga, wszczęta przez Ludwikę Marję, przeżyła ją o długie lata. Ale zgon królowej pokrzyżował wiele planów, a Sobieskiego uratował od ekspatrjacji.

Zbliżał się czas, w którym hetman polny, dotychczas bierne narzędzie w rękach dwóch intrygantek, miał wykazać wielką samodzielność i przekonać naród, że buława hetmańska w godne dostała się ręce. Ogromne niebezpieczeństwa zagroziły rozdarłej waśnią wewnętrzną i osłabionej nierządem Rzeczypospolitej.

Śród tych niebezpieczeństw po raz pierwszy rozbłysnąć miał wspaniałym blaskiem wojenny genjusz Sobieskiego.

III. ZWYCIĘSTWO PODHAJECKIE.



awierucha domowa całkowicie wyczerpywała siły i energję narodu. Śród krzyków i hałasów walczących ze sobą stronnictw zapomniano o nieukończonej wojnie z Moskwą i przestano zajmować się Ukrainą, którą wódz kozacki, Doroszeńko, oddawał pod opiekę Turcji. Tatarzy grasowali po ziemiach Podola, Wołynia i Rusi, rabowali ludność, wprowadzali jassy, a nieliczne załogi polskie, pozbawione wsparcia i opieki, nie mogły sprostać swemu zadaniu. Nadomiar nieszczęścia, z Konstantynopola dochodziły coraz bardziej alarmujące wieści o przygotowaniach Turcji do wielkiej na Ukrainę wyprawy.

Pod wpływem niebezpieczeństwa tureckiego, zagrażającego tym razem w jednakowym stopniu tak Rzeczypospolitej, jak Moskwie, oba państwa porozumiały się z sobą i w dniu 31 stycznia 1667 roku zawarły w Andruszowie rozejm na lat 13¹/₂. Na mocy tego rozejmu car Aleksy zagarniał Smoleńsk, Siewierz i Zadnieprze, otrzymywał na dwa lata Kijów i dopuszczony został do zwierzchnictwa nad Siczą Zaporoską. Przy Rzeczypospolitej zostawały Inflanty, Połock i Witebsk.

W ten sposób po stu latach krwawych walk z carami moskiewskimi, po wielu sławnych a głośnych w Europie zwycięstwach, osłabiona wojną domową Polska cofała się przed natarczywością polityki carskiej i pozwalała Moskwie zająć stanowisko górującego mocarstwa na północy Europy.

Traktat polsko-moskiewski, wymierzony wyraźnie przeciw Turcji, wywołał ogromne oburzenie w Konstantynopolu: do Warszawy wysłany został czasz z wypowiedzeniem wojny. Wobec potęgi tureckiej ta nowa wojna groziła katastrofą niezdolnej już do stawiania oporu Rzeczypospolitej. Pod wrażeniem strasznej wieści król zwołał radę senatu dla obmyślenia środków ratunku. Uchwalono wysłać wielkiego posła do Porty, by ułagodzić gniew Turcji. Drugie poselstwo wyprawiono do chana. Ale nie przedsięwzięto żadnych środków, by wzmocnić siłę zbrojną i przygotować się do odparcia najazdu.

Do Konstantynopola wysłany został ku oburzeniu opinii Hieronim Radziejowski. Krzyczano na ten wybór, powiadając, że osławiony zdrajca nie budzi zaufania, że jak w swoim czasie sprowadził na Polskę Szwedów, tak teraz ściągnie nawałę turecką. Podejrzewano go o najniecniejsze zamiary. I podejrzewania w pewnym stopniu nie były pozbawione słuszności. Radziejowski, pobierając stałą pensję od rządu francuskiego, miał, stosownie do życzeń Francji, czynić wszystko, by zapobiec wojnie, ale w relacjach swych przedstawiać niebezpieczeństwo tureckie w większych rozmiarach i w sposób najbardziej stanowczy wpływać swemi doniesieniami na sfery miarodajne w Warszawie, by kołatały o pomoc do Francji. A z wysłaniem posiłków pod wodzą Kondusza dyplomacja

francuska łączyła sprawę elekcji, która pomimo śmierci Ludwiki Marji, nie przestawała żyć w Warszawie i w Paryżu. Ale dyplomacja Porty zmusiła wielkiego posła do zaniechania wszelkich praktyk i zajęcia się wyłącznie sprawą obrony interesów polskich.

Turcja, z którą przez wiele lat mierzyć się miał Sobieski, po okresie upadku i niemocy, wracała do dawnej potęgi, czyniącej ją postrachem świata. Sułtanem był podówczas Mahomet IV, władca, rządzący grozą i wyrokami śmierci. Przebywając rzadko w Konstantynopolu z obawy spisków i buntów, wędrował on po całym półwyspie Bałkańskim i trudnił się łowami oraz systematycznym mordowaniem swoich poddanych. Krwiożerczy padyszach otaczał się niesłychanym przepychem i blaskiem, a tak rozmiłował się w okrucieństwach, że przed namiotem jego stałe sęczył las włóczni z zatkniętymi na nich głowami. W ciągu czterdziestu lat panowania Mahometa IV zgładzono na jego rozkaz setki tysięcy ludzi, ale też całe państwo żyło pod grozą jego imienia i drżało na samą myśl o gniewie strasznego padyszacha. Dwóch z kolei wielkich wezyrów, ludzi wybitnych i niepospolitych, sprawowało właściwe rządy i przyczyniło się znakomicie do wzmożenia nadwątlonych w ostatniem pięćdziesięcioleciu sił Turcji. Najpierw Mahomet Kiupruli żelazną ręką powściągnął zdzierstwa i przedajność urzędników, zaprowadził na nowo najsurowszą dyscyplinę w wojsku, wzbogacił skarb i tak w armji, jak administracji utrwalił ślepe posłuszeństwo. Syn Mahometa, Achmet Kiupruli, znakomity wódz, bystry polityk, człek wielkiego rozumu, ale srogi, chciwy władzy i sławy, wyniesiony w młodym wieku na stanowisko wielkiego wezyra, udoskonalił dzieło ojca i rzą-

dami swemi podniósł jeszcze potęgę turecką. Dumny ze swego dzieła, uważał Turcję za mocarstwo, przed którym świat cały korzyć się powinien. Rozporządzając bogatym skarbem, sprawną, posłuszną administracją i doskonale zorganizowaną, a najliczniejszą w Europie armją, lekceważył państwa chrześcijańskie, traktował zgóry przysyłanych do Konstantynopola posłów i pozwalał sobie względem nich na uchybienia, jakich na żadnym dworze nie śmianoby się dopuścić. Nie liczył się nawet z potężną Francją. W roku 1666 poseł francuski, de la Haye, został przez niego w najokropniejszy sposób wyłajany. Gdy Francuz protestował, dworak Achmeta uderzył go krzesłem. Oburzony poseł porwał się do szpady, ale obecny przy tem czausz wyciął mu policzek, a straż wielkiego wezyra otoczyła go zaraz i gwałtem zawlokła do więzienia. Po pewnym czasie de la Haye został zwolniony. Kiupruli powitał go słowami:

— Co było, to minęło. Bądźmy teraz dobrymi przyjaciółmi.

I znieważony poseł wielkiego mocarstwa poprzestał na takim zadośćuczynieniu. Miał niewątpliwie w pamięci, że kiedy przed ośmiu laty również wtrącony został w Turcji do więzienia, a Francja za tę zniewagę swego przedstawiciela zażądała dymisji ówczesnego wielkiego wezyra, ojca Achmeta, to nie znalazł się nikt, ktoby miał odwagę z żądaniem takim stanąć przed obliczem sultana Mahometa.

Tak postępowała sobie Porta z przedstawicielami Francji i to potężnej Francji Ludwika XIV, który dla Turcji, jako wroga cesarza, żywił przyjazne uczucia. Jakoż kto w owych czasach posłował do Konstantynopola, a chciał zachować godność własną i godność

państwa, które reprezentował, ten musiał być przygotowany na wszystko, nie wyłączając skrytobójczego morderstwa.

Radziejowski świadom był ciężkiego zadania, którego się podjął, zwłaszcza, iż wiedział, że traktat andruszowski wywołał gniew Porty. Nie stracił przecież fantazji i, stanąwszy na miejscu, zachowywał się z wielką godnością. Gdy zażądano od niego złożenia rejestru przywiezionych podarunków, by w ten sposób panującemu zwyczajowi nadać charakter obowiązkowo składanego haraczu, śmiało temu żądaniu odmówił. Powiedział również, że ani sobie, ani nikomu z poselstwa nie pozwoli nagiąć przed sultanem głowy, jak to innym posłom czyniono; a gdy nalegano, by ta ceremonia została dokonana, zagroził, że ktoby ośmielił się tknąć karków polskich, nieprzyzwyczajonych do tego, by je nachylano, temu „on pierwszy w gębę da” i raczej umrze, niż ścierpi takie poniżenie.

Przed dywanem stawał z podniesioną głową, przemawiał hardo, wyniośle. Ale politycy tureccy mieli tak głębokie przekonanie o niezmierzonej wyższości Turcji nad Rzeczpospolitą, a tak byli pewni siebie, że z lekceważeniem słuchali buńczucznego posła. Na nic nie zdała się jego wymowa, duma, obrotność, a nawet potrząsanie szablą. Rozmowy skończyły się tem, że Radziejowski wysłany został do Adrjanopola i tam trzymany w nędznem pomieszczeniu pod strażą. Urażony poseł rozchorował się ciężko i umarł, nie dopełniwszy swej misji. Zastąpił go sekretarz poselstwa, Wysocki, ale i ten nic nie mógł wskórać. Turcy nieustannie powtarzali, że jeśli Polska chce przyjaźni Porty, to musi się zrzec Ukrainy i zerwać rozejm

z Moskwą. W przeciwnym razie grozili gniewem i pomstą padyszacha. Jednakże do wypowiedzenia wojny Rzeczypospolitej tym razem nie doszło: uporczywe boje na Krecie o Kandję nakazywały przezornym politykom tureckim na później odłożyć porachunki z Polską. Pomimo to niebezpieczeństwo nie zostało zażegnane.

Przeciw Polsce miał zawsze sultan w pogotowiu chana tatarskiego, a poselstwo na Krym wysłane powróciło z niczem. Tuż za wracającymi do kraju posłami pomknęły zagony tatarskie i wpadły na Podole i Wolyń.

Sobieski, na którym, jako na hetmanie polnym, ciążył obowiązek strzeżenia granic przed najezdami Tatarów, miał dokładne wiadomości z Krymu i wiedział o olbrzymich przygotowaniach chana do wielkiej na Polskę wyprawy. Ale siły do odparcia najazdu nie było w Rzeczypospolitej. Ostatni sejm, mając na uwadze względy oszczędnościowe, a jak wszystkie sejmy, żywiący niechęć do podatków, uchwalił stały komput wojska zmniejszyć do 12.500 ludzi i to pod rygorem, że żołnierze, ponad ten komplet zaciągnięni, pozbawieni będą wszelkiej za służbę zapłaty. Wobec tego ani król, ani hetmani nie mieli już prawa na koszt skarbu werbować żołnierzy ponad przepisaną liczbę. Tak więc w chwili niebezpieczeństwa Sobieski nie tylko nie mógł powiększyć, ale obowiązany był zmniejszać siłę zbrojną. Położenie było tem groźniejsze, że istniejące wojsko, nie otrzymawszy zapłaty, groziło buntem i zapowiadało, że przywiedzione do ostalecznej nędzy, nie wyruszy w pole i bić się nie będzie.

Sobieski, widząc nadchodzącą burzę, alarmował nieustannie króla i senatorów, ale nie znajdował posłuchu. W Warszawie nie wierzono w możliwość wojny z wszystkimi siłami chana i lekceważono sobie niebezpieczeństwo, powiadając, że je sobie p. hetman uroił.

Jan Kazimierz, zobojętniały po śmierci żony na sprawy państwowe, a myślący już tylko o abdykacji, o niczem nie chciał wiedzieć. Gdy ci, co licząc się z wojną, zwracali jego uwagę, że kraj pozbawiony jest wojska i że Tatarzy mogą się zbliżyć aż do Warszawy, zgorzkniały król odpowiadał obojętnie, że zdąży uciec, więc nic go to nie obchodzi. Za przykładem króla i senatorowie nie dawali wiary doniesieniom hetmana. A rozpolitykowana szlachta, którą Sobieski uniwersałami przestrzegał przed nadciągającą nawałą tatarską, przysyłała mu podziękowanie za przestrożę, ale prosiła, aby zważał nie tylko na niebezpieczeństwa, idące od Czarnego morza, lecz i od Baltyku, gdyż na jego wybrzeżach ma z wojskiem francuskim wylądować książę Kondesz i ruszyć na Warszawę, by zawładnąć tronem.

— Niechaj wreszcie, — wołała szlachta, — wpadną Tatarzy i zrabują nam mienie! Wolimy swoje postradać, a iść przeciw tamtemu!

Wobec takich nastrojów masy szlacheckiej i zupełnej obojętności króla, Sobieski, przystępując do organizowania sił obronnych, na każdym kroku spotykał piętrzące się trudności. A nadomiar utrapień musiał w tych ciężkich chwilach słuchać jeszcze nieustannych skarg, wyrzutów i żalów pięknej Marysieńki, która ciągle myślała o powrocie do Francji, a miała mnóstwo pretensyj do Ludwika XIV, że nie spełnia

jej życzeń i nie polepsza bytu jej zubożałej rodziny. W owym to czasie Marja Kazimiera sama postanowiła wyjechać do Paryża — i w czerwcu 1667 roku, ku największemu utrapieniu męża, puściła się w drogę.

Sobieski, opuszczony nawet przez ubóstwianą żonę, a przez nikogo nie popierany, pozostał sam jeden wobec zbliżającego się niebezpieczeństwa. I oto niespodziewanie, jakby w piersi hetmańskie wstąpił nagle duch wielkiego pradziada, wola Sobieskiego, niewidoczna zupełnie w działaniu politycznym, zaczęła krzesać z siebie pioruny. Zrozumiał, jak jego wielcy poprzednicy, że w tej krytycznej chwili może liczyć tylko na to, czego osobiście dokona, że gdy naród go opuszcza, on jeden za naród myśleć, działać i zwyciężać musi. Ten magnat, nie gardzący pensją obcego monarchy, wykazuje teraz zdolność do ofiar i poświęceń, zapomina o sobie i swych interesach, rzuca się w wir pracy i tylko jeden jedyny cel ma przed oczyma: pomimo wszystko stworzyć siłę obronną i nie puścić straszliwego wroga w głąb Rzeczypospolitej. Nie posiadając środków pieniężnych, zaciąga pożyczki, zastawia własne srebra, łagodzi, jak może i czem może pretensje rycerstwa, z własnych dóbr stawia pod broń 800 ludzi, oddaje na użytek wojska ściągnięte ze swych zamków działa, śmigownice, odsyła do obozu mnóstwo trzody, bydła, olbrzymie zapasy zboża, jagieł, mąki. Z niestygnącym zapalem pracuje od rana do nocy i, nie żalując sił, zdrowia, ani pieniędzy, nie zrażając się żadnymi trudnościami, posuwa na przód dzieło obrony.

O pracach i ciężkiem położeniu hetmana wymownie świadczą jego listy, w owym czasie pisane. Dnia 17 czerwca 1667 r. donosił z obozu swej żonie:

— „Jakoż też już niech wszyscy przyznają, ani spać, ani jeść niepodobna i nie masz tego na świecie, któryby się mnie uzalić nie miał. Jakoż wierzę, że żaden na świecie człowiek w podobnych nigdy nie był terminach... Konsolacji żadnej znikąd, a jedna drugiej zewsząd gorsza nowina...”

A nowin było dużo. Nieprzyjaciela, jak pisał, co godzina należało oczekiwać, a żołnierze kupami sobie chodzili, wołając o żołd, to zawiadamiając, że „armata wynieść nie może bez pieniędzy” w pole, pomimo, że hetman wyłożył na nią ostatnie 5.000 i pieniędzy więcej nie posiadał. To znowu rozlegały się skargi na brak żywności, wybuchały ciągle kłótnie, spory, obmowiska, krążyły nieustannie bajki, plotki i to tak okropne, że nawet ich „wymówić, nietylko wypisać” było niepodobieństwem, jak donosił żonie.

— „Myśleć potem, — żalił się, — żeby konfederacja nie była, żeby wojsko miało co jeść, żeby się wszystkim akkomodować, żeby wszystkim dawać, owo zgoła, żeby z niczego wszystka uczynić. Bo taką ode dworu odebrałem deklarację: „niech on tam sobie myśli, żeby było dobrze, bo tu niemasz pieniędzy, ani sukursu żadnego, którego niech się pewnie nie spodziewa”. Nadto jeszcze wojsko zwijają i nie zostawiają wszystkiego, tylko 12.000, w które wchodzi wszystkie prezydja: toruńskie, elbląskie, malborskie i t. d., czechryńskie, korsuńskie, białocerkiewskie, kamienieckie, lwowskie. I tak w pole przeciwko tak potężnemu nieprzyjacielowi, którego będzie pewno najmniej 100.000, nie zostanie nam tylko 8.000. Jeżeli tedy można w takim rządzie reputację i zdrowie konserwować, niech to najgłupszy osądzi”.

Te wyrzekania wymownie świadczyły o grozie sytuacji i rozmiarach kłopotów, nękających hetmana, ale nie mówiły nic o jego nieugiętej woli i tym harcie ducha, który niczem przełamać się nie dał i daleki był od zwątpienia. Bo, pomimo ogromu zadań, pomimo przeszkód, trudności i kamieni, ciskanych nieustannie pod nogi, Sobieski był dobrej myśli i śmiało zapowiadał, że zatrzyma na sobie nieprzyjaciela. Przemawiała przez niego owa siła, która rodzi się w wielkich ludziach w obliczu niebezpieczeństw, a jest tajemnicą genjuszu. Ta siła oddziaływała na otoczenie, udzielała się rycerstwu i, mimo rozpaczliwego położenia, nadzieją i otuchą ożywiała szeregi.

W drugiej połowie sierpnia 1667 r. gruchnęła po Lwowie wieść, że sułtan gałga *) Kierym Giraj na czele wszystkich ord krymskich, nobajskich, białogrodzkich, budziackich wkroczył na Ukrainę, złączył się z Kozakami i, wspierany przez wojska tureckie, pośpiesza w głąb kraju. Wieść była prawdziwa.

Zgórą 80 000 ludzi wiódł Giraj przeciw Polsce, a zdrajca Doroszeńko w 24 000 Kozaków przyszedł na pomoc Tatarom. Przeciwko tej sile miał Sobieski 5 000 jazdy i 3 000 piechoty, gdyż mimo największych wysiłków i trudów nie był w stanie większego wojska zgromadzić na obronę kraju.

Ale jak nie upadał na duchu przy tworzeniu armji do odparcia najazdu, tak i teraz na chwilę nie pozwolił opanować się zwątpieniu. Ułożył zaraz plan działań, a mimo że ten plan wywołał zdumienie i niepokój wśród doświadczonych wojskowych, nie dał się

*) Sultanami nazywano książąt tatarskich z rodziny chana, gałgą — następcę tronu.

zbić z tropu i według własnego pomysłu wojnę postanowił prowadzić. A plan jego przeczył ustalonym poglądom, był jakby uchwyceniem się tego, co w sferach wojskowych za wielki błąd poczytywano. Wobec olbrzymiej potęgi, grożącej Polsce zalewem, uważano w otoczeniu hetmana za rzecz konieczną skupienie wszystkich sił w jedną armję, tymczasem Sobieski, nie bacząc na słabość swego wojska, postanowił rozdzielić je na kilka partyj i partje te wysłać ku twierdzom, stojącym na drodze pochodu Tatarów, a następnie tak manewrować, by wróg, rozsyłając z głównego kosza swe zagony, wszędzie natrafił na odpór, a nie mógł jednocześnie oblegać wszystkich warowni, ani też żadnej pozostawić na tyłach. Rozumował hetman, że dla uzyskania swobody ruchów nieprzyjacieli po doznanych przeszkodach całą potęgą uderzy na główne siły polskie, stojące pod jego, Sobieskiego, dowództwem. Sam tedy na czele garstki rycerstwa postanowił iść, jakby w paszczę wroga, zatoczyć w miejscu, które wskaże chwila, obóz warowny i bronić się do upadłego. Wtedy oddziały, wysłane ku twierdzom, a korzystające ze swobody ruchów, miały ściągać ku miejscu walki, szarpać oblegających hetmana Tatarów, przecinać im dowóz żywności, trapić i nużyć ich dopóty, dopóki wojny nie zaprzestali, lub też dopóki Rzeczpospolita nie zebrałaby sił większych i nie przyszła obleżonym z odsieczą.

Ten plan, odbiegający daleko od uznanych sposobów wojowania, przyjęto w obozie z wielką nieufnością. Wielu doświadczonych weteranów twierdziło, iż chyba na zgubę wojska podał Pan Bóg taką radę hetmanowi.

— „Niewielka stąd będzie hetmanowi sława, — mówiono w obozie, — a Tatarom wielka będzie pociecha, kiedy za nami, jak czajkami, po polach rozbiegłymi, uganiając się, po jednym ścinać będą tych, którzy przysięgliśmy jeden przy drugim trupem legnąć, zasłaniając piersiami naszemi ojczyznę i wał z piersi naszych nieprzebyty uczynić...”

Tak mówili wojownicy polscy. A wielki wódz, książę Kondeusz, który dowiedział się o planie Sobieskiego, uderzony był bohaterstwem pomysłu, ale przepowiadał, że hetman polski zginie i śmiercią swą o kilka dni tylko przedłuży życie własnej ojczyzny. Nie wiedziano jeszcze, że w piersi hetmańskiej drzemie genjusz wojny, że potrafi on nie tylko układać szalone plany, ale dopilnować ich wykonania i swoją postawą wzbudzić ku sobie ufność podkomendnych. To, co wydawało się dziwnem, hazardownem, a nawet szalonym, miało niebawem zaświadczyć o przedsiębiorczym duchu wodza, wywołać podziw Rzeczypospolitej i całej Europy.

W myśl planu Sobieskiego, strażnik obozowy, Czapliski, poszedł ze swą partją na Pokucie, starosta dołiński, Stanisław Koniecpolski, obsadził Tarnopol, Silnicki pilnował traktu lwowskiego, Jędrzej Modrzewski pociągnął na Polesie, a sam Sobieski w niespełna 3.000 ludzi ruszył pod Kamieniec.

Tymczasem wódz tatarski, Kierym Giraj, szedł śród morza płomieni pod Konstantynów i tutaj główny swój kosz założył. Zwyczajem, praktykowanym przez Tatarów, którzy wojny z Polską traktowali przedewszystkiem, jako wyprawy po jassy i łupy, rozpuścił Giraj zagany w różnych kierunkach, głównie jednak skierował je na zachód ku bogatym ziemiom Czerwonej

Rusi. Ale spotkała go niespodzianka: każdy z zaganów spotkał na swej drodze wojsko i, mocno poszarpany, bez łupów i zdobyczy, powrócił do kosza. Wtedy Giraj całą potęgą ruszył pod Zbaraż, skąd mógł uderzyć na Lwów lub Kamieniec.

Sobieski czekał, dokąd się nieprzyjaciel obróci, a zdecydowany był w obu wypadkach przez zajęcie zagrażającej pozycji ściągnąć wszystkie siły na siebie. Gdy się wyjaśniło, że Tatarzy idą na Tarnopol, Zborów, Pomorzany, hetman opuścił stanowisko pod Kamieńcem i, unikając zręcznymi manewrami spotkania z wrogiem, dotarł szczęśliwie do Podhajec, małego miasteczka Potockich, położonego w rozległym wąwozie. Tutaj postanowił zmierzyć się z nawałą tatarsko-kozacką.

Pozycji, wybranej przez Sobieskiego, broniły od wschodu rozległe stawy i błota, a od południa i zachodu przylegały gęste lasy, stanowiące zasłonę przed atakami jazdy. Przestrzeń od północy, tworzącą równinę, rozkazał hetman natychmiast umocnić dwoma szeregami szańców, na których umieścić piechotę i artylerję. Część jazdy wysłał jeszcze w stronę Lwowa dla rozpędzania zaganów tatarskich, a sam z uszczuplonem wojskiem pozostał w Podhajcach. Dnia 4-go października 1667 roku wydał uniwersał, ostatni raz wzywając szlachtę, by jednoczyła się i „radziła o ratunku powszechnym”. Dając znać, że większą część swej jazdy rozestał po kraju, aby powstrzymywała grasowanie Tatarów, oświadczał, że pragnie na sobie zatrzymać całą nieprzyjacielską potęgę i walczyć do ostatniego tchu, a gdyby nie można było inaczej, to dać siebie w ofierze „milej ojczyźnie” i własnym tru-

pem zasłonić nieprzyjacielowi drogę do wnętrza Rzeczypospolitej.

Od czasów Żółkiewskiego nie przemawiali takim językiem wodzowie polscy. Ale też oddawna już żaden wódz polski nie stał wobec większego zadania i przy własnej sile liczebnej nie miał przeciw sobie potężniejszego wroga. Przewidywania Sobieskiego ściśle się spełniły. Kierym Giraj, dowiedziawszy się, że w Podhajcach stoi hetman polski, przeciw niemu się zwrócił. Tegoż dnia, w którym Sobieski wydał swój uniwersał, ukazali się przed okopami polskimi Tatarzy, a w dwa dni później nadciągnął sam Giraj wraz z Doroszeńką, 80.000 Tatarów i 24.000 Kozaków zważyło się na Podhajce i zalało całą równinę przed szaniami. Śród zgiełku i wrzawy, jaką sprawiała ta olbrzymia masa, słyhać było nieustannie kapełę janczarską, która przeraźliwymi dźwiękami surmaczów i piszczałek dawała znać o obecności wojsk padyszacha. Jakoż sultan bez wypowiedzenia wojny przysłał chanowi z pomocą 3.000 janczarów. Krążyły pogłoski, że wielkie wojska tureckie kierują się ku granicom Rzeczypospolitej. Gdy Tatarzy i Kozacy zbliżyć się zaczęli do obozu, Sobieski wyprowadził za okopy swą jazdę i sprawił ją do bitwy. Na widok niezliczonych mas wroga, przewyższającego liczebnie kilkadziesiąt razy małe wojsko polskie, trwożne przecucia ścisnęły serca rycerstwa. Ale hetman był dobrej myśli i z wielką brawurą przemówił do żołnierzy. Zapewniwszy, że sam prowadzić będzie chorągwie do boju, wzywał ich, by szli za nim mężnie, „iżby ten potop, od morza Czarnego wezbrany, nie dosięgnął Baltyku”.

— „Kto, — mówił hetman z zapałem, — obawia się śmierci, pozwalam, niech ucieka, a i tak haniebnie

zginie! Ja tu pozostanę, a ze mną mężowie, wazący się na wszelkie niebezpieczeństwa. A gdy odeprzemy Tatarów, i Turkowi wojować się odechce”.

Nikt, oczywiście, nie opuścił szeregów. Słowa hetmańskie zagrzały żołnierzy i tchnęły w nich wiarę w możliwość zwycięstwa.

Na lewem skrzydle maleńkiej armji polskiej stał Aleksander Polanowski, stary doświadczony pułkownik, a trzymaście chorągwi miał pod swoim dowództwem. Środka bronił przyjaciel Sobieskiego, wojewoda ruski Stanisław Jabłonowski. Prawem skrzydłem, osłaniającem zamek, dowodził pułkownik husarski, Władysław Wilczkowski. Ten szeroko rozstawił swe hufce, by zasłonić przedmieścia, do których schroniła się licznie ludność okoliczna. Sobieski jeździł tam i sam, na wszystko mając baczenie. Zważywszy na szczupłość sił swoich, powołał on jeszcze do obrony przedmieścia chłopów, których uzbroił, a do których, mimo sarkania rycerstwa na konfidencję hetmańską z „chamstwem”, żywił duże zaufanie. Jak tylko Tatarzy zbliżyli się na strzał armatni do okopów, odezwały się zaraz działa polskie i trzykrotną salwą powitały najeźdźców. Zaraz też ruszył z miejsca wszystkie swe chorągwie Polanowski i skoczył do boju. Otoczono go zewsząd, tak, iż zginął z przed oczu, ale okropna wrzawa świadczyła, iż stary wojownik potyka się mężnie i nie daje się połknąć przewadze tatarskiej.

Na prawe skrzydło uderzyli Kozacy, bijąc gęsto z armat i ogień kierując na zamek. Pięć lekkich chorągwi, wracających do obozu, a zagrożonych już odcięciem, chcąc w owej chwili złączyć się ze swoimi, uderzyło z furją na Kozaków, roztrąciło ich swoim

impetem i wypadło na szczere pole, mknąc co koń wyskoczy ku linii wojsk polskich. Za temi chorągwiemi puścili się ze straszliwem wyciem Tatarzy i jak szumiąca chmura walili za nimi wprost na hufce Wilczkowskiego. Zaledwie uciekający wpadli pomiędzy swoich, Wilczkowski zerwał się z miejsca i z całą swą jazdą ruszył na spotkanie pędzących, jak wichher, Tatarów. Dwie lawiny ludzi i koni uderzyły o siebie. „Zaczem — powiada świadek tych zapasów — powstał krzyk, wrzawa, huk ze strzelby wielki”. Wywiązała się ogromna bitwa, bo i Jabłonowski wziął udział w zapasach. Tatarzy, korzystając ze swojej przewagi, jak zbałwanione morze, zalewali garstkę rycerstwa polskiego i coraz gęstsze masy rzucali do boju. Ważyło się zwycięstwo. Na prawem skrzydle ordyńcy, obeszedszy walczące chorągwie Wilczkowskiego, przedarli się już do przedmieść i z triumfującym wyciem zaczęli się sypać między opłotki. Wielkie niebezpieczeństwo zagroziło Podhajcom. Na szczęście w tej groźnej chwili wystąpili do boju chłopci i uratowali sytuację. Uzbrojeni w widły, drągi, kłonicie, wypadli z taką rezolucją i tak przerażającym wrzaskiem, że stropieni Tatarzy rzucili się do ucieczki.

Tymczasem wzdłuż szanieców rozgorzał bój uporczywy, długi, coraz krwawszy i coraz zaciętszy. Pomimo swej ogromnej liczebnej przewagi, cała masa nieprzyjacielska, nie mogąc wytrzymać potężnych ciosów polskiego ramienia, zaczęła chwiać się, łamać, aż wreszcie, jak morze, ustępujące w czasie odpływu, cofnęła się z pod obozu.

Kilka tysięcy trupów nieprzyjacielskich zostało na pobojuwisku. Ze strony polskiej straty również były bardzo dotkliwe, gdyż padło 490 ludzi, a hetman, ca-

ły czas kierujący bitwą i dodający wojsku otuchy, poniósł „ciężki szwank z konia...”

Ale bitwa, zakończona cofnięciem się przemożnego wroga, nadzieją ożywiła obłązonych, a Giraja skłoniła do większej ostrożności. Nie odważył się po tem pierwszym spotkaniu z Sobieskim ponawiać próby walnego szturmowania wszystkimi siłami, lecz oddalwszy się na strzał działowy od okopów, przystąpił do oblężenia. Codziennie przecież znaczne kupy nieprzyjacielskie zbliżały się do szańców i próbowały zaskoczyć załogę. Codziennie staczano zażarte boje, a małeńka armja polska, mająca na swoją obronę słabe okopy i genjusz jednego człowieka, pomimo strat, trudów i nieustannego czuwania, coraz bardziej dawała się nieprzyjacielowi we znaki. Walczyli Polacy nie tylko szablą, ogniem dział i muszkietów, ale także zuchwałością, dowcipem, podstępem. Nieraz śród głębokiej nocy, gdy zaległa cisza, czeladź obozowa skradała się pod sam kosz tatarski, uprowadzała nieprzyjacielowi konie, to alarmowała go przeraźliwym krzykiem, a później, uciekając do obozu, naprowadzała pogoń na wilcze doły, przykryte dla niepoznaki darnią. Z tych dołów wydobywano jeńców, a dwóch znaczniejszych murzów pochwycono w ten sposób i z triumfem przyprowadzono do hetmana. Urządzało na wałach sztuczne olbrzymich wymiarów armaty, płoszono Tatarów rzucaniem dymiących garnków z łojem, przed którymi, jako nieznanymi pociskami, następująca dzicz uciekała z przerażeniem. Dzień za dniem płynął śród ciągłych utarczek, wrzawy i huku, a obóz polski trwał niezdobyty i urągał potędze tatarsko-kozackiej. Zwycięski duch wodza udzielił się obroń-

com i uczynił Podhajce miejscem codziennych klęsk i niepowodzeń wroga.

Gdy tak bronił się Sobieski, jazda polska, którą pozostawił w kraju, gromiła wysyłane po żywność zagony, nie pozwalała nikomu wydalić się z kosza, zbliżała się ciągle ku Podhajcom i do nieustannego czuwania zmuszała Tatarów. Jeden z zaganów w 1.500 koni, zapędziwszy się pod Brzeżany, napadnięty został przez Silnickiego i zniesiony ze szczętem. Przyznawali się Tatarzy, że w żadnej wyprawie nie ponieśli strat tak wielkich, jak w tej wojnie z Sobieskim.

W tym samym czasie wieść o nowej, a całkiem już nieoczekiwanej klęsce, jak grom spadła na nieprzyjaciół. Oto ataman siczowy, Sierko, oburzony na Doroszeńkę za sojusz z chanem, zebrał 2.000 mołojców, wpadł na Krym, przeszedł, jak burza zniszczenia, przez nieobronne siedliska tatarskie, wyrznął kilka tysięcy mężczyzn, uwolnił mnóstwo jeńców, porwał z sobą 1.500 kobiet i dzieci tatarskich, nastraszył potężnie samego chana, nie mającego żadnych sił do obrony i bezkarnie z ogromną zdobyczą powrócił na Zaporże.

Wieść o tym napadzie wielkie zaniepokojenie wywołała w koszu pod Podhajcami. Tatarzy zaczęli z największą nieufnością spoglądać na Kozaków i podejrzewać ich wierność. W dodatku zaczynały się coraz większe zimna i coraz częściej obiegały pogłoski o nadsięganiu ku Podhajcom odsiecz. Przy jednym z trupów znaleziono listy, donoszące obłączonym, że ks. Dymitr Wiśniowiecki zbliża się z 20.000 wojska. Nie wiedziano, że listy były sfabrykowane w obozie i trup umyślnie podrzucony. Brak paszy i żywności, trwoga o Krym, nieporozumienia z Kozakami, wreszcie



ciągle niepowodzenia w walkach zdemoralizowały starszą tatarską, a wszystkim ordom odebrały ochotę do boju.

Śród takich okoliczności zjawił się w obozie polskim wysłaniec Giraja, a przyprowadzony przed Sobieskiego, zapytał go w imieniu swego pana, jak mu zdrowie służy i czy nie zechciałby odnowić dawnej przyjaźni?

W ten sposób zaczęły się układy. Dnia 16 października 1667 roku zjechali się w polu pełnomocnicy polscy z czterema murzami i w ciągu kilku godzin spisali umowę. Sułtan gałga Kierym Giraj poprzysiągł imieniem chana być wiernym sojusznikiem króla jegomości i Rzeczypospolitej, a nieprzyjacielem wszystkich Polski i króla nieprzyjaciół, zaś w każdej potrzebie przyjść Polakom z pomocą, nie puszczać zaganów i nie brać więcej jassyru. Ze swej strony hetman polny Sobieski obiecał chanowi i ordom krymskim przysyłać, według dawnych zwyczajów, corocznie upominki. Zkolei, za pośrednictwem Giraja, przyszło do porozumienia z wojskiem zaporoskiem, które uderzyło w pokorę i wyrzekło się szukania wszelakich protekcyj. Biorąc pod uwagę, brzmiała spisana umowa, że Kozacy już nie grożą wojną, lecz żebrzą o łaskę, hetman obiecuje wstawić się za nimi do króla i Rzeczypospolitej, aby ich winy puszczone były w niepamięć, a ze swej strony Doroszeńko i wojska jego oświadczają swą wierność królowi i Rzeczypospolitej oraz szczerą ochotę służenia jej we wszelkich potrzebach.

Po spisaniu tego aktu, sam Doroszeńko przyjechał do obozu, zsiadł przed szańcami z konia i pieszo udał

się do namiotu hetmana, aby osobiście powtórzyć swą przysięgę na wierność Rzeczypospolitej.

Tak skończyła się słynna potrzeba podhajecka.

Sobieski, mając pod swem dowództwem w obozie niespełna 3.000 wojska, oparł się zgórą 100.000 Tatarów, Turków i Kozaków, przywiódł wodza zaporoskiego do posłuszeństwa, mądrymi zarządzeniami ochronił Rzeczpospolitą przed skutkami straszliwego najazdu, uratował życie i mienie setkom tysięcy mieszkańców. Sam tylko poniósł ogromne straty, gdyż Tatarzy nie-
miłosiernie złupili jego dobra.

— „To jest tak pewne, — pisał do bawiącej w Paryżu żony, — jak słońce na niebie, że w moich samych majątnościach zginęło więcej, niż 30.000 ludzi, a bydła wzięto najmniej także z 50.000. Insi prawie wszyscy żadnej a żadnej nie mają szkody. Na mnie się tylko samym mścili i moich dobywali miasteczek, w których żadnego nie było *praesidium*...”

I nie bez triumfu dodawał:

— „Gdybym się był nie ruszył z pod Kamieńca za nimi, poszliby byli aż ku Wiśle i tuby byli zimowali, bo nikt ni o czem nie myślił, tylko w świat ujechać...”

A w następnym liście donosił:

— „Wyboczyłem też był trochę do majątności naszych, które tak zniesione, że ledwie znak, gdzie była wieś albo miasteczko. Po trupach tylko największa przyznaka, których po polach pełno. Od samego Złoczowa aż do Tarnopola, mil wielkich sześć naszym gruntem niemasz gdzie popaść konia...”

Taka sama ruina i klęska w razie niepowodzenia groziła bez porównania większym przestrzeniom.

Dzięki Sobieskiemu klęska ta została zażegnana.

Cała Polska wszerz i wzdłuż rozbrzmiała podziwem i radością, a echa zwycięstwa szeroko rozeszły się po świecie. Dziwował się talentom i męstwu hetmana przewidujący niedawno jego zgubę ks. Kondeusz, pośpieszył z powinszowaniem Sobieskiemu triumfu Ludwik XIV i w dowód uznania, pierworodnego syna hetmańskiego, który niedawno przyszedł na świat w Paryżu, trzymał do chrztu wraz z królową angielską, wdową po Karolu I-ym.

W jednej chwili wyrósł Sobieski na pierwszą znakomitość w Polsce. Ze wszystkich stron kraju dochodziły jego uszu życzenia i błogosławieństwa, a wiele sejmików, obradujących w grudniu 1667 roku, polecało swym posłom żądać, by wielka buława, wakująca po zmarłym niedawno Potockim, Sobieskiemu została oddana.

Sejm, zebrany w końcu stycznia 1668 roku, był całkowicie pod wrażeniem świeżego zwycięstwa. Zgodnie z opinią publiczną, dnia 5 lutego Jan Kazimierz oddał buławę wielką koronną Sobieskiemu, a buławę polną ks. Dymitrowi Wiśniowieckiemu. Gdy zaś w dniu 1 marca rozeszła się wiadomość, że bohaterski hetman zbliża się od strony Piaseczna do Warszawy, cały sejm się poruszył. Senatorowie i posłowie wraz z orszakami swymi wyjechali na spotkanie zwycięzcy. Śród radosnych okrzyków ciżby ludzkiej, przy biciu w bębny i huku kołków wjechał Sobieski do stolicy we wspaniałej złocistej karecie.

— „Wszystka Warszawa—pisał później do żony—wyjeżdżała prawie przeciwko mnie, i senatorowie i posłowie. Było ludzi z kilka tysięcy. Tak tuszą, że hetman jeszcze żaden tak nie wjeżdżał. Damy wszystkie z różnych patrzyły domów, i ludzi niesłychana moc,

jako na jakie spektakle. Z chorągwiami moi ludzie wszyscy i gwardje szli aż do Zamku, a potem przez Zamek przechodziły”.

Wszystkie oczy zwrócone były na Sobieskiego.

Złączywszy w swych rękach laskę marszałka wielkiego koronnego z buławą wielką, Sobieski, opromieniony aureolą zwycięstwa podhajeckiego, stał się potęgą, która wyrosła ponad króla i mogła w tej chwili, oparłszy się na oświadczeniem ze wszystkich stron zaufaniu, pokierować losami państwa. Pamiętny dla zwycięzcy sejm już pięć tygodni obradował, wytaczając ciężkie przeciw królowi zarzuty, a domagając się natychmiastowego wydalenia ambasadora francuskiego, którego pomawiano o najniebezpieczniejsze względem Polski zamiary.

Zrażeni intrygami, a niedowierzający królowi posłowie, pragnęli uchwalenia konstytucji o elekcji, według projektu, który wrogiem ojczyzny nazywał każdego, kto by za życia panującego króla zalecał obiór nowego monarchy. Wobec grożących Polsce niebezpieczeństw, żądano zwołania pospolitego ruszenia, ale w sposób, który odbierał znielowanemu królowi dowództwo. Jan Kazimierz, po długich targach, wyrzekaniach, zgodził się wydać dwoje wici zaraz, a trzecie wici dać na ręce Sobieskiego, ale na konstytucję i wydalenie posłów cudzoziemskich odmawiał swego przyzwolenia. Śród strasznego roznamiętnienia obradujących zabrał niespodziewanie głos Sobieski i oświadczył, że chce zdać sprawę z umów, zawartych z Tatarami i Kozactwem, poczem zwrócił się do króla i prosił go, aby dla zażegnania rozrywającej ojczyznę niezgody, na całą konstytucję, jak pragnie tego izba poselska, zezwolić miłościwie zechciał.

To nieoczekiwane wystąpienie hetmana uczyniło potężne wrażenie, a tak podobało się szlachcie i tak wielką zjednało mu popularność, że niektóre sejmiki wręcz zwróciły się do niego, aby pochwycił ster rządów Rzeczypospolitej.

W owej chwili Sobieski stawał u szczytu powodzenia i siły, na jakim w Polsce ówczesnej można było stanąć. Od niepamiętnych czasów nie posiadał kraj popularniejszego nadeń człowieka. Miał miłość narodu, cieszył się nadzwyczajną powagą, a był w rozkwicie wieku, gdyż dochodził dopiero czterdziestki. Jako hetman polny dowiódł, że, poczuwając się do odpowiedzialności za bezpieczeństwo ojczyzny, gotów jest do największych wysiłków, trudów i poświęceń, że umie łamać przeszkody i radzić sobie w najcięższych okolicznościach, a na polu bitwy być lwem. Abdykacja Jana Kazimierza stawała się już kwestją najbliższej przyszłości. Losy państwa przechodziły w ręce Sobieskiego. Mógł pokierować elekcją i wzbic się na stanowisko, jakie w dziejach Polski zajął przed stuleciem Jan Zamoyski. Mógł iść jeszcze dalej i sięgnąć po koronę.

Niestety, wielki wódz nie był wielkim statystą, a przy boku swoim miał „złego ducha”, który z gościńców sławy i pracy dla dobra Rzeczypospolitej nieustannie sprowadzał go na manowce.

Tym złym duchem Sobieskiego była jego żona, Marja Kazimiera.

IV. MARJA KAZIMIERA.



czasie bardzo krótkim po raz drugi na widownię życia publicznego w Polsce wysuwała się kobieta, niezwiązana uczuciowo z krajem, obca duchowi narodu, obojętna na jego troski, niedolę i przyszłość. Władza i wpływy, do jakich doszła Ludwika Marja, jakby w spadku przechodziły w ręce jej wychowawicy Marji Kazimiery. Państwo, w którym nągrawano się z praw, odzierano z autorytetu króla i rząd, a z wszelkiej władzy czyniono igraszkę, państwo, w którym każdy, bez poczucia odpowiedzialności za swe postępkі, robił, co chciał i jak chciał, było bardzo dogodnym terenem dla intryg, naniętności, knowań i kaprysów obu cudzoziemek, pewnych, że cokolwiek uczynią, ujdzie im to bezkarnie.

Straszną rolę w dziejach Polski odegrała Ludwika Marja, jeszcze straszniejszą odegrać miała po jej śmierci Marja Kazimiera.

Urodziwa Francuzka, otoczona protekcją dworu, próżna i chciwa bez granic, osobistą korzyścią powodowała się w życiu. Obca Polsce i nie przestająca

uważać się za poddaną króla francuskiego, uczyniła Sobieskiego narzędziem w rękach królowej i, będąc jeszcze wojewodzina Zamoyską, nadużywała swej władzy nad rozkochanym w niej rycerzem. Romans, prowadzony pod opiekuńczemi skrzydłami dworu królewskiego, był dla Marji Kazimierzy przedewszystkiem środkiem do wymuszania na swoim kochanku czynów, o których dobroduszny Polak myślał najczęściej z niechęcią lub wstrętem. Ona to skłoniła go w swoim czasie do wyrażenia zgody na złożenie piastowanych urzędów i opuszczenie ojczyzny za nagrody i blaski, które roztaczał Ludwik XIV. Za jej sprawą pobierał Sobieski stałą pensję od obcego monarchy, z jej poduszczeń przyjął dostojęństwo po Lubomirskim i pomagał Ludwice Marji w występnych machinacjach. Doszło zczasem do tego, że wszystkie ważniejsze swe kroki w życiu publicznem uzależnił rozmiłowany bez pamięci małżonek od zgody pięknej Marysieńki.

Piękna była istotnie. Wyróżniała się kształtną i zgrabną figurą, miała twarz pociągłą, otoczoną bujnym czarnym włosem, małe, zgrabnie wykrojone usta, orli rasowy nos, duże czarne oczy z prześlicznie zarysowanemi brwiami, ruchy pełne wdzięku i gracji. Błyszcząc urodą na niemoralnym dworze królewskim, wczesnie zwróciła na siebie uwagę i miała wielu adoratorów, ale wybrała najbogatszego. Wychodząc zamąż po raz drugi, robiła znowu świetną partję, ale rzecz niewiadoma, czy szła jeszcze za głosem serca. Niezdolna do podnioslejszych uczuć, zimna, oschła, przez całe życie powodowała się wyrachowaniem. Do Polski nie miała przywiązania, ciągle też myślała o powrocie do Francji. Wspaniały dwór Ludwika XIV imponował jej blaskiem potęgi, złotą i zepsucia. Marzeniem jej

było zostać damą taburetową *) na dworze królewskim we Francji i zubożać swą rodzinę, nieodgrywając poważniejszej roli w ojczyźnie, wynieść do znaczenia i wpływów. Więc zasługiwała się dyplomacji francuskiej, przykładała rękę do każdej intrygi i prowadziła za sobą nie umiejącego się oprzeć jej męża.

Wychowana na dworze Ludwiki Marji, miała tę samą energję, co jej mistrzyni, tę samą niefrasobliwość w wyborze środków niecznych i brudnych. Ale gdy pierwszą pochłaniała całkowicie namiętność polityczna, drugą kierowała chciwość. Ludwika Marja niejednokrotnie wykazywała odwagę i wręcz męską stanowczość. Marja Kazimiera była typem kobiety kapryśnej, niestałej, obraźliwej, umiejącej się dobrze maskować, ale w istocie swej poziomej i ordynarnej. W czasie drugiej bitwy ze Szwedami pod Warszawą, Ludwika Marja kazała wyprząc konie z własnej karety i założyć je do dwóch armat, z których przez rzekę strzelała do Szwedów. Z Janem Kazimierzem, acz nie darzyła go uczuciem, dzieliła tułaczkę i smutne losy, stała przy nim w dniach niebezpieczeństwa, dodawała mu w ciężkich chwilach ducha i odwagi. Marja Kazimiera nie była zdolna do współdziałania z mężem w nieszczęściu, nie lubiła hazardu i niebezpieczeństw. Ale przewrotnością w działaniu, bezwstydem i drapieżną chciwością przerosła swoją poprzedniczkę. Ustępowała jej rozumem, przewyższała ją kobiecym sprytem. Była gorszym wydaniem Ludwiki Marji, miała wszystkie jej wady, nie miała żadnej z jej zalet.

*) Dama dworu, która otrzymała taburet, miała przywilej siedzenia w obecności króla.

Troje dzieci z pierwszego małżeństwa Marji Kazi-
miery zmarło w wieku dziecięcym, a wielka fortuna
Zamoyskiego stała się przedmiotem sporów i procesów
z dalszą rodziną wojewody. Zawiodła się na pierw-
szym mężu, który dość szybko zobojętniał dla niej
i nad towarzystwo kapryśnej małżonki przekładał za-
bawianie się kielichami w wesołej kompanji.

Lepiej się jej powiodło z Sobieskim, który gotów
był do największych poświęceń i ofiar, a czuł się
uszcześliwionym, gdy widział zadowolenie swej pięk-
nej Marysieńki. Jego uległość nie miała granic i miary.
Bohater, którego imię drzeniem przejmowało wrogów,
a którego sława długie wieki miała rozbrzmiewać,
nieustraszony i zawsze pewny siebie na placu boju,
był w stosunku do przewrotnej żony potulnym jagnię-
ciem, pozbawionem charakteru i woli. Piękna ręka
Marysieńki prowadziła go przez hańbę i błoto, popy-
chała na kręte ścieżki występków, ciskała nim, jak
bezwładnym przedmiotem. Z uległością niewolnika
poddawał się Sobieski tej upokarzającej nad wszelki
wyraz tyranji. Nie mając nawet pewności, czy ubó-
stwiana małżonka dotrzymuje mu wiary, spełniał nie-
ustannie jej zachcenia, kaprysy, fantazje, pozwalał się
męczyć, torturować, znieważać. Wszystkie przykrości
znosił z bezprzykładnem mazgajstwem, a sponiewie-
rany przez żonę, jak żak płakał po kątach nad swoją
niedolą.

O pożyciu Sobieskiego z Marją Kazimierą wymow-
nie świadczą jego listy, pełne słów czułych, gorą-
cych, namiętnych, tryskających uwielbieniem. Ale to
uwielbianie często przeplatane jest wyrzutami, które
rzucają światło na wzajemny stosunek małżonków.

— „Racz, moja panno, — pisał Sobieski z Żółkwi 7 czerwca 1668 roku, — moment pomyśleć nad tem, a być sama nad sobą sprawiedliwym sędzią. W tych tak ciężkich utrapieniach, czy dałaś mi też W-ć, moje serce, słowo kiedy dobre, prosząc mię, żebym się nie frasował, jako czynią wszystkie kochające żony? Nigdy, moja panno! I owszem, gdym się najbarziej trapił, to mi W-ć najgorszą pokazywała twarz. Raz tylko w Jaworowie (bo ja najmniejsze W-ci, serce moje, mam dobrze w sercu mojem akcje i słowa), kiedyś coś narzekał na dwór i uskarżał się, a W-ć, moje serce, jeszcze się ze mną sprzeczała, jam dopiero, układłszy się, płakał niesłychanie, pierwszy raz uczynił się mnie żal W-ci i poczęłaś mnie W-ć... wymierzać z tego, perswadując, abym się nie był turbował. To kiedy-bys W-ć, moje serce, zawsze tak była czyniła, tobym się ja był miał za najszcześniejszego na świecie człowieka. W Pielaskowicach, kiedyś mnie W-ć nazwała plugawcem, czy rzekłaś mi też W-ć kiedy potem, że się nie gniewać o to, że to ja z afektu rzekła, ale tego nie mam w sercu rozumienia? Jako żywo! nigdy tego nie chciałaś W-ć przyznać i dlatego musiałem być tego rozumienia, że cokolwiek W-ć wyrzekła, tedy to masz za rzecz słuszną i samem za to niezalowaniem chcesz konfirmować!...”

To znowu skarży się Sobieski na „ustawiczne przy-mówki”, na ciągły zły humor swej „najśliczniejszej Marysieńki”, na jej gniewy, wyrzuty, kaprysy, na jej usposobienie słodkie dla obcych, nieznośne i grymasne dla męża. Ale ponad wszystkim góruje w tej korespondencji miłość, czasem namiętna, gorąca, czasem owiana urokiem poezji, ale najczęściej niemilosiernie monotonna i aż do irytacji ckliwa. Utyskując

na swoje nieszczęścia, z powodu nieporozumień małżeńskich, uzał się Sobieski sam nad sobą, opisywał swe dolegliwości w taki sposób, jakby stał nad grobem, chociaż zdrowie miał z żelaza i imponował swą wytrzymałością najbardziej zahartowanym żołnierzom. Jeśli więc skarżył się na rzekomo trapiące go cierpienia, to chciał w ten sposób rozczulić swoją „jutrzenkę” *), a poczęści ulegał modzie francuskiej i panującej w wysłowieniu przesadzie. To jednak pewna, że przywiązany był do przewrotnej Marysieńki bez granic i myślał o niej nieustannie. Po zawarciu pokoju z Tatarami w Podhajcach pisał:

— „Jedyna duszy i serca pociecho, najśliczniejsza i najwdzięczniejsza Marysieńku, Dobrodziejko moja! Siedmnaście dni nie przyszło mi z moim się W-ci, sercu memu, odezwać pokłonem, a to dlatego, że tyle dni w oblężeniu zostawał od wojsk tatarskich i kozackich, z którego, jak skoro mnie Pan Bóg uwolnił, tak teje godziny zaraz oznajmuję W-ci, sercu memu, że jako oblężenie nic mi więcej nie przydało było smutku i melankolji, nad ten, który zawsze w sercu noszę z powodu nieobecności mojej Astrei, tak i tak wiele szczęśliwych okazji, a naostatku pokój

*) W korespondencji z Marią Kazimierą posługiwał się Sobieski wyrazami, które miały zgóry umówione znaczenie. Była to ostrożność wobec wojewody, a później już stale była stosowana. W korespondencji tej Sobieski używał pseudonimów Celadon, Orondat, Beaulieu, Sylvaudre etc. Marja Kazimiera nazywana była Bukietem, Astrea, Różą, Jutrzenką i t. d. Jana Zamoyskiego przezywano fujarą (*la flûte*), królową Ludwikę Marję — Hamaleonem, Jana Kazimierza — kupcem i t. d. Pomarańcze znaczyły w umówionym języku miłość, konfitury — list i t. d.

z wielką korzyścią dla Rzeczypospolitej nie przydał mi najmniejszej pociechy, ani wesołości, ponieważ żadnej dla mnie nie znajdzie na ziemi, kiedy nie patrzę na to, co jest życiem mojem, na to, gdzie serce i wszystka myśl moja".*)

W tych słowach nie było przesady, lub też bardzo niewiele. Piękna Marysieńka nieustannie stała przed oczyma hetmana. Nawet na placu boju, wśród zgiełku bitew i świstu pocisków, walących się w ściany jego namiotu, zawsze znajdzie czas, by zasiąść do listu i przesłać małżonce gorące słowa swojej czułości i pamięci. Upewniać ją będzie w każdym piśmie, że świata poza nią nie widzi, że, jak się w jednym z listów swoich wyraził, „jednej na świecie niema godziny prócz tej, w której śpię, żeby mi najśliczniejszej W - ci, dobrodziejki mojej na oczach nie był obraz, który tak okupuje wszystką myśl moją, że ni o czem na świecie innem myśleć nie mogę!...”

Za to wielkie przywiązanie płaciła Marja Kazimiera Sobieskiemu oschłością i kaprysami. Wiecznie z męża niezadowolona, najhaniebniej kupczyła jego uczuciem, wyzyskiwała je po lichwiarsku, a za okazanie pogodnego oblicza, za dobre i życzliwe słowo kazała sobie płacić udziałem w niecnym intrygach, powolnością w spełnianiu żądań, które prawie zawsze miały na celu korzyści materialne.

Sobieski był dzieckiem swego czasu, posiadał wiele przywar szlacheckich i niejedną wadę magnacką. Łatwo poddawał się wpływom i w zaślepieniu swoim złączył się nawet ze Szwedem. Ale w gruncie rzeczy nie był znieprawiony, zachował znaczne serce polskie

*) Słowa francuskie podane są w tłumaczeniu polskim.

i umiał wznieść się na wyżyny poświęcenia. Jako hetman, znał swe obowiązki i wypełniał je świetnie, a jako obywatel, choć nie był głębokim statystą, zdawał sobie sprawę z tego, co zgodne jest z dobrem ojczyzny, a co przynosi jej ujmę i szkodę. Triumf podhajecki musiał umocnić w nim wiarę w swe siły i jako wodza podnieść we własnych oczach. W ciężkiem położeniu Rzeczypospolitej wykazał hart, wolę i geniusz wojenny. Miał dane, by odpowiedzieć oczekiwaniom, które osoba jego budziła w całym kraju. Niestety, te dane paraliżował związek z przewrotną cudzoziemką, której w działalności politycznej okazywał karygodną uległość, a której słuchał z obłąkaną pokorą.

Po zwycięstwie podhajeckiem Rzeczpospolita Sobieskiemu oddawała ster rządów, Sobieski powierzył ten ster białym rączkom potwornej Marji Kazimiery.

* * *

Dyplomacja francuska, zrażona niepowodzeniami działalności swej w Polsce, po chwilowej przerwie znowu zaczęła pracować. Abdykacja Jana Kazimierza była już postanowiona—i sprawa elekcji nowego króla zajmowała wszystkie umysły. Zakrzętały się dwory cudzoziemskie i stanęły do rywalizacji o przewagę swych wpływów w Rzeczypospolitej. W Paryżu wiedziano doskonale, jak skutkiem nieudanych i częściami ujawnionych knozań niepopularną się stała w opinii publicznej kandydatura francuska. Więc postanowiono zatrzeć niemiłe wrażenie i, nie odstępując od projektu zdobycia korony dla ks. Kondeusza, wysunąć oficjalnie kandydaturę ks. neoburskiego Filipa Wilhelma. Takie polecenie otrzymał ambasador Bonzy.

Ale wypowiadając się głośno za ks. neoburskim, miał jednocześnie uczynić wszystko, by ks. Kondeusz wysunięty został przez wpływowe osobistości polskie, jakby samorzutnie, poza wpływem Francji, a nawet pomimo jej woli.

Dyplomacja taka wymagała gry bardzo misternej, a niezgrabni Polacy, gotowi służyć Ludwikowi XIV, nie umieli przejrzeć właściwych intencji dworu francuskiego.

Bonzy w marcu 1668 r. po obradach zerwanego sejmku, udał się do Sobieskiego i prosił go o poparcie kandydatury ks. Filipa. Hetman był w prawdziwym kłopotcie. Nie chciał decydować o tak ważnej sprawie bez porozumienia się z żoną, a Marja Kazimiera bawiła jeszcze w Paryżu i natarczywie, ale bezskutecznie zabiegała o beneficja dla swojej rodziny. Starła się o przynoszące kilkanaście tysięcy liwrów dochodu opactwo dla swego brata i była oburzona, że tego jej odmawiają na dworze francuskim. Cóż czyni Sobieski? Oto nie domyśla się, czego chce od niego Bonzy, bierze jego słowa za dobrą monetę, powiada, że z wyłączeniem wszystkiego, co uważałby za sprzeczne z dobrem swej ojczyzny, gotów jest zawsze spełniać życzenia Ludwika XIV. Przychyła się tedy do popierania księcia neoburskiego, chociaż go nie zna, ale żąda, aby to życzenie król francuski wypowiedział Marysieńce, ona bowiem posiada pełnomocnictwa, które jej pozwalają zaciągać zobowiązania. Wkońcu całkiem traci głowę i, wpadając w śmieszność, domaga się od Bonzy'ego opactwa dla swego szwagra.

Oto do jakiego stopnia zapominał się Sobieski i jak liczył się z życzeniami Marji Kazimiery. Najwpływowszy mąż w Polsce, pierwszy jej obywatel nie

wyliczał żadnych warunków, które za oddanie tronu mogła stawiać Rzeczpospolita, nie żądał nic dla kraju i chociaż nie znał kandydata, godził się na niego, byle w myśl starań Marysieńki nasycić chciwość łapczywego szwagra. Trudno było za mniejszą cenę oddawać koronę Jagiellonów! Był-że istotnie tak lekko-myślny? Nie. Sobieski popełniał coś gorszego: umywał ręce i decyzję całkowicie pozostawiał żonie. Najlepszym dowodem, że tak a nieinaczej traktował całą sprawę, jest list, wysłany do Marji Kazimiery, po rozmowie z Bonzy'm. W liście tym pisze: „Celadon (to jest sam Sobieski) wcale w niwco wdawać się nie będzie, czekając na rezolucję bukietową (t. j. Marji Kazimiery), któremu to cale daje w moc”. I prosił, by Marja Kazimiera donosiła mu tylko o tem, co się stanie, a czyniła sama jako „najlepiej rozumie...” W taki to sposób zaprzepaszczał Sobieski zdobytą sławę i wielką swą popularność. A Marja Kazimiera w dalszym ciągu naprzykrzała się nielubiącemu jej rodziny Ludwikowi XIV i mąciła wodę w Paryżu.

Tymczasem w Polsce zaszedł zdawna oczekiwany wypadek: dnia 16 września 1668 roku Jan Kazimierz, zgodnie ze swoją zapowiedzią, złożył koronę w ręce zebranych na sejm walny przedstawicieli narodu. Było to ostatnie wystąpienie nieszczęsnego Wazy, które nie wywołało hałasów i nie powiększyło liczby jego wrogów. Sterany, zgnębiony, opuszczał tron polski, aby prawie rok jeszcze tulać się po kraju, a wkońcu wyjechać do Francji, gdzie po trzech latach dewocji, urozmaicanej miłosnemi awanturkami i polowaniem, zakończył swe burzliwe życie. *)

*) Jan Kazimierz zmarł dnia 16 grudnia 1672 r. w Nevers.



*Marja Kazimiera, według współczesnego portretu niewiadomego malarza
w zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie.*

Nazajutrz po abdykacji króla prymas Prażmowski ogłosił bezkrólewie.

Przed Sobieskim znowu otwierało się pole do odegrania przodowniczej roli. Nie myślał sam ubiegać się o koronę, choć wszystko świadczyło, że przez ogół szlachecki przyjęty byłby z entuzjazmem. Ale mógł, jak to w swoim czasie uczynił Jan Zamoyski, wskazać kandydata i w tłumy szlachty rzucić hasło, któreby zespoliło umysły. Okazało się przecieź, że wtedy, gdy wszyscy oglądali się na Sobieskiego, on nic nie miał do powiedzenia i nie myślał występować z inicjatywą. Sobieski milczał. A milczał dlatego, że chciał przedtem porozumieć się z Marją Kazimierą, która opuściła Paryż i wracała nareszcie do kraju. Porzucił więc Warszawę i, niwecząc cały swój wpływ, wyruszył aż do Gdańska na spotkanie żony i niewidzianego jeszcze syna Jakóba. Sejm konwokacyjny wyznaczony był na 5 listopada 1668 roku, ale Sobieski, choć piastował urząd marszałka wielkiego koronnego, usunął się z widowni i dopiero 23 listopada zjawił się razem z Marją Kazimierą w stolicy, gdzie rozgorzały już namiętności i kandydaci do tronu zdążyli rozsunąć intrygi, by pokrzyżować zabiegi swych przeciwników.

Stronnictwo francuskie, do którego prócz obojga Sobieskich należeli prymas Prażmowski, Andrzej Morsztyn, wojewoda Stanisław Jabłonowski, pokłóćeni z Sobieskim Pacowie i wielu innych możnych panów, popierało Kondusza. Za księciem Neoburskim wypowiedzieli się Radziwiłłowie: głośny ze swych zdrad, intryg i knowań ks. Bogusław i ks. Michał, hetman polny litewski, a przechylał się na stronę tej kandydatury i hetman polny koronny, ks. Dymitr Wiśniowiecki. Dwór cesarski działał na rzecz ks. Karola Lotaryń-

skiego. Przypominał się i car, a przypominał się w sposób szczególny: oficjalnie nie zgłaszał ani swojej kandydatury, ani swego syna, lecz 80.000 wojska zgromadził na granicy Litwy. Rozpętały się intrygi, zaczęło się sondowanie szlachty i zabiegi o jej głosy. Ale masa szlachecka nieufnie słuchała podszeptów. Pomna intryg Ludwika Marji, wypowiadała się stanowczo przeciw Kondeuszowi i coraz głośniej piorunowała na przekupstwa i konszachty senatorów z dworami cudzoziemskimi. Wobec takiej postawy szlachty wynik zabiegów był pełen niepokojących zagadek.

Dnia 5 listopada 1668 r., a więc przed przyjazdem Sobieskich do Warszawy, wyjaśniła się nieco sytuacja: stronnictwo francuskie poniosło klęskę i to klęskę stanowczą. Dnia tego biskup poznański Stefan Wierzbowski oświadczył wobec zgromadzonych stanów, iż wiadomo mu od jednego z biskupów, że prymas za popieranie Kondeusza otrzymał 80.000 talarów. Obruszył się Prażmowski, wołał, że nikt mu tego nie dowiedzie, wreszcie wstał z miejsca i chciał opuścić zgromadzenie. Zatrzymano go i nie dopuszczono do zerwania konwokacji. Ale wyrzekania na zaprzędawanie się senatorów obcym panom stawały się coraz głośniejsze. Kilka dni upłynęło na sporach, kłótniach i radach, w jaki sposób zapobiec szerzącej się klęsce intryg cudzoziemskich i przekupstw. Wreszcie powzięto niezwykłą, a jedyną w swoim rodzaju uchwałę. Oto uchwalono rotę przysięgi, którą wszyscy senatorowie i posłowie zmuszeni byli wykonać, a która obowiązywała do wyrzeczenia się kandydata, od którego przysięgający otrzymał kiedykolwiek pieniądze lub obietnicę wynagrodzenia.

Sobieski, jako marszałek wielki koronny musiał przyjąć przysięgę od dygnitarzy państwowych i sam przysięgę złożył.

Mogło się zdawać, że kandydatura księcia Kondeusza otrzymała cios stanowczy. Tak jednak nie było. Ambasador Bonzy, który opuścił stolicę, ale na wieść o wypadkach w Warszawie przyjechał do Gdańska, twierdził z całym cynizmem, że przysięgali tylko mężczyźni, ale nie kobiety, wobec czego żony mogą brać dla swych mężów pieniądze. I prymas Prażmowski starał się wytłumaczyć Sobieskiemu, że przysięga nie jest ważna, jako że pod grozą przemocy została narzucona. Ale Sobieski nie dał się przekonać i, pomimo nalegań stronników Kondeusza, nie chciał podpisać wiążącej go umowy. Wprawdzie godził się podjąć na sejmikach województwa ruskiego starania, by przysięga jawnie i legalnie została unieważniona, ale podkreślał, że dopóki to się nie stanie, nie będzie gwałcił swego sumienia. Zwrócono się do Marji Kazimiery, która nie podzielała skrupułów męża i podjęła się przełamać jego upór. Ale tym razem spotkał ją zawód. Hetman odparł zwycięsko wszystkie szturmy Marysieńki i z całą energją oświadczył na jej nalegania, że raczej rękę pozwoliby sobie odrywać, niż podpisać umowę, przeczącą złożonej przysiędze.

Pomimo tej stanowczości Marja Kazimiera nie dała za wygraną.

Po wyjeździe wraz z mężem z Warszawy prowadziła w dalszym ciągu konszachty na rzecz kandydata francuskiego, a w Żółkwi podejmowała wysłańca ks. Kondeusza, opata Courtois. Sobieski badał opinię sejmików, lecz postawa szlachty nigdzie nie rokowała

nadziei, by uchwałę sejmu konwokacyjnego w sprawie przysięgi można było legalną drogą skasować. Więc nie chciał słyszeć o żadnych zobowiązaniach. Wtedy ponownie starano się go ująć świetną perspektywą łaski Ludwika XIV. Za zapewnienie tronu Kondeuszowi, lub jego synowi król francuski ofiarowywał hetmanowi 600.000 liwrów, rangę marszałka Francji, tytuł księcia-para, order św. Ducha i odpowiedni tym zaszczytom pałac w Paryżu. I znowu Marja Kazimiera użyła wszystkich swych sposobów, by skłonić męża do uległości. Ale mimo łez, zaklęć, próśb i wyrzutów, Sobieski nie dał się złamać i po raz drugi wyszedł zwycięsko z haniebnej zasadzki, którą zastawiła na niego ubóstwiana nad życie Marysieńka.

Tymczasem zbliżał się sejm elekcyjny, wyznaczony na dzień 2 maja 1669 roku.

Olbrzymie tłumy płynęły ze wszystkich stron ku Warszawie.

Jechano zbrojno, a możni panowie rywalizowali z sobą świetnością i liczbą towarzyszących im orszaków. Obaj Radziwiłłowie: Bogusław i Michał, Pacowie, Dymitr Wiśniowiecki, Połubiński prowadzili ze sobą prócz dworzan husarję, dragonję, rajtarję, piechotę, jakby się przygotowywali do stoczenia bitwy. Dnia 4 maja wjechał Sobieski, a dwór jego był tak wspaniały, że nawet cudzoziemcy do monarszych dworów porównywali jego świetny orszak. Kilkanaście tysięcy zbrojnych żołnierzy pod chorągwiami znalazło się pod Warszawą: mimo największych wysiłków nie mógł tyle wojska zgromadzić Sobieski przed rokiem przeciw wrogowi Rzeczypospolitej.

I znowu rozpoczęły się intrygi na rzecz Kondeusza, a prymas Prażmowski stanął na czele partji fran-

cuskiej i z wrodzonym sobie kręactwem prowadził sprawę. Marja Kazimiera czyniła ze swej strony wszystko, aby wciągnąć męża do hazardownego przedsięwzięcia. A pod wpływem nieustannych nalegań zachwiał się Sobieski. Wraz z prymasem, Pacem i Morstynem zgodził się, według relacyj francuskich, związać konfederację na rzecz Kondeusza, a nawet uciec się do gwałtu, jeżeli Ludwik XIV zobowiąże się nie opuścić swoich stronników w razie niepowodzenia. Prażmowski zjednał dla tego planu trzydziestu wpływowych panów.

Na szczęście dla kraju i dla Sobieskiego, postawa szlachty udaremniła przygotowywany zamach. Wieść o konszachtach stronników Kondeusza rozniosła się wśród tłumów i wywołała najżywsze oburzenie. Szczególnie unosili się gniewem Sandomierzanie, którym przywodzili posłowie Dębicki i Pękosławski. Dnia 28 maja ten ostatni udał się z deputacją do ustawionej na polu elekcyjnym szopy i wobec senatu oskarżał prymasa o nielegalne działanie. Prażmowski wykłamał się tym razem, ale nie zażegnał burzy. Dnia 6 czerwca olbrzymi tłum szlachty popłynął ku szopie i, groźnie hałasując, domagał się wykreślenia Kondeusza z liczby kandydatów do tronu.

Pod naciskiem oburzonego tłumu zmuszeni byli senatorowie przystąpić kolejno do wotowania.

Pierwszy powstał prymas Prażmowski i dowcipnie omawiając różne materje, starał się nie dotknąć drażliwego tematu. Ale szlachta nie dała się oszukać. Powstała wrzawa, zaczęły się krzyki na prymasa, by mówił do rzeczy. Ułakł się chytry intrygant i, przyparty do muru, oświadczył, że nie ma zobowiązań względem żadnego kandydata, a każdy, przeciwko ko-

mu wypowie się choćby jeden szlachcic, i w jego, prymasa oczach będzie wykluczony.

Pomrukiem niechęci przyjęto to wykrętne oświadczenie.

Zkolei za wykluczeniem Kondeusza wypowiedział się biskup krakowski.

Powstał następnie cieszący się dużą popularnością wśród szlachty biskup kujawski ks. Florjan Czartoryski i rzekł uroczyście:

— „Głos ludu jest głosem Boga. Kogo lud wyklucza, tego i ja mam za wykluczonego...”

Słowa te wywarły ogromny efekt. Zachwiali się inni senatorowie, zamierzający mówić przeciw wnioskowi. A ktokolwiek wahał się i nie wypowiadał się dość wyraźnie, ten wywoływał tak nienawistne okrzyki, że wkońcu cofał się i oddawał głos za wykluczeniem Kondeusza.

Ostatni przemawiał Sobieski.

Doniedawna najpopularniejszy w Polsce obywatel, słuchany był podejrzliwie, bo i jego udział w intrydze na rzecz kandydatury francuskiej nie był tajemnicą. Ale Sobieski nie myślał kruszyć kopji za sprawę już najwyraźniej przegraną. Więc by zgody nie naruszać, oddał swój głos za wyłączeniem Francuza, zastrzegając się przecieź, aby sprawy wykluczenia nie ponawiano względem innych kandydatów.

W ten sposób upadła ostatecznie kandydatura ks. Kondeusza.

Sobieski znowu nie pomyślał o wzięciu w swe ręce inicjatywy. Zato Marja Kazimiera nie przestała się krzątać i szukać wyjścia z przykrej sytuacji. Pragnęła unicestwić uchwałę przez zerwanie sejmu i usiłowała wymóc ten krok na Sobieskim. Ale hetman oparł się

namowom i nowa intryga spelzła na niczem. Wtedy Marysieńka, pamiętna na zyski, zaczęła porozumiewać się z posłem ks. Karola Lotaryńskiego, Chavagnac'em, a później szukać drogi do zdobycia względów ks. Neoburskiego. Tymczasem nadszedł dzień 17 czerwca, wyznaczony na termin elekcji. Oburzenie tłumu na senatorów potęgowało się z każdą chwilą. Na wzmiankę o Kondeuszu szlachcic z województwa łęczyckiego zawołał:

— Nie odzywajcie się Konduszowie, bo tu będą kule koło łba latały!

I zaczęto palić z pistoletów do szopy. Hukowi wystrzałów towarzyszyły nienawistne pod adresem senatorów okrzyki:

— Zdrajcy! wytniemy was! nie wypuścimy was stąd!

— Darmo mieszacie Rzeczpospolitą!

— Inszych senatorów ustanowimy!

— Z pośród koła sobie króla obierzemy, jakiego nam Pan Bóg poda do serca!

Ogromne zamieszanie zapanowało w szopie!

„Senatorowie, — opowiada p. Pasek, — z miejsc w nogi, między karety, pod krzesła, rozruch, tumult!” Odważniejszego serca wojewodowie, a także Sobieski starali się uspokoić szlachtę i perswazjami zapobiegli dalszej strzelaninie.

Nazajutrz senatorowie, wezwani przez prymasa, zebraли się od samego rana, nie w szopie jednak, lecz na zamku. Odgrążali się, że nie pojedą na pole elekcyjne, dopóki nie będą mieli rękojmi, że nic nie grozi ich bezpieczeństwu. Sobieski na życzenie Prażmowskiego rozesłał listy do województw, ale listów hetmańskich nie chciano nawet przyjąć. Bohaterski wódz

nie miał już zaufania braci szlacheckiej: wielką swą u narodu popularność zaprzepaścił udziałem w intrygach, do których wciągnęła go Marja Kazimiera.

Nadszedł dzień 19 czerwca (1669 r.) i zadał ostateczny cios wszystkim matactwom tak zagranicznych dyplomatów, jak możliwych panów polskich. Podniecona szlachta nie chciała słyszeć o cudzoziemcach. Zaczęto tu i ówdzie mówić o obiorze Piasta, czyli rodaka, a słowo to stało się iskrą, która zapaliła zgromadzone prochy.

Najpierw szlachta województwa sandomierskiego zaczęła wnosić okrzyki:

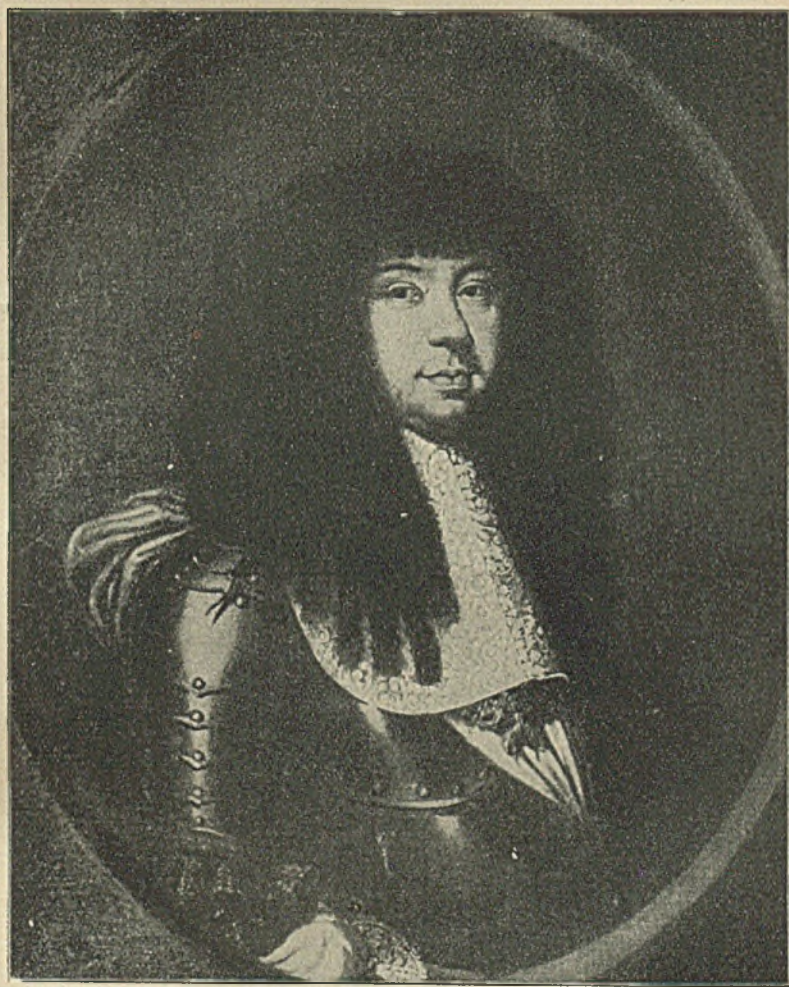
— Vivat Piast!

Inne województwa nie wiedziały o co chodzi, ale rzucone hasło wszystkim trafiło do przekonania. Całe pole elekcyjne rozbrzmiało niebawem ogromnym okrzykiem:

— Vivat Piast! Niech żyje Piast!..

Wtedy to, prawdopodobnie za sprawą podkanclerzego biskupa Olszowskiego, w rozgorączkowane tłumy padło nazwisko ks. Michała Korybuta Wiśniowieckiego. Młody, lat 28 liczący książę, mało komu był znany. Nie odznaczył się niczem, fortuny nie posiadał, prezentował się nieszczególnie. Ale miał głośne w Rzeczypospolitej nazwisko, a był synem nieżyjącego księcia Jeremiego, który zasłynął, jako okrutny pogromca Kozaków, wślawił się bohaterską obroną Zbaraża i dzielnością w wiekopomnej bitwie pod Beresteczkiem. Jako wojownik wielką popularnością cieszył się Jeremi. Rycerskiej szlachcie odrazu przypadł do serca syn znakomitego wodza.

Prócz podkanclerzego Olszowskiego, który w swej broszurze: *Censura candidatorum*, omawiając preten-



*Michał Wiśniowiecki, według portretu w zbiorach Muzeum Narodowego
w Warszawie.*

dentów do tronu, rzucił nazwisko Michała Wiśniowieckiego, nikomu z panów kandydatura ta nie powstała w głowie. Nikt się z nią nie liczył i nikt jej nie zwalczał. Może też dlatego przyjęta została odrazu. Szlachta doskonale zdawała sobie sprawę, że takim wyborem niweczy wszystkie intrygi i cios straszliwy zadaje senatorom. Z ust do ust podawano sobie nazwisko Wiśniowieckiego, a z wyjątkiem stawiających pewien opór Litwinów, których podburzali Pacowie, wszędzie witano je z zapalem. Tłum hałasował, szumiał, aż wielkie uniesienie ogarnęło masy. Z kilkudziesięciu tysięcy piersi wyrwał się potężny okrzyk i przeleciał z krańców w krańce pola elekcyjnego:

— Niech żyje Michał król!

I szlachta, uradowana swym wyborem, dokonany przeciw woli osłupiałych senatorów, pochwyciła znajdującego się między Sandomierzanami księcia i wśród niemilknących wiwatów wprowadziła go do koła jeneralnego. Zdumiony Michał bronił się, wypraszał, ale entuzjazm rósł, huczał, szalał. Nikt już nie śmiał stawić oporu. Postawa tłumów miała w sobie tyle zdecydowanej woli i energii, że ktoby w tej chwili usiłował sprzeciwić się wyborowi Wiśniowieckiego, własną głową zapłaciłby niechybnie swój protest. W triumfalnym upojeniu szlachty spaliły się na popiół wszystkie matactwa dworów zagranicznych, wszystkie zabiegi, machinacje i nadzieje magnatów.

Haniebną porażkę ponieśli przekupni panowie, największa klęska spotkała senatorów.

Prymas Prażmowski i Sobieski nie byli obecni na polu elekcyjnym. Nie wiedzieli, co począć i jak się zachować. A tymczasem alarmowano ich nieustannie, by przyjeżdżali czem prędzej, wkońcu zagrożono pry-

masowi, że się bez niego ceremonia obejdzie. Wtedy dopiero uległ Prażmowski. Przyjechał wraz z Sobieskim — i obaj spełnili swój obowiązek. Prymas objeżdżał województwa i pytał, czy wszyscy zgadzają się na wybór Michała. Entuzjastyczne okrzyki szlachty odpowiadały mu na to pytanie. Więc wróciwszy do koła, odśpiewał *Te Deum* i sam wniósł okrzyk na cześć nowego króla. Zagrzmiały działa, szlachta porwała się do pistoletów i strzelać zaczęła na wiwat. A marszałek wielki koronny Sobieski i marszałek koła rycerskiego Potocki, podniósłszy do góry swe laski, obwoływali w bramach okopu wybór nowego króla.

W grzyby runęły wszystkie plany Marji Kazimiery. Nikt tak nie odczuł tej klęski, jak ona, a nic więcej nie bolało Sobieskiego, jak zawody i zmartwienia jego ubóstwianej żony.

Ciemne chmury zaczęły się gromadzić nad głową nowoobranego króla.

V. WALKA Z KRÓLEM MICHAŁEM.—
ZWYCIĘSTWA SOBIESKIEGO W ROKU
1671.— WYPRAWA NA CZAMBULY TA-
TARSKIE W ROKU 1672.



ichał Wiśniowiecki nie był królem, któryby umiał wykorzystać okazane mu zaufanie masy szlacheckiej, wykuć z tego zaufania oręż przeciw wicherzącym panom i nakazać im dla siebie szacunek. Skromny magnat, żyjący resztkami postradanej przez ojca olbrzymiej fortuny na Zadnieprzu, nie mający zasług, nie piastujący żadnego urzędu, kaprysem losu wyniesiony na najwyższą godność, trwożliwym krokiem wstępował na stopnie tronu Jagiellonów, z poczuciem własnej niemocy przyjmował koronę, którą entuzjazm szlachty wkładał mu na głowę. Podobno Jan Kazimierz, dowiedziawszy się o wyborze Michała, zawołał ze zdumieniem: „Co? wybrano tego nieboraka?!”

Był to istotnie król nieborak, stworzenie biedne, zahukane, a już w najwyższym stopniu nieporadne. Leniwy, ociężały, małostkowy, słabego umysłu, bez woli i charakteru, bez idei i szerszego poglądu na

sprawy Rzeczypospolitej, był podobno wymowny, ale i tego daru nie umiał używać. Osaczony na wstępie swego panowania intrygami i zawiścią zawiedzionych magnatów, szedł za radą i wskazaniem podkancle-rzego Olszowskiego, który szczerze mu służył, ale po pewnym czasie zniechęcił się do tego wybrańca szlachty i, widząc jego nieudolność, z trwogą myślał o losach kraju, którego władza najwyższa spoczęła w tak słabych i nieporadnych rękach.

Sobieski nie lubił Wiśniowieckich, żywił głębokie pretensje do matki króla Gryzeldy z powodu jej stosunku do Marji Kazimiery i zatargów o spadek po jej bracie Zamoyskim, pierwszym mężu Marysieńki, był najgorzej usposobiony dla hetmana polnego ks. Dymitra, a samego Michała uważał za głupca i niedołęgę. Nie taił też swej pogardy dla nowego króla, a powodowany wielkiem niezadowoleniem z powodu dokonanego wyboru, omal nie przyczynił się do zerwania sejmu elekcyjnego. Opamiętał się przecież i wziął później udział w uroczystościach koronacyjnych w Krakowie. Przy wjeździe do miasta jechał przed królem z gołą szablą, a w czasie ceremonji na ryku niósł berło, gdy ks. Dymitr szedł z jabłkiem, zaś wojewoda sandomierski Tarło — z koroną. Nie wyzbył się przecież swoich do nowego króla niechęci i nie przestał go uważać za niegodnego tronu. A że był magnatem i to magnatem polskim, więc nie umiał utrzymać tej niechęci w przyzwoitych karbach, nie znalazł w sobie dość mocy, by nie przekroczyć prawa i w walce z królem nie zapomnieć o tem, że ponad wszystkiem góruje interes Rzeczypospolitej.

Pod złą wróżbą zaczynało się panowanie Michała.

Nieznany dotąd przykład sejm koronacyjny, mający stanowić o wielu ważnych sprawach i wielu gwałtownych potrzebach, został zerwany, a nowy król nie umiał zaradzić nieszczęściu. Zaraz też podniosła głowę intryga i stronnictwo francuskie z prymasem Prażmowskim na czele rozpoczęło pracę, by świeżo ukoronowanemu królowi zedrzeć koronę, a następnie osadzić na tronie Francuza. Wobec znienawidzonego w kraju ks. Kondeusza, dyplomacja francuska wysunęła kandydaturę jego siostrzeńca, ks. Longueville, a prymas i jego wspólnicy i tę kandydaturę przyjęli z zapalem. W nowej intrydze usilnie pomagali Prażmowskiemu kasztelan Grzymułtowski i podskarbi Morzstyn. Nie była ta intryga obca i Sobieskiemu, a zwłaszcza Marji Kazimierze, która w maju 1670 roku ku największemu zmartwieniu swego małżonka wyjechała znowu do Paryża, by kołatać do łask Ludwika XIV i ze stolicy Francji kierować krokami hetmana.

Michał Wiśniowiecki był najniedołężniejszym z królów, ale gdy zasiadł na tronie, to chciał na nim siedzieć. A wiedział dobrze, co mu grozi ze strony obozu francuskiego w Polsce. Więc szukał przeciwwagi, a szukał jej nie w kraju, nie w masach szlacheckich, lecz na obcym dworze, oczywiście na dworze cesarskim, wrogim Ludwikowi XIV i Francji. W Wiedniu z największym zadowoleniem powitano ten nowy kurs dworu warszawskiego i, zgodnie z tradycyjną polityką Habsburgów, przez więzy małżeńskie starano się utrwalić swe wpływy w Rzeczypospolitej. Podkanclerzy Olszowski wyjechał do Wiednia i z łatwością uzyskał dla króla rękę arcyksiężniczki Eleonory Marji, siostry cesarza Leopolda. Wiadomość o zamierzonym małżeństwie wywołała protesty, hałasy i krzyki, ale arcy-

księżniczka przyjechała wkrótce do Polski w towarzystwie cesarzowej matki i dnia 27 lutego 1670 roku ślub pary królewskiej odbył się w Częstochowie.

W ten sposób w życiu polskiem znowu walczyły ze sobą zaczęły dwa wpływy: francuski i cesarski. Rzeczpospolita stawiała się igraszką stronnictw, z których każde słuchało podszeptów i czerpało natchnienia u obcego dworu, a nie umiało znaleźć własnej drogi i wykorzystać położenia; w jakim znajdowała się Polska, by pchnąć ją na gościniec samodzielności, wzmocnić jej powagę i znaczenie w świecie.

Sobieski, powróciwszy po koronacji na Ruś Czerwoną, a oddaliwszy się od intryg i knowań przeciw królowi, całą uwagę poświęcił sprawie obrony granic i zaniedbanej przez sejm Ukrainie, gdzie wicherzył sprzymierzony z wrogami Polski Doroszeńko.

Ten niespokojny, a pełen nienasyconych ambicji wódz kozacki za nic miał wszystkie przyrzeczenia i przysięgi, każdego gotów był zdradzić i z każdym się sprzymierzyć. Jeszcze przed zaprzysiężeniem pod Podhajcami wierności Rzeczypospolitej powziął on zamiar odebrania Moskwie przynależnego jej, na mocy traktatu andruszowskiego, Zadnieprza i zjednoczenia całej Ukrainy pod swą władzą. Udało mu się skłonić do buntu przeciw carowi Bruchowieckiego, hetmana kozackiego na Zadnieprzu z ramienia cara, a następnie gdy Bruchowiecki przez czerń został zamordowany, wypłoszyć przy pomocy Tatarów wojska carskie i stać się panem Ukrainy po obu brzegach Dniepru. Nie trwało długo to panowanie. Przeciw Doroszeńce wystąpił ataman Mnohohriszny, mianowany przez cara hetmanem, a na Siczy powstał pisarz kozowy Suchowiej i ogłosił się hetmanem z ramienia

chana. Powstała straszna zawierucha. Doroszeńko utracił Zadnieprze, a ratując swą władzę na Ukrainie prawobrzeżnej, poddał się sułtanowi. Porta przyjęła wiarołomnego Kozaka pod swoją protekcję i zapewniła mu pomoc Tatarów. Ale przeciw oddaniu Ukrainy w poddaństwo tureckie wystąpił pułkownik humański Michał Haneńko i ruszył przeciw Doroszeńce. Pobity pod Steblowem, uciekł na Sicz, nie uznał przecież władzy zwycięzcy i, wicherząc na własną rękę, szukał pomocy przeciw swemu wrogowi, a szukał w sposób wdzom kozackim właściwy: w tajemnicy przed Polakami udawał się do łaski carskiej, a w tajemnicy przed Moskalami grał rolę najserdeczniejszego przyjaciela Polaków.

Pod Podhajcami Doroszeńko zaprzysiął wierność Rzeczypospolitej i raz na zawsze wyrzekł się szukania protekcji u innych monarchów. Gdy przecież w maju 1670 roku komisarze Rzeczypospolitej zjechali do Ostroga, by zawrzeć z nim układ, Doroszeńko hardo podniósł głowę i ze swej strony postawił niemożliwe do przyjęcia, a wręcz uwłaczające godności Rzeczypospolitej warunki. Oto żądał on ni mniej, ni więcej, tylko przyłączenia do Ukrainy części Polesia, Wołyń i Podola, a domagał się, by na całym utworzonym w ten sposób obszarze Polacy nie mogli posiadać ziemi, ani nawet zamieszkiwać, ani wprowadzać wojska swego inaczej, jak na wezwanie hetmana zaporoskiego, któremu też w razie wojny podlegałby musieli hetmani polscy.

Wobec bezczelności tych żądań Doroszeńko ogłoszony został zdrajcą, a buława hetmańska oddana Haneńce.

Sobieski doskonale zdawał sobie sprawę z moralnej wartości tak przewrotnego człeka, jak Doroszeńko, ale żądań jego nie traktował serjo, a ze względu na Turcję był przeciwny doprowadzeniu Doroszeńki do ostateczności.

W liście do biskupa Trzebickiego, pisany w początkach 1671 roku, wyjaśnił swój pogląd na tę sprawę.

— „Doroszeńka i Kozaków, — pisał, — bo w ich ręku Ukraina i nasze substancje, do czasu jeszcze głaskać, komisję znowu dać, nadzieję łaski czynić, a nie do desperacji ich przywozić, bo ktoś jest szalony wtenczas z Ukrainą zaczynać wojnę, kiedy cesarz turecki, który ich wziął w swoją protekcję, dotąd się w swych nie determinował imprezach”.

I przypominając słabość Polski, tak pisał o sułtanie:

— „A wzdyc to wszystkim świat przed nim drży!.. A wzdyc my to przez tak wiele lat samych Kozaków z Tatarami tak wielkimi, jakie miewała Rzeczpospolita, nie mogliśmy zwojować wojskami, a teraz jako ich zwojujemy, gdy im Turcy grzbiet trzymać będą? Głaskać dla Boga wszystkich, a czekać, dokąd się ich obróca zamysły. Jeśli do Persji, albo w domu jeśli się im jakie urodzi zamieszanie, o! natenczas nie opuszczać okazji. Ale tak ślepym impetem wdać się w wojnę turecką, która była od wieków i jest wszystkiemu światu straszna, nie widzę, aby to z rozumem zdrowym zgodzić się mogło!”

I przestrzegał przed nadziejami na nowe zaciągi, z doświadczenia wiedząc, jak się pomnożenie sił zbrojnych w Rzeczypospolitej odbywa, jak to sejmiki wypełniają uchwały walnego sejmku.

— „Co się zaś tknie tych nowych zaciągów, owoc będzie taki: naprzód się sejmików kilka albo kilkanaście zerwie; drugie: województwa i powiaty zmniejszą sobie tych ludzi liczbę, jako to już uczyniło województwo ruskie, ziemia chełmińska etc...”

Miał więc Sobieski poczucie ogromnego niebezpieczeństwa, jakie grozi Polsce ze strony Turcji i uważał, że uczynić należy wszystko, by tę wojnę odwlec do właściwszego czasu. A obawy jego były tem słuszniejsze, że siły i energja narodu spalały się w walce wewnętrznej i to w walce nie o idee, ale w walce, w której bronią były podejrzenia, insynuacje, wzajemne doszukiwanie się win i błędów, a podłożem intryga. Dwa sejmy 1670 roku były wybuchami namiętności dwóch obozów, oskarżających się wzajem o przestępstwa i zbrodnie.

Sobieski, znajdując się przy wojsku, stał tym razem zdala od waśni, rozdzierających Rzeczpospolitą, ale już na pierwszym sejmie, acz nieobecny, nie uniknął najstraszliwszych zarzutów. Wiedziano dobrze, że głęboką niechęć żywi do króla, że jest jednym z filarów stronnictwa francuskiego, że żona jego bawi w Paryżu. Były więc podstawy do pomawiania go o udział w intrygach przeciw Michałowi i o porozumiewanie się z księciem Longueville'm. Ale zawziętość przeciw hetmanowi była tak wielka, że nie porzeczono na tych zarzutach, lecz zaczęto oskarżać go o konszachty z Tatarami na szkodę Rzeczypospolitej. Oburzył się Sobieski i na oszczerstwa te odpowiedział pismem okólnem do sejmików, zwalczając oszczerstwa, czyniące go, jak się wyraził „ojcobójcą ojczyzny”.

Ale nie przekonał swem pismem nieprzyjaciół.

W maju 1670 r. na sejmiku relacyjnym w Środzie szlachta napadła na kasztelana Grzymułtowskiego, który wraz z Morsztynem najgorliwiej pomagał prymasowi w intrygach. Grzymułtowski chciał się tłumaczyć, ale roznamiętniona szlachta dobyła szabel, rzuciła się na kasztelana i tak go porąbała, że zemdlony i zalany krwią a ledwie żywy z miejsca obrad został wyniesiony. Tenże sejmik uchwalił żądać postawienia Morsztyna i Grzymułtowskiego przed sądem sejmowym, a w stosunku do Sobieskiego również okazał najwyższą nieufność. Gdy odczytywano jego pismo okólne, słuchacze wnosili nienawistne okrzyki i wrogiem ojczyzny nazywali hetmana. Uchwalono przesłać królowi oświadczenie, że województwa wielkopolskie gotowe są ruszyć popolitem ruszeniem i skonfederować się przy nim, że jednak nie ufają Sobieskiemu i nie chcą, by buława wielka nadal w jego rękach pozostawała.

A sejmik sieradzki żądał, aby Sobieski, „folgując zdrowiu swemu”, złożył dostojeństwo hetmańskie i przestał się zajmować sprawami wojskowemi.

W całym kraju rosło oburzenie na hetmana.

Ukazywały się coraz częściej skierowane przeciw niemu pisemka złośliwe, jadowite, pisane żółcią i nienawiścią. Głoszono, że wojsko chce go odstąpić, a jednocześnie podburzano ryceństwo przeciw wodzowi. Ale ta agitacja całkiem się nie udała. We wrześniu 1670 roku w obozie pod Trębowłą 3.000 oficerów i towarzyszy zebranych w koło, jednomyślnie uchwiliło stawać w obronie hetmana do ostatniej kropli krwi i entuzjastycznymi na jego cześć wiatami manifestowało swoją solidarność ze sławnym zwycięzcą. Za głównego sprawcę intryg przeciw Sobieskiemu oraz

za autora uchwalonej w Sieradzu instrukcji uchodził podkanclerzy biskup Olszowski. Więc zgromadzone rycerstwo uchwaliło przesłać Olszowskiemu odpowiedź na ową instrukcję. Jakoż zredagowano list bardzo uszczypliwy. Dowodząc w tym liście, że ksiądz podkanclerzy wielce się sfatygował, jadąc jako swat aż do Wiednia po żonę dla króla, że nadszarpał swe zdrowie, trzymając wiele opactw, dzierżaw, probostw i starostw, prosiło go rycerstwo, aby, „folgując zdrowiu swemu”, złożył piastowaną pieczęć podkanclerską, „a jechał i rezydował w biskupstwie swem chełmińskim i tam, aby pasł owce swoje według powinności kapłańskiej”.

Nadaremnie Sobieski prosił, aby tego nie pisano. Rycerstwo nie chciało ustąpić. Aby zaś dać dowód, jak go ceni, w pierwszym punkcie instrukcji, danej wybranym przez siebie 12 posłom na sejm do Warszawy, upominało się o powagę hetmana i protestowało przeciw wyrządzanym wodzowi swemu zniewagom.

— „Gdy się to tedy skończyło, — pisał Sobieski, — widząc ja całego wojska tak wielki ku sobie afekt i niespodziewany, chciałem im podziękować. Ale mówić nie mogłem, bo mi żal tak ścisnął serce i rzucił mi się płacz (co mi się nigdy nie przydało), żem mówić nie mogłem. Który tak poruszył wojsko, że wszyscy a wszyscy, jak białogłowy płakali. Krzyknęli przy tem wszyscy, wzięwszy się za szable, że mi krzywdy czynić nie dopuszczą i pomrą przy mnie. Tak się tedy to skończyło koło...”

Drugi zkolei sejm 1670 roku był równie burzliwy, jak pierwszy. Posłowie wojskowi wpadli w wir intryg, plotek, podejrzeń, mocno przecież stawali w obronie

czci hetmana i przekonali jego nieprzyjaciół, że wszelka agitacja w wojsku przeciw zwycięskiemu wodzowi podnosi tylko jego urok i wzmaga ku niemu przywiązanie rycerstwa. Sejm ten pomimo krzyków, hałasów, grożących codziennie zerwaniem obrad, dobrnął do końca, przyzwolił na zwołanie pospolitego ruszenia i ze względu na niebezpieczeństwa, grożące ze strony Turków, Tatarów i Kozaków, uchwalił podnieść komput wojska o 12.000 ludzi. Była to doniosła uchwała, ale jej wartość rzeczywistą dobrze scharakteryzował Sobieski w znanym już liście do biskupa Trzebieckiego.

W maju 1671 roku, po półtorarocznej nieobecności w Warszawie, wybrał się Sobieski na ślub swej siostrzenicy Ostrogskiej z księciem Dymitrem Wiśniowieckim oraz na wyznaczoną w tymże miesiącu radę wojenną. Małżeństwo to przyczyniło się na pewien czas do przyjaźniejszych między hetmanem a dworem stosunków. Oboje królestwo okazywali Sobieskiemu wiele uprzejmości, a i on sam chwalił sobie w listach do żony postępowanie Michała, a już wręcz z uwielbieniem i nie bez przejrzystych aluzji wyrażał się o królowej, jako o dobrej, czulej i posłusznej swemu mężowi małżonce.

Lecz wzajemna nieufność trwała w dalszym ciągu, a choć Sobieski w owej chwili szczerze zbliżył się do króla, nie rozwiązał w nim podejrzeń, uzasadnionych postępowaniem i metodami walki stronnictwa francuskiego. Okazało się to wymownie na radzie wojennej. Pomimo wiszącej nad Polską wojny, król nie sprzyjał uchwale, podnoszącej wojsko o 12.000 ludzi i ze swej strony kładł nacisk na zwołanie pospolitego ruszenia. Król-nieborak dobrze wiedział, że pospoli-

łacy murem stać będą za nim, a zwiększenie wojska powiększy siły hetmana. W taki sam sposób rozmawiały sejmiki — i ważna a doniosła uchwała sejmowa nie została wykonana. Tak więc skutkiem walki stronnictw granice Rzeczypospolitej stanęły otworem dla najazdu Turków i Tatarów. Wobec tego rada wojenna niewiele przyniosła korzyści. W myśl propozycji Sobieskiego stanęło na tem, że pospolite ruszenie zbierać się będzie pod Lwowem, a wojsko regularne pociągnie pod Kamieniec.

Z ciężkiem sercem wyjeżdżał Sobieski z Warszawy, by połączyć się z wojskiem.

W drodze otrzymywał coraz bardziej niepokojące wiadomości o ruchach Kozaków i Tatarów. Nowy chan Selim Giraj, wyniesiony przez sułtana na miejsce przyjaźniej usposobionego dla Polaków Aadil-Giraja, osobiście ruszył z wielkimi siłami na Ukrainę, by od Doroszeńki, jego wojska i czerni odebrać przysięgę hołdowniczą dla Porty. A Turcja ukończyła już wojnę na Krecie i w każdej chwili mogła wesprzeć swą armją Tatarów i Kozaków.

Czambuły tatarskie ruszyły na Pokucie, Wołyń i Polesie, wtargnęły na Czerwoną Ruś i zapuszczały się aż w okolice Lwowa, a całą Ukrainę objął pożar buntu.

Przeciw Kozakom, przeciw Tatarom, przeciw całej zbuntowanej czerni miała w tej chwili Rzeczpospolita zaledwie 10.000 wojska, wliczając w tę cyfrę wszystkie garnizony. Sobieski, dowiedziawszy się w drodze do Żółkwi, że wielkie siły tatarsko-kozackie ukazują się już pod Wiśniowcem, natychmiast siadł na koń i, zabrawszy ze swego Złoczowa działa i prochy, popędził ku wojsku. Dnia 23 lipca (1671 r.) w Tarno-

polu zwołał radę wojenną, na którą przybył hetman polny ks. Dymitr Wiśniowiecki. I tym razem, w myśl planu Sobieskiego, wojsko zostało rozdzielone. Książę Dymitr pozostał pod Tarnopolem, gdzie miał czekać na króla i pospolite ruszenie, książę Ostrogski otrzymał rozkaz bronić Wołynia, a sam Sobieski na czele 4.000 żołnierzy ruszył do Orygina pod Kamieńcem i, okopawszy się, czekał nieprzyjaciela „ze wszystką turecką, tatarską i kozacką potęgą”.

Pod Lwów, w myśl uchwały rady wojennej, miało ścierać pospolite ruszenie. Ale nikt nie przybywał, bo w Warszawie otrzymano w tym czasie list wielkiego wezyra, nie zapowiadający natychmiastowej wojny, wobec czego rozgłoszono zaraz, że niebezpieczeństwo minęło. Siedziała więc szlachta na swoich folwarkach, a król nic nie przedsiębrał, pomimo że pożoga wojenna objęła już niemal całe południe Rzeczypospolitej.

„Po raz drugi, jak się wyraził Załuski, wydawano Sobieskiego na mięsne jatki”, po raz drugi genjusz jednego człowieka miał starczyć za naród i wydobywać go z toni.

Nie uląkł się tego zadania wielki wojownik. Wiedząc, że znikąd nie może liczyć na pomoc, powziął plan wielce zuchwały. Oto postanowił połączyć się z wojskiem Wiśniowieckiego i, nie zważając na wielkie niebezpieczeństwa, wkroczyć do województwa braclawskiego, w samo centrum buntu i ugasić pożar, nim nadejdą wszystkie siły chana. Dnia 20 sierpnia wyruszył z obozu. Szedł z wielką ostrożnością przez lasy i moczary, wybierając umyślnie bezdroża, by przed czasem nie zaalarmować nieprzyjaciół. W nocy z dnia 23 na 24 sierpnia minął Bar, w Mańkowcach

złączył się z Wiśniowieckim i razem z nim pociągnął do Bracławia, w którym skupiły się znaczne siły tatarsko-kozackie.

Dnia 26 sierpnia wojska polskie stanęły pod Bracławiem.

Miasto to składało się z dwóch części: dolnej obwarowanej wałem i górnej, na której wznosiła się mocna warownia. Z zasięgniętego języka dowiedział się Sobieski, że zamku bronią Kozacy, a Tatarzy zajmują dolną część miasta.

Sobieski postanowił odciąć Tatarów od zamku i wyprzeć ich w pole. W tym celu całej jeździe dał rozkaz werznąć się między dolne a górne miasto. W jednej chwili uszykowały się pulki i nagle rzuciły się we wskazanym kierunku. Najpierw prowadzili swoje chorągwie strażnicy Bidziński i Zbrożek, za nimi mknął chorąży koronny Mikołaj Sieniawski, następnie wojewoda Jabłonowski, a wkońcu, na czele wszystkich własnych chorągwi i całego pułku w. hetmana pod Hieronimem Lubomirskim, pędził Dymitr Wiśniowiecki. Kozacy zaczęli walić gęsto z dział i piszczeli, ale fala ludzi i koni mknęła niepowstrzymanie naprzód i nim zorjentował się nieprzyjaciel, już komunikacja między obiema częściami miasta została przerwana. Tatarzy, odcięci od zamku i mostu, całą masą rzucili się w kierunku południowym i jak stado wilków wypadli w szczerę pole, uchodząc, co koń wyskoczy przed groźnym przeciwnikiem.

Sobieski pozostawił artylerję generała Kąskiego i wszystkie chorągwie husarskie pod Polanowskim na straży zamku, a sam sprawił całą lekką jazdę i, osobiście objąwszy nad nią komendę, ruszył za uciekającą dziczą tatarską.

Była to pogoń nad pogoniami!

Tatarzy oddalali się z błyskawiczną szybkością i ni-
by chmura, pędzona wichrem, a lecąca po ziemi, gi-
nęli z przed oczu w tumanach kurzawy. Za tą nikną-
cą chmurą co koń wyskoczy gnał hetman na czele
swej jazdy, gnał bez wytchnienia aż po obronne mia-
sto Ładyżyn. Tutaj musiano wstrzymać się na chwilę,
bo Ładyżynianie, wrogo dla Polaków usposobieni,
przepuścili Tatarów, dodali im świeżych koni, a pierw-
wsze oddziały jazdy polskiej powitali ogniem samo-
pałów. Ale na widok sił znacznieszych wyszli popi
z krzyżami, ewangelją i chlebem, a ludność, otwo-
rzywszy bramy, prosiła miłosierdzia. Więc jazda, jak
wicher przeleciała przez miasto i pędziła dalej przez
pola, lasy, jary, doliny, strumienie, nie ustając na chwilę
w pościgu. Powoli, lecz ciągle zmniejszała się prze-
strzeń między pogonią a uciekającymi. Straszny po-
płoch ogarnął dzicz, nie oczekującą takiej zawzię-
tości.

Nie bez humoru o tej ucieczce Tatarów pisał póź-
niej Sobieski:

— „Rzucali złodzieje najpierw ludzie, których byli
pobrali, potem żywności różne, potem konie, manatki,
w ostatku siodła z pod siebie wyrzucali, a na ostatek
koszule *et les caleçons*, a to dla lekkości...”

Zdawna głośni byli Tatarzy ze swych błyskawicz-
nych ruchów, a zawsze dzięki ręczości swych koni,
słynęli, jako niedoścignieni w ucieczce. Już hetman
Żółkiewski pisał, że „Tatary gromić tak to niemal nie-
podobna, jako kiedyby kto chciał ptaki latające na
powietrzu pobić”. Ale też nigdy tych ptaków nie go-
nił taki orzeł, jak Sobieski! Padali ludzie i konie, lecz
hetman nie zważał na to i gnał bez wytchnienia, jak-

by nadludzką obdarzony energją. A za nim, dobywając ostatka sił, gnało najwytrzymalsze rycerstwo, aż szable polskie zaczęły spadać na karki Tatarów.

— „Doszliśmy ich jednak i nabrali i nasiekli siła, — donosił Sobieski Marysieńce. — Jedni się zaś topili, drudzy w lasy piechotą uciekali, trzecich miasta różne do siebie puszczały, osłatek aż w dzikie poszli pola, od których nie byliśmy dalej nad mil cztery...”

Od Braclawia przez Ładyżyn, Czetwertynówkę aż do Batoha siedem bitych mil ukraińskich trwała ta niesłychana gonitwa.

Wyczerpanie ścigającego wojska było nadzwyczajne.

— „Ludzie najmłodszy i najlepsi przyjść dotąd do siebie nie mogą, — pisał w dwa dni potem hetman, — i teraz dopiero wiedzą i przyznają, że Tatarów gonić trudno!...”

A w jednym z diarjuszów tej wyprawy podkomendny Sobieskiego wyraża podziw dla energii i wytrzymałości swego wodza.

— „Bieżeliśmy za wojskiem, co koń mógł wyskoczyć. Jegomość prezencją swą do tego dotuszył i ustających zachęcał. Padaly konie tak Tatarom, jako i naszym, zaraz zdychając. My prawie lecieliśmy... Dziwują się wszyscy jegomości, jak mógł tyle fatygi znieść...”

Po tym pogromie Tatarów już nazajutrz stanął Sobieski w Braclawiu, a stąd wyruszył do Pieczar i Krasnego, czyniąc przy ulewnym deszczu dziesięć mil drogi. Dwa dni następne szedł dalej, zdobył szturmem forteczkę Działów, zrównał ją z ziemią, a 30 sierpnia stanął pod Barem. Te błyskawiczne pochody wojsk polskich uczyniły na całym zbuntowanym obszarze ogrom-

ne wrażenie. W ciągu paru dni poddało się 10 miast, między niemi Szarogród, Niemirów i Brahiłów. Mając niespełna 5.000 ludzi, z wielkim trudem zdobyte placówki obsadzał hetman załogami.

Przerażony Doroszeńko odstąpił od oblegania Białej Cerkwi, wrócił do Czehryna i listami, pełnemi pokory, starał się zaskarbić sobie łaski hetmana.

Zbuntowany kraj wracał powoli do uległości.

Trzymającą się odpornie Winnicę dnia 14 września szturmem zdobył Hieronim Lubomirski, 7 października poddał się Mohiłów nad Dniestrem, a zamek w Braclawiu podstępem wojennym odebrał hetman Kozakom.

Dnia 16 października Sobieski, wzmocniony przez Haneńkę, który przyprowadził zgórą 2.000 wiernych Rzeczypospolitej Kozaków, ruszył pod Kalnik, broniony przez fosy, wały, palisady, a od wschodu i zachodu mający wielkie jeziora. Nie posiadał hetman ani piechoty, ani dostatecznej artylerji, by się kusić o zdobycie tak obronnej fortecy. Próbował ogniem działowym nastraszyć załogę, ale gdy próba zawiodła, odstąpił pod Ilińce, zostawiając na straży warowni kilkanaście chorągwi jazdy. Dnia 21 października 2.000 Tatarów i Kozaków zbliżyło się do Kalnika, by wzmocnić pilnie strzeżoną załogę, ale tych napadł niespodzianie hetman i rozgromił na głowę.

Po tych wysiłkach, uwieńczonych tyłu świetnemi powodzeniami, należało dalej prowadzić świetnie zaczęte dzieło, zwłaszcza że ludność wieśniacza, odczuwająca na swej skórze sojusz Kozaków z Tatarami, rada była powitać władzę, przywracającą w kraju porządek. Przyczyniło się do tego postępowanie Sobieskiego, który nie pozwolił nigdzie ludu ruskiego

gnębić, ani rabować, a tak tego pilnował, iż żołnierze jego, według najnieprzychylniejszych Polakom świadectw, zachowywali się wzorowo, za wszystko, z wyjątkiem siana, płacili gotowym groszem i nigdzie chłopom nie czynili krzywdy. Niewiele brakowało, by władzę Rzeczypospolitej utrwalić na Ukrainie. Ale Doroszeńce przybyły na pomoc znaczne siły tatarskie, a nieliczne wojsko Sobieskiego znużone, wyczerpane, głodne, obdarte nie było w stanie bez dalszej pomocy dokonać świetnie zaczętego dzieła.

Król Michał, mający przyjść na pole walki z popolitem ruszeniem, wyjechawszy z Warszawy, siedział czas jakiś w Lublinie, potem w Zamościu, wreszcie zawitał do Lwowa, ale nie zdołał siły zbrojnej zgromadzić. Pospolitalcy przychodzili nielicznie pod Gliniany i najczęściej rozjeżdżali się zaraz, a król nie znalazł w sobie energji, by skłonić szlachtę do spełnienia obowiązku. Cała nadzieja skupiła się na wojsku litewskiem, którego też z największem upragnieniem oczekiwał Sobieski. Tymczasem wojsko litewskie, prowadzone na Ukrainę przez hetmana wielkiego litewskiego Michała Paca, doszło do Dubienki nad Bugiem i oświadczyło, że dalej nie pójdzie.

Powodem buntu stał się brak prowiantu i uniwersały podkanclerzego Olszowskiego, zabraniające Litwinom furazowania i postoju w dobrach dziedzicznych, położonych w województwach koronnych. Pac, człek bez wiary i sumienia, wielce Sobieskiemu nieżyczliwy i niechętnie idący mu z pomocą, odrazu pogodził się z buntem, powiadając żołnierzom, że gdy iść nie chcą, to on zwija wojsko. W jednej chwili chorążowie złożyli sztandary i wojsko przestało egzystować. Szwa-gier Sobieskiego, hetman polny litewski Michał Radzi-

wił próbował zapobiec katastrofie, ale nadaremnie. Nikt już nie chciał stawać pod chorągwią. Rozpierzchnięte rycerstwo i bezładnymi kupami podążyło do domów.

Wiadomość o tym buncie, jak grom uderzyła w Sobieskiego.

Zawiedziony przez króla i pospolite ruszenie, opuszczony przez Litwę, stał z garstką zbiedzonych i wynędzniałych żołnierzy w kraju częściowo tylko uśmieczonym, a w każdej chwili grożącym pożarami nowych zamieszek i buntów. Podupały na siłach, znękany moralnie, wyczerpany, zawiedziony, chciał przynajmniej utrzymać osiągnięte zdobycze. Wymógłszy na wojsku, że zatrzymało się na leże zimowe w Bracławszczyźnie, sam chory i żałosny wyjechał do Lwowa. Króla już tutaj nie zastał.

Gorycz zalewała serce zwycięskiego wodza.

* * *

Dnia 9 grudnia 1671-go roku stanął w Warszawie czausz turecki i przywiózł z sobą listy sułtana i wielkiego wezyra, zapowiadające Rzeczypospolitej wojnę. Dnia 24 stycznia 1672-go roku rozpoczął obrady sejm walny. Mogło się zdawać, że straszliwe niebezpieczeństwo, grożące ze strony państwa, przed którym drżała Europa, zbudzi drzemiące sumienia, zapali w sercach polskich płomień patriotyzmu i przynajmniej tym razem wykrzesze z sejmujących stanów wolę, która kraj cały powoła do obrony i natchnie go męstwem. Niestety, zamierał już w narodzie instynkt samozachowawczy. Obrady zaczęły się namiętym sporem o to, czy marszałek poprzedniego sejmiku Lubomirski ma prawo łaskę marszałkowską oddać nowemu marszałkowi, wobec tego, że nie został obrany na posła.

Dwa dni spierano się, w jaki sposób rozstrzygnąć tę śmieszłą sprawę, a spierano się tak zawzięcie, jakby od niej zależał byt państwa. A na trzeci dzień wszyscy posłowie sandomierscy wystąpili z jednomyślnem żądaniem. Dotyczyło-ż to żądanie wojny z Turcją? Nie-Sarmaccy sandomierzanie domagali się od króla, aby przestał chodzić w stroju cudzoziemskim i przyobłócił się w strój polski. A potem roznamiętnił się sejm walką pomiędzy podkanclerzym Olszowskim a kanclerzami wielkimi: koronnym Leszczyńskim i litewskim Pacem, a to z powodu listów podkanclerzego, któremi obaj dygnitarze uczuli się dotknięci. Kłócili się posłowie i senatorowie, zajęci błahemi sprawami, a kraj stał nad przepaścią.

Sobieski z powodu choroby nie przybył do Warszawy, lecz na ręce króla przysłał pismo, w którym wyrażał pogląd na groźną sytuację Rzeczypospolitej. Wskazywał trzy sposoby, zostające do użycia. Pierwszy z nich, najprostszy, to zastosowanie się do żądań sułtana i zrzeczenie się Ukrainy. Ten sposób nazwał nieuczciwym i przestrzegał, że taki środek może na pewien czas oddalić zgubę narodu, ale jej nie zażegna. Drugi sposób, również niebezpieczny, to porozumienie się z Doroszeńką, kosztem dużych ofiar i powagi Rzeczypospolitej. Wreszcie trzeci sposób, „szlachetniejszy od dwóch pierwszych i taki, jak należy”, to „iść na spotkanie i mężnie zastawić się za wiarę świętą i całość ojczyzny”. A nie należy, zdaniem Sobieskiego, czekać Turków na ziemi ojczyściej, ale co prędzej utworzyć silną armję i ogień wojny ponieść w posiadłości tureckie. Radzi jednocześnie zasilić pieniędzmi Zaporozie i wysłać Kozaków morzem, by niepokoiili straszego wroga zagrożeniem ziem

nadbrzeżnych Turcji. Przestrzega następnie przed nadziejami na pomoc pieniężną zagranicy i, zachęcając wszystkich do ofiar, powiada, że lepiej pozbyć się sierści, „niż całego ciała”. Sam wreszcie daje przykład i zrzeka się na rzecz potrzeb wojny bardzo dochodowego starostwa barskiego. Wreszcie dla wzniecenia w narodzie zapału radzi hetman królowi własną swoją osobą ruszyć na wojnę i to wcześniej, nie czekając ostatniej chwili. Do obrad sejmu przywiązuje niezmiernie znaczenie, zwracając uwagę, że od wyniku tych obrad zależy „zatrzymanie sławy narodu polskiego” i byt Rzeczypospolitej zagrożonej nie tylko przez Turcję, ale i innych nieprzyjaciół: elektora brandenburskiego i Moskwę.

Tak w owej ciężkiej chwili przemówił do sejmujących stanów głos rozumu, sumienia i patriotyzmu. Wódz i obywatel wołał wielkim głosem, ostrzegał naród przed nieszczęściem, hańbą, niewolą, bił w dzwon trwogi, nawoływał do ofiar i czynu!

Lecz nawoływał daremnie.

Sejm klócił się, krzyczał, hałasował, aż młody wojewódzic rawski Kazimierz Grudziński, posprzecząwszy się z drugim posłem z powodu przymówki osobistej, zawołał głośno, że sejm zrywa, poczem opuścił salę posiedzeń i natychmiast wyjechał z Warszawy.

Marszałek poselski Marcin Oborski złożył łaskę — i sejm został rozwiązany.

Tak zakończyły się obrady sejmujących stanów wobec widma zagłady, stojącego u wrót Rzeczypospolitej.

A król Michał Wiśniowiecki dopasował się doskonale do poziomu umysłowego, nastrojów i charakteru posłów. Przejął się ogromnie atakiem na swój strój

cudzoziemski, czynił z tego powodu wielkie wymówki posłowi Szomowskiemu, upewniał, że gotów jest wdziac na siebie szaty polskie, ale wtedy, gdy sam tego zechce, nie zaś wtedy, gdy żąda tego izba. Nic jednak nie uczynił, by wstrząsnąć sumieniem sejmu, otworzyć mu oczy na przestrogi hetmana i całym swym wpływem przeciwstawić się warcholstwu i zbrodniczemu krzykactwu sejmujących stanów.

Nigdy większe niedołęstwo nie zasiadało na tronie, nigdy ukoronowana bezmyślność nie harmonizowała lepiej z tępotą samobójczą i zanikiem rozsądku u przedstawicieli Rzeczypospolitej!

Niewątpliwie był Michał Wiśniowiecki nicością, ale nadomiar nieszczęścia był nicością złośliwą. Wkrótce po zerwanym sejmie król popełnił czyn, który do rozpacz i największego oburzenia przywiódł hetmana. Oto komenda nad wojskiem, pozostawionem na zimowych leżach przez Sobieskiego, dostała się Wyżyckiemu, jako regimentarzowi. Człęk nietaktowny i nie dbały o wojsko, okazał się zupełnie nieodpowiednim do sprawowania powierzonej mu władzy. Więc Sobieski odebrał mu komendę i powierzył ją kasztelanowi Łużeckiemu. Ale Wyżycki nie poddał się rozkazom, zatrzymał pod swem dowództwem kilkanaście chorągwi i udał się pod opiekę króla. A Michał, zawsze w stosunku do Sobieskiego podejrzliwy, otczył buntownika swoją protekcją, rozkazał jego chorągwiom z pokrzywdzeniem innych oddziałów wypłacić część zaległego żołdu, wycofał je z teatru wojny na wygodne leże w starostwie samborskiem, pokrzyżował w najbezmyślniejszy sposób plany wojenne Sobieskiego, na wielkie niebezpieczeństwo naraził Ha-

neńkę i jego Zaporozców, a powagę helmańską skompromitował w oczach całego wojska.

Oburzył się najokropniej Sobieski. Odżyła w nim niechęć i pogarda dla tej karykatury króla. Wypowiedział zdanie, że z takim królem Polska zginąć nie ochybnie musi. Skarżył się z tego powodu w listach do Radziwiłła, domagał się interwencji prymasa. A Prażmowskiemu oburzenie Sobieskiego ogromnie było na rękę: pragnął jego pomocy, gdyż pracował właśnie nad detronizacją Michała. Wypadki dalsze popychały hetmana ku intrygom prymasa. Oto król najwyraźniej lekceważył wojnę z Turcją, a z dworu królewskiego rozchodziły się pogłoski, że te strachy tureckie rozpowszechniają nieprzyjaciele króla jedynie w tym celu, aby pomnożyć wojsko, które tylko powiększy potęgę Sobieskiego i da mu przewagę nad królem. Wobec groźnych listów sułtana i w. wezyra, dobrze znanych Michałowi, takie stanowisko świadczyło, że strach przed utratą tronu zagłusza wszystkie inne uczucia w tym małym i słabym człowieku, że ten strach gna go na bezdroża i prowadzi do przestępstw, równających się zdradzie własnej ojczyzny. A gdy pogłoski takie rozchodziły się od tronu, nic dziwnego, że rozdeła je plotka i nasunęła masie szlacheckiej podejrzenie, że to nieprzyjaciele króla pracują nad tem, aby Turków sprowadzić na Rzeczpospolitą. Oburzenie obu obozów rosło, zawziętość wzajemna zaślepiła przeciwników, mąciła ich rozsądek, uniemożliwiała wszelkie współdziałanie i pchała Polskę na sam brzeg przepaści.

W atmosferze najhaniańskich podejrzeń zebrał się po raz drugi w pamiętnym 1672-im roku sejm, zwołany przez króla do Warszawy na dzień 18 maja.

Sobieski dopiero w drugiej połowie czerwca przyjechał do stolicy. Na wieść o zbliżaniu się hetmana, król Michał wysłał na jego spotkanie biskupa Florjana Czartoryskiego, człowieka znanej prawości i za pośrednictwem takiego posła starał się ująć Sobieskiego oświadczeniem, że skłonny jest spełnić wszystkie jego życzenia. Wiśniowiecki był w strachu, bo wieść niosła, że hetman wielki prowadzi ze sobą znaczne wojska i siłą chce zmusić króla do abdykacji. Była to przesada, gdyż tylko kilka chorągwi towarzyszyło Sobieskiemu, a plan detronizacyjny później miał się narodzić. Na przyjazne oświadczenie Czartoryskiego odpowiedział hetman, że potrafi „uszanować pomazańców Bożych”, ale zamiaru o skłonieniu niedołęgi Michała do abdykacji bynajmniej nie porzucił. Dnia 20 czerwca, witany przed miastem honorami gwardji królewskiej, z wielką paradą wjechał do Ujazdowa i stanął w rezydencji prymasa. Prażmowski podejmował gościa huczynym bankietem, w którym uczestniczyło mnóstwo senatorów, pomimo-że w tym czasie odbywało się posiedzenie sejmowe.

Opuszczony król słuchał właśnie w sali obrad krzyków szlachty, domagającej się wyrugowania z izby arbitrow, to jest publiczności, wśród której zauważono wielu wojskowych, zachowujących się hałaśliwie. Krążyła pogłoska, że są to żołnierze hetmańscy, przysłani po to, aby sejm siłą rozpędzić. Obawiano się gwałtu. Poseł gostyński Ubysz, nie mogąc doczekać się rugów, wniósł protestację przeciw dalszym obradom sejmowi i opuścił salę, a król, sam w strachu przed zamachem, nie uczynił wysiłku, aby go zatrzymać. Popędził za Ubyszem marszałek poselski, dopadł go w bramie zamkowej i powrócił z oświadczeniem, że obrażony

poseł gotów jest protestację cofnąć, byle życzeniu jego stało się zadość.

Na sesji dnia 21-go czerwca podkanclerzy Olszowski udzielił sejmowi wiadomości o pochodzie wojsk tureckich i rozkazał odczytać nowy list wielkiego wezyra. W liście tym Achmet Kiupruli, przemawiając głosem zwycięzcy, domagał się wysłania posłów, obdarzonych pełnomocnictwem do odstąpienia Ukrainy i opłaty corocznego na rzecz Porty haraczu. Kozaków ogłaszał wezyr wolnym narodem, tłumacząc, że jeżeli poddali się Polakom, uczynili to na pewnych warunkach, nie wiedząc, że się poddają tyranom. Niezwyciężony cesarz turecki wziął ich litościwie pod swoją obronę, a jeżeli Rzeczpospolita nie ulegnie jego woli, to straszna szabla padyszacha rzecz całą rozstrzygnie. Więc żądał wielki wezyr, aby natychmiast wysyłano posłów, bo gdy sułtan Dunaj przekroczy, za późno już będzie na układy!

Wobec gróźb takich i marszu wojsk tureckich, Olszowski błagał zgromadzenie, aby zaniechało wszelkich sporów i przystąpiło natychmiast do utworzenia rady wojennej. Ale mowa podkanclerzego nie trafiła do przekonania zaciętrzewionej szlachcie. Odzywały się głosy, że list jest sfalszowany, że Turcja o wojnie nie myśli, że wszystkie groźby są niecną intrygą Doroszeńki.

Śród kłótni i wrzasków skończyła się sesja dnia tego.

Następnego dnia Sobieski wizytował króla i królową, a biskupowi Czartoryskiemu, pracującemu nieustrudzenie nad pogodzeniem zwaśnionych obozów, oświadczył, że zabroni swym podkomendnym wchodzenia na salę sejmową, a nawet sam gotów jest opuścić Warszawę, jeśli to tylko może przynieść pożytek

ojczyźnie. Wobec niebezpieczeństwa brały w Sobieskim górę uczucia patriotyczne i usposobienie z natury spokojne, pogodne, pojednawcze czyniło go skłonny do zgody. Ale prymas Prażmowski był nieprzejednany. Pod jego wpływem cofnął się Sobieski i wrócił do opozycji. Na posiedzeniu sejmowym w dniu 23 czerwca Prażmowski wystąpił z piorunującą mową przeciw królowi, domagał się roztrząsania przez sejm egzorbitancyj, to jest wszystkich wykroczeń przeciw prawu, popełnionych przez Michała i obu podkanclerzych. Za klęski i nieszczęścia, grożące ojczyźnie, winę składał na króla.

— „Niech król jegomość, — wołał Prażmowski, — moją nie obraża się mową. Mówię prawdę i onę mu przypominam”.

Przemawiał następnie Sobieski, wstrzymując się od wszelkich na króla ataków, ale domagając się również rozpatrzenia dokonanych bezprawii.

Raz jeszcze chciał opanować zawziętość Olszowski i zakomunikował zgromadzeniu, że wojska tureckie przekroczyły Dunaj, a sułtan już dnia 12 czerwca z całym swym dworem wyruszył z Adrjanopola. Szlachta pod wrażeniem tej wieści, zaczęła prosić króla, aby sejm zamknął i natychmiast zwołał na obronę ojczyzny pospolite ruszenie. Lecz z drugiej strony domagano się rozpatrzenia egzorbitancyj — i znowu sesja sejmowa skończyła się wśród sporów i wrzawy.

A dnia 25-go czerwca prymas udał się do króla w otoczeniu kilku panów i zażądał od niego, by złożył koronę, bo inaczej ojczyzna zginie.

Oburzył się Michał i zawołał:

— „Waszmość mnie jeden koronował, ale niejeden obierał!”

I dodał, że rad odda koronę, ale w ręce tych wszystkich, którzy go obrali.

— „To wasza król. mość, — odpowiedział niestropiony pogroźką prymas, — chcesz, żeby się krew niewinna przelewała?”

Tego było już za wiele nawet dla tak zahukanego króla, jak Wiśniowiecki.

— „Sam waszmość tego chcesz i chcesz ręce kapłańskie kąpać w krwi niewinnej!” — odparł arcybiskupowi.

Wówczas Prażmowski Bogiem zaczął się świadczyć, że cokolwiek złego się stanie, stanie się z winy króla jegomości.

Na to drżący z gniewu i oburzenia król odpowiedział:

— „Po tysiąckroć razy przed tym-że Bogiem się protestuję, że cokolwiek było, jest i będzie złego, to wszystko jest i będzie z waszmości!”

Tak rozmawiali ze sobą król i pierwszy w państwie dygnitarz w chwili, gdy przednie straże tureckie zbliżały się do granic Rzeczypospolitej.

Nadaremnie zacny patryjota biskup Florjan Czartoryski chciał przełamać gniew obu stronnictw i nadzwyczajne czynił wysiłki, by zbudzić sumienia obywateli. Sobieski, jak zawsze skłonny był do zgody, ale Prażmowski ani chciał o niej słyszeć, a 25-go czerwca przyjechała do Warszawy Marja Kazimiera i przyszła z pomocą prymasowi w knowanych przez niego intrygach. Przekonał się niebawem Czartoryski, że zawziętości zbyt głęboko tkwią w sercach, że oba obozy dzieli przepaść, przez którą najlepsza wola nie jest w stanie przerzucić mostu pojednania. Dnia 30

czerwca śród krzyków i hałasów posłowie zaczęli żegnać się z królem.

Drugi z kolei sejm 1672 roku, zawichrzywszy kraj, rozszedł się, nic nie postanowiwszy.

Bezradna i bezbronna Rzeczpospolita wydana została na łup zbliżającego się wroga.

A walka wewnętrzna w dalszym ciągu na jedną chwilę nie ustawała. Z inicjatywy Prażmowskiego malkontenci wydali manifest, składając odpowiedzialność za zerwanie sejmu na króla. Na ten manifest, który między innymi podpisał także Sobieski, zwolennicy królewscy odpowiedzieli remanifestem, w którym winę za wszystkie nieszczęścia składali na owych spiskowców, co to przyjechali na sejm „nie dla zaradzenia potrzebom powszechnym”, ale dla „uciemnienia Rzeczypospolitej i pogńębienia majestatu”.

Nazajutrz po zerwaniu sejmu nieprzyjaciele królewscy zebrali się na tajną naradę, na której spisano akt „konfederacji malkontentów”. W akcie tym oskarżano Michała o gwałcenie praw, wykazywano niemoc Rzeczypospolitej i rozpaczliwe jej położenie wobec najazdu Turcji, wreszcie oddawano kraj pod opiekę „najpotężniejszego w Europie monarchy”, króla Francji. Zwracano się do Ludwika XIV o pomoc przeciw Turkom, a zarazem o wybór ze swego domu księcia, godnego korony polskiej. Malkontenci zobowiązywali się do tajemnicy i do walki o ziszczenie swych celów, choćby wszystkim przyszło paść trupem w wojnie domowej.

Sobieski nie tylko wraz z 37 innymi panami podpisał ów dokument niemocy, obłąkania i hańby, ale 7 lipca wysłał wraz z Prażmowskim pismo do Ludwika XIV w imieniu skonfederowanych. W piśmie tem

obaj dygnitarze mieli odwagę twierdzić, że Polska pozna swe błędy i zaczyna się rządzić zdrowymi zasadami.

— „Zaczynamy dzieło niewątpliwie miłe dla świata chrześcijańskiego, dogodne dla waszej królewskiej mości, a dla nas zbawienne”...

I najpokorniej błagali Ludwika XIV o opiekę, a zarazem o wysłanie do Polski księcia Longueville'a, któremu przeznaczali tron polski. Nie wiedzieli jeszcze, że książe ten poległ już dnia 12 czerwca w bitwie z Holendrami. A gdy wiadomość o śmierci Longueville'a przyszła do Warszawy, wysłali ponowne pismo, tym razem do francuskiego ministra spraw zagranicznych Pomponne'a, prosząc za jego pośrednictwem Ludwika, by sam zechciał wybrać na króla polskiego księcia krwi swego domu i z wojskami posiłkowymi wysłał go do zagrożonej przez nieprzyjaciół Polski.

W ten sposób dwaj pierwsi dygnitarze Rzeczypospolitej oddawali losy Polski w ręce obcego monarchy, gwałcili kardynalne prawa swojej ojczyzny, składali dowód jej zupełnej niemocy, poniżali jej godność i wobec strasznego wroga narażali kraj na wszystkie wstrząśnienia najokropniejszej wojny domowej. Wzywając pomocy obcej przeciw prawemu królowi, okrywali wstydem siebie i Polskę, szli drogą zdrady i hańby. I tak postępował Sobieski, człowiek, przemawiający niedawno głosem najszczerzego patriotyzmu, wielki wódz, obywatel, zdolny do ofiar, poświęceń, bez namysłu rzucający się niedawno w ogień największych niebezpieczeństw, a gotowy nie tylko mienie, ale i własną głowę złożyć na polu walki w obronie ojczyzny. To też udział Sobieskiego w tym haniebnym

spisku jest nietylko dowodem jego słabości: jest zarazem strasznym świadectwem owej atmosfery moralnej, która w drugiej połowie XVII stulecia zatrzymała życie polskie, mąciła umysły, bielmem zaślepienia przesłaniała oczy, głuszyła sumienia obywateli i wiodła państwo w otchłań zaguby.

Śród tych knowań nieprzyjaciół króla odbywały się, jak zwykle po zerwanych sejmach, posiedzenia rady senatu. Obie strony trzymały na więzi swoje uczucia, więc obrady toczyły się przyzwocznie. Ale gdy usta wypowiadały słowa uprzejme, w sercach panowała nieufność. Oba obozy przenikały się wzajem i gotowały się do walki. Oba były jednak bezsilne, jednakowo niezdolne do utworzenia siły narodowej i to było ich głównym nieszczęściem i nieszczęściem kraju. Uradzono wysłać posła do sułtana oraz zwołać popolite ruszenie, czemu sprzeciwiał się prymas, ale za czem przemawiał Sobieski, bo gdy chodziło o obronę kraju, patriotyzm brał w nim górę nad obawami o wzmocnienie sił przeciwnego sobie stronnictwa. Wreszcie król obiecał pisać o pomoc do cara, elektora oraz do książąt niemieckich i, wyraziwszy nadzieję, że sam Pan Bóg poszczęści w tej wojnie przeciw nieprzyjaciołom krzyża, zamknął obrady.

Sobieski wyjechał do wojska, żaląc się, że kraj pozostawiony został bez wszelkiej obrony.

Zbliżały się dni klęski.

Chan Selim Giraj, doszedłszy do Bohu, złączył się z Kozakami Doroszeńki i, wspomagany przez 3.000 wysłanych mu z pomocą Turków, zwrócił się przeciw Haneńce, którego na błagalne wezwania wsparł pod Ładyżynem kasztelan Łużecki na czele 4.000-go rycerstwa. Dnia 18 lipca 1672 roku Łużecki poniósł pod

Czwartynówką najstraszniejszą klęskę. Straciwszy mnóstwo zabitych, sztandary i działa, cofnął się w kierunku Białej Cerkwi, miał zdążać do Kamieńca, jak to rozkazał mu w swoim czasie Sobieski. To zwycięstwo ośmieliło wrogów i wielką pychę natchnęło Doroszeńkę. Dnia 20 lipca obwieścił on swoje zwycięstwo uniwersałem, w którym zapowiadał walkę na śmierć z królem polskim o cerkiew Bożą, o swobody kozackie i o wolność całej Ukrainy. A w kilka dni później sam chan wydał w języku polskim manifest, nawołujący ludność do posłuszeństwa Doroszeńce i zapowiadający, że tych, coby liczyli na Polaków, wyępi ogniem i mieczem.

Dnia 27 sierpnia (1672 r.) po rozpaczliwej obronie poddał się Turkom Kamieniec, który, pomimo największych wysiłków hetmana, nie został należycie opatrzony. Upadek Kamieńca, tej strażnicy polskiej na kresach, w całym kraju uczynił najokropniejsze wrażenie. Spotęgowały je wieści, przynoszące szczegóły o zachowaniu się wrogów. Z kościołów i cerkwi Turcy natychmiast pozrywali krzyże i na wieżach zrabowanych świątyń zatknęli półksiężyc. Do kościoła katedralnego, zamienionego na meczet, odprawiał wjazd triumfalny sam Mahomet IV w towarzystwie chana i Doroszeńki, a jechał wzdłuż ulic, wymoszczonych ikonami oraz obrazami świętych.

Z pod Kamieńca wyruszył sułtan na łowy pod Żwaniec, a następnie stanął w okolicach Buczacza. Słynny „tygrys” padyszacha, Kapłan-basza z Aleppo z wielkiem wojskiem tureckim i całą potęgą chana wysłany został na zdobycie Lwowa.

Tymczasem król dopiero 12-go sierpnia wyruszył z Warszawy do Janowca, by złączyć się z pospolitem

Czwartynówką najstraszniejszą klęskę. Straciwszy mnóstwo zabitych, sztandary i działa, cofnął się w kierunku Białej Cerkwi, miał zdążyć do Kamieńca, jak to rozkazał mu w swoim czasie Sobieski. To zwycięstwo ośmieliło wrogów i wielką pychę natchnęło Doroszeńkę. Dnia 20 lipca obwieścił on swoje zwycięstwo uniwersałem, w którym zapowiadał walkę na śmierć z królem polskim o cerkiew Bożą, o swobody kozackie i o wolność całej Ukrainy. A w kilka dni później sam chan wydał w języku polskim manifest, nawołujący ludność do posłuszeństwa Doroszeńce i zapowiadający, że tych, co by liczyli na Polaków, wyępi ogniem i mieczem.

Dnia 27 sierpnia (1672 r.) po rozpaczliwej obronie poddał się Turkom Kamieniec, który, pomimo największych wysiłków hetmana, nie został należycie opatrzonej. Upadek Kamieńca, tej strażnicy polskiej na kresach, w całym kraju uczynił najokropniejsze wrażenie. Spotęgowały je wieści, przynoszące szczegóły o zachowaniu się wrogów. Z kościołów i cerkwi Turcy natychmiast pozrywali krzyże i na wieżach zrabowanych świątyń zatknęli półksiężyc. Do kościoła katedralnego, zamienionego na meczet, odprawiał wjazd triumfalny sam Mahomet IV w towarzystwie chana i Doroszeńki, a jechał wzdłuż ulic, wymoszczonych ikonami oraz obrazami świętych.

Z pod Kamieńca wyruszył sultan na łowy pod Zwaniec, a następnie stanął w okolicach Buczacza. Słynny „tygrys” padyszacha, Kapłan-basza z Aleppo z wielkim wojskiem tureckim i całą potęgą chana wysłany został na zdobycie Lwowa.

Tymczasem król dopiero 12-go sierpnia wyruszył z Warszawy do Janowca, by złączyć się z pospolitem

tych niewielkich sił zbrojnych, jakie pozostawały jeszcze do rozporządzenia.

W sierpniu wpadł Sobieski do zagrożonego oblężeniem Lwowa. Witany, jak zbawca, musiał przyznać się do niemocy i poprzestać na wezwaniu mieszkańców, żeby się bronili „nieustraszonym duchem”. dopóki nieprzyjaciel nie zostanie w postępach swych powstrzymany. Ale nie widział możliwości wyruszenia przeciw temu nieprzyjacielowi w pole, gdy według własnych jego obliczeń siły, walące się na Polskę, przekraczały 270.000 zbrojnych ludzi, a on sam, wobec niemożności porozumienia się z królem, na kilka tysięcy szabel w najlepszym razie mógł liczyć. Opuściwszy Lwów, po wydaniu niezbędnych zarządzeń i opłaceniu z własnego trzosa żołdu dziesięciu chorągwiom, kilka tygodni spędził na układaniu planów, z których, skutkiem nieufności króla Michała, żadnego nie mógł doprowadzić do skutku.

Tymczasem Tatarzy trzema szlakami z pod oblężonego Lwowa rozpuścili swoje zagany. Jedne posuwały się ku Wieprzowi, drugie szły nad San, trzecie rozsypały się wzdłuż okolic Dniestru. Łuny pożarów świeciły na olbrzymich przestrzeniach, lawina zniszczenia rozlewała się coraz szerzej i dalej. Pozbawiona wszelkiej obrony ludność, pozostawiwszy swój dobytek, z przerażeniem uciekała w lasy, kryła się w niedostępnych miejscach, wśród bagien i trzęsawisk. A kto nie zdążył uciec, ten ginął od strzał i szabel tatarskich, lub szedł w jassyr na hańbę i poniewierkę. Dziesiątki tysięcy kobiet, dzieci, a nawet dojrzałych mężczyzn dostało się do niewoli, mnóstwo trupów zaległo ruiny i zgliszcza spalonych wsi i miasteczek. Śmierć i pożoga grasowały po bezbronny kraj.

ruszeniem. Jechał powoli, nie śpiesząc się, a z otoczenia jego ciągle rozchodziły się pogłoski, że Turcy nie weszli do Polski i że wojny nie będzie, że trwożne wieści rozsiewają jeno malkontenci. A gdy najstraszniejsza rzeczywistość zaprzeczyła tym pogłoskom, król pisać zaczął błagalne listy o ratunek do cesarza i wzywał na pomoc cara. Poza tem siedział bezczynnie i czekał na pospolite ruszenie. Ale szlachcie nie było pilno do walki z Turczyńcem, Tatarem i Kozakiem. Sejmiki hałasowały w najlepsze, zajmowały się oskarżeniami malkontentów, to znowu postanawiały siadać na koń, ale pod warunkiem, że prymas Prażmowski zostanie oddany pod sąd, a jego współpracownicy złożą przysięgę wierności królowi. W takim stanie rzeczy dopiero w początkach października pospolite ruszenia zaczęły się zbliżać do obozu, wyznaczonego nad Wisłą pod Gołębkiem. A zagony tatarskie pustoszyły już województwo lubelskie.

Sobieski przeżywał najokropniejsze chwile. Zawiodły go nadzieje, pokładane w Ludwiku XIV. Wojska francuskie nie przyszły do kraju i nic nie zapowiadało ich przyścia. Dalsza walka z królem groziła utratą bytu i największym triumfem najeźdźców. A straszne wieści o postępach wrogów w całej grozie stawiały przed oczy hetmana położenie kraju. Sobieski zrozumiał swoją powinność. Przestał myśleć o pomocy francuskiej i detronizacji Michała, Panu Bogu, według własnego wyrażenia, oddał „wszystkie urazy i niesmaki” i szczerze pragnął porozumieć się z królem. Ale Michał nie chciał nic wiedzieć o planach wojennych Sobieskiego, a rozporządzeniami swemi paraliżował jego rozkazy i niesłuchanie utrudniał użycie

Nareszcie w połowie września zdołał Sobieski zgromadzić około 3.000 jazdy. Z tą garstką postanowił rzucić się między czambuły tatarskie i powstrzymać ich straszliwy zapęd. Dnia 2 października ostrzegł króla, że nieprzyjaciel idzie prosto na jego królewską osobę, poczem bez taboru, bez dział, bez wozów i bagaży, ruszył komunikiem w morze płomieni i rozpoczął swą słynną wyprawę na czambuły.

Rozgromiwszy kilka pomniejszych zagonów między Zamościem a Szczebrzeszynom, dnia 5 października, idąc całą noc wśród ulewnego deszczu, posunął się do Krasnobrodu, gdzie natrafił na większe koczowisko tatarskie. Czekał świtu, aby uderzyć, ale Tatarzy, spłoszeni przez idącego na nich z drugiej strony Haneńkę, rozprysli się po lasach. Nazajutrz cały dzień żołnierze uganiali się za poszczególnymi watahami, wysiekli wielu Tatarów i Kozaków, uwolnili 2.500 jeńców, a w nocy, pomimo okropnego zmęczenia, poprowadzeni zostali przez hetmana w kierunku Sanu. Śród ciemności, oświetlanej łunami szerzących się dookoła pożarów, szedł Sobieski na Narol, gdyż od schwytanych przez podjazdy jeńców dowiedział się, że stoi tam z ordą sułtan Dziambet Giraj i czeka na powrót swoich zagonów. Jakoż dwa z nich spotkano po drodze i rozbito doszczętnie, odebrawszy łupieżcom 2.000 kobiet i dzieci. Dziambet umknął, ale rycerstwo dopędziło ordę i na przestrzeni dwóch mil zasała kilka szlaków trupami. 12.000 brańców i branek odzyskało wolność. Cały dzień 8 października poświęciło wojsko zbieraniu porzuconych po lasach dzieci i odwożeniu ich do pobliskich klasztorów.

Dnia 9 października był już Sobieski pod Gródkiem. Stąd skierował się do Komarna, gdzie obozo-

tych niewielkich sił zbrojnych, jakie pozostawały jeszcze do rozporządzenia.

W sierpniu wpadł Sobieski do zagrożonego oblężeniem Lwowa. Witany, jak zbawca, musiał przyznać się do niemocy i poprzestać na wezwaniu mieszkańców, żeby się bronili „nieustraszonym duchem”. dopóki nieprzyjaciel nie zostanie w postępach swych powstrzymany. Ale nie widział możliwości wyruszenia przeciw temu nieprzyjacielowi w pole, gdy według własnych jego obliczeń siły, walące się na Polskę, przekraczały 270.000 zbrojnych ludzi, a on sam, wobec niemożności porozumienia się z królem, na kilka tysięcy szabel w najlepszym razie mógł liczyć. Opuściwszy Lwów, po wydaniu niezbędnych zarządzeń i opłaceniu z własnego trzosa żołdu dziesięciu chorągwiom, kilka tygodni spędził na układaniu planów, z których, skutkiem nieufności króla Michała, żadnego nie mógł doprowadzić do skutku.

Tymczasem Tatarzy trzema szlakami z pod oblężonego Lwowa rozpuścili swoje zagany. Jedne posuwały się ku Wieprzowi, drugie szły nad San, trzecie rozsypały się wzdłuż okolic Dniestru. Łuny pożarów świeciły na olbrzymich przestrzeniach, lawina zniszczenia rozlewała się coraz szerzej i dalej. Pozbawiona wszelkiej obrony ludność, pozostawiwszy swój dobytek, z przerażeniem uciekała w lasy, kryła się w niedostępnych miejscach, wśród bagien i trzęsawisk. A kto nie zdążył uciec, ten ginął od strzał i szabel tatarskich, lub szedł w jassyr na hańbę i poniewierkę. Dziesiątki tysięcy kobiet, dzieci, a nawet dojrzałych mężczyzn dostało się do niewoli, mnóstwo trupów zaległo ruiny i zgliszcza spalonych wsi i miasteczek. Śmierć i pożoga grasowały po bezbronny kraj.

Nareszcie w połowie września zdołał Sobieski zgromadzić około 3.000 jazdy. Z tą garstką postanowił rzucić się między czambuły tatarskie i powstrzymać ich straszliwy zapęd. Dnia 2 października ostrzegł króla, że nieprzyjaciel idzie prosto na jego królewską osobę, poczem bez taboru, bez dział, bez wozów i bagaży, ruszył komunikiem w morze płomieni i rozpoczął swą słynną wyprawę na czambuły.

Rozgromiwszy kilka pomniejszych zagonów między Zamościem a Szczebrzeszynom, dnia 5 października, idąc całą noc śród ulewnego deszczu, posunął się do Krasnobrodu, gdzie natrafił na większe koczowisko tatarskie. Czekał świtu, aby uderzyć, ale Tatarzy, spłoszeni przez idącego na nich z drugiej strony Haneńkę, rozpryśli się po lasach. Nazajutrz cały dzień żołnierze uganiali się za poszczególnemi watahami, wysiekli wielu Tatarów i Kozaków, uwolnili 2.500 jeńców, a w nocy, pomimo okropnego zmęczenia, poprowadzeni zostali przez hetmana w kierunku Sanu. Śród ciemności, oświetlanej łunami szerzących się dookoła pożarów, szedł Sobieski na Narol, gdyż od schwytanych przez podjazdy jeńców dowiedział się, że stoi tam z ordą sułtan Dziambet Giraj i czeka na powrót swoich zaganów. Jakoż dwa z nich spotkano po drodze i rozbito doszczętnie, odebrawszy łupieżcom 2.000 kobiet i dzieci. Dziambet umknął, ale rycerstwo dopędziło ordę i na przestrzeni dwóch mil zasała kilka szlaków trupami. 12.000 brańców i branek odzyskało wolność. Cały dzień 8 października poświęciło wojsko zbieraniu porzuconych po lasach dzieci i odwożeniu ich do pobliskich klasztorów.

Dnia 9 października był już Sobieski pod Gródkiem. Stąd skierował się do Komarna, gdzie obozo-

wał sultan Safa Giraj, mając pod swą komendą prócz 10.000 Tatarów posiłki tureckie i kozackie. Sobieski, odesławszy część żołnierzy z wyzwolonymi jeńcami, część zostawiwszy na przeprawach, wiódł zaledwie 2.500 ludzi, nie zważając przecież na nierówne siły, jednocześnie z kilku stron uderzył niespodzianie na obóz tatarski i całą masę nieprzyjacielską w jednej chwili wprawił w najstraszliwsze zamieszanie. Wszystko rzuciło się do ucieczki, ale pogrom był tak straszliwy, że Safa-Giraj zaledwie 2.000 ludzi zdołał uprowadzić z sobą. Zdobyto cały obóz, a uwolniony jasyr obliczano najmniej na 20.000.

Zkolei zwrócił się hetman przeciw najmłodszemu z sułtanów Adżi-Girajowi, o którym miał wiadomość, że obozuje na drodze do Lwowa. Dnia 11-go października ruszyło wojsko przez ogromne wodne przestrzenie ku Dniestrowi, przeszło rzekę przez most, gdy przypadł do wojska chłop, który zbiegł szczęśliwie z obozu Adżi-Giraja i przyniósł wiadomość, że poszukiwany sułtan z „niezliczonym plonem ludzi, bydła i koni” stoi pod Hruszową i ma się przeprawiać przez Dniestr we wsi Mosty. Wobec tej wiadomości hetman zmienił kierunek pochodu. Wojsko znowu zanurzyło się w bagna i rozlewne wody, miejscami tak głębokie, że konie musiały płynąć. W ten sposób doszło do Hruszowej, ale Tatarów już tutaj nie było. Otrzymaawszy lepsze wiadomości, zarządził Sobieski trzygodzinny odpoczynek i nocą znowu puścił się w pochód. Szedł na Drohobycz, Stryj, Bolechów, Dolineę, a na noc zatrzymał się w Roźniatowie. Z łun, świecących na niebie, wywnioskował, że Tatarzy kierują się ku Haliczowi i ciągnąć będą przez wielkie lasy Bednarowskie. Zaraz też pchnął gońców do Ka-

łusza, aby poruszyli chłopów i skłonili ich do zatarasowania dróg, któremi musieli przedzierać się Tatarzy.

Sam nocą 14-go października ruszył przez okropne wertepy, wzgórze, doliny, błota i strumienie w okolice Petranki w pobliżu Kałusza ku stanowiskom wroga. Spieszył się bardzo, by nieprzyjaciel nie umknął przed czasem, więc popędzał rycerstwo, osobiście dając przykład niezwykłej energii i wytrwałości. Pomimo to trzecia część wojska, nie mogąc podążyć za hetmanem, pozostała wtyle.

O wschodzie słońca zbliżono się do kosza tatarskiego.

Nieliczną swą jazdę rozdzielił Sobieski na cztery oddziały, z których dwa zachodziły Tatarom skrzydła, trzeci zajmował tyły, a czwarty pod komendą samego hetmana miał uderzyć od czoła. Chcąc zaskoczyć ordę niespodzianie, Sobieski skradał się, jak wilk, a gdy musiał już wkroczyć na ostatnie wzgórze, rozkazał chorążym dla oszukania wroga zniżyć na sposób tatarski sztandary. Jakoż uspił czujność nieprzyjaciół. Dopiero, gdy zstępując ze wzgórza, nakazał uderzyć w trąby i kotły, wielkie zamieszanie zapanowało w koszu. Ale nim wróg zdążył stanąć do sprawy, już jeźdźcy polscy, rozpędziwszy konie, wpadli do obozu i rozpoczęli straszną rąbaninę. Ocknęli się wodzowie tatarscy i sprawili szyki, gdy pomknęły do boju nowe chorągwie, a wkońcu runęła do ataku straszliwa husarja, prowadzona przez samego hetmana. Zakotłowało się na polu walki, okropne wycie rozdarło powietrze. Adzi-Giraj usiłował ocalić przynajmniej jassyry i wysłać go przodem, a sam stawiać czoło garstce jazdy polskiej, ale gdy z boku i z tyłów ukazały się nowe

chorągwie i z szumem a krzykiem ruszyły do ataku, szalone przerażenie ogarnęło ordyńców. Wszystko rzucało się do ucieczki i pędziło ku lasom Bednarowskiemu. Gnała uciekających jazda polska, siekąc i rąbiąc oszalałych ze strachu Tatarów. Kto zaś, dzięki rączności konia, uszedł przed ciosem szabli i wpadł do lasu, ten ginął od czatujących chłopów, którzy nie zawiedli hetmana, zagrodzili drogi i za krzywdy swoje mścili się teraz na dzikich łupieżcach. Więc po bezdrożach leśnych po kilkunastu, kilku, a nawet w pojedynkę rozbiegali się Tatarzy. Ale i to ich nie ocaliło. Dwa dni trwała zarządzona przez hetmana oblawa. Wymykali się, jak umieli ordyńcy, chowali się w krzakach, w dołach i rozpadlinach leśnych, wdrapywali się na wierzchołki drzew, lecz tropiono ich wszędzie, zabijano, jeśli próbowali się bronić, wiązano, jeśli prosili o miłosierdzie. Cała orda doszczętnie została zniesiona. Obaj sułtani (bo i Safa-Giraj po doznanym pogromie schronił się z resztką niedobitków do kosza Adzi-Giraja) umknęli, ale wzięto do niewoli znaczniejszego agę, dziesięciu murzów, wszystkie chorągwie, bogate juki, mnóstwo koni, odbito zrabowane łupy, a co najważniejsza, uwolniono 10.000 głów jasyru, przeważnie kobiet i dzieci szlacheckich.

To świetne zwycięstwo odniósł Sobieski nad nieprzyjacielem, którego rachował „najmniej pod ośm tysięcy prócz Kozaków i Turków”, mając w tej bitwie półtora tysiąca jazdy. W liście do króla z dnia 14 października nie bez zadowolenia donosił o swem powodzeniu.

— „Wszystkie bowiem chorągwie wzięte, co aby się kiedy z Tatarami trafić miało, dawniejsze nie wspominają dzieje... Drogi, lasy i szlaki pełne trupa”.

Podnosząc zasługi chłopów, pisał: „Ostatek z lasów jeszcze dotąd chłopi i czeladź wywłóczą, ale więcej zabijają osobliwie chłopi, między którymi jest wielka na to pogaństwo zawziętość”.

A uczestnik tej wyprawy z podziwem wyrażał się o hetmanie.

— „Sam Pan Bóg bił tego nieprzyjaciela, który nierównie w większej kupie zawsze był, niżeli my, przy pilnym Im Pana Marszałka dozorze i niesłychanych niewczasach i pracach”.

Ku zdumieniu całego rycerstwa pełnił Sobieski obowiązki wodza, „nigdy prawie nie śpiąc, nigdy nie rozbierając się, ognia nie niecąc, mało, ledwie co jedząc, bo w spustoszałym kraju o chleba bochenek trudno było, niż o tysiąc Tatarów”...

Świadek tej wyprawy mówi również o wielkiej troskliwości, okazanej przez hetmana w stosunku do porzuconych dzieci, często maleństw bez matek. Te dzieciны kazał zbierać po lasach i szlakach, płacił za nie od głowy, a następnie na kilkunastu wozach kazał odwieźć do Kałusza, „dom, żywność i wychowanie” zapewniając nieszczęsnym sierotom.

Nazajutrz po odniesionem zwycięstwie rozkazał hetman odprawić uroczyste nabożeństwo pod Kałuszem i po odpoczynku ruszył powolnym marszem pod Hoszów.

Mógł być dumny z dokonanego dzieła. Wojsko jego w ciągu dni 8 przebyło wśród największych trudów zgorą 300 wiorst najfatalniejszej drogi, rozbiło trzech sułtanów, pogromiło wiele pomniejszych zagarnów i przywróciło wolność dziesiątkom tysięcy wleczonych do niewoli jeńców. Wyzwolony jassy obliczał Sobieski na 44.000 głów, choć inni współcześni

podnosili tę liczbę do 80.000, a nawet 100.000. Poległych Tatarów rachowano na 26.000, jeńców na 2.000. Straty wojsk polskich były bardzo nieznaczne. Sławę zwycięstw przez Sobieskiego odniesionych dzielili jego wierni towarzysze broni: strażnik koronny Bidziński, strażnik polny Zbrozek, pułkownicy Polanowski, Chełmski, Łasko, Boruchowski, Korubski, rotmistrze Miączyński Atanazy, Gorzeński, wreszcie wszyscy oficerowie i żołnierze, zachwyceni swym wodzem, a podziwiający jego niezwykłą siłę w znoszeniu trudów, jego energję, męstwo i ów genjusz, który nigdy nie zawodził w polu, dopisywał w najtrudniejszych chwilach, a w obliczu wroga uderzał, jak piorun i jak piorun druzgotał.

Dzięki tej śmiałej wyprawie odetchnęły zagrożone prowincje na olbrzymiej przestrzeni, bo od Lwowa aż po Lublin na północ, po Kraków na zachód i na południe za Stanisławów zapędzały się zagany tatarskie. Więc z ziem wyzwolonych płynęły ku Sobieskiemu dziękczynienia i błogosławieństwa, a dziesiątki tysięcy wyzwolonego z haniebnego jarzma jassyru z największą czcią powtarzało nazwisko bohatera. Nie mógł hetman iść na spotkanie olbrzymiej potęgi turecko-tatarsko-kozackiej pod Kamieniec, nie mógł się porwać na odsiecz Lwowa, ale znosząc rabujące czambuły, uczynił wszystko, co w danych okolicznościach wielki wódz uczynić był w stanie.

Niestety, zwycięstwa Sobieskiego nie mogły odwrócić katastrofy.

Dnia 16 października komisarze polscy, traktujący z Turkami pod Buczaczem, przywieźdzeni do rozpaczliwej bezbronności kraju, lamentami i płaczem jęczącej ludności ziem najechnych, ukorzyli się przed potęgą

sultana i podpisali traktat, którego mocą Polska zrzekała się Ukrainy i Podola wraz z Kamieńcem, a nadto zobowiązała się płacić sultanowi roczny haracz w wysokości 22.000 czerwonych złotych. Od Lwowa i Rusi ustąpili Turcy za 80.000 talarów okupu.

Rzeczpospolita traciła swą niepodległość i stawała się lennem państwem sultana.

Zawziętość walczących ze sobą stronnictw w całej pełni święciła swój triumf.

VI. DWIE KONFEDERACJE.— ZWYCIĘSTWO CHOCIMSKIE.



bierające się pod Gołębiem pospolite ruszenie najspokojniej słuchało okropnych wieści, przychodzących do obozu z ogarniętych pożogą wojenną prowincyj i zamiast iść przeciw wrogowi, z wielką namiętnością toczyło obrady polityczne. A w miarę tego, jak napływali pod Gołąb pospolitacy, rosła wrzawa, wzmagaly się hałasy i z krańców w krańce obozu coraz potężniej rozlegały się krzyki przeciw malkontentom. Nie mówiono o Turkach, Tatarach i Kozakach, nie zajmowano się obroną kraju, lecz nieprzyjaciółmi króla. W połowie października miał Wiśniowiecki do rozporządzenia kilkadziesiąt tysięcy szabel szlacheckich, ale i on nie myślał o wyruszeniu w pole. Pozbawiony animuszu wojennego, strapiiony spadającymi na kraj klęskami, bezradny i bezwolny, słuchał rozziewających uszy wrzasków i czekał bezmyślnie na wynik układów, które pod Buczaczem prowadzili z Turkami komisarze polscy. Czuł i rozumował, jak otaczająca go masa szlachecka, której myśli pochłaniała nie wojna z wrogiem, lecz zawiązanie konfederacji w obronie króla a na zgubę malkontentów.

Dnia 11 października (1672 r.), a więc w czasie kiedy Sobieski ścigał i gromił czambuły tatarskie, w obozie pod Gołębiem zaczęło obradować koło generalne. Zasiedli deputaci od powiatów, ziem, województw, a otaczały ich masy roznamiętnionej szlachty, hałasem i krzykiem wpływającej na przebieg toczących się obrad. Kilka dni radzono nad zawiązaniem konfederacji, której projekt ułożył starosta kaniowski i pisarz polny, Stefan Czarniecki, bratanek słynnego wojownika, nienasycony chciwiec, człek o słabej głowie, ale warchoł energiczny, zuchwały a wielkiego o sobie mniemania. Jako gorący zwolennik króla i znany wróg stronnictwa francuskiego, umiał zjednać sobie pospolitaków i, powołany został na marszałka.

Projekt konfederacji stanowił połączenie całej szlachty Korony i wezwanie Litwinów na obronę króla, powoływał do obozu pod Gołębiem wszystkich senatorów, składał z urzędu prymasa, konfiskował prawem kaduka jego dobra i dobra jego braci, ustanawiał na malkontentów sąd konfederacki, znosił dożywotność urzędów i wprowadzał szereg daleko sięgających reform, obalających obowiązujące prawa i zwyczaje.

Czarniecki, prócz osobistego wynagrodzenia, żądał jeszcze dla siebie najwyższej władzy nad całą siłą zbrojną na czas trwania konfederacji, co było obrazą hetmanów, a skierowane zostało głównie przeciw Sobieskiemu. Lecz tego kroku przestraszyli się rozważniejsi przyjaciele króla i Czarniecki ustąpił, godząc się na to, aby jedynie wszystkie nowe zaciągi przechodziły pod jego komendę.

Obrady odbywały się wśród największego podniecenia tłumu. Lada słowo, powiada p. Pasek, wywoływało huczek i trzaskanie szablami. Wietrzono we

wszystkiem zdradę, porywano się ciągle do obuchów i wzajemnie mierzono do siebie z pistoletów. Gdy niejaki Firlej Broniewski, przyjechawszy konno do koła, zaczął po pijanemu krytykować obrady, a wreszcie bąknął coś przeciw królowi, wszczął się olbrzymi tumult i szlachta, krzycząc na malkontenta, rzuciła się na niego z szablami. Wyparto Broniewskiego z koła, pognano go w pole i porąbano na sztuki. W chwilę potem okrwawionego trupa przywleczono na miejsce obrad i ciśnięto w środek koła wśród srogich okrzyków:

— „A toż macie pierwszego malkontenta, tak i drugim będzie!”

Starosta szredzki Cerekwicki, jeden z największych krzykaczów, piorunując przeciw wrogom króla, donośnym basem wyliczał wrogów ojczyzny. Prymas Prażmowski, podskarbi Morsztyn, chorąży koronny Sieniawski, kasztelan Grzymułtowski, wreszcie marszałek i hetman Sobieski napiętnowani zostali, jako przedawczykowie, zbrodniarze i zdrajcy, na których głowy niepohamowany starosta domagał się nałożenia ceny. Wołano, aby do mordowania tych zdrajców zachęcić banitów i za przysługę taką przywracać ich do czci. Co się tyczy Sobieskiego, to krzyczano, by postąpić z nim tak samo jak z prymasem, to jest złożyć go z urzędu i skonfiskować mu dobra. A kiedy siwy, jak gołąb pisarz ziemi bielskiej Krzysztof Żelski protestował w kole generalnem przeciw wywodom Cerekwickiego, piekielną wrzawą zgłuszono słowa Żelskiego. Szlachta, otaczająca zwartą masą koło, zaczęła wrzeszczeć:

— „Weź! bij! podajcie go nam sam za koło, pošlemy głowę w podarunku Sobieskiemu!”

I dobyto szabel, chcąc rozsiekać Żelskiego. Ale zgrzybiały starzec, według wyrażenia krotochwilnego Paska, „jako sarna” skoczył ku marszałkowi Czarnieckiemu i szukał u niego ratunku. A Czarniecki, widząc, że zanosi się na nowe morderstwo, krzyknął na stojącą opodal piechotę. Dopiero gdy 600 żołnierzy wycelowało ku awanturnikom muszkiety, a biskupi i senatorowie zaczęli mitygować krzykaczów, uspokoiły się namiętności i rozruch został zażegnany. Sobieskiego nie śmiano pozbawić urzędów. Wiedzano, że stoi na czele wojska i że to wojsko jest niebezpieczne. Więc poprzestano na tem, że wezwano go do obozu.

Dnia 16 października, a więc w tym samym dniu, kiedy komisarze polscy podpisywali haniebny traktat w Buczaczu, stanęła w Gołębiu, w myśl projektu Czarnieckiego, konfederacja, a obecni w obozie senatorowie, acz wielce zatrwożeni, ulękli się teroru i przysięgli na nią. Tylko podkanclerzy Olszowski zgłosił protestację na piśmie, utrzymując, że jako kapłan nie może się zgodzić na potępienie bez sądu prymasa. Olszowski bronił również Sobieskiego, którego w zapamiętałości stronnicej oskarżano wraz z prymasem o porozumiewanie się z Turcją na szkodę i zgubę Rzeczypospolitej. Na dowód niewinności hetmana przytaczał podkanclerzy fakt, że Sobieski od dwóch lat uprzedzał kancelarję królewską o zamiarach Turków i czynił ze swej strony wszystko, by przygotować naród do obrony. Ponadto nie podpisał aktu konfederacji kanclerz wielki litewski Krzysztof Pac, jeden z głównych twórców dokonanego pod Gołębiem dzieła, ale człowiek chytry i ostrożny.

Następnego dnia pospolitacy ruszyli pod Lublin. Wyprawiano się niby przeciw Tatarom, których już nie było, bo ich przed tygodniem rozgromił Sobieski. Ale wyprawiano się z hukiem, szumem i wrzaskiem. Masa szlachecka płynęła bezładną falą, dopuszczając się nadużyć i gwałtów, zabierając przemocą żywność, rabując po drodze dwory szlacheckie, plebanje, a nawet kościoły. Pielaskowice, ulubioną majątność Sobieskiego, niemiłosiernie złupiono. Co ocalało przed Tatarami, to padało łupem pospolitaków. Do uszu króla ciągle dochodziły okropne wyrzekania i skargi na te niesforne, wrzaskliwe a niemiłosierne kupy rozhukanej bezkarnością szlachty. Na szczęście dla okolic Lublina szaruga i deszcze jesienne rozproszyły pospolite ruszenie. Szlachta, nahałasowawszy się dosyta, a nie zobaczywszy wroga, zaczęła rozjeżdżać się do domów. Więc dnia 10 listopada deputaci koła generalnego spisali reces (tak zwany reces lubelski), zawierający obrady do dnia 4-go stycznia 1673 roku, w którym to dniu utworzona w Gołębiu konfederacja na nowo miała podjąć swą działalność w Warszawie.

Król Michał w tej strasznej dla Rzeczypospolitej chwili wykazał nie tylko małoduszność i zupełny brak charakteru, ale zarazem złą wolę i wiarę, a jednocześnie haniebnie nadużył zaślepienia stojącej w jego obronie szlachty. Upajał się okazywanem mu zaufaniem i miłością tłumów, nie rozumiejąc, a może nie chcąc zrozumieć, że te zdeprawowane a tchórzliwe wobec wroga tłumy kierowały się miłością i próżnością własną, lecz nie przywiązaniem do króla-tchórza, króla-manekina. Toż miał Wiśniowiecki pod swemi rozkazami kilkadziesiąt tysięcy szabel, a nie ruszył się z pod Gołębia, przyzwolił na haniebny traktat

w Buczaczu, dopuścił do tego, że jemu, królowi polskiemu, sułtan turecki ośmielił się przysłać niewolniczy kaftan poddaństwa. Drżał o swą koronę, ale na los Rzeczypospolitej był jakby oślepy i ogłuchły. Jedynego człowieka, Sobieskiego, który, wobec przeciężnych sił wrogów, nie stracił głowy i chciał kraj ratować, a szczerze w tej groźnej chwili do króla się garnął, nie tylko odepchnął od siebie, nie tylko nie chciał słuchać jego planów wojennych, ale rozporządzeniami swemi paraliżował jego rozkazy. A po zawarciu z Turcją sromotnego pokoju nie pomyślał o odwecie, lecz gotował się do wojny domowej i zdławienia swoich przeciwników. W tym celu wydawał listy przypowiednie na nowe zaciągi, które miały już podlegać nie hetmanom, ale Czarnieckiemu, wzywał do swego boku, polegając na nieprzyjaznych Sobieskiemu Pacach, wojsko litewskie, a nawet prosił elektora brandenburskiego, by swojej dragonji pozwolił mu użyć przeciw buntownikom.

Oto czem zajęty był król Michał po zakończonej traktatem buczackim wojnie!

Sobieski, jedyny obrońca kraju, jedyny wódz, który walczył i zwyciężał, gdy szlachta całej Korony urzędzała pod Gołębiem burdy i trawiła czas na krzykactwie, oskarżany o zdradę i konszachty z Turkami, nie był bez ciężkich win wobec króla i kraju, ale w owej tragicznej chwili sam jeden miał zasługi, sam jeden reprezentował honor, siłę i wolę narodu. On jeden również wiedział, co należy czynić i jak się zachować wobec strasznej hańby, która splamiła Rzeczpospolitą. Wielki wódz, wynoszący niedawno potęgę Turcji, zmienił teraz na nią swój pogląd. W liście

swoim z dnia 29 października 1673 roku pisał do biskupa Trzebieckiego:

— „Doszedłem tego teraz samą eksperjencją, że z Turkami nie jest tak straszna wojna jakośmy ją sobie imaginowali”. I wykazując nieruchawość wojska tureckiego, jego przestrasz na wieść o pogromach Tatarów, z wielkim żalem odzywał się o królu: „O! gdyby mi był król jegomość choć z kilkanaście tysięcy świeżego przysłał wojska, o com prosił po kilkakroć, miałem w Panu Bogu nadzieję, żeby byli i do swych na Dniestrze nie trafili mostów”...

A wspominając o rabunkach domów szlacheckich i kościołów przez pospolite ruszenie, dawał zarazem dowód, że nie lekceważy armji tureckiej, lecz przeciwnie, widzi w niej przymioty, jakich każdemu rycerstwu życzyłby można.

— „W wojsku tureckiem jaka jest sprawiedliwość, jaka skromność, dotrzymanie słowa, z konfuzją nas chrześcijan, wypisać tego niepodobna! Jedno tylko namienię, że wzięwszy z zamkiem buczackim panią wojewodzinę braclawską, najmniejszego ani samej dishonoru, ani w dobrach i ruchomościach najmniejszej nie uczynili szkody”...

Nie tylko w przeciwstawieniu do rabusiów-Tatarów, ale i do pospolitaków armja turecka odznaczała się wielkimi zaletami moralnemi. Ale też była to jedna z najkarniejszych armij na świecie! Rzecz naturalna, że umiał ją ocenić taki wódz, jak Sobieski. Widząc zalety, widział przecież i wady tej armji i wierzył w możność odwetu, w możność pomśzczenia hańby buczackiej!

Był w owej chwili jedynym Polakiem, który nie tylko o tej hańbie myślał, ale mógł ją zmazać swą szablą.



*Biskup Trzebicki, według portretu w kościele Franciszkanów
w Krakowie.*

I takiego człowieka stawiano pod prężerz opinji, takiemu człowiekowi nędzny król Michał przygotowywał w owym czasie zgubę! Nic dziwnego, że pomimo wszystkich swych przewinień i grzechów, Sobieski był oburzony, że zarzuty najnikczemniejszej zdrady, o jaką go pomawiano, paliły go jakby rozpalonem żelazem. W tymże liście do Trzebickiego pisał, że radby i „kości swe” unieść natychmiast w cudze i dalekie kraje, aby „ta niewdzięczna i po śmierci na nie nie patrzała ojczyzna”, gdyby go nie zatrzymywała konieczność „oczyszczenia honoru i reputacji”.

Ale jakże miał tę reputację ratować? Przed konfederacją, przed tłumem roznamiętnionej szlachty musiał sprawę swą zgóry uznać za przegraną, a od króla, po daremnych zabiegach, nie mógł oczekiwać względów, zwłaszcza gdy widział, że król przeciw niemu gromadzi swe siły.

Więc powziął plan inny.

Stał ze swem wojskiem w okolicach Zamościa, gdy do obozu zawitali wysłańcy konfederacji, aby wezwać żołnierzy hetmańskich do przysięgi i do połączenia się ze skonfederowaną szlachtą. Sobieski uprzejmie przyjął poselstwo i w dniu 18 listopada zwołał koło wojskowe. Do rycerstwa przemawiać zaczął górnie, a z wielką butą wojewoda inowrocławski Szczawiński. Ale gdy mówca mianował się komisarzem króla i Rzeczypospolitej, wzburzeni żołnierze krzyknęli posłom, że są wysłańcami nie Rzeczypospolitej i nie króla, ale hołoty, która pogwałciła prawa. Wołali, że szablami swemi rozsiekają akt konfederacji i zmażą go krwią sprawców haniebnego gwałtu. Wzma-gała się wrzawa. Stropili się posłowie, bo błysnęły szable i rozległy się okrzyki, że trzeba pomścić do-

konane na Broniewskim morderstwo. Dopiero Sobieski powagą swoją uspokoił rycerstwo, uratował swą interwencją zagrożonych posłów i uprowadził ich z koła.

Po wyjeździe poselstwa plany Sobieskiego dojrzały.

Przyprowadziwszy swe chorągwie do Szczebrzeszyna, zwołał w dniu 23 listopada koło generalne do kościoła Franciszkanów i tam zaproponował utworzenie nowej konfederacji. Żołnierze zdecydowali się szybko. Ta nowa konfederacja zobowiązywała się stać przy dostojęństwie króla jegomości, a trwać póty, póki wszystkie dawne wolności, prawa i swobody, pogwałcone w Gołębiu, nie odzyskają na nowo swej mocy, a żołd należny rycerstwu nie zostanie wypłacony. Biorąc w obronę poniżoną powagę hetmańską, postanawiała konfederacja wszystkich żołnierzy nowych zaciągów, którzyby nie słuchali rozkazów hetmana, traktować, jako zdrajców ojczyzny.

Ze swej strony Sobieski zaprzysiął:

— „A że się wojsko przy honorze i powadze mojej stawać obligowało, więc i ja wzajemnie przy interesach wojska i każdego, który się przy mnie stawać obligował, statecznie stawać będę”.

Cztery chorągwie zachowywały się opornie, ale gdy do Szczebrzeszyna przyjechał hetman polny Dymitr Wiśniowiecki i, nie widząc w konfederacji, stojącej przy królu, nic zdrożnego, zaczął namawiać oporne chorągwie do złożenia przysięgi, i te do obozu z powrotem zaczęły się wpraszać. I niektóre chorągwie nowego zaciągu przysłały do Sobieskiego po rozkazy.

W ten sposób utworzyły się dwie konfederacje: naprzeciw gołąbskiej stanęła szczebrzeszyńska. Ta

ostatnia była liczebnie nieporównanie słabsza, ale składała się nie z gadułów i krzykaczy, jak pospolitacy, ale ze zwycięskich żołnierzy, mających na czele wodza, jakiemu równego nie było w Rzeczypospolitej. Na szczęście dla kraju, hetman usposobiony był pokojowo i, tworząc siłę zbrojną, nie miał zamiaru prowadzić jej do boju.

— „Mam mocną w Panu Bogu nadzieję, — pisał do żony, — że tę ojczyznę wkrótce uspokoiemy i każdy się przy swoim zostanie, ani się złość ludzka cieszyć z cudzego nie będzie. Bo to jest i będzie prawdziwe uspokojenie, nie to, coby tylko bardziej zamieszało Rzeczypospolitą i do ostatniej-by ją przywiodło zguby”...

O powstaniu konfederacji szczebrzeszyńskiej Sobieski zawiadomił Michała, który mu odpowiedział, że zjazd warszawski najlepiej osądzi, czy ten nowy związek istotnie stoi przy dostojęństwie króla i obronie wolności.

Tymczasem prymas Prażmowski, zasądzony na utratę dóbr i godności, bronił się przed zarzutami, rozsyłając na wsze strony swój „Wywód niewinności”. W publikacji tej chytry prymas kłamał, jak z nut i sypał piaskiem w oczy swoim czytelnikom, lecz zarazem nieodpartym argumentem wykazał, że wszystkie podejrzenia o jego znowy z Turkami wynikły z fałszywego przetłumaczenia przejętego przez nieprzyjaciół listu. Ale choć miał za sobą nuncjusza i wyższe duchowieństwo polskie, choć ani król, ani Czarniecki nie śmieli go zaczepić w Łowiczu, nie czuł się dość pewnym i bardziej wierząc szablon, niż swemu pióru, nagwałt wzywał Sobieskiego, by na zimowe kwatery przybywał wraz z wojskiem do Łowicza.

A hetman usłuchał wezwania i ruszył do rezydencji prymasa. Prażmowski odetchnął i zaraz powrócił do swych planów detronizacyjnych i już po raz ostatni wciągnął do nich Sobieskiego. Ulegając, jak zwykle, wpływom prymasa, hetman w imieniu swoim i swoich przyjaciół wysłał 30 grudnia 1672 r. list do Paryża i znowu domagał się od Ludwika XIV przysłania do Polski księcia swego domu. Ale Ludwik XIV, zajęty wojną z Holandją, a zagrożony koalicją holendersko-hiszańsko-niemiecką, zrażony był stosunkami w Rzeczypospolitej i większe miał w owej chwili kłopoty, niż pomaganie konfederatom i to w sposób, który, w razie niepowodzenia, kompromitował jego osobę. Dzięki temu spór domowy bez interwencji obcej musiał być rozstrzygnięty.

Dnia 4 stycznia 1673 roku zjechali się do Warszawy senatorowie i obrani na sejmikach grudniowych posłowie na koło generalne, które, po uzyskaniu zgody nieobecnych pod Gołębim Litwinów, obradować niebawem zaczęło pod laską marszałkowską Stefana Czarnieckiego. A malkontenci zapowiedzieli swój zjazd w Łowiczu na dzień 8 stycznia. Znowu więc dwa obozy stawały naprzeciw siebie i groziły wojną domową. Tymczasem położenie państwa było tragiczne: ze wszystkich stron piętrzyły się niebezpieczeństwa. Mahomet IV domagał się wypełnienia warunków traktatu buczackiego, a przygotowywał do wymarszu olbrzymie wojska, groził, że całą Polskę strąci kopytami swych koni i nie zatrzyma się aż w Gdańsku. Jednocześnie zatrważające wieści krążyły o zamiarach mocarstw ościennych. Car knuł zamiar opanowania Litwy, cesarz myślał o Małopolsce, a wierność elektora brandenburskiego zawsze była podejrzana.

Drapieżni sąsiedzi czekali tylko chwili, kiedy Rzeczpospolita stać się będzie mogła ich łupem. Mało kto zdawał sobie sprawę z grozy sytuacji, ale jęki, dochodzące z Ukrainy i Podola, napływ szlachty, porzucającej swe majątki i domy po skosztowaniu jarzma tureckiego, głośne lamenty, wyrzekania i płacze na los niewolniczy były wymownym przykładem, co w niedalekiej przyszłości czeka całą Polskę, jeśli trwać będzie nadal ślepa i głucha nienawiść dwu stronnictw, jeśli naród nie skupi wszystkich sił na obronę swej niepodległości. Widmo zguby staowało u wrót Rzeczypospolitej i zaglądało w oczy wszystkim spoglądającym w przyszłość obywatelom.

W takiej sytuacji, na szczęście dla kraju, znalazł się człowiek, który miał odwagę rzucić w Warszawie hasło zgody i pojednania. Tym człowiekiem był biskup krakowski Trzebicki, ofiarny i zacny obywatel. W czasie najazdu tureckiego, po upadku Kamieńca, Trzebicki najzupełniej upadł na duchu, zwątpił całkiem o możliwości ratowania kraju i snuł rozpaczliwe projekty. W przerażeniu, którem go nappełniała myśl, że całą Polskę zagarną Turcy, wystąpił on z propozycją do ablegata cesarskiego Stoma, aby Austriacy zajęli Małopolskę i Kraków, a wzamian zato aby cesarz przysłał posiłki przeciw Turkom i podjął się pogodzenia króla z prymasem. Takie rozpaczliwe myśli przychodziły do głowy zrozpaczonym klęskami obywatelom, dalekim od prywaty i powodowania się osobistymi korzyściami. Cóż dziwnego, że podobny pogląd na Polskę utrwalac się zaczął w państwach sąsiednich. Ale Trzebicki, aczkolwiek stracił wiarę w możliwość ratowania kraju wyłącznie własnymi siłami, olśniony został świetną wyprawą Sobieskiego na

czambuły. W entuzjastycznym liście do hetmana napisał wówczas, że on „sam tylko na ramionach swoich zatrzymuje ten ostatek ojczyzny i chwały Bożej w tem królestwie”, i odtąd w nim jednym widział ostatnią nadzieję ojczyzny. Więc śmiało zaraz w drugim dniu obrad wystąpił z wnioskiem o zaproszenie malkontentów z Łowicza na wspólne sejmowanie!

Ten wniosek oburzył zgromadzoną szlachtę. Podniosły się krzyki na biskupa i namiętności buchnęły, jak płomienie. Chorąży gostyński Ubysz odpowiedział na tę propozycję żądaniem ustanowienia natychmiastowego sądu na malkontentów. I znowu zaczęły się kłótnie, spory, sypały się groźby, zarzuty, obelgi. Parę dni trwała burza, ale Trzebicki nie dawał za wygraną, chodził, przekładał, prosił, aż przewyciężył wszystkie trudności i uzyskał zezwolenie na wyjazd do Łowicza. Więc udał się tam wraz z wojewodą witebskim Chrapowickim i dopiął tego, że malkontenci wygotowali odpowiedź na uczynioną im propozycję. Ale odpowiedź była ostra, zawierała wiele zarzutów pod adresem króla, a domagała się stanowczo skasowania wszystkich uchwał w Gołębiu powziętych i zadośćuczynienia za rozpowszechniane potwarze. Gdy tę odpowiedź zaczęto odczytywać w Warszawie na sesji w dniu 23-im stycznia, zerwała się nowa, a okropna burza. Wołano zewsząd, by przerwać czytanie. Szlachta ryczała z wściekłością:

— „Nie czytać tak niecnotliwego paszkwilu!”

— „Spalić go przez ręce katowskie!”

Śród takich wrzasków czytano opracowany w Łowiczu memorjał, a gdy czytanie ukończono, zabrał głos wojewoda sieradzki Szczęsny Potocki i palną gorącą a namiętną mowę przeciw malkontentom. Po-

nawiając wszystkie zarzuty, jakimi obarczano przeciwników króla, oskarżając ich o zamach na tron, o konszachty z Doroszeńką i sprowadzenie na Rzeczpospolitą Turków, wojewoda grzmiał przeciw zdrajcom, domagał się na nich sądu, a gdy kończąc, zawołał donośnym głosem, że gotów jest umierać za pana i ojczyznę, cała izba, porwana wymową wojewody, składała mu dzięki i, zapaliwszy się świętem oburzeniem, krzyczała o utworzenie sądu na wrogów króla i Rzeczypospolitej. Zdawało się, że nic już nie powstrzyma wznoszącej się fali oburzenia. Ale po umiarkowanych i taktownych przemówieniach sandomierzanina Zaremby i podkanclerzego Olszowskiego, król przestraszył się skutków, do jakich zerwanie z Łowiczem mogło doprowadzić i solwował sesję do dnia następnego. Układy z malkontentami zostały wznowione.

W obu obozach panowała wielka zawziętość, ale zabiegi Trzebieckiego zdołały wreszcie doprowadzić do zgody. Zniesiono wyrok na prymasa i jego braci, zgodzono się cofnąć powzięte w Gołębiu uchwały, ułagodzono chciwość Stefana Czarnieckiego, spekulującego na otrzymanie wszystkich dóbr po prymasie, uchwaleniem mu ze skarbu państwa 100.000 złotych gratyfikacji, a od malkontentów domagano się jedynie przysięgi, że stać będą przy dostojęństwie króla i wolnej elekcji. Długo jeszcze ciągnęły się spory o słowa spiswanego aktu ugody, wiele jeszcze czynili wichrzyciele, aby unicestwić dzieło pojednania, ale wkońcu rozsądek wziął górę—i pokój został zawarty.

Przyjechali do Warszawy prymas i marszałek.

Dnia 12 marca 1673 r. Sobieski, po ostatecznem ustaleniu tekstu ugody, udał się z wojewodą kijow-

skim Jędrzejem Potockim, podskarbin Morsztynem kasztelanem Łużeckim w wielkiej asystencji żołnierskiej na zamek królewski, by pojednać się z królem. Prażmowski, ciężko chory, nie mógł wyruszyć z Ujazdowa. Ceremonja była oziębła i bynajmniej nie miała charakteru przeprosin. Po powitaniu króla udał się Sobieski na krótką chwilę do królowej, poczem powrócił i, stanąwszy przy Michale z laską marszałkowską, zaczął pełnić swe obowiązki z urzędem marszałka wielkiego związane.

Konfederacja generalna przemieniła się na sejm walny ordynaryjny.

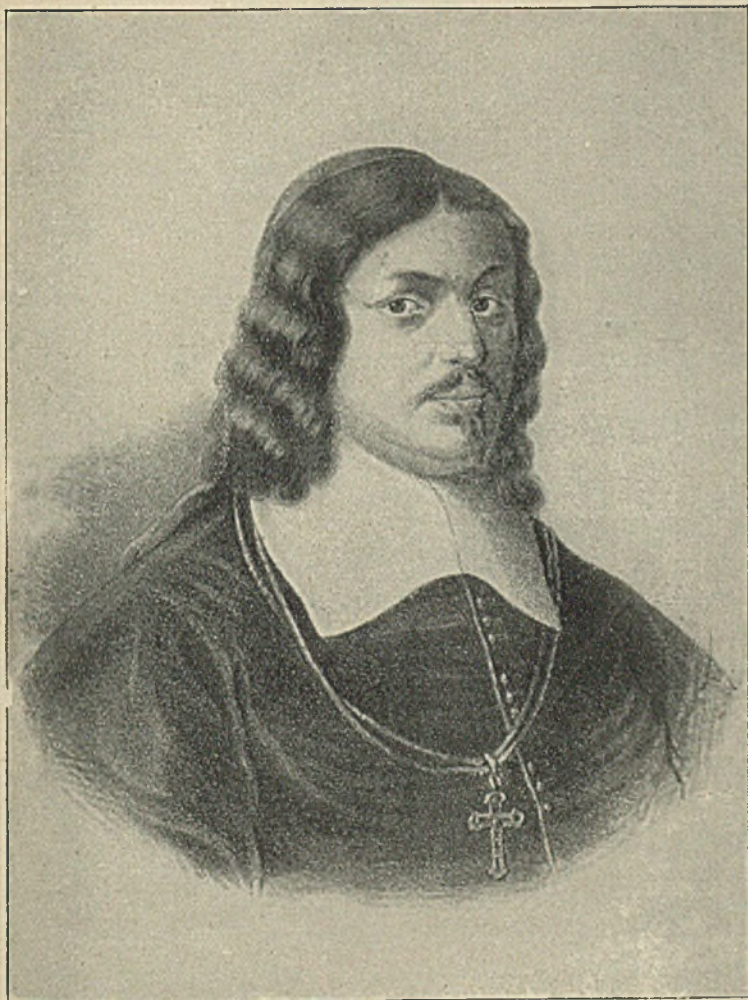
Powoli ustępowała zawziętość, przestały krążyć straszne obmowiska i potwarze, a troska o los Rzeczypospolitej coraz bardziej zajmowała uspokojone umysły.

Dnia 15 kwietnia 1673 roku zmarł w Ujazdowie prymas Mikołaj Prażmowski, polityk ze szkoły Ludwiki Marji, człek z najstraszniejszymi wadami, charakter niespokojny, burzliwy, mistrz i dusza intrygi. Jego następcą zacy Florjan Czartoryski podniósł zbezczeszczone przez Prażmowskiego dostojęństwo i troską o dobro publiczne oraz postępowaniem uczciwem przywrócił urzędowi swemu powagę.

Sobieski, uwolniony z pod wpływów nie mogącego żyć bez intryg i knowań prymasa, wszystkie siły swego umysłu i ducha poświęcił sprawie obrony Rzeczypospolitej.

* * *

Dnia 11 marca 1673 r. przyjechał do Warszawy czausz turecki i wręczył podkanclerzemu list wielkiego wezyra.



*Prymas Prażmowski, według wizerunku w galerji łowickiej z dzieła:
„Arcybiskupi gnieźnińscy, prymasi Rzeczypospolitej”.*

— „Wybrany z narodu Mesjaszowego, z przednich urzędników ludu Jezusowego, państwa polskiego kanclerzu, Andrzeju Olszowski, którego sprawy na dobry koniec niech przyjdą!” — zaczynał swe pismo Achmet Kiupruli. Ale po tym obiecującym wstępie przypominał niedotrzymanie warunków traktatu buczackiego i zgola nieuczciwe lekceważenie zawartej umowy. Zaznaczywszy, że tem lekceważeniem dotknięty jest „najjaśniejszy, najmożniejszy, najwspanialszy i najszczodrobliwszy Pan mój, Aleksandrowi równy, świat trzymający”, całkiem niedwuznacznie groził w razie dalszej zwłoki w dotrzymywaniu zobowiązań ognistym gniewem padyszacha.

Po tym liście nie pozostawało Rzeczypospolitej nic więcej, jak wybierać między hańbą lub wojną. Zrozumeli to wszyscy. Ocknęły się sumienia, zbudziło się przygłuszone niesnaskami uczucie patryjotyczne — i sprawa wojny z Turcją stanęła na pierwszym planie i stała się głównem zadaniem prac obradującego sejmu.

Wszystkie oczy zwróciły się na Sobieskiego, a jak niedawno obarczano go najcięższymi zarzutami i okrzykiwano zdrajcą, tak teraz wielbiono jego czyny wojenne, liczono się z każdym jego słowem i składano mu dowody najwyższego uznania. Dnia 5-go kwietnia sejm powziął uchwałę, podnoszącą jego „wielkie i odważne dzieła”, a lubo w późne wieki sława tych „dzieł nieśmiertelnych” rozbrzmiewać będzie, to jednak sejm na dowód wdzięczności współczesnych, przyznawał 150.000 złotych na starostwie gniewskiem potomstwu zwycięskiego wodza. Nie osobistem wynagrodzeniem tedy, bo z owych pieniędzy nie mógł hetman za życia korzystać, ale pamięcią o jego dzieciach uczczono odniesione w ostatnich dwóch latach zwycięstwa.

Sobieski, jeszcze przed ostatecznym pogodzeniem się z królem, napisał memorjał, w którym wskazywał, co dla odparcia najazdu z Turcją należy przedsięwziąć.

W memorjale tym radził podjąć wszystkie starania, by zapewnić sobie pomoc państw chrześcijańskich, prosić o zasiłki pieniężne papieża, traktować z Doroszeńką, starać się nawet o porozumienie z niebezpieczną dla Turcji Persją, ująć pieniędzmi Zaporózców i skłonić ich do dywersji na morzu, słowem, uczynić wszystko, co mogłoby osłabić Turcję, ale nie polegać zbyt na pomocy z zewnątrz i, nic nie zaniedbując, liczyć wyłącznie na własne swe siły. Dla walki skutecznej uważał za konieczne wystawienie 30.000 piechoty, 30.000 jazdy i powiększenie artylerji przynajmniej do 80 dział. Ponadto doradzał zwołanie pospolitego ruszenia, upewniając, że z takimi siłami każdy wódz będzie się mógł podjąć komendy bez obawy o narażenie swej reputacji. Zwracał także uwagę na konieczność wzmocnienia załóg w fortcach i należyte zaprowiantowanie wszystkich zagrożonych warowni. Na pokrycie wielkich kosztów wojny wskazywał podatki „z czopowego generalnego, z akcyz, pogłównego, otwarcia mennic srebrnych, ceł generalnych, albo cokolwiek takiego temu podobnego do gustu Rzeczypospolitej przypadnie”. Gdyby zaś środki ze wskazanych źródeł nie wystarczyły, zalecał sprzedać, a przynajmniej zastawić słynne arrasy „Potop” i część klejnotów koronnych. Siłę zbrojną proponował rozdzielić na trzy części, z których jedna dobywałaby Kamieńca, druga, nie czekając wtargnięcia Turków, wkroczyła na Wołoszczyznę, a trzecia broń Ukrainy.

Sejm poszedł wskazaną przez Sobieskiego drogą, powierzył mu naczelną komendę nad wszystkiem wojskiem Korony i, uchwalwszy wielkie podatki, a poruszywszy kraj hasłem wojny z Turcją, rozszedł się, dopełniwszy swego zadania, a zyskawszy w dziejach miano sejmu pacyfikacyjnego.

Niestety; od uchwał sejmowych do ich wykonania, jak zwykle w Polsce, daleka była droga. Nadzwyczajny nuncjusz papieski Bonvisi, bacznie śledzący przygotowania kraju do wojny z Turcją, nazwał w owym czasie rząd polski „potworem, cierpianym przez Pana Boga po to tylko, aby się okazała wszech mocność boska w zachowywaniu jego”.

Ale Sobieski, mimo iż na każdym kroku widział opieszałość, przerażającą życzliwego Polsce cudzoziemca, nie zrażał się niczem i nie upadał na duchu. Znał on dobrze swoich rodaków, wiedział, do czego są zdolni i nie spodziewał się spełnienia swych życzeń.

— „Naszego zaś wojska, — zwierzał się w lipcu biskupowi Trzebickiemu, — na papierze spisanego skurczy się pewnie i, daj Boże, aby z 60.000 było effective trzydzieści... Ale, — dodawał zaraz, — już i z temi chorągwiami przy łasce boskiej, poszłoby się stawić czoło nieprzyjacielowi, gdyby tylko na prowjant były obmyślane pieniądze i artylerja z rekwizytami, jako należy, była wyprawiona w pole”...

Pomoc zagraniczna, jak to łatwo było przewidzieć, nie dopisała. Nie wspomógł swego szwagra cesarz Leopold, a car przysyłał nieustannie oświadczenia swojej przyjaźni, lecz poruszenia wojsk moskiewskich świadczyły, że chce wykorzystać wojnę i, jeśli tylko okoliczności pozwolą, pod swą władzę zagarnąć

Ukrainę. Rzym przysłał zaledwie 100.000 złotych. Z Doroszeńką nie można było się porozumieć, a hetman kozacki z ramienia Polski Haneńko knuł zdradę i z Moskwą wchodził w konszachty.

A jednak pomimo wszystko rosła siła zbrojna Rzeczypospolitej.

Dnia 8 października 1673 r. na obszernych polach pod Glinianami odbył się przegląd wojsk koronnych przez króla Michała. Stało tu pod bronią 11 regimentów piechoty, 160 chorągwi jazdy i dział 50. Razem, oprócz pachołków i czeladzi, 40.000 żołnierzy gotowych było do boju. A opodal pod Beresteczkiem obozowało 12.000 wojska litewskiego. Dawno już Rzeczpospolita nie wyprowadziła w pole takiej siły, dawno już naród nie miał takiego poczucia swej mocy, jak w owej chwili, gdy wśród grzmotu dział, bijących na wiwat, król polski lustrował te liczne, barwne a imponujące swą postawą szyki.

Następnego dnia przyjechali do obozu pod Glinianami hetmani litewscy. Pora była spóźniona, ale na radzie wojennej postanowiono niezwłocznie rozpocząć przeciw Turkom działania. Król Michał pragnął osobiście objąć dowództwo nad wojskiem, ale że zdrowie mu nie dopisywało, więc wyrzekł się powziętego zamiaru i chory wyjechał do Lwowa. Dowództwo przeszło w ręce Sobieskiego, ku wielkiemu niezadowolaniu jego nieprzyjaciół, a przede wszystkim Michała Paca, który nienawdził sławnego wodza i najniechętniej szedł pod jego komendę.

Główne siły tureckie pod dowództwem Hussejnbaszy, mianowanego seraskierem, to jest wodzem naczelnym w tej wojnie, znajdowały się w obozie pod Chocimiem, a wraz z posiłkami wołoskimi wynosiły

35.000 ludzi, w tej liczbie 8.000 sławnych pułków janczarskich. W Kamieńcu, odległym o dwie mile od Chocimia, stał Halil-basza na czele 10.000 żołnierzy, a od pół cecorskich szedł z 20.000 „tygrys” sułtana, Kapłan-basza z Aleppo. Mahomet IV nie wyruszył tym razem na wojnę, ale na wiosnę miał przybyć do zawojowanych krajów i, w razie potrzeby, zmusić Rzeczpospolitą do posłuszeństwa.

Stosownie do powziętych postanowień, wojsko koronne miało się złączyć z wojskiem litewskim pod Trębowlą i wtargnąć do Mołdawji. lecz widocznie później zmieniono plan, gdyż pochód odbywał się bliższą ku Dniestrowi drogą przez Narajów, Brzeżany, Podhajce, Dobrowody, a celem marszu był Chocim.

A zaledwie wojsko wyruszyło z obozu, ogromna dezercja zaczęła przerzedzać szeregi. Klęsce tej trudno było zaradzić, bo prawo wojenne polskie karę śmierci przewidywało na uciekinierów z placu boju, ale za dezercję w marszu nie ustanawiało wyraźnej odpowiedzialności. Wobec tego wódz był bezsilny. Jeden z uczestników wyprawy pod Chocim świadczy, że nie tylko regimenty piesze, ale nawet towarzysze najbezwstydniej pod różnemi pozorami porzucali szeregi. Dezercja doszła do takich rozmiarów, że ze 120 chorągwi województwa ruskiego, po upływie tygodnia, zaledwie 60 pozostało. Ale bardziej jeszcze, niż ta ucieczka tchórzów, martwiło Sobieskiego postępowanie hetmana Paca, który okazywał ciągle niezadowolenie i w nikiemny sposób groził, że z całym wojskiem powróci do domu. Dnia 24 października, gdy wojsko koronne przepравиło się pod Łuką przez Dniestr, przybyli do obozu obaj hetmani litewscy Pac i Radziwiłł z oświadczeniem, że nie chcą i nie mogą

wysłać wojska za rzekę. Dowodził Pac, że żołnierze są przemęczeni, że dalszy pochód doszczętnie wyniszczy szeregi, wobec czego należy w tym roku zaniechać myśli o wojnie i radzić już tylko o zachowaniu wojska, aby Rzeczpospolita nie pozostała całkiem bez obrony. Oburzył się Sobieski, ale że nie miał prawem określonej władzy nad swoim kolegą litewskim, że ten stosunek musiała regulować dobra wola, więc odpowiedział tylko, że już niepodobna dysputować, czy iść na wojnę, czy nie, bo w tej właśnie sprawie wypowiedziała się Rzeczpospolita.

— „Wchodzę, — oznajmił Litwinom, — w nieprzyjacielską ziemię, z której nie pierwej wynijdę, aż albo szczęśliwie za błogosławieństwem pańskim nieprzyjaciela zniosę, albo chwalebnie za ojczyzną głowę położę!”

I oświadczył, że od tego postanowienia żadne nie odwiodą go rady, a nawet ordynans samego króla jegomości.

Nazajutrz Pac demonstracyjnie zabierał się do odwrotu. Zrozpaczony Sobieski przekładał, prosił, godził się na wszystkie żądania, wreszcie oddawał się sam pod komendę swemu wrogowi, byle tylko na niepewne łosy nie wystawiać całego przedsięwzięcia. Zmiękł wreszcie Pac, ale pomimo że pora była spóźniona i brakowało żywności, siedł ze swem wojskiem bardzo powoli i przewlekał pochód. Pod Żuczka dwa dni na Litwinów zmuszony był czekać Sobieski.

W ten sposób dopiero dnia 9 listopada pierwsze oddziały jazdy ukazały się pod Chocimiem. Przeciągły grzmot kilkudziesięciu armat tureckich powitał forpoczty polskie i dał znak, że twierdza czuwa, gotowa do podjęcia obrony.

Pięćdziesiąt zgorą lat temu w okopach, zajętych obecnie przez Turków, broniła się armja polska pod wodzą Chodkiewicza i sławnem po wsze wieki zwycięstwem upamiętniła to miejsce. Dzisiaj synowie tamtych rycerzy zajmowali ówczesne pozycje tureckie i tę samą twierdzę na Turkach mieli zdobywać. Wówczas znajdował się w okopach Jakób Sobieski, dziś do tych okopów szturm miał przypuścić syn jego Jan, naczelny wódz wszystkich sił zbrojnych Rzeczypospolitej. Zadanie było niełatwe, bo z 52.000 gotowych do boju żołnierzy w obozie pod Glinianami, niespełna 30.000 skutkiem straszliwej dezercji stanęło pod wałami twierdzy, bronionej przez 35.000 wyborowych wojsk tureckich pod dowództwem doświadczonego seraskiera Hussejna - baszy!

Zachodnia strona obozu tureckiego, najprzystępniejsza ze względu na swe położenie, umocniona została potężnymi wałami i fosą; od strony wschodniej zasłaniał Turków Dniestr, przez który zbudowany został most na łożdach dla komunikacji z Kamieńcem. Ze starym zamkiem, zaopatrzonym w artylerję, ale nie posiadającym już większego przy obronie znaczenia, łączył się obóz zwodzonym mostem, przerzuconym nad przepaścistym wąwozem.

Dnia 10 października od samego rana działa polskie pod komendą znakomitego generała artylerji Marcina Kątskiego przypuściły ogień do okopów tureckich. Nieprzyjaciel odpowiadał silną kanonadą. Przy akompanjamencie grzmotów armatnich, w tumanie siwych dymów wojska polskie na rozkaz Sobieskiego zajmowały wyznaczone sobie pozycje.

Prawe skrzydło od brzegu dniestrowego zajął na samym krańcu strażnik koronny Bidziński, dalej stał

wojewoda ruski Stanisław Jabłonowski, obok pułk hetmana Sobieskiego, a jeszcze bardziej w lewo hetman polny Dymitr Wiśniowiecki, kraniec zaś lewego skrzydła, zbliżonego do środkowej części półkola okopów, zajmowali panowie Potoccy: wojewoda kijowski Jędrzej i wojewoda sieradzki Szczęsny, pamiętny swemi wystąpieniami na posiedzeniach ostatniego sejmku. Stronę południowo-zachodnią, czołem na wschód, zajmowały, tworząc lewe skrzydło, wojska litewskie pod dowództwem Paca i Radziwiłła. Wreszcie na tyłach prawego skrzydła umieścił Sobieski wojska mołdawskie i wołoskie, które porzuciły obóz turecki i wraz z hospodarem mołdawskim Giką w liczbie 5.000 poddały się Polakom.

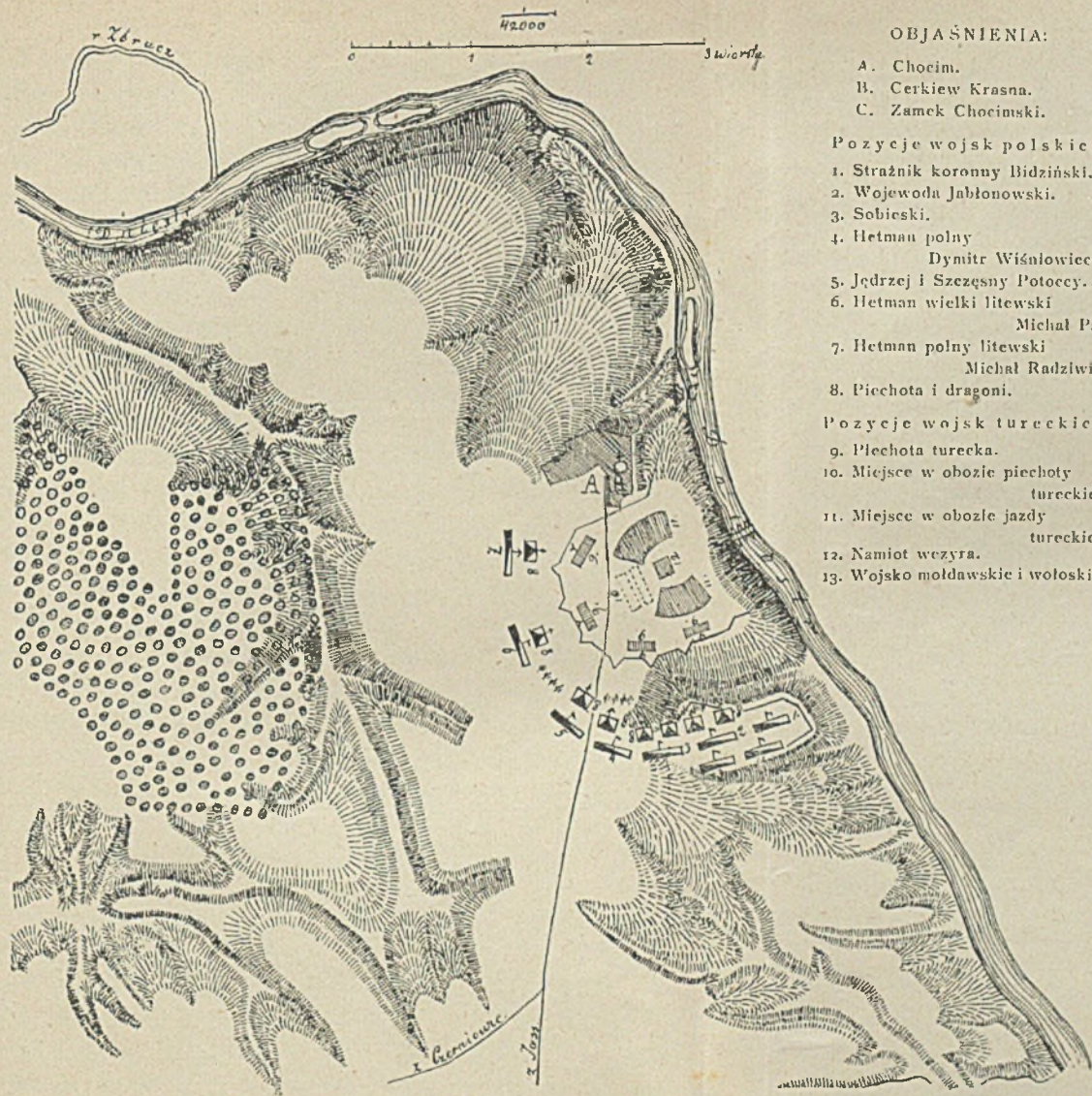
Po harcach w dniu 9 października, dnia następnego próbowano szturm, ale na ochotnika. Przy huku 50 dział polskich porwał się do ataku sławny pułkownik kozacki Motowidło oraz generał-major Danemark ze swoją piechotą. Obaj wdarli się na wały, ale że otoczyły ich wielkie siły zewsząd nadbiegających Turków, więc musieli się cofnąć. W odwrocie obaj polegli. Całe wojsko żałowało straty, a oplakiwało szczególnie bohaterskiego Motowidłę.

Śród milknącego zwolna huku armat szybko zapadał wieczór jesienny i zbliżała się pamiętna w dziejach tej wojny noc z 10-go na 11-y listopada. Na rozkaz Sobieskiego wszystkie regimenty piechoty zbliżyły się do okopów nieprzyjacielskich na strzał muskietowy, a całe wojsko stanęło w sprawie. Coraz gęstsza ciemność splywała na ziemię. Mżył deszcz ze śniegiem. Dokuczliwe zimno przenikało stojące w pogotowiu bojowym wojsko. Płynęła godzina za godziną, ale rozkazów nie odwoływano, więc głodny żołnierz

wojewoda ruski Stanisław Jabłonowski, obok pułk hetmana Sobieskiego, a jeszcze bardziej w lewo hetman polny Dymitr Wiśniowiecki, kraniec zaś lewego skrzydła, zbliżonego do środkowej części półkola okopów, zajmowali panowie Potoccy: wojewoda kijowski Jędrzej i wojewoda sieradzki Szczęsny, pamiętny swemi wystąpieniami na posiedzeniach ostatniego sejmku. Stronę południowo-zachodnią, czołem na wschód, zajmowały, tworząc lewe skrzydło, wojska litewskie pod dowództwem Paca i Radziwiłła. Wreszcie na tyłach prawego skrzydła umieścił Sobieski wojska mołdawskie i wołoskie, które porzuciły obóz turecki i wraz z hospodarem mołdawskim Giką w liczbie 5.000 poddały się Polakom.

Po harcach w dniu 9 października, dnia następnego próbowano szturm, ale na ochotnika. Przy huku 50 dział polskich porwał się do ataku sławny pułkownik kozacki Motowidło oraz generał-major Danemark ze swoją piechotą. Obaj wdarli się na wały, ale że otoczyły ich wielkie siły zewsząd nadbiegających Turków, więc musieli się cofnąć. W odwrocie obaj polegli. Całe wojsko żałowało straty, a oplakiwało szczególnie bohaterkiego Motowidłę.

Śród milknącego zwolna huku armat szybko zapadał wieczór jesienny i zbliżała się pamiętna w dziejach tej wojny noc z 10-go na 11-y listopada. Na rozkaz Sobieskiego wszystkie regimenty piechoty zbliżyły się do okopów nieprzyjacielskich na strzał muszkietowy, a całe wojsko stanęło w sprawie. Coraz gęstsza ciemność spływała na ziemię. Mżył deszcz ze śniegiem. Dokuczliwe zimno przenikało stojące w pogotowiu bojowem wojsko. Płynęła godzina za godziną, ale rozkazów nie odwoływano, więc głodny żołnierz



OBJAŚNIENIA:

- A. Chocim.
- B. Cerkiew Krasna.
- C. Zamek Chocimski.

Pozycje wojsk polskich:

1. Strażnik koronny Bidziński.
2. Wojewoda Jabłonowski.
3. Sobieski.
4. Hetman polny
Dymitr Wiśniowiecki.
5. Jędrzej i Szezęsny Potoccy.
6. Hetman wielki litewski
Michał Pac.
7. Hetman polny litewski
Michał Radziwiłł.
8. Piechota i dragoni.

Pozycje wojsk tureckich:

9. Piechota turecka.
10. Miejsce w obozie piechoty
tureckiej.
11. Miejsce w obozie jazdy
tureckiej.
12. Namiot wezyna.
13. Wojsko moldawskie i włoskie.

Plan bitwy pod Chocimem 11 listopada 1673 roku, według rysunku K. Górskiego.

nieprzyjacielska. Widocznie oczekiwał tego, bo rzekł do towarzyszącego mu rycerstwa:

— „Turcy są wrażliwi na zimno i niewczasy wojenne, aniżeli Polacy! Oto chwila, w której nam szturm przypuścić wypada!”

Odezwały się głosy zwątpienia, ale Sobieski, który lubował się w nagłych i niespodziewanych dla wroga atakach, wskazując obóz nieprzyjacielski, zawołał z rycerską fantazją:

— „Szyję mi uciąć, jeśli ich za kwaterę *) nie wezmę!”

I natychmiast rozesał do wszystkich pułków rozkazy, by ruszały do szturmu. A że wojsko gotowe do bitwy stało, więc nie czekając, aż wystąpią siły znaczniejsze, zwrócił się do spieszonych swoich dragonów i, chcąc zagrzać wojsko przykładem własnego męstwa, sam stanął na czele pierwszej szturmowej kolumny. Napomniawszy gorąco żołnierzy, by przez miłość Boga i ojczyzny śmiało szli naprzód i bili się mężnie, wskazał dobytą szablą obóz nieprzyjacielski i ruszył ku okopom. Na ten widok zapał ogarnął regiment hetmański. Z wielką brawurą rzucili się naprzód dragoni, a inne pułki poszły za tym przykładem.

Przy samej fosie dopadli Sobieskiego oficerowie i zaczęli go błagać, by nie narażał swojej osoby, zapewniając, że wszyscy tu gotowi są polec co do nogi, byle hetman nie darł się na wały.

Widząc zapał bojowy, wywołany własną odwagą, Sobieski usłuchał próśb, siadł na podanego mu konia i, odtąd dając baczenie na przebieg toczącej się bitwy, powrócił do swej czynności naczelnego wodza. Szturm,

*) To jest ćwierć godziny.

stał na mrozie i szczekał zębami. Ciszę w obozie polskim przerywał jeno głuchy turkot armat, które na rozkaz Sobieskiego pod zasłoną nocy zbliżano do wałów. Po pewnym czasie dopiero przemówiła gromami ustawiona na wskazanych pozycjach artylerja polska, a odpowiedziały jej zaraz armaty tureckie. Grzmot za grzmotem przewalał się w dalekich przestworzach i krwawe wstęgi płomieni z obu stron co chwila błyskały w ciemnościach i natychmiast gasły.

Oba wojska całą noc czuwały, nie zmrzywszy oczu. A tymczasem Sobieski odpierał nowy szturm małoduszności. Oto Pac uznał za niemożliwe zdobycie wałów tureckich. Przepowiadał nieochybną klęskę i radził cofnąć się całemu wojsku, dowodząc, że po nieudanym szturmie zdemoralizują się żołnierze, a brak żywności i furazu sprowadzi katastrofę i pozbawi Rzeczpospolitą ostatnich jej obrońców. Odpowiedział mu Sobieski, że cofanie się w obliczu potężnej armji nieprzyjacielskiej uważa za niepodobiestwo i dlatego nie dopuszcza myśli o odwrocie. Pozostawiając Pacowi swobodę zachowania się podczas jutrzejszego szturmu, oświadczył, że sam postanowił uwolnić z kajdan ojczyznę lub zginąć ze sławą! Po tej rozmowie udał się hetman do wojska i resztę nocy, nie śpiąc i nie jedząc, spędził wśród żołnierzy, siedząc na lawecie.

Skończyła się nareszcie noc, pełna oczekiwania, i zaświtał pamiętny dzień 11 listopada, dzień świętego Marcina. O pierwszym brzasku, hetman, okryty szronem, zjawił się przed szeregami i ruszył pieszo ku fortyfikacjom tureckim. Pilnie je badając, spostrzegł zaraz, że na wałach przerzedziła się znacznie piechota

rozpoczęty wielkimi siłami od samego rana, a nie-
poprzedzony ogniem armatnim, był tak gwałtowny
i tak niespodziewany dla zmarzniętych i całonocnem
czuwaniem na mrozie wyczerpanych Turków, że
w pierwszej chwili nie zdołali stawić silniejszego opo-
ru. Żołnierze polscy tak szybko wdarli się na wały,
że nim zaskoczony nieprzyjaciel zgromadził większe
siły, już sztandary polskie powiewały zwycięsko na
okopach.

Ale teraz dopiero w samym obozie rozgorzała wal-
ka. Ocknęła się mężna piechota turecka i z wściekło-
ścią rzuciła się w wir bitwy. Nadaremnie jednak usi-
łowała wyprzeć wdzierające się do obozu regimenty.
Powodzenie, osiągnięte pierwszym śmiałym a udanym
zapędem, ożywiło żołnierzy. Wszczął się bój gorący,
zacięty, bo janczarowie z wielkiem męstwem wytrzy-
mywali ciosy pik i berdyszów, które w mocnych ręk-
kach polskiego chłopca-piechura i dragona uderzały
z piorunową siłą. Litwini, porwani widokiem sztanda-
rów polskich na okopach, również przebyli fosy, wały
i odważnie natarli na Turków. Z obu stron wzdłuż
całego półkola fortyfikacyj nieprzyjacielskich z naj-
większą zawziętością biła się piechota. Ale gdy Turcy
rzucili do boju część swojej jazdy, linja polska tu
i owdzie zaczęła chwiać się i łamać.

Sobieski, chcąc ze swej strony uruchomić jazdę,
nakazał rozwalić w upatrzonem miejscu okop i zasy-
pać fosę. Rzucono się do spełnienia rozkazów het-
mańskich, gdy niespodzianie rozwarła się brama po-
łudniowa i wojskom polskiem, stojącym za szańcami,
ukazał się olbrzymi hufiec pędzącej, jak wichler kon-
nicy. Kilka tysięcy jeźdźców tureckich, roztrąciwszy
stojącą na ich drodze piechotę, wypadło w pole przez

rozwartą bramę i z okrzykiem: „Allah! Allah!” waliło się na pozycje polskie. Strażnik koronny Bidziński i chorąży Skoraszewski, porwawszy kilkanaście chorągwi, śmiało uderzyli na Turków i zatrzymali na chwilę ich szalony zapęd. Wykorzystał tę chwilę wojewoda Jabłonowski i poprowadził do boju husarję. Atak skrzydlatych olbrzymów był tak potężny, że odrazu rozerwał i zmieszał nieprzyjaciół. Rozbici Turcy podali tył i tą samą bramą, co koń wyskoczy, powracali do swego obozu. Ale na ich karkach jechali już husarze. Za Jabłonowskim całą swą jazdę wprowadził za okopy Sobieski. Na ten widok piesze regimenty polskie z nową energją rzuciły się naprzód. Dzielni janczarowie bronili się zążarcie, ale nie mogąc podolać wzmocnionym szykom polskim, a nie chcąc się cofać, ginęli, jak bohaterzy. Hussejn-basza, widząc wszędzie klęskę swoich, zwątpił o wszystkim. Zgromadziwszy przy sobie znaczny oddział konnicy, opuścił sromotnie plac boju, przeleciał przez most na drugi brzeg Dniestru i, pędząc bez wytchnienia, zatrzymał się dopiero w Kamieńcu. Natomiast basza Bośni, Soliman, postanowił przerznąć się przez wojska polskie i szukać ocalenia na polach Cecory. Stanąwszy na czele kilku tysięcy jeźdźców, pomknął za okopy i spadł, jak burza na chorągwie Dymitra Wiśniowieckiego. Natrafiwszy tutaj na gwałtowny opór, zawrócił nagle i, wracając do obozu, całą siłą rzucił się z tyłu na orszak Sobieskiego. Na szczęście, cztery chorągwie husarji, stojące w odwodzie, dostrzegły grożące hetmanowi niebezpieczeństwo i, złożwszy kopje, runęły do ataku. Husarzom pospieszyli z pomocą pancerni. Wszczął się bój zacięty i niezwykle krwawy, bo jeźdźcy tureccy, uchodząc pod ciosami kopij, sza-

bel i koncerzy, przyparci zostali do fosy i wkrótce aż po same brzegi wypełnili ją swemi trupami.

Teraz dopiero zaczął się pogrom w samym obozie nieprzyjacielskim.

Pozostała jazda turecka stanowiła jeszcze poważną siłę, ale nie próbowała już walki, lecz szukała ratunku na drugim brzegu Dniestru. Wszystko rzuciło się ku mostowi. Ale Sobieski przewidział tę ucieczkę. Drogę do mostu zagroził Radziwiłł, tych zaś, co przedtem zdążyli się tu dostać, powitały gromy artylerji polskiej. Most, siekany deszczem pocisków, nie wytrzymał ciężaru olbrzymiej masy ludzi i koni, rozerwał się z trzaskiem i w nurty Dniestru pociągnął tysiące nieszczęśliwych rozbitków. Pozostali przy życiu Turcy, oszalałszy z trwogi, rozpierzchli się na wszystkie strony, a wszędzie widząc śmierć, zawracali ku Dniestrowi i z urwistego brzegu rzucali się na ślepo w szumiące fale wezbranych wód rzeki. Niewielu zdołało się ocalić, a i za tymi pognało kilkanaście chorągwi jazdy pod Ruszczycem i, pędząc drogą do Kamieńca, dokonało dzieła pogromu.

Zwycięstwo polskie było zupełne.

Z całej załogi Chocimia zaledwie trzy tysiące jazdy, uprowadzonej przez Hussejna-baszę, uszło śmierci. Reszta trupami zasała pobojowisko lub potonęła w Dniestrze, a tylko nieznaczna część dostała się do niewoli. Osiem tysięcy janczarów, najprzedniejszej piechoty tureckiej, legło co do nogi. W ręce zwycięzców wpadło 66 dział, wszystkie chorągwie, buńczuki, zielona chorągiew Mahometa, mnóstwo przepysznych koni, wielbłądów, mułów, wiele drogocennej broni, kosztownych futer, tkanin, olbrzymie zapasy żywno-

ści, słowem, cały obóz nieprzyjacielski ze „wszystkimi splendorami”.

Wielu uradowanych zwycięstwem żołnierzy po-
przebierało się zaraz za Turków i dzieliło się bogatemi łupami.

— „Piechota, której wielkie męstwo i wielką każdy przyznać musi rezolucję, — pisał z placu boju uczestnik zwycięstwa, — przez kilka dni nie mając co w gębę włożyć, teraz sobie w nieprzyjacielskim odpoczywa obozie, przeszłych wetując głodów i niewczasów”.

Świetne to zwycięstwo okupili Polacy dwoma tysiącami poległych i takąż liczbą rannych: dowód, że walka była krwawa i zdobycie silnej warowni nie przyszło z łatwością.

Po całej Rzeczypospolitej gruchnęła wnet radosna wieść o znakomitem zwycięstwie, rozeszła się szybko po Europie i nową sławą okryła Sobieskiego. Wszędzie odczuto, że świetne zwycięstwo chocimskie rozpoczyna nową erę w dziejach wojen pomiędzy Turcją a światem chrześcijańskim. Oczy Polski zatrzymały się znowu na bohaterskim hetmanie, a uwaga Europy skupiła się na Polsce, która, dzięki Sobieskiemu, podźwignęła się z hańby i w opinii świata odrazu odzyskała powagę.

Tymczasem wielki wódz nie myślał spoczywać na laurach. Już na trzeci dzień po zwycięstwie, otrzymawszy wiadomość, że Kapłan-basza nadciąga ku Chocimowi z odsieczą, wyruszył natychmiast na jego spotkanie z jazdą pancerną i dragonami, lekko, komunikiem, ale spiesząc się bardzo. Lecz wiadomość była fałszywa: „tygrys” sułtana zwinął obóz i uciekał przed lwem Lechistanu. Więc Sobieski, doszedłszy do Pru-

tu, wracał pod Chocim. Wielkie plany go ożywiały. Wyniesiona z domu rodzicielskiego w Żółkwi „antypatja ku poganom”, wspomnienie śmierci pradziada, dziada, wuja i brata, straszliwe klęski Rzeczypospolitej, ponoszone corocznie przez najazdy posłusznych Turcji Tatarów, rozplomieniły w zwycięskim wodzu ideę zadania wielkiego ciosu potędze padyszacha. Powziął zamiar posunąć się całą siłą w głąb ziemi wołoskiej, przeciąć Kamieńcowi wszystkie komunikacje z Turcją, uwolnić z pod jarzma sułtańskiego Mołdawę i Wołoszczyznę, a następnie przygotować Rzeczpospolitą do śmiertelnych z Portą Ottomańską zapasów. Ale wielkie plany pokrzyżowali mali i nikczemni ludzie. Gdy Sobieski wrócił do obozu, już Pac z wojskiem litewskim znajdował się w odwrocie. A hetman polny litewski Michał Radziwiłł, szwagier Sobieskiego, zaledwie 1.000 Litwinów zdołał zatrzymać w Chocimiu. Wielka żałość wezbrała w sercu hetmana, nie złamała go przecież na duchu. Dał rozkaz do wymarszu i ruszył ku Prutowi. Nowa klęska spotkała go zaraz w pierwszym dniu pochodu: najokropniejsza dezercja z godziny na godzinę pomniejszała szeregi. A gdy pomimo to szedł dalej i dnia 21-go listopada stanął nad Prutem, innego rodzaju przeszkoda stanęła wpoprzek bohaterskim zamiarom: oto otrzymał wieść, że król Michał 10-go listopada, a więc w przeddzień zwycięstwa umarł we Lwowie. Wobec bezkrólewia i zawieruchy, jakiej można było oczekiwać w kraju, dalsze prowadzenie zaczepnej wojny z Turcją stawało się niemożliwem. Powaga i urzędy Sobieskiego wzywały go do powrotu. Więc postanowiwszy tak rozdzielić swe wojsko, by mogło strzec Podola, blokować Kamieniec i bronić Wo-

łoszczyzny, dnia 27 listopada zwołał koło wojskowe, podziękował obecnym żołnierzom za okazaną ochotę, męstwo i wierność sztandarom, poczem wydał rozkazy, zgodnie z powziętą decyzją, i pożegnał swe zwycięskie szyki. Jechał, by wziąć udział w wielkich wypadkach, które już w najbliższej przyszłości czekały Rzeczpospolitą.

A w całej Polsce rozbrzmiewały potężnie dzwony kościelne i zwiastowały ludności radosną nowinę o zwycięstwie chocimskim. Powrót Sobieskiego poprzedzała sława, imię jego było na wszystkich ustach.

Zwycięski hetman nie przeczuwał jeszcze, że ta sława ściele mu drogę do tronu.

VII. SOBIESKI KRÓLEM.



ańba traktatu buczackiego, przekreślona zwycięstwem chocimskim, nie przestała ciążyć nad Rzeczpospolitą. Turcja była zbyt potężnem i zbyt pewnem siebie mocarstwem, aby po upokorzeniu Polski w roku 1672-im, pogodzić się z klęską, poniesioną w roku następnym i zawrzeć pokój z lekceważonym przeciwnikiem. Nie można było wątpić, że Mahomet IV wyteży siły, aby zdeptać Polskę i znowu rzucić ją sobie pod nogi. Traktat w Buczaczu rozszerzył posiadłości Turcji i w tak wielkim stopniu podniósł jej potęgę, że z jej utratą nie mogła się pogodzić polityka Porty. Rozumiał to doskonale Sobieski. To też dowiedziawszy się o śmierci króla Michała, pisał zaraz do prymasa Czartoryskiego, aby co prędzej zwołał konwokację, a potem skracając wszelkie terminy, wyznaczył dzień elekcji, ażeby „przyszły pan, którego nieba dadzą, w kwietniu z wojskami mógł wyniść w pole.”

Jakoż pod kątem widzenia obrony ojczyzny rozpatrywał kandydatury do korony polskiej. Chciał widzieć na tronie przede wszystkim wodza, mogącego sprostać zadaniom czekającej Rzeczpospolitą wojny.

Nie myślał jednak o sobie. Nie był-że sam wodzem, nie czuł-że się na siłach stawiać czoło Turcji? Sobieski, jak i ówczesny ogół statystów polskich, nie miał wiary w naród i stąd płynęła jego niewiara w samego siebie. Już za panowania Jana Kazimierza w zastraszający sposób szerzyło się przekonanie, że bez obcej pomocy Rzeczpospolita nie zdoła obronić swej niepodległości. Złowróźbne przepowiednie o upadku Polski pochodziły nie tyle z grożących jej niebezpieczeństw, ile płynęły z poczucia własnej niemocy. Opinia najświetlejszych w epoce owej jednostek, jak biskup Trzebicki i prymas Czartoryski, nie różniła się pod tym względem od opinii osób, których dobra wola mogła być kwestjonowana. I Sobieski ulegał tej opinii. Jako jeden z filarów stronnictwa francuskiego, oddawna skierowane miał oczy na dwór francuski i w sojuszu z potężnym Ludwikiem XIV widział największe dla kraju korzyści i najpewniejszy sposób ratowania kraju. Więc i teraz na dwór francuski zwrócone miał oczy, a sławny w Europie wódz, księżę Kondeusz, był w jego opinii najgodniejszym do tronu polskiego kandydatem.

Sobieski, pochłonięty całkowicie sprawą wojny, nie pojechał nawet na sejm konwokacyjny, zwołany na styczeń 1674 roku. Przebywając na Rusi, zajmował się zaopatrzeniem w żywność magazynów wojskowych, sprawą wzmocnienia fortec, leżami wojsk, pisaniem na wszystkie strony instrukcyj, przyjmowaniem i wyprawianiem w różne strony poselstw. Kłopotów miał wiele, gdyż we wszystkich sprawach zwracano się do niego, a różne życzenia wzajemnie sobie przeczyły.

— „Ustawiczne poselstwa od wojewodów przychodzą do mnie, — pisał w owym czasie, — a całe sobie

przeciwnie: od jednych, abym jechał na konwokację, a od drugich, abym się z tych nie ruszał krajów. Otóż to moja wolność i ukontentowanie na urzędach moich!”

Nie mogąc być w Warszawie i strzec jednocześnie granic, Sobieski pozostał na Rusi i wszystkie swe siły poświęcił sprawom wojennym, najlepszy składając dowód, że się o koronę ubiegać nie myśli. A zewsząd dochodziły go w owym czasie zatrważające wiadomości. Chorąży koronny Sieniawski, zagrożony wtargnięciem 40.000 Tatarów i 20.000 Turków, opuścił Mołdawję i cofnął się ku granicy polskiej. Jan Potocki nie zdołał skutecznie blokady Kamieńca. Nie udało się również opanowanie Baru. Na Ukrainie wicherzył po staremu Doroszeńko, zdradzał Polskę hetman kozacki z ramienia Rzeczypospolitej Haneńko, wojska zaś carskie pod wodzą Romodanowskiego wtargnęły wielkimi siłami, by poskromić wodzów kozackich i władztwo moskiewskie utwierdzić po obu brzegach Dniepru. Wreszcie z Turcji napływały wiadomości o przygotowaniach do nowej wojny. Już 24 lutego sułtan rozkazał wywiesić przed swoim namiotem buńczuki. Z tego wynikało, że wczesną wiosną należy oczekiwać rozpoczęcia kroków wojennych.

Oto były sprawy, które całkowicie pochłaniały siły, czas i umysł hetmana.

Tymczasem na sejmie konwokacyjnym walczyli ze sobą stronnicy Francji ze zwolennikami domu cesarskiego. Potężni Pacowie dokładali usiłowań, by pokrzyżować zabiegi dyplomacji francuskiej. Przywodził „Litwie Pacowskiej” Michał Pac, hetman wielki litewski, dezerterski z obozu chocimskiego, człek zdolny do wszelkiej niktzemności i zdrady. On to na własną rękę wdawał się w haniebne układy z carem, które-

mu obiecywał nawet zerwanie Unji lubelskiej, a miał odwagę mówić nuncjuszowi papieskiemu, że Sobieski porozumiewa się ze zdrajcą Doroszeńką i z pomocą tego przyjaciela Turków chce zdobyć koronę. Pacowie, przeszedłszy na stronę Austrii, z największą energią popierali jej kandydata księcia Karola Lotaryńskiego. Sobieskiego nienawidzili, a obawiając się, by ich bohaterski przeciwnik nie otrzymał korony, starali się wyjednać uchwałę, wykluczającą kandydaturę Francuza i Piasta.

Elekcja, wyznaczona na drugą połowę kwietnia 1674 roku, zapowiadała się bardzo burzliwie. Oprócz wspomnianego już ks. Karola, który w razie wyboru, zobowiązał się poślubić wdowę po Wiśniowieckim, królowę Eleonorę, pretendowali do korony: syn Filipa Neoburskiego, młodzietki, zaledwie lat 16 liczący książę, brat króla duńskiego Jerzy, książę Tomasz Sabaudzki, książę Modeny Rinaldo d'Este, syn elektora brandenburskiego Henryk Hohenzollern i kilku innych mniejszego znaczenia książąt zagranicznych. Sobieski wypowiedział się za ks. Kondeuszem.

Sejm elekcyjny rozpoczął się 20-go kwietnia, pod łaską, jednomyślnie powołanego na marszałka, Benedykta Sapiehy.

Pacowie z hetmanem wielkim Michałem i kanclerzem Krzysztofem nadciągnęli całą familją i czynili najwyższe wysiłki, by przez uchwałę, wykluczającą „Piasta”, zagrozić do tronu drogę Sobieskiemu. Nikt jeszcze publicznie o nim nie mówił, ale zwycięski hetman wyrósł tak wysoko, że wszystkie oczy na niego były skierowane. Gdy dnia 2-go maja gruchnęła wieść, że do Warszawy zbliża się Sobieski, wszystkie sprawy odrazu zeszły na plan drugi, bo wszyscy chcieli

powitać bohatera. A gdy hetman, otoczony przepysz-
nym poczem rycerstwa, wjechał do stolicy, entuzjastni
ogarnął miasto i wybuchnął okrzykami rozgłośnych
wiwatów. Na widok zwycięzcy, który uratował honor
Polski, a dawał rękojmię, że i w przyszłości honoru
tego najlepiej bronić potrafi, żywiej uderzyły serca.
Dla olbrzymiej większości zgromadzonych tłumów od-
razu Sobieski stał się najgodniejszym tronu.

Tymczasem hetman daleki był jeszcze od sięgania
po koronę. Wierny ks. Kondeuszowi, jemu tron za-
pewnić pragnął. Ale okoliczności nie sprzyjały tej
kandydaturze. Imię Kondeusza było nienawistnem dla
tłumów szlacheckich imieniem, a Ludwik XIV, po do-
znanych w Polsce zawodach, nie chciał tym razem
ponawiać kosztownych starań o koronę polską i na
nową kompromitację narażać księcia swego domu.
Ambasador francuski biskup Toussaint Forbin Janson
miał instrukcję popierać młodego księcia Neoburskiego.
Gdyby się okazało, że ta kandydatura nie da się prze-
prowadzić, wtedy obowiązany był dołożyć starań, aby
nie dopuścić do obioru księcia Karola Lotaryńskiego,
związanego z domem cesarskim. Zresztą miał oświad-
czyć, że Ludwik XIV, z wyjątkiem Lotaryńczyka,
każdego innego króla powita życzliwie. Gdy Sobieski
dowiedział się o tem, doznał wielkiego rozczarowa-
nia. Oświadczył wręcz, że młodzietki księżę Neobur-
ski nie mógłby podolać ciężkim obowiązkom króla
i że takiego kandydata popierać nie może. I ciągle
trwał przy Kondeuszu.

Ale towarzysząca hetmanowi Marja Kazimiera lepiej
zorjentowała się w sytuacji. Zrozumiała odrazu, kto
ma największe widoki zostania królem polskim i, oszo-
łomiona perspektywą wzniesienia się na wysokość

tronu, na wszystkie strony rozpoczęła zabiegi, by zostać królową. Zdołała przekonać Forbin Jansona, że wybór jej męża będzie najkorzystniejszy dla Ludwika XIV i Francji, że jedynie Sobieski może wysunięciem swej kandydatury uniemożliwić wybór księcia Karola, za którym stało niemal całe wyższe duchowieństwo z prymasem Czartoryskim i biskupem Trzebickim na czele, hetman Dymitr Wiśniowiecki, potężne stronnictwo Paców i wszyscy nieprzyjaciele Francji. Forbin Janson nie tylko uległ argumentom Marysieńki, ale pamiętając o tem, by paraliżować zabiegi stronników cesarza, sam przeszedł na stronę Sobieskiego i sypnął złotem na skaptowanie kilku panów litewskich. A Sobieski do ostatniej chwili myślał o Kondeuszu. Kładąc na szali kandydaturę Francuza i swoją, Francuzowi oddawał pierwszeństwo. Kondeusz był księciem krwi królewskiej, mógł zasilić skarb polski i uzyskać pomoc potężnej Francji. Mógł nadto liczyć na większą powagę w narodzie, niż Sobieski, szlachcic polski, budzący zawiść swych rodaków i równie jak on potężnych magnatów mający przeciw sobie. Znieważona władza królewska za Piasta-Wiśniowieckiego nie mogła mieć zbyt wielkich ponęt dla człowieka, który tak niedawno sam króla obdzierał z powagi i o jego detronizację układał się z obcym monarchą. Znał dobrze Sobieski ciernie korony polskiej, a bardziej wierzył cudzoziemcowi, niż sobie.

Pacowie odgrążali się, że nie dopuszczą do obioru kogokolwiek bądź innego, jak tylko ks. Karola i o nikim innym nie chcieli słyszeć. W miarę zbliżania się elekcji, wyznaczonej na 19 maja, gmatwała się sytuacja i coraz niepewniejszym stawał się wynik zabiegów. Na kilka dni przed tym terminem stronników ks. Ka-

rola spotkał cios: chory od dłuższego czasu prymas Czartoryski, mogący wiele zdziałać swą powagą, zmarł w dniu 15 maja. A w wilję elekcji Sobieski, któremu za poparcie Lotaryńczyka ambasador cesarza ofiarowywał ogromne sumy, a nawet Opole i Raciborz na Śląsku z tytułem księcia Rzeszy Niemieckiej, przechylił się ostatecznie na stronę księcia Neoburskiego. Lecz gdy nazajutrz dowiedział się, że Pacowie odrzucają wszelkie układy, zapłonął gniewem i oświadczył w przytomności ambasadora francuskiego oraz wielu senatorów, że sam udaje się zaraz na pole elekcyjne i, jeśli trzeba będzie, szabłą spór rozstrzygnie.

Ambasadorowi Ludwika XIV rzekł:

— „Wszystko pójdzie dobrze i możesz pan być pewien, że król będzie zadowolony!”

Dodał następnie, że jeżeli, jak krążyły pogłoski, wojska cesarskie wkroczą do kraju, to czuje się dość silnym, by dać sobie z tym najazdem radę. I z temi słowami opuścił pałac Kazimierowski, w którym rezydował. Ale na polu elekcyjnym nie zastał już koła. Wszystkie województwa obradowały poza okopem, aby się ostatecznie naradzić. Więc udał się do województwa ruskiego. Tu właśnie wojewoda Stanisław Jabłonowski, towarzysz broni i przyjaciel hetmana, wygłaszał wielką mowę do szlachty. Jako gorący stronnik Francji, występował energicznie przeciw ks. Karolowi i słauił przymioty wojenne księcia Kondeusza. Ale zwracał uwagę słuchaczy, że ten znakomity wódz francuski nie zna Polski, że musiałby dopiero przyzwyczajać się do rządzenia według praw polskich i uczyć się prowadzenia wojny z nieznanem mu wojskiem i w nieznanym warunkach. Wobec tego wyrażał Jabłonowski przekonanie, że najlepiej króla

szukać między swoimi, a wśród swoich najwięcej cnót i zalet posiada Sobieski, sławny pogromca Turków i Tatarów. Poparł Jabłonowskiego kasztelan lwowski Andrzej Maksymiljan Fredro i biskup chełmski Stanisław Dąbski, a szlachta z wielkiem zadowoleniem słuchała tych wywodów. Jeden głos tylko odezwał się przeciw Sobieskiemu. Był to głos samego Sobieskiego. Ale im goręcej hetman występował przeciw sobie, polecając Kondeusza, tem głośniejsze na cześć swoją wywoływał wiwaty, tem większy wzbudzał dla osoby swojej entuzjazm.

Szlachta województwa ruskiego jednomyślnie, wśród radosnych okrzyków, postanowiwszy stawać za Sobieskim, wysłała zaraz deputatów do innych województw, zapraszając je do zgody na osobę marszałka. Trzyńście województw przyjęło do wieczora propozycję.

Śród Litwy hetman polny Michał Radziwiłł i Sapiehowie również za Sobieskim się wypowiedzieli, ale Pacowie zgłosili swe veto, opuścili koło i akt protestacji zanieśli do grodu. Pomimo to szlachta zaczęła domagać się od biskupa Trzebickiego, który zastępował prymasa, aby natychmiast ogłosił Sobieskiego królem. Trzebicki, obawiając się krwi przelewu, a mając nadzieję, że Pacowie ustąpią, radził z nominacją wstrzymać się do dnia następnego. Marysieńka tegoż dnia przyjmowała już powinszowania, jako królowa polska, ale Sobieski oświadczał z całą stanowczością, że tylko zupełna jednomyślność mogłaby go skłonić do przyjęcia wyboru.

Zaczęły się pertraktacje z Pacami. Położenie ich było trudne. Zrozumieli doskonale, że nic już nie uratuje kandydatury cesarskiej. Zarazem zdawali

sobie sprawę, że przeciwstawiając się Sobieskiemu, obruszą na siebie Koronę i rozerwą Litwę, a na stawianie oporu zbrojnego nie mieli odwagi. Więc choć Sobieski był im nienawistny, cofnęli swój protest i ulegli okolicznościom.

Dnia 21 maja 1674 roku zwołano znowu koło generalne. Od samego rana zgromadziły się na Woli tłumy szlachty. Toczyły się gorące rozprawy. W południe nadciągnęli Pacowie i wyrazili swą zgodę na wybór Sobieskiego. Wtedy biskup Andrzej Trzebicki wszedł w środek koła i trzykrotnie, zwracając się za każdym razem w inną stronę, zapytał potężnym głosem, czy jest zgoda na wybór jegomości pana Jana Sobieskiego, marszałka i hetmana wielkiego koronnego?

Za każdym razem wznosiły się w niebo donośne a do grzmotów podobne okrzyki:

— Zgoda! zgoda!

I z tysięcy tęgich piersi szlacheckich huknęły wiaty:

— Vivat Joannes rex!

— Niech żyje król Jan!

Więc Trzebicki mianował Sobieskiego królem polskim i wielkim księciem litewskim, a marszałkowie z podniesionemi w górę laskami obwoływali wybór nowego króla w okopie. Odśpiewano hymn *Te Deum laudamus*, a strzały armatnie obwieściły stolicy, że elekcja szczęśliwie została ukończona. Z Woli zgromadzone tłumy udały się do kościoła św. Jana. Dwa szpalery wojsk ustawiły się po drodze, a za nimi tłoczyła się publiczność. Na całej tej przestrzeni witało pojawienie się Sobieskiego okrzykami zapału wśród

salw muszkietów i dźwięków grających marsze triumfalne kapeli.

Pozostały do omówienia *pacta conventa*. Nowy król prosił, aby nie stawiano mu niemożliwych warunków, bo chce przysiąc z najlepszą wiarą, bez zastrzeżeń (*sine restrictione*), a nadto domagał się, aby nie umieszczano warunku, że nie wolno mu abdykować. Pacowie różne stawiali trudności, a czynili wszystko, aby na samym wstępie obrzydzić nowemu królowi panowanie. A więc przez usta niejakiego Górskiego protestowali przeciw koronowaniu Marii Kazimiery, chcieli wyjednać uchwałę, zabraniającą synom Sobieskiego używania tytułu królewiczów i wiele innych wynajdywali przykrości. Oburzyła się szlachta. Górskiego omal nie pobito. „Besztali, łajali, złorzeczyli”, a gorętsi posłowie krzyczeli, aby zuchwalca rozsiekać i wyrzucić oknem.

Dopiero dnia 5 czerwca 1674 r., skutkiem tej opozycji, zaprzysiągł Sobieski *pacta conventa* i od tej daty liczy się panowanie Jana III.

A już nazajutrz po przysiędze zwołał król radę wojenną, w której wzięło udział 40 senatorów. Rozważano propozycje królewskie w sprawach wojny i wszystkie, zgodnie z życzeniami króla, przyjęto. Tylko co do jednej sprawy zdania były podzielone. Pytał Sobieski, czy zaraz ma ruszyć na wojnę, czy też po koronacji. Ogromna większość była zdania, aby ukoronowany i poświęcony wyruszył przeciw nieprzyjaciółom krzyża. Ale na trzeci dzień, po wypowiedzeniu się wszystkich senatorów, zabrał głos Jan III i wygłosił wielką mowę, a przemawiał tak gorąco i pięknie, że zdumiał słuchaczy.

Ważna to mowa dla zrozumienia wielu przeszłych i przyszłych czynów Sobieskiego.

— „Nie są mi tajne, — mówił król, — niedole, od tylu lat przygniatające ojczyznę i zbliżający się jej ostateczny upadek, ani też niebezpieczeństwa, zagrażające zupełnem wytępieniem naszemu szlachetnemu, do wolności zrodzonemu narodowi, bo miałem wielki udział w tem każdego czasu”...

Po tych słowach, tak wymownie świadczących, że Sobieski uległ szeroko rozpowszechnionej w owym czasie opinji, która przewidywała w niedalekiej przyszłości rozszarpanie Rzeczypospolitej, oświadczył, że mając te niebezpieczeństwa na względzie, nie chciał dla siebie godności królewskiej. Wiedział dobrze, że jako prosty szlachcic nie może dorównać znaczeniem, wpływami i bogactwem możnym księżętom zagranicznym. Dopiero po rozważeniu wszystkich okoliczności i porachowaniu się z własnem sumieniem postanowił przyjąć to ciężkie i odpowiedzialne brzemię.

— „A więc, — mówił, — poświęcam i ofiaruję najdroższej mojej ojczyźnie ciało i życie, mienie i krew swoją. Pragnę oddać się całkowicie na utrzymanie czci Bożej, na obronę chrześcijaństwa całego, na obsługę tego istotnego przedmurza, mianowicie naszej wspólnej matki, Korony Polskiej. Również z gorliwością starać się będę o dostarczenie jej obrony i oręża”...

Wyliczywszy następnie najpilniejsze potrzeby chwili oraz złożone przez siebie ofiary na potrzeby wojenne, dodał, że koronacja natychmiastowa nie przyniosłaby pożytku Rzeczypospolitej...

„Przebywalibyśmy w Krakowie, a nieprzyjacieli skorzystałby z tej sposobności, że nie czuwalibyśmy

w obozie nad bezpieczeństwem ojczyzny i napadłby na nas”.

Wreszcie mowę swą zakończył uroczystym zwrotem:

— „Ponad moje własne korzyści, sprawy i roszczenia przekładam pomyślność Rzeczypospolitej, jak to nakazuje sama cnota. Więc odkładamy koronację do pomyślniejszego czasu. Poświęcając siebie i wszystko swoje gwoli pomyślności ojczyzny, nie wątpię, że tym sposobem najlepiej okażę moją ku niej przychylność i miłość”.

W słowach Sobieskiego zabrzmiało, jakby echo prześlicznych mów i listów pradziada Żółkiewskiego. To samo głębokie uczucie patriotyczne, ta sama chęć poświęcenia się za Polskę i świat chrześcijański, te same podniosłe myśli, które niegdyś tak pięknie wyrażał Żółkiewski, czystą nutą zadźwięczały w słowach jego spadkobiercy. Walka z Turcją i Tatarami, która za lat chłopięcych króla wytwarzała w Żółkwi atmosferę religijno-wojenną, potraktowana została w tej pierwszej mowie Jana III, jakby misja Polski wobec Europy i chrześcijaństwa. Takie pojmowanie zadań narodu miało wpływać później na wybór krzyżujących się dróg politycznych, które w ważnych chwilach dziejowych stawały przed Rzeczpospolitą. To przecież pewna, że Sobieski, przyjmując koronę, czynił to z czystym sercem, po wnikięciu w głąb swego sumienia i skrupulatnem rozważeniu wszystkich następstw powziętej decyzji. Pomimo wielkich przewinień i błędów w swojej przeszłości, był nowy król lepszy, czystszy i bezinteresowniejszy, niż otoczenie, z którym się stykał na arenie politycznej. To też należy wierzyć, że to, co mówił w owej chwili,

nie było pustym frazesem, ale szczerem wyznaniem intencji, które głęboko go ożywiały. Dlatego też niewątpliwie uczynił na słuchaczach tak potężne wrażenie, o jakim diarjusz sejmu elekcyjnego wspomina.

Zgodzono się na wszystko, czego życzył sobie Sobieski i odłożono koronację do czasów pomyślniejszych.

Jan III, otrzymawszy z rąk rodaków koronę, zmienił wkrótce poglądy, które wyznawał, jako szlachcic, a później jako jeden z największych dygnitarzy Rzeczypospolitej. Widział on wiele złego w urządzeniach państwa, a przede wszystkim słabość rządu wobec wszechwładztwa sejmów, kierowanych coraz częściej intrygami obcych potencji. Wkrótce też powziął myśl wzmocnienia w Polsce władzy monarchicznej, zniesienia *liberum veto* i wolnej elekcji. Marzył o dziedziczości tronu i gorąco pragnął przekazać swemu synowi koronę. Francja sprzyjała tym projektom, a król sądził, że nowe zwycięstwa dodadzą mu w oczach narodu powagi, otoczą go jeszcze większym blaskiem i pozwolą doprowadzić do skutku zamiary, których w ciągu całych stuleci nie zdołali urzeczywistnić jego poprzednicy. Ale sytuacja zewnętrzna, a później intrygi i spiski magnatów sparaliżowały poczynania reformatorskie Sobieskiego. Więc choć do zgonu trwał w swych zamiarach, nigdy nie zbliżył się do celu. A narazie wojna z Turcją pochłonęła wszystkie jego siły.

Sytuacja była bardzo groźna. Wielkie wojska tureckie z Mahometem IV na czele wtargnęły na Podole. Poddał się Chocim, którego słaba załoga obronić nie mogła. Należało się obawiać, że cała potęga turecka runie w głąb Rzeczypospolitej. Sobieski w obozie pod

Złoczowem zbierał wojsko i przygotowywał się do walki. Ale nawała tatarsko-turecka skierowała się przeciw Moskwie.

Zemściła się tym razem na carze jego drapieżna i nielojalna polityka w stosunku do Rzeczypospolitej.

Według traktatu andruszowskiego prawobrzeżna Ukraina należała, jak wiadomo, do Polski. Ale skutkiem buntów Doroszeńki w jednej tylko Białej Cerkwi trzymała się załoga polska. Po zwycięstwie chocimskim Doroszeńko zwątpił w moc Turcji i chciał uniezależnić się od sułtana. Polakom obiecywał powrót do poddaństwa, byle mu wydana została Biała Cerkiew, a jednocześnie ofiarowywał swe poddaństwo carowi wzamian za Kijów. Sobieski znał dobrze wartość moralną chytrego Kozaka, ale widząc w nim największą na Ukrainie siłę, nie przechodził do porządku nad Doroszeńką i nie przestawał myśleć o pozyskaniu go dla Polski. Inaczej postąpił car. Zamiast jakichkolwiek pertraktacyj z buntowniczym hetmanem, wysłał w styczniu 1674 roku wojska moskiewskie i kozackie w sile 80.000 ludzi pod wodzą Romodanowskiego i zadnieprzańskiego hetmana Samożłowicza. Wojska te, wtargnąwszy na należące do Polski terytorjum, zagarnęły Kryłów, Czerkassy, Kaniów, a choć nie zdobyły Czehrynia, głównej siedziby Doroszeńki, przeciągnęły na swą stronę kilka pułków kozackich. W marcu 1674 roku hetman zaporoski z ramienia Rzeczypospolitej, Haneńko, złożył buławę swą przed Romodanowskim, a starszyzna kozacka okrzyknęła Samożłowicza, hetmana carskiego na Zadnieprzu, hetmanem prawobrzeżnej, a więc i do Polski należącej Ukrainy.

W taki to sposób, pod pozorem wojny z Doroszeńką, sprzymierzeńcem Turcji, chciał car utwierdzić swe panowanie po obu brzegach Dniepru i zagarnąć pod swe berło całą Ukrainę.

Więc Mahomet IV, uważający Ukrainę za własność swoją, przeciw Moskalom i sprzymierzonym z nimi Kozakom skierował swe siły. Ruszyli Turcy pod Ładyżyn, Winnicę i Humań. Romodanowski wraz z Samojłowiczem umknęli co prędzej na drugi brzeg Dniepru, a Doroszeńko stawił się przed obliczem sułtana, jako wierny jego sługa. Zastępujący wielkiego wezyra Kara-Mustafa szturmem wziął Humań i całą ludność, jako zbuntowaną przeciw sułtanowi, doszczętnie wymordował. Mahomet, nasyciwszy swoją krwiożerczość widokiem tysięcy ściętych głów, przysłanych przez Kara-Mustafę, a zadowolony z ucieczki wojsk carskich, uznał wyprawę tego roku za ukończoną, nakazał wojskom swym odwrót i dnia 18-go września przekroczył Dniestr z powrotem.

Wojska koronne i litewskie dopiero w końcu października zdołały wyruszyć na plac boju. Wojewoda Jabłonowski przodem udał się pod Kamieniec, a za nim podążali Sobieski i Michał Pac z Litwinami.

Przez cały ten czas król stale porozumiewał się z carem Aleksym i chciał go skłonić do wspólnego przeciw Turkom działania. Ze swej strony car przysyłał królowi hramoty z wyrazami najszczerzej miłości i ciągle zapowiadał gromadzenie wielkich wojsk swoich, a nawet wyrażał zdziwienie, czemu to z temi wojskami nie łączą się Polacy. Ale carowie nie byli wiernymi sojusznikami, a doniesieniom ich nie można było wierzyć. Po ucieczce Romodanowskiego za Dniepr, przechwalał się car wielkiem swego wodza

zwycięstwem nad Turkami. Wiedzieli Polacy, co o tych zwycięstwach sądzić. Rezydentowi carskiemu Tiapkinowi bez ceremonji słowa prawdy wyrąbał podskarbi Morsztyn:

— „Wiemy tylko, że wasza Moskwa uciekła za Dniepr sromotnie przez nikogo nieścigana. Wojsk tureckich nie widziała, armaty wszystkie pogubiła i przeszło 10.000 żołnierzy potopiła. Byłoby dobrze, żeby wszyscy zginęli!”...

Nadaremnie Jan III, rad podjąć przeciw Turcji wielką krucjatę, zachęcał cara do połączenia wojsk swych z Polakami i zwierzał mu się ze swoich zamiarów. Mimo wielkich obietnic i zapowiedzi, wojska moskiewskie spokojnie odpoczywały za Dnieprem. Król wyłącznie na własnych siłach musiał polegać, a car, gdy Turcy przeszli Dniestr, z niechęcią patrzył na postępy wojsk polskich.

Dnia 18 listopada (1674 roku) Sobieski szturmem wziął Bar, a to zwycięstwo wielkie wrażenie wywarło na ogromne przestrzenie zbuntowanego kraju. Pułkownik Doroszeńki Hohoł poddał królowi Mohilów. Ordy tatarskie, grasujące na Podolu, na samą wieść o zbliżaniu się strasznego pogromcy, uciekły w pośpiechu—i całe Podniestrze wróciło do posłuszeństwa. Zwycięstwa szły śladem Sobieskiego, a urok jego imienia był już tak wielki, że nigdzie nie śmiano stawiać mu oporu.

Ale wśród tych pierwszych triumfów, które w Sobieskim rozbudziły na nowo wielkie zamiary, znowu zasyczała zdrada i jak grom uderzyła w szczęśliwego zwycięzcę. Oto Michał Pac zawrócił swe wojska i pomaszerował z powrotem na Litwę, a krok ten usprawiedliwił listownie przed królem złym stanem swego

zdrowia. Jan III zapłonął oburzeniem. W odezwie do hetmanów litewskich nazwał tę haniebną dezercję „wstydem, którego wieki nie zmażą”, rozkazywał chorągwiom wracać, a bezwstydnym dezserterom zabraniał „mianować się imieniem żołnierzy”. Na tę odezwę króla część Litwinów za wpływem hetmana polnego Radziwiłła, Kazimierza i Benedykta Sapiehów oraz kilku mających poczucie honoru rycerskiego rotmistrzów, powróciła do króla, ale Pac z większą częścią wojska nie usłuchał wezwania. A Sobieski nie śmiał podnieść ręki na przestępcę. Król cofał się przed hetmanem. Więc Pac bezkarnie wrócił na Litwę i nie utracił nawet swej wielkiej buławy. Dawno już w Rzeczypospolitej zbrodnie możnych panów uchodziły bezkarnie, a nowy król nie odważył się stanąć do walki z potężnym a do wszelkiej zdrady zdolnym magnatem.

Pomimo znacznego osłabienia sił, spowodowanego nikiemnością Paca, król przekroczył Boh pod Pieczarą i dalej prowadził dzieło uśmierzenia kraju. I znowu szły za nim zwycięstwa. Dnia 27 listopada zdobyty został Kalnik, silna twierdza, którą przed trzema laty, dla braku artylerji musiał Sobieski zaniechać. To nowe powodzenie przestraszyło załogi innych zbuntowanych warowni. Ze wszystkich stron popłynęły ku Janowi III oświadczenia wierności. Gród za grodem, forteca za fortem, ogarnięte strachem, zaczęły się poddawać królowi i prosić go o miłosierdzie. W ten sposób w ręce polskie przeszły Ilińce, Niemirow, Winnica, Braclaw, Bałabanówka, Berszada, Pohrebyszcze, Tulczyn i wiele innych pomniejszych miast i zamków. W grudniu wydarty został z rąk tureckich Raszków. W marcu 1675 r. Michał Radziwiłł zdobył



obronną Pawłowcz, „wszystkiej złości gniazdo”. Na wiosnę tegoż roku ogromna część Ukrainy znajdowała się pod władzą Rzeczypospolitej. A co było wielką zasługą Sobieskiego, to jego łagodne obchodzenie się z ludnością ruską, szanowanie religii greckiej, unikanie wszelkich gwałtów, zapobieganie na opanowanej przestrzeni wszelkim nadużyciom i krzywdom.

Ale wraz z wiosną wielkie siły turecko-tatarskie zaczęły maszerować ku Polsce.

Sobieski dopiero w końcu kwietnia 1675 roku powrócił do swego Złoczowa i tutaj z nadzwyczajną energią przygotowywał się do nowej kampanji. Wojna wymagała ogromnych i niezwłocznych nakładów pieniężnych, a na zwołanie sejmu nie było już czasu. Własnymi zabiegami musiał król wszystkiemu podołać. A miał o czem myśleć. Wojska koronne wyniszczyła kampanja zimowa, na litewskie nie można było liczyć. Utrzymanie zdobytych fortec wymagało należytego ich zaprowiantowania, wzmocnienia nie liczných załóg, a odparcie groźnego najazdu wielkich sił, zdolnych do wyruszenia w pole. Jan III ze zwykłą energią zabiera się do pracy. Wszędzie spotykają go trudności i przeszkody, bo niema już w Rzeczypospolitej zrozumienia dla potrzeb wojny, a powodzenia wojenne króla uspokajają sumienia obywateli rozumowaniem, że rzeczą króla jest bronić kraju. Więc król sam jeden wśród obojętności narodu zмага się z tyśiącznymi przeciwnościami i przygotowuje się do wojny. Jednocześnie pertraktuje z carem, z chanem, z wystraszoną powodzeniami oręża polskiego Doroszeńką, zdobywa się nawet na wielkie bohaterstwo i pisze uprzejmy list do zdrajcy Paca, żądając, by wojsko litewskie stanęło nad granicami Podola.

Wielka burza zbliżała się znowu ku Polsce.

Sułtan Mahomet nie wyruszył tym razem na wojnę. Jako wódz naczelny szedł na Polskę zięć sułtański, Ibrahim-Szyszman („Tłuścioch”), a miał pod sobą 12 baszów, prowadzących wyborową 60.000-ną armję z 70 działami. Na pomoc Turkom ze wszystkimi ordami wyruszył z Krymu chan Selim-Giraj. W maju 1675 roku Ibrahim-Szyszman wzięł szturmem Raszków i Mohilów, przeprowił się przez Dniestr i ruszył do Kamieńca. Tutaj połączył się z chanem. Zjednoczone siły turecko-tatarskie ruszyły czarnym szlakiem w głąb Rzeczypospolitej. Od Czarnego Ostrowia zagony tatarskie rozbiegły się w różne strony, szerząc swoim zwyczajem straszliwe spustoszenie.

Ale w niezagrożonych bezpośrednio najazdem prowincjach powtarzano sobie, że wojny w tym roku nie będą i nie spieszo Sobieskiemu z pomocą.

Istotnie chan napraszał się z pośrednictwem i, chcąc uspić czujność króla, upewniał go o pokojowych zamiarach sułtana. Sobieski, który, pomimo gorzkich doświadczeń, z dobrą wiarą traktował oświadczenia swoich sąsiadów, zbyt dobrze znał dyplomację turecką, aby żywić nadzieję, że bez wielkiego krwi przelewu da się zawrzeć pokój. Ale na nalegania senatorów zgodził się wysłać do chana poselstwo. Więc w czerwcu wyjechali do obozu nieprzyjacielskiego strażnik koronny Stefan Bidziński, generał piechoty Krzysztof Korycki, podczaszy sanocki Karczewski i pułkownik Greben. Dano im instrukcję, by domagali się zwrotu Kamieńca.

Posłowie trafili na zły humor chana, bo właśnie otrzymał wiadomość, że kilka zagonów dotkliwie zostało poturbowanych przez chorągwie polskie, a syn

chański był ranny. Więc zgóry potraktował posłów. W obozie tureckim przyjęto ich jeszcze gorzej.

Zaufany w swe siły Ibrahim-Szyszman powitał ich oświadczeniem:

— „W dwóch słowach kończcie waszą rzecz, bo trzeciego słuchać nie chcę!...”

Wysłuchał przecież posłów, ale o zwrocie Kamieńca nie pozwolił mówić. Natomiast ze swej strony domagał się oddania Podola, Ukrainy, corocznego haraczu, a nadto wspólnej wyprawy na Moskwę. Wobec takich warunków posłowie przerwali rozmowę. Ale gdy chcieli obóz turecki opuścić, Szyszman rozkazał wziąć ich pod straż i pilnie baczyć, aby nie zbiegli.

Wojna, jak to przewidywał Jan III, była nieunikniona.

Ocalenie państwa znowu zawisło od geniuszu Sobieskiego.

Król w całej pełni oceniał olbrzymie niebezpieczeństwo, ale dobrej był myśli.

VIII. OBRONA LWOWA I BOJE POD ŻÓRAWNEM.



W czerwcu 1675 roku Jan III bawił w Jaworowie i, przysposabiając siły do obrony kraju, gorączkowo rozsyłał ordynanse do rotmistrzów, towarzyszków i całej starszyny wojska polskiego, do obersztów i oberlejt-nantów zaciągów cudzoziemskich, wzywając wszystkich, by co żywo spieszyli pod Lwów, dla stawienia czoła groźnemu nieprzyjacielowi. Przewidując, że stolica Rusi będzie celem tegorocznej wyprawy, postanowił wprowadzić do niej znaczniejsze siły, stanąć na ich czele i ze Lwowa dawać posiłek zagrożonym placówkom, dopóki sam nie został osaczony. Jak zwykle, tak i teraz pamiętał o tem, by z wojska nie ogołacać kraju. Więc hetmanowi polnemu Wiśniowieckiemu rozkazał zamknąć się w Brodach, obsadzić załogami Załoście i Olesko, Jabłonowskiemu — bronić Złoczowa i pilnować traktu lwowskiego, Sieniawskiemu — obsadzić Pomorzany, Brzeżany i Gołogóry. Jak mógł, umacniał zarazem pomniejszych zamki i forteczki, ale wobec braku wojska wszystkie załogi były bardzo słabe i w razie oblęże-

nia miały przed sobą niezmiernie trudne zadanie. Najtrudniejsze jednak wziął Sobieski na siebie.

Dnia 18 lipca 1675 roku stanął Jan III we Lwowie. Witął go tutaj komendant Łącki, a grzmiące na wiwat działa obwieszczały mieszkańcom, że bohaterski król przybył do miasta. Lecz pobyt Sobieskiego trwał bardzo krótko. Już po upływie godziny wyjechał znakomity wojownik za mury, by wybrać miejsce na obóz warowny i wydać niezbędne zarządzenia. Miał we Lwowie własną, do dziś dnia istniejącą kamienicę, ale nie stanął w niej, lecz cały czas spędzał w namiocie za murami i osobiście doglądał robót. Dzięki temu dozorowi już w kilka dni stanął mocno obwarowany obóz w pobliżu gościńca, wiodącego do Glinian, obok miejsca, gdzie dzisiaj znajduje się cmentarz łyżakowski. Niestety, obóz był pusty, bo mało kto usłuchał gorących wezwań królewskich: wojska nadciągały leniwie, powoli, a przybywały niezadowolone, zapowiadając, że w razie nieotrzymania żołdu, powrócą do domu.

Król był bardzo zmartwiony.

— „Ze mną co się dzieje,—pisał do żony 28 lipca 1675 r.,—z ciężkiego żalu nie tylko wypisać, ale i wyrazić niepodobna, bo ten nieprzyjaciel pójdzie sobie wcale nazad mimo Kamieniec, zaczem nam już ani Litwa, ani Moskwa na nic się nie przyda. Ja zaś nieszczęśliwy człowiek wszystkom to widział jeszcze tak rok (temu) w Warszawie, jako w zwierciedle, że nakoniec przyjdzie utracić tak długo i tak ciężko zarobioną reputację... Między chorągwiami i tu, i u pana wojewody ruskiego wielka mieszanina. Co żywo chce wyjeżdżać po skończeniu ćwierci, która się pojutrze kończy. Ochoty niemasz! Z Polski nikt nie przybywa.

Jedni za Wisłę, drudzy aż za Gdańsk uciekają. A im się kto lepiej ma w tej ojczyźnie, tem mniej dla niej czyni. Nikt o publice (t. j. o sprawach publicznych) nie myśli, tylko każdy o swej własnej prywacie. Jedna zaś moja nieszczęśliwa głowa, pewnie już temu więcej nie wydoła!”

Straszne słowa król wypowiadał, ale słowa sprawiedliwe. Było grono wojskowych, które szczerze pomagało wielkiemu wodzowi, ale ogół, ten ogół magnacko-szlachecki, nie chcący wierzyć w możliwość wojny, a w ostatniej chwili zamiast z orężem w dłoni iść przeciw nieprzyjacielowi, uciekający haniebnie za Wisłę, najzupełniej zasługiwał na miazdzącą krytykę i pogardę, zawartą w słowach Sobieskiego.

— „Boć to, dla Boga, — pisał w następnym liście do żony, — przodkowie nasi wojnę turecką sądnym dniem zwali, a nam się tylko teraz zda, że to jakaś igraszka i nikt ni ocz (o nic) nie dba, tylko o swych, w domu siedząc, myśli prywatach. Nie możeć to być już gorzej na świecie. A w kupie tak wielkie wojska! bo jakom ja żyw, tak jest 60.000 tureckiego wojska, a sto tatarskiego!”

Przeciw tej sile zaledwie 6.000 rycerstwa zdołał zgromadzić Jan III w obozie pod Lwowem. Nie przychodziły nowe chorągwie, natomiast złe wieści coraz częściej obijały się o uszy króla. Dnia 27 lipca padł Zbaraż, a załoga została w pień wycięta. Dnia 1 sierpnia stanęli przed Sobieskim posłowie, wysłani do traktowania o pokój. Udało się im zbiec z niewoli. „Nędzni i ogorzali, postarzeli tak, żeby ich ledwie poznał kto”, przywieźli wieść o smutnym wyniku pertraktacyj z wrogiem. A potem nadeszły wieści o spustoszeniu Tarnopola, o wzięciu Wiśniowca, o poddaniu się po bo-

haterskiej obronie załogi w Mikulińcach. Nie wszędzie przecież wróg triumfował. Szturm, przypuszczony do Złoczowa, odparł zwycięsko wojewoda Jabłonowski. obroniły się Załośce, Oleksińce, Brzeżany, Trembowla. Skałat, Janów i Budzanów, które Turcy usiłowali zdobyć wstępnym szturmem, a które po niejakiem czasie znowu zostały obleżone.

Dnia 20 sierpnia ku wielkiej radości i większemu jeszcze utrapieniu króla przyjechała do Lwowa Marja Kazimiera z dziećmi, a dnia następnego otrzymał Sobieski wiadomość o zbliżaniu się wielkich sił tatarskich z sołtanami Nuradany i Adži-Girajem. Dla ostrzeżenia okolic, rozkazał bić na trwogę z armat, ustawionych na Wysokim Zamku, a sam wydawał ostatnie zarządzenia do obrony miasta. Proszono go, aby nie narażał swej osoby i wyjechał zawczasu w miejsce bezpieczniejsze.

— „Przestalibyście mnie szanować, gdybym za waszem poszedł zdaniem”, — odpowiedział na to i z całym spokojem przygotowywał się na przyjęcie wroga.

Dnia 24 sierpnia wysłane dla schwytania języka podjazdy wróciły z wiadomością, że Tatarzy zbliżają się do Lwowa. Załoga wraz z mieszczanami stała już na murach, każdy cech znajdował się przy swojej baszcie, a cała ludność w najwyższem naprężeniu czekała zjawienia się dobrze znanych bohaterskiemu miastu nieprzyjaciół. Wojsko w pogotowiu bojowem trzymał król w obozie.

Sułtani prowadzili z sobą 40.000 przebrakowanej ordy, a należało się spodziewać, że za tą ordą nadciągnie niebawem Ibrahim-Szyszman i chan z resztą swej potęgi.

Tego dnia król od samego rana znajdował się na wzgórzu, z którego widać było płaszczyznę, ciągnącą się ku Glinianom, i przez lunetę spoglądał na dalekie dymy płonących wiosek, miarkując z pożarów o postępach nieprzyjaciela. Po południu olbrzymia kurza-wa wzbiła się w niebo i z głuchym szumem zbliżała się ku Biłce Królewskiej i Lesienicom. Przeciągły grzmot dział z Wysokiego Zamku obwieścił miastu, że nieprzyjaciel nadciąga.

Droga, którą postępowali Tatarzy, prowadziła przez pokryte lasami wzgórze, poprzecinane licznymi jarami, a tworzące stromą ścianę, w którą pod Lesienicami wrzyna się szeroki wąwóz, wygodnie prowadzący przez gościniec gliniański do owego miejsca przed miastem, gdzie przewidujący król zatoczył obóz warowny. Ku temu wąwózowi zbliżali się teraz Tatarzy. Ale zaledwie pierwsze szeregi doszły do jego wylotu, gdy zagrała ukryta na wzgórzach artylerja, a zawtórował jej trzask muszkietów schowanej wśród zarośli piechoty. Ogień był tak rześisty i tak niespodziewany, że w jednej chwili skłębiła się fala tatarska i stanęła, jakby przed niewidzialną przeszkodą. Widocznie jednak wodzowie nieprzyjacielscy postanowili zbadać sytuację i lepiej poznać rozkład sił polskich, bo po pewnym czasie duży oddział Tatarów rzucił się w wąwóz i, wyjąc przeraźliwie, pod deszczem kul sunął ku stanowiskom polskim. Temu oddziałowi zabiegli drogę ze swemi chorągwiami strażnik koronny Bidziński oraz Hieronim Lubomirski i uderzyli z takim impetem, że Tatarzy w jednej chwili odrzuceni do wąwozu, tą samą drogą i z tą samą szybkością wrócili do swoich.

Scigające chorągwie wypadły na równinę i stanęły wobec całej potęgi wroga, który, jak okiem sięgnąć,

wszystkie pola pokrywał niezliczonym mrowiem ludzi i koni.

W tej samej chwili przylegające do obozu wzgórza, dobrze widzialne z równiny, zaczęły wypełniać się wojskiem, które rosło i rosło w oczach patrzących Tatarów i coraz większą tworzyło siłę. W potokach słońca lśniły zbroje i gęstniał las groźnych kopij husarskich. To na rozkaz króla liczna czeladź i ciurowie obozowi, okryci zbrojami, a trzymający kopje, przerażali nieprzyjaciół samym swym widokiem, jako olbrzymia ławica straszliwej husarji, szykującej się do ataku. Nie podejrzewający podstępów Tatarzy cofnęli się na sam widok tych żelaznych hufców i zwyczajem swoim utworzyli wielki półksiężyc i w takim szyku przygotowywali się do odparcia groźnego uderzenia.

Tymczasem Sobieski, sprawiwszy swe nieliczne wojsko, wyprowadzał je przez wąwóz na równinę i w oczach wroga z niesłychaną szybkością formował linię bojową. Jak na paradzie wypadały z wąwozu chorągwie husarskie, pancerne, kozackie i jedna za drugą szybko a składnie stawały do sprawy. Król jeździł wzdłuż szeregów i wołał do żołnierzy:

— „Pamiętajcie, że albo tu zginę, albo będziemy zwycięzcami!”

Nie śmieli Tatarzy przeszkodzić Polakom w formowaniu szyków, lecz widząc przed sobą dość znaczne siły, a na wzgórzach ogromną rezerwę gotowej do uderzenia husarji, przeraźliwym wyciem i groźnym potrząsaniem krzywymi szablami dodawali sobie odwagi. Naraz ozwały się donośnie trąby, zahuczały kotły — i marsowa muzyka polska zagłuszyła wszystkie krzyki, obijała się o stoki wzgórz, o ściany lasów i potężnym swym grzmotem wypełniła całą równinę.

Wtedy król dał znak do ataku. Błysnęły szable lekkiej jazdy, pochyliły się kopje husarzy. Pierwszy skoczył do boju na czele chorągwi wołoskiej Atanazy Miączyński, a za nim wszystkie chorągwie z królem na czele zerwały się z miejsca i runęły przed siebie, pędząc wprost na półksiężyc tatarski. Chmura strzał wybiegła ze świstem na spotkanie Polaków, poczem półksiężyc drgnął, zakołysał się i ruszył naprzód, by stawić czoło rycerstwu, odepchnąć je i rozbić o skaliste ściany wąwozu. Okrzyki: „Allach! Allach!” i „Jezus!” przeleciały z krańców w krańce pędzących ku sobie szyków — i oba wojska z największą furją uderzyły na siebie. Zawrzała walka żwawa, gorąca, a tak rozgłośna, że aż w mieście słyszano szcęk broni i bojowe okrzyki walczących. Ale w tej walce pierwszemu wyćwiczonemu rycerstwu nie mogli się oprzeć Tatarzy. Druzgotała ich swoim ciężarem żelazna husarja, parły ich przed sobą lekkie chorągwie, a ciosy kopij i uderzenia szabel polskich coraz większe szerzyły spustoszenie. Bój trwał krótko. Coraz bardziej chwiały się i wyginały półksiężyce, coraz rozpaczliwiej brzmiały wrzaski tatarskie, aż nagle roztrącone szyki nieprzyjaciół zawróciły z miejsca i „podobne stadu spłoszonych jeleni”, rzuciły się do ucieczki. Cała lekka jazda wyruszyła w pogoń, lecz rączy konie tatarskie mknęły, jak wiatr i w tumanach kurzawy unosiły gnanych przerażeniem jeźdźców. Jedynie pod Biłką Szlachecką, wśród bagien, utrudniających ucieczkę, dopadli Polacy większą kupę Tatarów i wysiekli ją po krótkim oporze.

Bitwa nie trwała nawet pół godziny. „Jakby widmo straszliwe, powiada współczesny pisarz francuski Dalleryrac, stanęła ogromna armja przed zagrożonem mia-

stem i jak sen znikła." Pomimo świetnego zwycięstwa król zachował największą ostrożność i całą noc trzymał wojsko w pogotowiu bojowym, by nie dać się zaskoczyć Tatarom, gdyby im przyszło do głowy pomścić klęskę niespodziewanym powrotem. Nazajutrz o świcie wyruszył na dalszy rekonesans, chcąc osobiście sprawdzić, czy pobity nieprzyjaciel nie zatrzymał się w okolicy. Lecz obawy były płonne. Wszystkie szlaki, pełne łuków, szabel, juków i siodłał tatarskich świadczyły, że porażony wróg uciekał w największym popłochu. Uspokojony król wrócił do obozu, a później wjechał do miasta. Cała ludność witała go z największym uniesieniem, jak zbawcę i bohatera.

Sława nowego zwycięstwa szeroko rozeszła się po świecie. Ukazało się kilka opisów obrony Lwowa w obcych językach, a najwięcej w języku francuskim, gdyż sporo Francuzów znajdowało się przy królu i było świadkami tej pamiętnej bitwy.

Śród radosnych wiwatów, rozbrzmiewających w ocalonym mieście, Sobieski na jedną chwilę nie był wolny od utrapień i zgryzot. Zwycięska bitwa pod murami Lwowa miała doniosłe znaczenie, gdyż ani chan, ani Ibrahim-Szyszman nie ośmielili się szturmować miasta, którego bronił niezwyciężony i straszny w spotkaniu przeciwnik. Ale armja turecka silna, sprawna, stała w okolicach Złoczowa i nie przestawała zagrażać Rzeczypospolitej, a chan rozpuszczał w dalszym ciągu swoje zagony, rabował, palił, ścinał i zabierał jassyr, król zaś zbyt nieliczne posiadał wojsko, by mierzyć się w polu ze wszystką turecko-tatarską potęgą. Więc nowym uniwersałem wzywał cały stan rycerski, by dniem i nocą spieszył do jego boku i występłą zwłoką nie ścigał hańby na opieszłych dowódców oraz

podległe im chorągwie i regimenty. I teraz przecież nielicznie przybywały posiłki. Na szczęście, w kilka dni po odniesionem zwycięstwie, otrzymał król doniesienie, że zbliża się nareszcie wojsko litewskie. Wiadomość ta tak uradowała Sobieskiego, że reskryptem wyraził nikczemnemu Pacowi wdzięczność i przesłał mu rozkazy, według których rozpocząć miał działania.

Bezczynnie stojący pod Złoczowem Ibrahim-Szyszman, nie mogąc odważyć się na oblężenie Lwowa, dopiero dnia 7 września wznowił swą działalność. Spaliwszy należące do króla Pomorzany, zdobył Podhajce, wziął obronny zamek Zawałów, a następnie posunął się ku Trembowli, niewielkiej, ale potężnymi murami otoczonej fortecy, najważniejszej, po utracie Kamieńca, strażnicy szlaków, prowadzących w głąb Rusi. Zaledwie 80 żołnierzy, przy pomocy pospólstwa, broniło tej warowni. Ale obroną kierował Jan Samuel Chrzanowski, nieustraszony a pełen ducha bohaterskiego komendant. Przy boku jego znajdowała się równie bohaterstwem ożywiona małżonka, Anna Dorothea z niemieckiej rodziny von Frezenów, w dziejach pamiętnego oblężenia pospołu z mężem dzieląca wielkopomną sławę.

Zbliżywszy się do Trembowli, Ibrahim-Szyszman groźnem pismem wezwał Chrzanowskiego do poddania twierdzy. Dzielny komendant odpowiedział, że ani myśli usłuchać wezwania. Wtedy Turcy ogień armatni skierowali na zamek. W ciągu dwóch tygodni dzień i noc grały armaty, zasypywały obrońców strumieniami ognia i żelaza, ale zamek również grzmiał, błyskał, słał pociski śmierci w oblegające go mrowie nieprzyjaciół i bronił się rozpaczliwie, bronił się pomimo głodu, braku wody i śmiertelnego znużenia załogi, po-

mimo że Turcy, mistrze w dziele oblężenia, używali wszystkich wypróbowanych sposobów, aby zdobyć fortecę.

Tymczasem król, zebrawszy większe siły, a dowiedziawszy się o bohaterskiej obronie Trembowli, postanowił uderzyć na zgromadzone pod tą warownią wojska tureckie. Stanąwszy dnia 3 października pod Buczaczem, grzmotem dział dawał znać oblężonej załodze, że nadchodzi godzina jej wyzwolenia. Wtedy stała się rzecz nieoczekiwana. Ibrahim-Szyszman, na samą wieść o zbliżaniu się króla, zwinął obóz i, uchylając się od stoczenia bitwy ze strasznym przeciwnikiem, uchodził co prędzej ku Dniestrowi. Sam urok imienia Sobieskiego wystarczył tym razem, by przerazić i do odwrotu skłonić wodza tureckiego.

Nawała turecko-tatarska odpływała szybko z ziem Rzeczypospolitej.

Po oczyszczeniu Podola z ostatnich czambułów, król uniwersałami ogłosił kampanję za ukończoną i zapowiedział sejm koronacyjny w Krakowie na dzień 4 lutego 1676 roku.

W aureoli rozgłośnego zwycięstwa odbyła się koronacja pary królewskiej. Naród winszował sobie triumfów oręża i króla-bohatera. W pełnym blasku szczęścia i chwały odbierał Jan III powinszowania rodaków i cudzoziemców. Osoba jego przykuwała w tej chwili do siebie oczy świata, a rokowała Polsce powrót do czasów świetności i sławy.

Wyniesiony ku szczytom Sobieski nie zapominał w tych szczęśliwych dniach, że wojna z Turcją nie jest ukończona i że przed Rzeczpospolitą stoją olbrzymie zadania, jeżeli chce utrwalić swe bezpieczeństwo i zapewnić sobie powagę w Europie. Lecz w otocze-

niu króla krzyżowały się sprzeczne prądy. Polityka francuska, skierowana przeciw cesarzowi, z natury rzeczy szła ręką w rękę z wrogiem Austrii, Turcją, uważaną w Paryżu za najpewniejszego sojusznika. A że Ludwik XIV od ostatniej elekcji i Polskę zaliczał do swych sprzymierzeńców, więc dyplomaci francuscy dokładali starań, by między dwoma zaprzyjaźnionymi z Francją państwami doprowadzić do zgody. Z drugiej strony Rzym zachęcał Jana III do walki z wrogami chrześcijaństwa, a usposobienie króla, tradycje, wśród których wyrósł, plany, o których marzył, wreszcie powodzenia w walkach z muzułmanami, czyniły go zawsze skłonny do podniesienia miecza przeciw Turkom. Mimo całego uwielbienia dla Francji, mimo węzłów, łączących z Ludwikiem, a nawet mimo przemożnych wpływów Marysienieki, tkwił w Sobieskim „mściciel”, któremu triumfy w walce z wrogami krzyża najbardziej dogadzały. Dyplomacja francuska na chwilę nie przestawała dążyć do utrwalenia pokoju między Rzeczpospolitą a Turcją, tym razem przecież i w Konstantynopolu natrafiła na opór: Wysoka Porta lekceważyła Polskę, a że nie mogła jej skłonić do uznania traktatu buczackiego, przeto mieczem postanowiła wymóc na Rzeczypospolitej uległość.

Więc sejm koronacyjny w Krakowie odbywał się w atmosferze wojennej, a oczy senatorów i posłów skierowane były na króla, jako najpewniejszą rękocię zwycięstwa w dalszych zapasach, czekających naród.

Dnia 2 lutego 1676 roku ukoronowani zostali Jan Sobieski i Marja Kazimiera, a uroczyste wystąpienie posłów zagranicznych i entuzjazm ludności towarzyszyły temu aktowi. Znacomity wojownik, korzystając

z zapłału, jaki budził w tym czasie, powziął plan zapewnienia Rzeczypospolitej stałej armji regularnej i to w takiej sile, któraby bez obcej a tylokrotnie zawodnej pomocy wystarczała do odparcia wrogów. Wielka armja, utrzymywana kosztem obywateli państwa, oto była idea Sobieskiego. Według jego planu każde 28 dymów wystawiało jednego piechura, uzbrojonego w muszkiet, zaopatrzonego w dostateczny zapas amunicji i umundurowanego w barwę swego województwa. Kapitanów tej piechoty obierały sejmiki. Wojsko Rzeczypospolitej, powołane „bez uciemężenia poddanych”, dosięgało 100.000 zbrojnych ludzi, z których 80.000 przypadało na Koronę, a 20.000 na Litwę. Koszta utrzymania tego wojska spadały na właścicieli miejskich i ziemskich oraz na kapitalistów, licząc jednego żołnierza na każde 20.000 złotych posiadanego kapitału.

Jednocześnie z tym projektem zamierzał Jan III dokonać innej jeszcze bardzo ważnej reformy wojskowej. Jako król, stojący na czele siły zbrojnej, chciał zabezpieczyć się przed niesubordynacją i swywołą podkomendnych. Nikczemne postępowanie Paca było wymownym dowodem, że najsilniejsza armja przy najdzielniejszym wodzu może być narażona na klęskę. Więc Sobieski chciał wziąć w kluby hetmanów. Projektował w tym celu skrócenie czasu sprawowania hetmaństwa do lat trzech. W ten sposób nie zabezpieczał się przed niespodziankami, ale mógł być pewnym, że hetman, zależny od króla, a mogący stracić swój urząd, bardziej będzie się liczył ze swemi obowiązkami, niż hetman, piastujący władzę dożywotnio. Ale król sam był niedawno hetmanem, sam stawał w obronie dożywotności urzędów, a sprawa ta wy-

woływała obawy o następstwa, które wykraczały poza obręb stosunków wojskowych. To też gdy z tym projektem wystąpił w myśl króla Olszowski, natrafił na taki opór, że musiał się cofnąć. Natomiast, w myśl żądań króla, uchwalona została konstytucja pod tytułem „*auctio* sił Rzeczypospolitej”, mająca zapewnić narodowi stałą siłę zbrojną.

W rozdawnictwie wakujących dostojenstw Jan III okazał się wspaniałomyślnym: pamiętał przedewszystkiem o swoich przeciwnikach. Znienawidzony niegdyś przez niego ks. Dymitr Wiśniowiecki otrzymał buławę wielką koronną, a syn Jerzego Lubomirskiego, Stanisław obdarzony został wydartą niegdyś jego ojcu laską wielką marszałkowską. Buławę polną dostał wojewoda ruski, przyjaciel króla, Stanisław Jabłonowski, podkanclerstwo koronne biskup Wydźga na miejsce Andrzeja Olszowskiego, wyniesionego na godność prymasa.

Dawno już sejm polski nie obradował tak zgodnie i dawno tak pomyślnie nie ukończył swych obrad. Nie zdołał król przeprowadzić swego projektu w sprawie władzy hetmańskiej, poza tem jednak wszystkie jego propozycje zostały przyjęte. Możliwyby mniemać, że nowe panowanie zaczyna nową epokę w życiu wewnętrznem Polski.

Niestety, społeczeństwo szlacheckie zbyt już było zepsute, zbyt przyzwyczajone do nieszanowania uchwał sejmowych i lekceważenia swych obowiązków. Poczucie odpowiedzialności ulotniło się z sumień obywateli, a intrygi stronników cesarskich starały się zbudzić tak łatwo zapalającą się w masach podejrzliwość do króla. Natychmiast po skończonym sejmie zaczęły krążyć pogłoski, że powołanie ludu wiejskiego pod

broń zagraża wolności szlacheckiej, że nowy król zamysła o władzy absolutnej, że wielka siła zbrojna, którą chce stworzyć, ma być użyta nie przeciw Turcji, ale w innym niewiadomym celu, gdyż pokój z Portą został już tajemnie zawarty. Odżyły wszystkie, kruszące za Jana Kazimierza, plotki i pogłoski o zaprzęgnięciu się dworu królewskiego Francji, a działalność dyplomatów francuskich nadawała tym plotkom pozory prawdopodobieństwa.

Mściła się na Janie III jego przeszłość, przeszkadzał mu teraz dawny jego udział w niecznych intrygach za czasów Ludwika Marji i niedawne spiskowanie przeciw Michałowi. Potwór podejrzeń i oszczerstw kładł się zaporą na drodze odrodzieńczych planów i zabijał doniosłą ideę króla. Egzekucja uchwał sejmowych w całym kraju natrafiła na wielką opozycję. Co sejm uchwalił, to sparaliżowały sejmiki.

W przededniu rozpoczęcia kroków wojennych Rzeczpospolita opuszczała Sobieskiego. Gdy przyszło znowu wyruszyć w pole, Jan III zamiast stutysięcznej armji, miał zaledwie kilkanaście tysięcy żołnierzy.

Tymczasem nowy wódz turecki Ibrahim-Szajtan, czyli Szatan, basza Damaszku, prowadził na Polskę 80.000 wojowników, a wszystkie ordy, liczące 130.000 ludzi, wyruszyły pod wodzą chana, by złączyć się z wojskami padyszacha.

Raz jeszcze los Rzeczypospolitej zawisł od geniuszu jednego człowieka. Raz jeszcze zwycięstwo lub klęska miała stanowić o losach narodu. Była to jakaś straszna, rok po roku powtarzana gra, w najwyższym stopniu ryzykowna i niebezpieczna, było to jakieś wyzywanie losu zuchwałe i lekkomyślne, graniczące niemal z obłędem. Dopiero gdy król wyruszył w pole,

trwoga ogarnęła Polskę. We wszystkich kościołach zarządzano modły o zwycięstwo i wszędzie z największym niepokojem oczekiwano wieści z placu boju. Ale Jan III jakby się zapadł pod ziemię. Długi czas nie wiadano w kraju, co dzieje się z wojskiem. Przesztano wtedy marzyć o zwycięstwie i w wypełnionych ludnością świątyniach już tylko modlitwy za konających odmawiali pobożni.

Sobieski w połowie września 1676 roku przybył do obozu pod Zboiskami, gdzie miały się zebrać wszystkie siły zbrojne. Stąd na czele 10.000 ludzi przeszedł Dniestr i przez Zydaczów skierował się do Żórawna, otoczonego jakby morzem płomieni, które na wielkich przestrzeniach wzniecał nieprzyjaciel. W Żórawnie, w samym centrum rozlewających się dokoła fal turecko-tatarskich założył warowny obóz, do którego wzywał nadchodzące do Zboisk rycerstwo. Dnia 23 września osobiście wybrał się na wielce niebezpieczny rekonesans z samym tylko komunikiem. Pod Wojniłowem rozgromił kilka kup tatarskich, a następnie, o milę od głównego kosza chana wydał bitwę znacznej sile turecko-tatarskiej. Chan dla przywołania swoich ord, grasujących w okolicy, rozkazał zapalić najbliższe wsie, dając w ten sposób Tatarom hasło do powrotu. „Gorzało koło nas, pisał Sobieski, jako Etna jaka, albo Mont Gibel”. W tym pierścieniu olbrzymich pożarów wojsko polskie walczyło z napływającymi wciąż na plac boju nowymi siłami Tatarów i Turków. Niebezpieczeństwo było tak wielkie, że już nie jeden z uczestników walki uważał króla, siebie i całe rycerstwo za beznadziejnie zgubione. Ale Sobieski nie zwątpił, a męstwo jego udzieliło się wszystkim żołnierzom. Bitwa skończyła się zwycięstwem.—

„Skoczyliśmy na nich, — donosił król żonie — i tak przy łasce Bożej rozgromili, nasiekli i moc niemałą żywcem nabrali. Chorągwi kilka i murzów znacznych barzo wzięto. Trupa było półtora tysiąca, ale więcej tureckiego, niż tatarskiego.”

Spędziwszy bezsennie dwa dni i dwie noce, a przez cały czas nic nie jedząc, powrócił król do obozu w Żórawnie „nad mniemanie i spodziewanie wielu a ledwo nie wszystkich”, bo całe wojsko uważało, że niebezpieczna wyprawa najfatalniej skończyć się musi.

Wiadomości, w wyprawie tej powzięte, przekonały króla, że będzie zmuszony mierzyć się ze wszystkimi siłami nieprzyjacielskimi. Więc nagwałt zaopatrywał się w żywność i wydawał zarządzenia do obrony. W obozie znajdowali się już obaj hetmani koronni Wiśniowiecki i Jabłonowski, hetman wielki litewski Pac i znakomity dowódca artylerji generał Kątski.

Przed frontem obozu żórawińskiego przebiegała mała rzeczka Świeca, z powodu długiej suszy, prawie całkiem wyschnięta, a więc przedstawiająca niewielką wartość obronną, lewe skrzydło opierało się o zamek w Żórawnie, dostępu do prawego broniły bagna i lasy, a tyły obozu przylegały do Dniestru. Okopy sztuczne wzmacniały tę niezbyt silną położeniem swoim pozycję, ale też głównie w dowództwie króla i mężnych piersiach jego żołnierzy była nadzieja zwycięstwa.

Za wracającym z pod Wojniłowa królem pociągnęły ordy tatarskie i niespodziewanym napadem usiłowały zaskoczyć obóz, „ale się im nie udało, bo była wielka ostrożność”. Nazajutrz Tatarzy zaczęli palić wsie okoliczne, a następnego dnia, wzmocnieni posiłkami, zbliżyli się do samych okopów. Rozpędziło ich kilka

chorągwi. Lecz pod Żórawno nieustannie przybywały nowe siły, a 27-go września zajęła okoliczne wzgórza znaczna część armji tureckiej. Wieczorem w ogromnym obozie nieprzyjacielskim zapłonęły ogniska tak wielkie i tak gęste, że całe niebo z krańca w krańec oblokło się purpurą. Było coś złowrogiego i razem majestatycznego w tym wspaniałym widoku.

— „Nic piękniejszego,—pisał król z obozu,—jako na to patrzeć. Właśnie taki bywa grób, robiony w Wielki Piątek u Bernardynów”.

Dnia 29-go września, śród dźwięków wrzaskliwych kapeli janczarskich, zjawił się pod Żórawnem sam Ibrahim-Szajtan basza i szedł „procesjonalnym szykiem” wraz z chanem i „wszystkimi swemi potęgami”.

Generał Kątski grzmiotem dział powitał nadciągające wojska tureckie, a król wyprowadził za okopy jazdę i sprawił ją do boju. O południu zatoczyli Turcy w pobliżu obozu dwie wielkie armaty, ale zaledwie parę razy zdążyli wystrzelić, gdy celny ogień baterij polskich powalił ich puszkarza i znacznego baszę, stojącego opodal. Wtedy Ibrahim-Szajtan rozkazał się cofnąć i, według słów króla, „z hukiem wielkim muzyk zaczął z pola schodzić”. Za odchodzącymi Turkami ruszyła część jazdy. Przyszło do bitwy, trwającej aż do wieczora ze znaczną dla nieprzyjaciela szkodą, gdy ze strony polskiej zginęło zaledwie dwóch towarzysów.

Tejże nocy i dnia następnego linje nieprzyjacielskie coraz bardziej zbliżały się do okopów.

— „Nie stoimy od siebie dalej,—pisał Sobieski,—jako zamek warszawski z Ujazdowem, tylko że jest kilka przeprawek między nimi a nami. Obóz ich wi-

dać nam arcydobrze, bo na kilku stoi górach i niziną nad rzeką Świecą. Ibrahim-basza trzyma prawe skrzydło od Dniestru, a chan lewe od gór węgierskich...”

Mrowie uzbrojonych ludzi, koni, mułów, wielbłądów zalało okoliczne pola, wzgórze, doliny i jak bezkresne a szumiące morze ogarnęło maleńki obóz polski, zamknięty w przylegających do Dniestru okopach. Przeciw 16.000 rycerstwa, bo zaledwie taką liczbę zdołał zgromadzić Sobieski, stanęły na 130.000 głów obliczane ordy tatarskie i 80.000-na armja turecka. Turcy mieli na swe usługi biegłych inżynierów, a posiadali doskonałą artylerję, liczącą 127 dział, między któremi znajdowały się największych rozmiarów kartauny.

Zaczęły się sławne boje zórawińskie.

Przez dni kilkanaście grzmiała nieprzerwanie artylerja turecka, zasypując obóz polski ulewą ognia i żelaza. Śród huku armatniego raz po raz rozlegał się górujący nad wszystkim ryk kartaun. Gardziele tych potworów wyrzucały olbrzymie, po 80 funtów ważące pociski, które z ogromną siłą uderzały w okopy lub ze złowrogim dudnieniem przelatywały nad głowami obrońców i w samym obozie szerzyły zniszczenie. Na tę kanonadę niestrudzenie odpowiadał Kątski ogniem z dział mniejszego wagomiaru, ale mierząc celnie i wielkie straty zadając oblegającym. A od tych nieustannych grzmotów cały obóz polski dymił się, hucał, drżał, ginał w ciemnych obłokach, to znowu wylaniał się z mroków i świecił krwawemi wstęgami krzyżujących się z sobą błyskawic. Przy dźwiękach tej piekielnej muzyki raz wraz kierowały się ku okopom nieustraszone pułki janczarów, szły z bojowym

okrzykiem do szturm i darły się na wały. Odpędzono wroga ogniem dział i muszkietów, lub atakami jazdy, którą sam król najczęściej prowadził do boju. Tysiące trupów tureckich i tatarskich zasała przedpola, ale oblężenie trwało z niesłabnącą energją. Ostatka sił dobywali Polacy, by obronić się przed straszliwym zalewem. Ósmego października „kilkanaście lekkich chorągwi bez jednego husarza” z taką wściekłością natarło na Turków, że w całym obozie nieprzyjacielskim wybuchła trwoga. Tu i ówdzie zaczęto już zwijać namioty, a z jednej reduty w największym pośpiechu wycofano działa. Lecz przewaga liczebna robiła swoje. Pomimo bohaterstwa obrońców, położenie oblężonego wojska stawało się rozpaczliwem. Po tygodniu nieustannych bojów zaczęła się wyczerpywać amunicja, bo niesumienni wykonawcy rozkazów królewskich nie dostarczyli jej w nakazanej ilości. „Niech odpowiedzą Bogu i ojczyźnie ci, którzy są tego przyczyną”, pisał w owym czasie Jan III. Las, przylegający do obozu, odarto z liści, które koniom zastępowały paszę, bo trawę na całej przestrzeni przed okopami wypalili Tatarzy. Kończyła się żywność. Sam król, w namiocie, poszarpanym przez kule, cierpiał głód narówni z prostym żołnierzem. Wszystkie środki były na wyczerpaniu. Znużenie ogarniało ludzi, a od ciągłych trudów i bojów najmężniejszym rycerzom opadały ramiona. Wojsko grób czuło pod swemi stopami. Zaczynało się zbiegostwo, głuche szemranie przebiegało obóz i echa zniechęcenia tłukły się Nielitościwie o ściany królewskiego namiotu. Sobieski najlepiej widział straszliwe położenie, lecz na chwilę nie dawał do siebie przystępu głosom zwątpienia i rozpacz. Własna, niepożyta moc wodza zmagala się w nim

z niemocą jego rycerstwa, z nędzą, głodem, zmęczeniem i upadkiem ducha. Wątpiącym mówił:

— „Z gorszych wyprowadzałem was terminów! czyż myślicie, że głowa moja stała się słabszą po włożeniu na nią korony!”

Z przejętych listów, które oblężeni wysyłali z obozu dowiedział się Szajtan-basza o ciężkim położeniu Polaków. Licząc na upadek ducha w wojsku, wysłał do Żórawna posła i zaproponował królowi pokój na warunkach, określonych haniebnym układem w Buczaczu.

Podobno Sobieski, wysłuchawszy propozycji, odpowiedział groźnie, że nowego posła, któryby przywiózł podobne warunki, rozkaże natychmiast powiesić. Jak piorunem rażony zemknął z przed oczu króla przestraszony wysłaniec i zaniósł swemu panu odpowiedź Sobieskiego. Walka rozgorzała na nowo.

Już tylko na „strzelenie z łuku” mierzył Jan III przestrzeń, dzielącą okopy od czołowych pozycji wroga. Ale bohaterstwem swoim ożywił zgłodniałe szeregi, odpierał szturmy, prowadził codziennie wycieczki i wreszcie dopiął tego, że „nieprzyjaciel hardy, bo potężny i pełen wszystkiego” zwątpił w możliwość pokonania „lwa Lechistanu”. Dnia 14 października Szajtan-basza wznowił pertraktacje, a tym razem nie wspominał już o układzie w Buczaczu.

— „Widzę, — pisał król tegoż dnia do Marji Kaziemierzy, — że szczerze korzystają z przyjaźni naszej i pokoju sobie życzą, mając dobrą o nas estymę. I taki zwyczaj bywać najlepszy pokój i traktat, gdy się jeden z drugim wprzód dobrze spróbuje”.

Jakoż wszczęte pertraktacje doprowadziły dnia 17 października 1676 r. do podpisania nowego z Turcją

traktatu. Na mocy tego traktatu znaczna część Ukrainy wracała do Rzeczypospolitej, reszta zostawała przy Kozakach pod opieką Porty. Kamieniec zatrzymywała Turcja, a sprawa Podola stać się miała przedmiotem dalszych układów. Tatarzy obowiązywali się powstrzymać swe najazdy na ziemię polskie i zwrócić cały zagarnięty jassyr. Ponadto grób Chrystusa i świątynię betleemską, znajdującą się w rękach schizmatyków, godzili się Turcy oddać duchowieństwu katolickiemu.

Układ żórawiński zmazywał hańbę traktatu buczackiego, uwalniał Rzeczpospolitą od haraczu, czyniącego ją lennem państwem sułtana, podnosił Polskę z błota i świadczył przed światem, że najpotężniejsze w Europie mocarstwo cofa się przed mieczem Sobieskiego. Więc choć traktat żórawiński pozostawiał przy Turcji Kamieniec i nie załatwiał sprawy Podola oraz całej Ukrainy, to przecież w oczach Europy rehabilitował Polskę, przywracał jej powagę i w blasku sławy wprowadzał ją znowu na widownię dziejów.

Zrozumiano to dobrze w Paryżu i w Wiedniu. Dyplomacja francuska usiłowała nawet dzielić się z Sobieskim sławą, gdyż wpływowi swoimi przypisywała zawarcie pokoju między Turcją a Polską. Istotnie poseł Ludwika XIV w Konstantynopolu zabiegał u Porty na rzecz pokoju z Rzeczpospolitą, ale tak niepomyślnie, że zwątpiwszy zupełnie w skuteczność swych starań, pisał, iż Turcja podyktuje Polsce swe warunki, nie powodując się niczem innym, jak tylko poczuciem swej mocy. Tą mocą zachwiała bohaterka obrona Żórawna. Tym razem jedynie Sobieskiemu zawdzięczała Rzeczpospolita zarówno swoje ocalenie, jak odzyskanie dobrej reputacji w świecie. Tylko w Polsce podniosły się przeciw królowi głosy surowej krytyki,

a traktat żórawiński przywitany został pomrukiem niechęci. Ta sama szlachta, która nie drgnęła na wezwanie Sobieskiego, sparaliżowała jego wielką reformę wojskową, a później pozostawiła go z garstką rycerstwa wobec przemożnych sił wroga, wszczęła teraz krzyk z powodu Kamieńca i niewiadomej przyszłości Podola. Podniecana przez agentów cesarskich opozycja podniosła głowę i zwróciła się przeciw królowi. Po walkach z Turcją i z Tatarami czekała Sobieskiego walka z własnym narodem.

IX. STOSUNKI Z FRANCJĄ I SOJUSZ Z CESARZEM.



awarty w Żórawnie traktat, kończąc kilkuletnią wojnę między Turcją a Polską, pozwalał tej ostatniej zwrócić się ku innym zagadnieniom i wziąć udział w wydarzeniach, które wstrząsały Europą. W owym czasie właśnie do ogromnego napięcia dochodziła walka między Francją a cesarzem i jego sojusznikami. Ludwik XIV wytężał siły, by upokorzyć Austrię i zniweczyć jej wielkie wpływy na zachodzie. Kiedy Jan Sobieski otrzymywał z woli swych rodaków koronę, król francuski walczył z temi wpływami nad Renem, we Włoszech, nad Odrą, na morzu. Z poduszczenia Francji Szwedzi wtargnęli w posiadłości elektora brandenburskiego, sprzymierzonego z cesarzem, a dyplomaci francuscy oddawna obmyślali sposoby, by do tej wojny z potęgą niemiecką wciągnąć Rzeczpospolitą. Lecz na polityce francuskiej mściły się przekupstwa, intrygi i nieuczciwe środki, które od czasów Ludwiki Marji stosowano w Polsce, a które masy szlacheckie zmobilizowały przeciw królowi francuskiemu. Wybór Michała Wiśniowieckiego unicestwił usiłowania Francji, lecz elekcja Sobieskie-

go, ogłoszona w Paryżu, jako triumf Ludwika, pozwalała się spodziewać, że Rzeczpospolita nie pozostanie nadal obojętną na widoki, które otwierało przed nią zbliżenie się do Francji. Ludwik XIV chciał skierować siły polskie przeciw elektorowi brandenburskiemu. Wskazywał na możliwość odzyskania Prus Książęcych, ofiarowywał Polsce swą pomoc i zapewniał przymierze ze Szwecją oraz czynny udział tej ostatniej w wojnie o Prusy, jeśli ją tylko Polska podejmie. Już latem 1675 r. zawarł król tajny sojusz z Francją, który zapewniał Polsce 200.000 talarów rocznego zasiłku na koszty wojny z elektorem i jednorazową sumę na ułatwienie zawarcia pokoju z Turcją.

To też traktat żórawiński, dzięki któremu Rzeczpospolita otrzymywała swobodę ruchów, z największą radością powitano w Paryżu. Natomiast w Wiedniu pokój polsko-turecki wzbudził ogromne obawy: potężna armja sułtana znowu mogła się zwrócić przeciw Austrii, uniemożliwić jej tłumienie ruchu powstańczego na Węgrzech i sparaliżować siły w walce z Ludwikiem XIV-ym. Więc gdy Francja pragnęła pokój żórawiński utrwalić, Austrija dokładała wysiłków, aby go unicestwić i na ziemiach Rzeczypospolitej na nowo rozpalić pożar wojny.

Za cesarzem stał Rzym.

Papież Inocenty XI, który jako kardynał Odescalchi, sprawował w Polsce niedawno urząd nuncjusza, człowiek rzutki, energiczny, przestraszony rozrostem i potęgą islamizmu, podjął ideę walki z półksiężycem i walkę tę uczynił osią swjej polityki. Na wiadomość o traktacie żórawińskim, już w styczniu 1677 r. wystosował list do Sobieskiego, wyrażając swój głęboki smutek, że okoliczności zmusiły sławnego wojownika

do zawarcia pokoju z największym wrogiem chrześcijaństwa. W następnych listach gorąco domagał się wznowienia wojny z Turcją, przewidując w przeciwnym razie najokropniejsze klęski tak dla Rzeczypospolitej, jak całego świata. A stronnicy cesarscy w Polsce starali się podważyć dzieło pokoju i nie dopuścić do ratyfikacji zawartego w Żórawnie traktatu. Wobec tych dwóch przeciwnych sobie prądów Jan III miotany był sprzecznymi uczuciami. Walka z „poganami” miała dla niego nieprzeparty urok. W atmosferze tej walki wyrósł, w wojnach z wrogami krzyża po całym świecie rozgłosił swe imię, zdobył powagę, sławę i koronę. Uwolnienie Europy od potęgi otomańskiej, pozyskanie dla tego celu państw chrześcijańskich, zgromadzenie wielkich wojsk, maszerujących pod jego wodzą na Konstantynopol, to były marzenia, które kołysały fantazję króla i nęciły go swoją wielkością. Z drugiej strony był dotąd Jan III wiernym stronnikiem Ludwika XIV, zapewniał go nieustannie o swoich uczuciach i nie lekceważył bynajmniej korzyści, które sojusz z Francją przynosił odosobnionej Polsce.

Chodziło teraz o wybór drogi, o decyzję, mającą wywrzeć wpływ na dalsze losy narodu. Rzeczpospolita, zbliżając się w owym czasie do widoków francuskich, musiałaby zdecydować się na ofiary w stosunku do Turcji, ale zato stawała wobec perspektywy wzmocnienia swej pozycji wobec wiarołomnych sąsiadów: elektora brandenburskiego, który każde nieszczęście Polski starał się na swoją korzyść wyzyskać, domu habsburskiego, który w swoim czasie wyparł Rzeczpospolitą z Czech i Węgier, od wieków siął w kraju zamęt, a obecnie grożące mu niebezpieczeństwo tureckie pragnął znowu zwalić na Polskę, wresz-

cie wobec cara, który chciał wykorzystać wojnę polsko-turecką i opanować Ukrainę, a oddawna łakomie spoglądał na Litwę.

Mógłże Sobieski, mając takich sąsiadów, liczyć, w razie niebezpieczeństwa, na ich szczerą pomoc, mógłże żywić nadzieję, że z tej wielkiej wojny, do której tak gorąco papież go zachęcał, wybrnie zwycięsko, że wreszcie odegra ową rolę dziejową, którą widział oczyma wyobraźni, a która jego ojczyźnie miała dać siłę i odpowiednie stanowisko w świecie? Niestety, wielki wojownik nie wyrobił sobie jasnego na owe wielkie zagadnienia dziejowe poglądu i nie przenikał mroków przyszłości. Podnosząc swem zwyciężskim ramieniem Rzeczpospolitą z upadku, wracając jej dobrą sławę i honor, czyniąc państwo polskie przedmiotem uwagi i zabiegów walczących z sobą mocarstw, nie umiał wykrzesać z siebie śmiałej decyzji i owej potężnej woli, która nie zawodziła go nigdy na polach bitew.

Król chwiał się i wahał. Pociągała go dalsza wojna z Turcją i przemawiał mu do przekonania, sojusz z potężną Francją Ludwika XIV. A gdy nie miał przy swym boku wielkich statystów, gdy z masy szlacheckiej nie odzywało się żadne wielkie hasło narodowe, gdy myśl państwowa, zagubiona na krętych ścieżkach intrygi, przywalona egoizmem magnatów i samolubstwem szlachty, zamierała w narodzie, nic dziwnego, że i decyzja króla stać się musiała wypadkową działań i zdarzeń, niezwiązanych swą treścią z istotą wielkiego zagadnienia. Jakoż w ciągu lat siedmiu polityka polska lawirowała między sprzecznymi prądami, przechylając się to na stronę Francji, to na rzecz przymierza z cesarzem. Nie interes państwowy, ale

wpływy postronne odgrywały w tej polityce dominującą rolę i kierowały królem. Była to polityka bez szerszych horyzontów i bez znamienia samodzielności polskiej. W pewnej mierze usprawiedliwia Sobieskiego brak wszelkiego w narodzie oparcia. Szlachta, oddawna wietrząca we wszystkich poczynaniach królów zamach na złotą wolność, a żyjąca życiem swych zaścianków, w najlepszym razie ziem i województw, nie ogarniała całokształtu zadań państwowych i coraz bardziej zasklepiła się w swoim egoizmie. Wielcy panowie rywalizowali z sobą o wpływy i znaczenie, radzi przykładali rękę do każdej intrygi, ale niezdolni byli do wykrzesania z siebie idei i podobnie jak szlachta uchylali się od obowiązków względem Rzeczypospolitej.

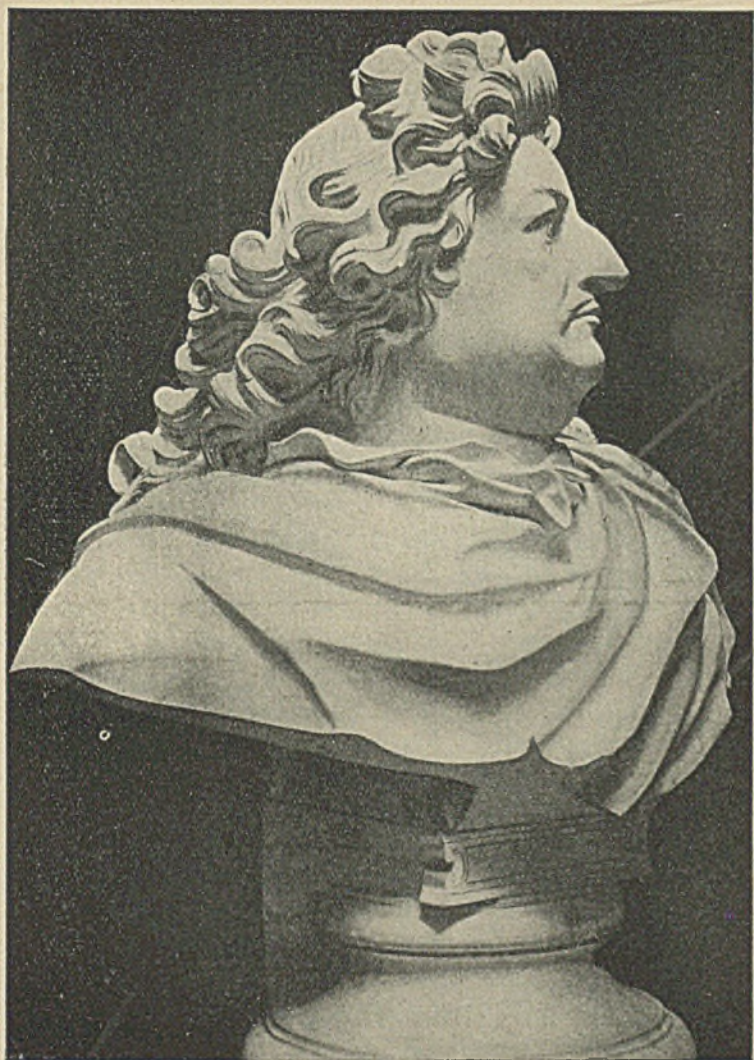
W takich warunkach na każdym kroku paraliżowana była inicjatywa króla.

Sejm styczniowy 1677 roku nie tylko pogrzebał ostatecznie ideę Sobieskiego, mającą postawić pod bronią 100.000 gotowych do odparcia wszelkich niebezpieczeństw żołnierzy, ale za sprawą Paców uchwalił pomniejszenie zbrojnej siły kraju do 12.000! Samobójcza była to uchwała wobec pertraktacyj, które na mocy traktatu żórawińskiego należało niebawem rozpocząć. Wprawdzie wysłany w poselstwie do Konstantynopola wojewoda Jan Gniński mógł powołać się na tę uchwałę, jako na dowód pokojowego usposobienia Polski, ale był to przecież zarazem jaskrawy dowód słabości, a wyłącznie siła mogła trafić do przekonania politykom tureckim. Prócz ustanowienia komisji płatniczej, mającej przyspieszyć wypłatę zaległego żołdu wojsku, jedno tylko pomysłowy i twórczy w sprawach wojskowych Sobieski od sejmu tego uży-

skął, mianowicie konstytucję, pod nazwą konsystencja wojsku. Na zasadzie tej konstytucji zakupione zostały w okolicach Krzemieńca, Buczniowej i Trembowli znaczne dobra na stały postój dla wojska. Te kolonie wojskowe dawały żołnierzom duże wygody, pozwalały im żyć dostatnio, a zarazem zapewniały stałą obronę zawsze zagrożonym kresom. Sejm ten upłynął wśród lamentu Podolan i uporczywej opozycji Litwinów, sprzeciwiających się uchwaleniu jakichkolwiek podatków. Król zdobył się na energję. Przyszedszy w południe na posiedzenie sejmu oświadczył, że nie ruszy się z miejsca, dopóki sejm się nie skończy i konstytucje napisane nie będą. Jakoż przesiadział całe popołudnie, całą noc i cały ranek dnia następnego, ale celu dopiął: zapobiegł zerwaniu sejmu i doprowadził obrady do końca.

W owym czasie wpływy francuskie miały stanowczą przewagę nad wpływami cesarza. Nadzwyczajny poseł Ludwika XIV, margrabia de Bethune, szwagier królowej, w dwóch ważnych sprawach zdołał nakłonić Sobieskiego do czynu: w sprawie Prus Książęcych i okazania pomocy powstańcom węgierskim.

W sierpniu 1677 roku udał się Jan III do Gdańska pod pozorem uśmierzenia w tem mieście zamieszek na tle religijnem i wzburzenia ludności przeciw senatowi gdańskiemu, idącemu za wskazaniem elektora. Gdańsk przyjął króla z wielką okazałością, a oba stronnictwa, za wdaniem się Sobieskiego, przyszły do zgody. Jednocześnie zawarta została w Gdańsku między królem a Szwecją ważna umowa, skierowana przeciw elektorowi, a utrzymywana w głębokiej tajemnicy. Stosownie do tej umowy, Szwedzi obowiązani byli wkroczyć przez posiadłości polskie do Prus Książę-



Elektor Fryderyk Wilhelm, według popiersia Andrzeja Schlüttera.

cych i rozpocząć wojnę z elektorem. Działania Szwedów miał poprzeć sześciotysięczny korpus polski, wystawiony za pożyczone w miastach pruskich pieniądze, które król francuski obiecywał zwrócić: zawojowana prowincja miała całkowicie wrócić do Polski. Niestety, Szwedzi nie wykazali dość energji w wykonaniu planów, a król nie umiał poskromić Paca, który sprzyjał elektorowi i sprzeciwiał się pochodowi Szwedów przez terytorjum Rzeczypospolitej. Gdy wreszcie w grudniu 1678 roku słabe wojska szwedzkie wtargnęły do Prus, wyprawa skończyła się klęską. Pobici przez elektora Szwedzi z ogromnemi stratami wycofali się do Inflant, a stronnicy Fryderyka Wilhelma wielkie zarzuty wytoczyli przeciw królowi na najbliższym sejmie.

W ten sposób ostatnia okazja odzyskania Prus Książęcych, których ludność w znacznej części polska ku Polsce zwracała swe oczy, bezpowrotnie została stracona. Ale też w tej niezmiernie doniosłej sprawie działał Sobieski bardzo chwiejnie. Nie odważył się wziąć na siebie inicjatywy, lecz zostawiał ją Szwedom, dla których przyłączenie Prus do Polski nie przedstawiało żadnej bezpośredniej korzyści. Król, uległszy namowom Francji, odgrywał przez cały czas rolę podrzędną, zakulisową, czekał na wypadki, ale ich nie tworzył. Nic dziwnego, że nie osiągnął powodzenia.

Równie fatalnie zakończyła się sprawa dywersji polskiej na Węgrzech.

Jan III sprzyjał gorąco ruchom wyzwoleńczym narodu węgierskiego, ale i w tej sprawie nie miał odwagi wystąpić z jawnym a jasnym programem. Więc ambasador Bethune szukał w Polsce magnata, który-

by przyszedł zamiarom francuskim z pomocą i wpływami swemi wsparł powstanie węgierskie. Wybór jego padł na Hieronima Lubomirskiego. Magnat ten zgodził się czynić na ziemi polskiej zaciągi, przesyłać uzbrojone oddziały na Węgry, wreszcie na czele znaczniejszych hufców wkroczyć na teatr wojny, objąć dowództwo nad całą siłą zbrojną Węgiei i pokierować walką z wojskami cesarskimi. Głośne Lubomirskiego imię, waleczność rycerstwa polskiego, ochoczo wobec redukcji spieszącego pod sztandary, pozyskanie dla tych planów księcia Siedmiogrodu Apaffiego, wreszcie wyczerpujące walki nad Renem, nie pozwalające cesarzowi na wystąpienie przeciw powstańcom znaczniejszemi siłami, wróżyły całemu planowi duże powodzenie. Rzeczpospolita mogła odzyskać swe dawne na Węgrzech wpływy, zjednać sobie poważnego sojusznika i zaszachować politykę cesarza na podległych jego berłu a bezlitośnie wynaradawianych ziemiach słowiańskich.

Lubomirski, mając za sobą cichą aprobatę Jana III i poparcie finansowe Francji, wywiązywał się energicznie z przyjętych obowiązków, tworzył oddziały zbrojne i raz wraz wysyłał je na ziemię węgierską. Ale gdy cesarz podniósł przeciw tym działaniom protest, gdy przeciw Lubomirskiemu zwrócili się Pacowie i ks. Dymitr Wiśniowiecki, gdy nuncjusz papieski uroczyście prosił króla o niedawanie dalszej pomocy buntującym się przeciw cesarzowi Węgom, Jan III cofnął się i, naraziwszy Lubomirskiego na wielkie przykrości, zaniechał wszelkiej na rzecz powstańców węgierskich dywersji.

Nie bez wpływu na ten krok były intrygi dworu cesarskiego i spisek, za sprawą Austrii, przeciw So-

bieskiemu uknuty. Książę Dymitr Wiśniowiecki, hojnie opłacany przez cesarza, snuł projekt detronizacji Jana III i oddania korony polskiej ks. Karolowi Lotaryńskiemu, ożenionemu z wdową po królu Michale. A Wiśniowieckiemu pomagał w tych knowaniach wpływowy biskup Trzebicki, niegdyś wielbiciel pogromcy Turków i zasłużony patryjota-pacyfikator, obecnie spiskowiec, nie wzdragający się przed myślą wydania Austriakom Krakowa i Częstochowy. A na Litwie czekali tylko sposobności nikkzemni Pacowie, śmiertelni wrogowie Jana III, by zgotować mu zgubę i raczej wydać Litwę carowi, niż pozostawać pod rządami znienawidzonego króla.

W atmosferze zdrady, przekupstw i spisków musiał działać Jan III. Nic dziwnego, że postępował chwiejnie i niezdecydowanie, że obawiał się każdego planu, który płałni przez obce mocarstwa magnaci mogli wyzyskać i, wzburzywszy przeciw królowi masy szlacheckie, rozpocząć z nim wojnę.

Tym razem na zwrot w polityce króla wywarła wpływ i Marja Kazimiera.

Piękna Marysienka na chwilę nie zapominała o swej podupadłej rodzinie we Francji. Bolało ją ogromnie, że ojciec żyje w zapomnieniu, że nie posiada fortuny, że nie odgrywa żadnej w swej ojczyźnie roli, że brat nie dostępuje zaszczytów, jakich dla niego pragnęła. Nadaremnie przecież szturmowała do Ludwika XIV o łaski, nadaremnie domagała się dla ojca tytułu księcia i para Francji. W oczach króla Ludwika, margrabia d'Arquien, ojciec Marysienki, stary i rozpustny hulaka, napastowany nieustannie przez wierzycieli, człowiek bez zdolności i charakteru, był zbyt nikkzemną figurą, by zasługiwał na jakiegokolwiek wzglę-

dy, a cóż dopiero na dostojęństwa, o które zabiegała królowa. Ludwik XIV niejednokrotnie zrażony chciwością Marji Kazimiery, opornie zachowywał się względem jej wygórowanych żądań. A Marja Kazimiera, głęboko dotknięta takim stanowiskiem króla francuskiego, starała się różnemi drogami o dopięcie celu, a gdy starania zawiodły, postanowiła okazać Ludwikowi, że dla jego planów potrafi być niebezpieczną. Dzięki swym olbrzymim wpływom na męża, również dotkniętego lekceważącym postępowaniem Ludwika względem rodziny swej żony, umiała uczynić Sobieskiego odpornym w stosunku do życzeń francuskich. Jan III zawsze ulegał Marysieńce, a że działalność przeciw cesarzowi narażała go na wielkie przykrości, tem łatwiej więc przechylił się do życzeń ubóstwianej małżonki. Na ten nowy zwrot wywarła pewien wpływ i miłość własna króla. Ludwik XIV odmawiał Sobieskiemu tytułu „majestatu”, traktował go życzliwie, ale wyniośle, nieraz dając mu odczuć swą wyższość. Po między dworem królewskim a Ludwikiem XIV oziębiały się stosunki. Taki stan rzeczy wykorzystywała dyplomacja austriacka, a stanowisko Turcji dopomogło wielce do zbliżenia się między Sobieskim a cesarzem.

Wojewoda Gniński, wyprawiony dla prowadzenia układów z Portą, nic nie wskórał w Konstantynopolu. Achmet Kiupruli zmarł w r. 1676-ym. Na stanowisko wielkiego wezyra wyniesiony został Kara-Mustafa, równie jak poprzednik przekonany, że przed potężną Turcją cały świat drzeć powinien. Fanatyczny wróg krzyża, porywczy, namiętny, nie posiadający wielkich talentów Kiuprulo, ale przewyższający go pychą, snuł wielkie plany wojny z chrześcijaństwem i nakłaniał do nich krwiożerczego sułtana Mahometa. Gdy w sierpniu

1677 roku ujrzał wspaniały, bo liczący 300 koni orszak Gnińskiego, odezwał się szyderczo:

— Za mało ich na zdobycie Konstantynopola, za wiele na poselstwo.

Gdy mu powiedziano, że konie panów, towarzyszących Gnińskiemu, podkute są srebrnymi podkownikami, rzekł:

— Podkowy srebrne, ale głowy ołowiane.

Układy, prowadzone przez Portę ze zwykłą wyniosłością, wlokły się bardzo długo, ale wielce niepomyślnie dla Polski. Turcja uważała Podole za swą własność i nie myślała odstąpić od tego poglądu, a zwycięstwa Turków nad Moskalami w roku 1678 i zwyciężenie Czehrynia zaostrzyły wymagania polityków tureckich.

Gniński zdołał uzyskać dla Polski jedynie Pawłowicz i Białą Cerkiew, od Podola Wysoka Porta ani myślała odstąpić.

Wtedy dyplomacja polska postanowiła zaszachować Turcję zawarciem sojuszu z Moskwą, równie jak Rzeczpospolita, zagrożoną tendencjami zaborczymi Kara-Mustafy. Jakoż po długich pertraktacjach poselstwo polskie w Moskwie z wojewodą wołyńskim, ks. Michałem Czartoryskim na czele, doprowadziło w sierpniu 1678 roku do układu, mającego obowiązywać obie strony do 1-go czerwca 1693-go roku. Polska pozostawiała w rękach carskich Smoleńsk i Kijów, otrzymywała zaś Homel, Siewierz i Wieliz z siedemdziesięciomilowym obszarem, ponadto car zobowiązywał się do zapłacenia Rzeczypospolitej dwóch milionów złotych. Żadne z państw nie miało prawa w określonym umową czasie zawierać bez wzajemnej zgody układów z innym mocarstwem.

Do tej umowy z Moskwą pchała Polskę dyplomacja papieska i cesarska, bo umowa ta oddalała króla od widoków Francji, odciągała jego uwagę od Prus i Węgier i na gruncie aktualnym stawiała nową wojnę z Turcją. Nieprzejednane stanowisko Partcy i lekceważenie przez Ludwika XIV życzeń Marji Kazimierzy osłabiały na dworze polskim wpływy francuskie i dawały wyraźną przewagę polityce cesarza. Uwidoczniło się to szczególnie podczas obrad sejmu, zwołanego do Grodna na grudzień 1678 roku, a obradującego pod laską Franciszka Sapiehy.

Na sejmie tym starły się oba wpływy, reprezentowane przez występujących do walki z sobą magnatów: przekupny ks. Dymitr Wiśniowiecki i Pacowie oskarżali Hieronima Lubomirskiego o nielegalne działania na rzecz powstańców węgierskich. Za Wiśniowieckim stanął poseł cesarski Altheim, za Lubomirskim poseł francuski Bethune. Król, atakowany bardzo ostro za swoją politykę w stosunku do Prus i Węgier, a zagrożony walką między Lubomirskim a Wiśniowieckim i Pacami, na której musiałaby ucierpieć jego powaga, cofnął się i załagodził zatarg, zgodziwszy się na uchwałę, nakazującą partyzantom węgierskim wracać w oznaczonym terminie do kraju. W ten sposób nadzieje francuskie na pomoc Polski w walce wyzwolenczej Węgrów rozwiały się doszczętnie. Postanowienia sejmu zbliżały Rzeczpospolitą ku dworowi cesarskiemu.

Niepomyślne wyniki poselstwa Gnińskiego, który 8 lutego stanął przed sejmem i zdawał relację z prowadzonych nad Bosforem pertraktacyj, były nowym dla polityki francuskiej ciosem. Sejm zapłonął świętem oburzeniem przeciw Turcji, a Jan Sobieski, któ-

rego papież Inocenty XI płomiennym listem wzywał do walki z wrogami krzyża, popłynął z falą zapału, ogarniającego sejmujące stany i wystąpił przed sejmem ze śmiałym żądaniem. Oto domagał się, aby ze względu na konieczność spiesznego a zarazem cichego działania sprawa wojny z Turcją została ostatecznie zdecydowana nie przez sejm, ani nawet radę senatu, ale przez radę, którą sejm wyłoni, a która obradować będzie pod przewodnictwem króla. Ta rada, składająca się z senatorów i posłów, miała wyznaczyć poselstwa do państw chrześcijańskich, korzystać z uchwalonych przez sejm podatków i dwóch milionów złotych należnych od cara, słowem, zainicjować wielką przeciw Turcji w świecie chrześcijańskim krucjatę. Aby zaś uspić czujność Porty, miano przyjąć podyktowane przez nią warunki, a więc odstąpić Podole, a jednocześnie przygotowywać pocichu wielkie przysięgi państw chrześcijańskich.

Sejm przychylił się do propozycji króla i zgodził się na wszystkie jego żądania. Siłę zbrojną Korony podniesiono do 32.000, a Litwy do 10.000. Lecz plany króla w sprawie Prus Książęcych zostały unicestwione. Do tej zgody przyczyniło się zawarcie pokoju w Nimwegen, zawieszające kroki wojenne pomiędzy zwycięskim Ludwikiem XIV a koalicją hiszpańsko-holendersko-niemiecką z cesarzem na czele. Wobec tego pokoju plany Jana III nie wywoływały gorącej opozycji ze strony Francji. Ale Ludwik XIV, stojący u szczytu potęgi, zraził się ostatecznie do Polski. Szukając na wschodzie sprzymierzeńca, zwrócił uwagę na Fryderyka Wilhelma, który tworzył podwaliny przyszłego państwa pruskiego i coraz większą stawał się potęgą. Zwrócenie się do Fryderyka dokona-

ne było w najwłaściwszym czasie, gdyż elektor obrażony na cesarza, że ten bez niego wdał się w układy, a opuszczony przez sprzymierzeńców, szukał dla swej polityki oparcia. Chętnie więc zawarł przyjaźń z niedawnymi wrogami: Francją oraz Szwecją i układem, zawartym w r. 1679 w St. Germain, związał się z polityką francuską. W kilka miesięcy potem zobowiązał się nawet współdziałać z Francją w stosunku do Polski i iść ręką w rękę z królem francuskim na wypadek nowej elekcji. Później jeszcze za 100.000 franków rocznej pensji zapewnił Francji pomoc zarówno dyplomatyczną, jak zbrojną.

To francusko pruskie przymierze, wymierzone przeciw Rzeczypospolitej, było nowym powodem, który skłonił dwór warszawski do szukania oparcia w Wiedniu.

Jan Sobieski całkowicie oddał się sprawie utworzenia wielkiej ligi chrześcijańskiej przeciw Turcji.

Latem 1679 roku posłowie Rzeczypospolitej udali się zagranicę, by projekt ligi przedstawić monarchom i zapewnić Polsce ich udział w wielkiem przedsięwzięciu.

Do Paryża wysłany został najgorętszy zwolennik Ludwika XIV, podskarbi wielki koronny Andrzej Morsztyn, polityk zręczny i giętki, umysł niepowszedni, charakter niepewny i lichy. W poselstwie do Wiednia, Rzymu i Wenecji udał się Michał Radziwiłł, do Anglii—bratanek podskarbiego Władysław Morsztyn, do północnych miast włoskich — Hieronim Lubomirski, do Hiszpanji i Portugalji — ks. Koryciński, wreszcie do Moskwy — referendarz wielki litewski Brzostowski.

Wszystkie te poselstwa nie osiągnęły celu.

Ludwik XIV przyjął Morsztyna bardzo uprzejmie, ujął go, oczarował i przekupił nowemi łaskami. O planach Sobieskiego wyrażał się z dyplomatycznym uznaniem, obiecywał nawet pomoc, o ile te plany się urzeczywistnią, ale chciał najpierw ujrzeć ligę chrześcijańską, a później dopiero namyśleć się, czy ma do niej przystąpić. Jednocześnie przecież naciskał wszystkie sprężyny, by zamiary Sobieskiego, gdzie się da, pokrzyżować.

Cesarz Leopold również nie chciał zobowiązać się do udziału w lidze. Czekał na wynik układów z Moskalami, a tymczasem w Moskwie układy szły, jak po grudzie, bo Moskale stawiali ze swej strony różnorodne żądania, wkońcu zaś z niczem wyprawili Brzostowskiego do Polski. Król angielski odmówił wszelkich posiłków, w Genui i w Turynie nic poważnego nie udało się uzyskać Hieronimowi Lubomirskiemu, a wpływy Ludwika XIV w Wenecji popsuły i tutaj misję Radziwiłłowi. Jedynie Portugalja zainteresowała się szczerzej planami Sobieskiego i przyrzekła Polsce znaczniejsze subsydja pieniężne.

Plany Jana III waliły się w gruzy.

Wtedy cesarz Leopold wystąpił z projektem przymierza o charakterze odpornym. Było takie przymierze na rękę cesarzowi, bo w razie najazdu tureckiego na jego posiadłości, zapewniało mu pomoc Polski, nie miało jednak żadnego powabu dla króla Jana, który domagał się przymierza zaczepnego i wojnę z Turcją pragnął zacząć od wyparcia wojsk tureckich z Podola.

Do niepowodzeń w sprawie ligi przyłączyło się inne jeszcze niepowodzenie, które szczególnie boleśnie odczuł Sobieski.

W owym czasie doszła do pełnoletności córka nieżyjącego już ks. Bogusława Radziwiłła, Ludwika Karolina, wychowywana w Berlinie pod opieką elektora. Dziedziczkę olbrzymiej na Litwie fortuny pragnął Jan III wydać za mąż za najstarszego ze swych synów, młodocianego królewicza Jakóba. Wiedział o tem elektor, ale nie myślał wypuszczać ze swych rąk wielkiej zdobyczy. Wraz z ręką tej najposażniejszej w Europie panny mężowi jej dostawały się olbrzymie obszary, setki włości, mnóstwo miasteczek i miast, a nawet kilka twierdz, jak Birże, Słuck, Siebież i inne. Więc Radziwiłłównę przeznaczył Fryderyk Wilhelm synowi swemu Ludwikowi. Sprawa wkraczała na grunt polityczny. Opinia publiczna w Polsce na wieść o zamiarach elektora oburzyła się wielce i głośno wołała, że trzeba nauczyć elektora szacunku dla króla i Rzeczypospolitej. Ale Fryderyk Wilhelm, mając za sobą zachętę Francji, doprowadził do skutku zamierzone małżeństwo i postawił króla wobec faktu dokonanego.

Ten fakt w całym kraju wywołał wzburzenie.

Śród takich okoliczności w styczniu 1681 roku rozpoczęły się w Warszawie obrady sejmowe pod laską Hieronima Lubomirskiego. Sprawa małżeństwa Radziwiłłówny wybiła się na plan pierwszy i okropną wywołała burzę. Gorętsi posłowie, trzaskając szablami, wołali, by przestać myśleć o wojnie z Turcją i niezwłocznie najechać elektora. Inni domagali się, aby Radziwiłłównie odebrać posag i wskazywali prawa, które do tego upoważniają. Za elektorem ujął się jego poseł Overbeck, a Overbeckowi sekundował nowy ambasador francuski de Vitry.

Był to wyraźny, a wielce dla Jana III przykry zwrot w polityce Ludwika XIV, zwrot, dający wiele do myślenia.

Drugą sprawą, która wywołała nie mniejsze w sejmie wzburzenie, były skargi na Morsztyna i zachowanie się jego w Paryżu. Zarzucano podskarbiemu, że przyjął tytuł sekretarza króla francuskiego i nabył we Francji dobra, czem uwłaczył godności posła Rzeczypospolitej.

Podczas obu tych spraw stawało się widocznem, że już poza plecami króla działa silne stronnictwo francuskie. Bronili elektora i Morsztyna wojewoda poznański Grzymultowski i wielce zadzierzysty a do warcholstwa skłonny biskup poznański Wierzbowski, który bardzo ostro występował przeciw królowi i pomawiał go o knowania przeciw Prusom. Sobieski pożywał owoce swej niezdecydowanej polityki, a gdy chciał umysły zająć sprawą ligi, koalicja prusko-francuska zadała mu cios i, nie licząc się z najgwałtowniejszymi potrzebami kraju, zerwała sejm, namówiwszy posła kaliskiego Władysława Przyjemskiego, by zgłosił swe veto.

Rozżalony Sobieski dał wyraz swoim uczuciom w mowie pożegnalnej, przypominając słowa Augusta, zwrócone do Warrona: „Warronie! Warronie! oddaj mi moje legjony!”

— Toż i ja,— wołał król ze wzruszeniem,—mówię teraz do tych, co sejm zerwali: wróćcie mi wojska, wróćcie mi spokój publiczny, wróćcie mi już nabytą i jeszcze czekającą sławę. Ale jako wrócicie, kiedy... Zginęła okazja zdobycia Kamieńca! Jeżeli Turcy i Tatarzy napadną nas, dowiedziawszy się o zamysłach naszych, niech kto żyje, dosiada konia, chwyta broń i krwią broni ojczyzny!...

Nie na zerwaniu sejmu skończyły się nieszczęścia Sobieskiego. Śród rokowań z obecnymi w Warszawie

Moskalami o wspólną akcję przeciw Turcji, ciągnących się jeszcze po zerwaniu sejmu, przyszła wieść, że między Turcją a Moskwą zawarty został pokój na lat dwadzieścia. Ta wieść ostatecznie skompromitowała wielkie plany króla.

Sławny wódz, rojący sobie, że na czele potężnej armji, stworzonej przez państwa chrześcijańskie, stanie u wrót Konstantynopola, zmuszony był teraz dla zasłonięcia się przed zemstą sułtana, śłać do swego posła w Turcji instrukcje, by wytłumaczył podjęte przez Polskę rokowania i upewniał Portę o pokojowych intencjach Rzeczypospolitej.

Jan III był osamotniony: polityka jego sprawiła mu bolesny zawód, postawiła go poza nawiasem zawieranych w Europie układów, naraziła Turcji, przyczyniła się do utraty powagi, którą zdobył w kraju.

Ale to osamotnienie nie trwało długo.

Ludwik XIV, upojony swemi triumfami, a uniesiony pychą, w dalszym ciągu rozszerzał swą władzę. Nie bacząc na trwający pokój, zaczął aneksje miast, ziem i prowincyj, które niegdyś należały do krajów, świeżo przyłączonych do korony francuskiej. Słynne połączenia, czyli reuniony, czynione kosztem Włoch, Hiszpanji i ksiąząt niemieckich, a szczególnie zajęcie Strassburga wzburzyło państwa niemieckie i najwyższy niepokój wywołało w Wiedniu. Pomiedzy cesarzem a królem francuskim wznawiała się walka.

W oczach dwóch śmiertelnych wrogów Polska znowu nabiera ceny. Ludwik XIV raz jeszcze podejmuje starania, by doprowadzić do zgody między Rzeczpospolitą a Turcją i skierować politykę polską przeciw cesarzowi. To znowu skłoniło dwór wiedeński do podjęcia sprawy przymierza z Polską w myśl życzeń

Sobieskiego. Pomiędzy dwoma obozami zaczyna się rywalizacja o pozyskanie Jana III. Na tle tych zabiegów wypływa znowu sprawa węgierska. Sobieski, jak cały naród polski, szczerze sprzyja Węgrom, a wódz powstańców węgierskich, Tököly, zabiega o jego pomoc i z ufnością wzywa jego opieki. Nadaremnie przecież popiera król u cesarza sprawę węgierską, nadaremnie przekłada dyplomatom cesarskim, że Tököly, opuszczony przez Polskę, rzuci się w objęcia Turcji, zwłaszcza jeśli polityka w Wiedniu względem Węgrów nie ulegnie zmianie. Król rozumuje słusznie, przewiduje trafnie, ale nie umie narzucić swego poglądu Austrii. Pomimo to, wobec pretensji królowej i króla do Ludwika XIV, zbliżenie się do Austrii czyni znaczne postępy. Rodzi się projekt ożenienia królewicza Jakóba z jedną z arcyksiężniczek, by w ten sposób najstarszemu synowi Sobieskich otworzyć większe widoki na odziedziczenie tronu po ojcu. Marja Kazimiera, zrażona wyniosłością Ludwika XIV, przechyla się na stronę przymierza z Austrią, a za żoną idzie król i coraz bardziej oddala się od Francji.

Ale Francja posiada wielkie w Polsce wpływy i wielu możnych stronników, którzy, widząc, co się dzieje, starają się sparaliżować akcję króla przez zrywanie sejmów i sejmików. Intryga sięga głęboko, powstaje nawet zamiar detronizacji Sobieskiego, a hetman Jabłonowski upatrzony jest na jego następcę. Duszą tej intrygi staje się Andrzej Morsztyn, podskarbi wielki koronny; stoją za nim wojewoda poznański Krzysztof Grzymułtowski, biskup poznański Wierzbowski, sprzyja im Stanisław Heraklusz Lubomirski, marszałek wielki koronny, trzymają stronę francuską coraz potężniejsi na Litwie Sapiehowie. Ale w ówczesnym

obozie francuskim niema już owej namiętności, którą ongi wносиła Ludwika Marja, ani też owej żelaznej konsekwencji, którą reprezentował zawzięty prymas Prażmowski. A zadanie było cięższe, niż przed laty, gdy na tronie zasiadał niedoleżny Michał Wiśniowiecki. Sobieski był nie tylko królem polskim: był jeszcze najwybitniejszym Polakiem, głośnym w całej Europie wodzem i najpopularniejszym wśród rycerstwa polskiego człowiekiem.

Na styczeń 1683 roku zwołany został sejm, na którym przeciwne królowi stronnictwo miało wykazać swą siłę i zdecydować o stanowisku Rzeczypospolitej.

Sytuacja polityczna nie sprzyjała stronnikom Francji. Z nad Bosforu groźne przychodziły wieści. Dnia 2 stycznia przed bramą pałacu sułtańskiego w Adrijanopolu wywieszono buńczuki, nieochybną zapowiedź wojny. Wieść niosła, że Mahomet IV ściąga swe wojska nie tylko z posiadłości europejskich, ale z Afryki i z Azji, że gromadzi 700.000-ną armję i sam wyrusza na jej czele. Wobec zawarcia przez Portę pokoju z Moskwą i rozgraniczenia Podola w myśl żądań tureckich, należało się spodziewać, że tym razem siły tureckie zwrócą się przeciw Austrii, zwłaszcza że upływał termin pokoju pomiędzy temi państwami, a przedłużenia terminu nie mógł uzyskać nad Bosforem poseł cesarski.

Sprawa przymierza z Polską stawała się teraz dla polityki wiedeńskiej sprawą największej doniosłości. Cesarz wysłał do Warszawy na pomoc swemu rezydentowi Zierowskiemu posła nadzwyczajnego w osobie hr. Waldsteina, a papież Inocenty XI całym swym wpływem popierał zabiegi Leopolda. Król skłaniał się do tego przymierza i płonął ambitnemi zamiarami roz-

prawienia się z Turcją, a wraz z królową snuł projekt wykorzystania trudnej sytuacji Leopolda, by związek z Austrią przypieczętować małżeństwem Jakóba z jedną z arcyksiężniczek austriackich.

Sejm rozpoczął się 17 stycznia 1683 roku, a początek dobrze wróżył stronnikom Francji. Marszałkiem wybrany został krajczy koronny Rafał Leszczyński, zięć Stanisława Jabłonowskiego. Również przy rozdawaniu wakansów wyróżnieni zostali sojusznicy Ludwika XIV. Po zmarłych hetmanach wielkich: koronnym Wiśniowieckim i litewskim Pacu obie buławy dostały się przeciwnikom Austrii; pierwszą dał król Jabłonowskiemu, drugą—Michałowi Sapieże. Buławę polną po Jabłonowskim otrzymał Michał Sieniawski, przychylny Sobieskiemu, ale również ze stronnictwem francuskim związany.

Lecz król był pewny siebie i wiedział, co czynił.

Pod wpływem groźnych wieści z Konstantynopola sejm obradował w atmosferze wojennej, a taka atmosfera sprzyjała królowi. Niemal wszyscy senatorowie wojowniczo byli usposobieni, a nikt nie ośmielił się lekceważyć położenia. Stanisław Jabłonowski zalecał tylko ostrożność i zamiast działania zaczepnego radził uzbroić fortece nadgraniczne i ze zwiększoną armją czekać, dokąd się siły tureckie obróca. Morsztyn również nie pozwolił sobie na jawną opozycję, starał się jedynie pohamować dążenia wojownicze przedstawieniem rozpaczliwego stanu finansów polskich i wykazaniem niemożności czynienia nowych a wielkich wydatków. Jeden Grzymułtowski przestrzegał przed zawieraniem z cesarzem przymierza, które skrepuje Rzeczpospolitą, a niewiadomo, czy i jakie przyniesie korzyści. Twierdził on, że zamiast wojny z Turcją na-

leżałoby raczej wypowiedzieć wojnę Moskwie, która wiarołomstwem i zdradą zagarnęła więcej ziem polskich, niż Turcja, a siłami swemi nie może się z tą ostatnią mierzyć.

Tymczasem Sobieski przygotowywał śmiertelny cios swoim przeciwnikom.

W posiadaniu dworu znajdowały się przejęte listy Morsztyna, z których wyływało, że podskarbi wielki koronny służy Ludwikowi XIV, tworzy w kraju stronnictwo przeciw królowi, przygotowuje zerwanie sejmu i dąży do detronizacji Sobieskiego.

Król zawezwał Morsztyna i zażądał tłumaczenia. Morsztyn wszystkiemu zaprzeczył. Wtedy pokazano mu jego własne listy, pisane wszakże znakami, których bez posiadania klucza nie można było odcyfrować. I temi dowodami nie stropił się podskarbi, twierdząc, że w tych listach niema nic takiego, czego miałby się wstydzić. Więc zażądano okazania klucza. I na to przystał, ale sprawę starał się przewlec, aby wkońcu odmówić żądaniu, pod pozorem, że klucz spalony został przez żonę. W sprawę wdał się ambasador Vitry i czynił wielkie wysiłki, by ratować współnika. Gdy jednak zażądano od niego, aby się sam tłumaczył, obrażony Francuz odparł wyniośle, że mógłby się tłumaczyć tylko przed swoim królem, poczem głośłownie zaprzeczył wszystkiemu i urażony opuścił zebranie.

Sprawa Morsztyna stała się głośną i szybko przedostała się do wiadomości posłów.

Sejm był wzburzony: sprawy niepodobna było ukrywać dłużej przed opinią. Nie leżało to zresztą w intencjach króla. Więc podkanclerzy Jan Gniński przedstawił rzecz całą zgromadzonym stanom, popie-



*Ludwik XIV, według portretu Mignarda ze zbiorów
ks. K. Lubomirskiego.*

rając swe oskarżenia odczytaniem urywków z przejętej korespondencji.

W sali sejmowej zakotłowało się, jak w ulu, wybuchła straszliwa wrzawa i na głowę podskarbiego, niby kamienie ze wszystkich stron zaczęły się sypać obelgi, wymysły, pogrożki. Drżący Morsztyn stanął przeciw burzy i pragnął głos zabrać, ale cała sala mu wygrażała, a groźne hałasy głużyły jego słowa. Śród piekielnego tumultu rozlegały się okrzyki:

— Zdrajca! krzywoprzysięzca!

A gdy uciszyło się nieco, wystąpił przed sejm dotknięty wynurzeniami podkanclerzego, hetman wielki koronny Stanisław Jabłonowski i w słowach gorących a namiętnych bronił swego honoru, uroczyście wypierając się wszelkiego udziału w ujawnionych knowaniach. Hetman mówił płomiennie, a słuchany był chętnie: sejm rad wierzył jego zapewnieniom. Po Jabłonowskim zabrał głos Stanisław Lubomirski, potem Michał Sapieha, a obaj przeczyli, jakoby w spisek byli zamieszani i obaj słuchani byli życzliwie.

Żaden głos nie ujął się za podskar bim.

Morsztyn został w opinji publicznej na zawsze pogrzebany.

Mógł teraz Sobieski zażądać najśrodszej kary na zdrajcę, a nikt nie śmiałby się żądaniu temu sprzeciwić. Mógł również pognębić głównych Morsztyna współników, a wszystko świadczyło, że nikt się za nimi nie ujmie. Ale król był wspaniałomyślny. A może też, zazierając w swoje sumienie, nie czuł w sobie dość siły moralnej, by z całą surowością wystąpić przeciw spiskowcom. Toż sam nie tak dawno chadzał krętymi drogami spisku, toż sam podobnie, jak jego przeciwnicy wiązał się intrygami z obcym monarchą

i z jego kasy czerpał złoto na agitację przeciw królowi. Podnosząc rękę na stronników Francji, podnosiłby ją również na swoją niedawną przeszłość i swoich niedawnych przyjaciół. Więc wygodniej mu było pozostawić zbrodnię bez kary, jak to już oddawna działo się w Polsce, wygodniej mu było zamknąć oczy na wszystko, przyjąć z dobrą wiarą wyjaśnienia tych, co się zbrodni zapierali, a nawet skrzydłami opiekuńczymi zasłonić przed wymiarem sprawiedliwości herszta spisku, Morsztyna. Tak też uczynił. Nikt nie został pociągnięty do odpowiedzialności, jeden Morsztyn, na mocy uchwały sejmowej, stracił swój urząd, ale proces jego miał się zacząć dopiero na następnym sejmie.

Lecz Morsztyn nie miał czystego sumienia: wyprzedawszy swe dobra, umknął do Francji i zeszedł z widowni politycznej w Polsce.

Sprawa Morsztyna zdyskredytowała politykę francuską i utorowała drogę do sojuszu z cesarzem. Jakoż po długich debatach deputatów polskich z przedstawicielami cesarza, hrabią Waldsteinem i Zierowskim, dnia 31 marca 1683 roku stanął na ruinie przyjaźni polsko-francuskiej traktat przymierza zaczepno-opornego między cesarzem a królem polskim i Rzeczpospolitą.

Na mocy tego traktatu oba państwa zrzekały się wzajemnie wszelkich do siebie pretensyj, wynikających z przeszłości, zobowiązywały się do niezawierania jakichkolwiek układów z innym mocarstwem bez wzajemnej zgody i do prowadzenia wspólnymi siłami wojny z Turcją. Cesarz miał wystawić 60.000 wojska, z których 20.000 przypadało na książąt niemieckich, król polski — 40.000. Na wypadek oblężenia przez Turków Wiednia lub Krakowa obaj monar-

chowie mieli obowiązek natychmiast pospieszyć sobie z pomocą. Komendę nad sprzymierzonymi wojskami oddawano temu z panujących, który się znajdzie w obozie, ale że Leopold wodzem nie był, więc stało się jasnym, że w razie wojny dowództwo nad zjednoczonymi wojskami obejmie Sobieski. Do zawarcia tego między sobą przymierza obie strony za wspólną zgodą zaprosić miały inne mocarstwa, a w szczególności starać się o pozyskanie cara moskiewskiego. Na koszt wojny Austria obowiązała się wpłacić do skarbu Rzeczypospolitej 1.200.000 złotych.

Do tych jawnych punktów pragnęli oboje Sobiescy dołączyć punkt tajny, dotyczący małżeństwa królewicza Jakóba z jedną z arcyksiężniczek. Przedstawiciele cesarza nie chcieli się angażować w tak drażliwej sprawie. Sobiescy uczuli się dotknięci — i cały układ omal nie został zachwiany. Sytuację uratował nuncjusz papieski. Wytłumaczył on Marji Kazimierze, że taka umowa pomniejszyłaby tylko widoki królewicza Jakóba na odziedziczenie po ojcu korony, gdyż Francja zawczasu uczyni wszystko, by nie dopuścić do tronu kandydata, związanego z dworem cesarskim. a spodziewać się można, że i w samej Polsce małżeństwo to nie tylko nie przysporzy Jakóbowi popularności, lecz wzbudzi obawy, że jest zamachem na wolną elekcję.

Pod wpływem tych argumentów ustąpili Sobiescy — i przymierze z cesarzem stało się faktem dokonanym.

Wobec zastraszających zbrojeń Turcji i braku pewności, przeciw komu skierowane być mają wojska sultana, wobec panoszenia się Turków na Podolu, sam traktat nie był niekorzystny dla Polski. Ale odrywał ją ostatecznie od sojuszu z Francją, odwracał jej

uwagę od niebezpieczeństw, grożących ze strony elektora i cara, a choć zapewniał obu sprzymierzeńcom równorzędność, to przecież wciągał Rzeczpospolitą w kręgi interesów cesarza, a więc prowadził ją do tego w Europie obozu, w którym nie mogła znaleźć korzyści, jakie zapewniało jej przymierze z Francją.

Pod jednym przecież względem traktat miał wielkie dla Polski znaczenie: kładł kres jej obojętności na sprawy europejskie i po raz pierwszy od lat wielu wprowadzał ją na widownię polityczną świata, jako siłę czynną i samodzielna.

X. ODSIECZ WIEDENSKA.



ahomet IV gromadził swe wojska, by tym razem, jak to zresztą było do przewidzenia, uderzyć na Austrię. Wczesną wiosną olbrzymia armja turecka wyruszyła z Adrjanopola. W Białogrodzie sułtan oddał dowództwo wielkiemu wezyrowi Kara-Mustafie, który wypuścił przodem Tatarów i, pomijając pomniejsze twierdze, kroczył wprost pod bramy Wiednia. Z Kara-Mustafą szedł chan krymski Murat Giraj, towarzyszyli Turkom obaj gospodarowie wołoscy i Tököly na czele powstańców węgierskich. 310.000 uzbrojonych wojowników wraz z nieliczną ciżbą wszelkiego rodzaju służby pomocniczej szło na zawojowanie „cesarza chrześcijańskiego”.

Na wieść o tym pochodzie przerażenie zapanowało w Wiedniu.

Armja cesarska, licząca zaledwie 30.000 żołnierzy gotowych do wyruszenia w pole, nie odważyła się stanąć do otwartej walki z ciągnącą ku Wiedniowi potęgą.

Dowództwo naczelne nad całą siłą zbrojną cesarza sprawował ks. Karol Lotaryński, ten sam, który, w czasie ostatniej elekcji, ubiegał się o koronę polską.

Wyzuty z dziedzictwa przez Ludwika XIV, doznał serdecznego przyjęcia na dworze wiedeńskim i otrzymał rękę wdowy po Michale Wiśniowieckim, królowej Eleonory. Uczeń Montecuccoli'ego, uczestnik jego zwycięstwa pod świętym Gotardem w r. 1664-ym, odznaczył się w dwanaście lat później w walkach nad Renem i wslawił się zdobyciem twierdzy Philippsburg. W następnym roku walczył z Francuzami o Lotaryngję. Człowiek rycerski, ożywiony energją, a mający duże doświadczenie wojenne, posiadał zapal i nieustraszone serce. Nie mogąc myśleć o hamowaniu postępów Kara-Mustafy, oddał prawie całą swą piechotę w liczbie 10.000 ludzi komendantowi Wiednia hr. Starhembergowi, a z resztą armji usunął się za Dunaj, żeby osłaniać dalsze prowincje i zachować nieliczne wojsko cesarskie na chwilę rozstrzygającą. Przedtem wszakże, w dniu 7 lipca 1683 r. starł się z hordą tatarską w miejscowości Petronel, odległej zaledwie o pięć mil od Wiednia. Wojska cesarskie doznały porażki. Porażka ta nie miała większego znaczenia, ale w Wiedniu wywarła wrażenie piorunujące. Zbiegowie, co umknęli z pola bitwy, wpadli do stolicy z przesadnymi wieściami o klęsce i całe miasto napełnili przerażeniem. Połowa ludności rzuciła się do ucieczki, a wszędzie rozbrzmiewał jeden wielki głos trwogi i rozpacz. Tegoż dnia wieczorem uciekł z Wiednia wraz z całą rodziną cesarz Leopold, a zaledwie dwunastu muszkieterów tworzyło jego eskortę.

Pomimo że wojnę przewidywano, a Jan III uprzedził cesarza o wielkiej wyprawie sułtana, Austrija była zaskoczona najazdem, nie uczyniła odpowiednich przygotowań i nie miała sił, aby się mierzyć z potężnym wrogiem.

Więc wszystkie nadzieje cesarza Leopolda i jego otoczenia skupiły się na obcej pomocy. Spodziewano się, że tę pomoc okażą elektorowie saski i bawarski, oczekiwano wojsk posiłkowych ze Szwabji i Frankonji, przedewszystkiem jednak liczone na Jana III i wojska polskie. Wszystkie myśli i wysiłki tak dworu cesarskiego, jak wodza wojsk cesarskich ks. Karola, skierowane były ku temu, by skłonić Sobieskiego do najszybszego wymarszu i ratowania zagrożonego państwa. Już bowiem 14 lipca zjawiły się pod Wiedniem wojska tureckie, rozłożyły się pod jego murami ogromnym, bo kilkadziesiąt tysięcy namiotów liczącym obozem i przystąpiły do oblężenia. Biegli inżynierowie kierowali pracą oblężniczą, a 170 armat dzień i noc ziało ogniem i zasypywało żelazem brońące miasta wały i fortyfikacje.

Cała Europa z największem natężeniem czekała na rozwój wypadków i zatrzymywała swe oczy na królu polskim, sławnym pogromcy Turków i Tatarów, a w tej chwili przedmiocie najwyższej ciekawości świata. Nie po raz pierwszy Rzeczpospolita zwracała na siebie uwagę Europy, ale po raz pierwszy miał Jan III poprowadzić Polskę na widownię powszechno-dziejową, wśród największego naprężenia umysłów i oczekiwania wszystkich narodów, nadśluchujących z zapartym oddechem wieści, dochodzących z nad Wisły i Dunaju. Jan III bawił w Wilanowie, gdy 16 lipca otrzymał wiadomość o ucieczce cesarza i zbliżaniu się Turków do Wiednia. Podobno nadzwyczajny poseł cesarski hr. Waldstein na kolana rzucił się przed królem, błagając go o spieszną pomoc dla oblężonej stolicy i ginącego państwa. A Waldsteina energicznie popierał nuncjusz papieski Pallavicini, ze swej strony zaklina-

jąc Sobieskiego, by póki czas jeszcze, ratował Wiedeń, Austrię i chrześcijaństwo. Dumny Leopold nie wahał się przyznawać, że już nie tyle zależy mu na wojsku polskiem, ile na samej obecności Sobieskiego, którego straszne imię grozą przejmuje Turków. Lecz król nie potrzebował zachęty. Pomimo potężnej już tuszy, ochoczy, żwawy i rześki, rad był jak najprędzej wyruszyć w pole.

Cesarz Leopold nie mógł znaleźć wierniejszego i bardziej przejętego swym obowiązkiem sprzymierzeńca.

— „Wiedeń u mnie. — pisał Sobieski do ks. Karola po otrzymaniu alarmujących wieści, — jest takiej wagi i doniosłości, że go stawię nad Kraków, Lwów i Warszawę. Dlatego wszystkie chwile dni i nocy na to tylko obróczę, aby z pomocą Bożą wesprzeć sprawę chrześcijaństwa, która przez zagrożenie tego miasta w niebezpieczeństwie się znajduje!...”

Trudno przypuścić, aby istotnie Jan III dbał bardziej o Wiedeń, niż o Warszawę. Niebaczne słowa były raczej objawem gorliwości Sobieskiego. Ale ta gorliwość nie podnosiła go w oczach nieszczerego sojusznika, lecz przeciwnie, całkiem niepotrzebnie obniżała bezcenną pomoc króla i narodu.

Sobieski, nim stanął przed stolicą naddunajską, najpierw nad Wisłą dokonał dzieła zadziwiającego. W państwie, które w najkrytyczniejszych chwilach nie mogło się zdobyć na wystawienie potrzebnej liczby wojska, w narodzie, który dowiódł największej lekko-myślności wobec bezpośrednio zagrażających mu niebezpieczeństw, wystawienie w szybkim czasie poważnej siły zbrojnej stawało się zadaniem niesłychanie trudnym. To też mimo największej gorli-

wości króla, można było z wielkiem prawdopodobieństwem przewidywać, że nie zdoła on przewyciężyć nastroczających się przeszkód i nie spełni obowiązku w myśl zawartego z cesarzem traktatu. A jednak dokonał wielkiego dzieła! Płonąc do idei złamania w oczach świata potęgi ottomańskiej, pracując dzień i noc, zagrzewając odezwaniami szlachtę wszystkich województw do wykonania uchwał sejmowych, doglądając przygotowań wojennych, umiał trawiącą go gorączkę czynu przelać w naród i rozpaćić w nim ogień entuzjazmu.

Pasek świadczy, że „była ochota we wszystkich ludziach taka”, iż każdy pragnął „ptakiem jako najprędzej przelecieć” i znaleźć się pod murami Wiednia. Ten i ów zaciągał pożyczkę, byle stanąć najozdobniej w szeregach i popisać się przed obcymi wspianym ryszunkiem. Płomienne kazania duchowieństwa, skierowane przeciw wrogom krzyża, udzielanie odpustów tym, co wyruszali na wojnę, uroczyste nabożeństwa i procesje rozpłomieniały ludność i w ogromnym stopniu sprzyjały wytężonej pracy Sobieskiego. Dzięki zapałowi, rosnącemu w kraju, już pod koniec lipca stanęło pod bronią*) 30.000 ludzi z samej Korony. Litwa się nie spieszyła, a że królowi było bardzo pilno, więc z samem wojskiem koronnem wyruszył pod Wiedeń.

*) Według K. Górskiego siła zbrojna polska wynosiła: husarzy 3247, pancernych 8385 koni, lekkiej jazdy 2178, innych jeźdźców 443, razem 14.253 jazdy i piechoty 12.306, ogółem 26.559 żołnierzy. Korzon cyfrę tę podnosi do 30.000. Fr. Kluczycki oblicza jazdę na 21.260, piechotę na 13.140, ogółem 34.400 ludzi, Chrzanowski na 32.000. Niewliczeni są do tej cyfry żołnierze, zaciągnięci przez Hieronima Lubomirskiego w liczbie około 3.000.

Sobieskiego wyprzedził znacznie Hieronim Lubomirski, czyniący zaciągi na własną rękę, a kosztem cesarza. Zwerbował 3.000 jazdy, Lubomirski już w lipcu złączył się nad Dunajem z armją ks. Karola i wkrótce w oczach wojsk cesarskich, dzięki swemu męstwu, wielką okrył się sławą.

Dnia 18 lipca, a więc w dwa dni po otrzymaniu alarmującej wiadomości o ucieczce cesarza, Jan III, wydawszy wojskom rozkazy ze wskazaniem szlaków, któremi mają podążać, sam wyruszył w drogę. Z Radziejowic wysłał list do Fryderyka Wilhelma, wzywając go do przysłania prócz obowiązkowego wojska z księstwa pruskiego, większych sił na ratowanie cesarza i chrześcijaństwa. Ale elektor brandenburski ani myślał usłuchać wezwania: mało go w tej chwili obchodziły kłopoty Leopolda. Natomiast król spieszył się bardzo. Dnia 24 lipca stanął w Częstochowie, a w nocy z 29 na 30-y, witany salwą dział zamkowych, zawitał do Krakowa.

Przez cały czas tej podróży otrzymywał liczne doniesienia od ks. Karola o wypadkach na terenie wojny i coraz rozpaczliwsze wezwania o ratunek, przywożone nieustannie przez kurjerów i posłów cesarza. Sam też troskliwie dopytywał o wszystko, udzielał rad i wskazówek, a na podstawie otrzymywanych wiadomości, obmyślał kwestje strategiczne. Dnia 2 sierpnia nadciągnął ze swem wojskiem hetman polny Sieniawski, 8 sierpnia hetman wielki Jabłonowski. Król wyprawił przodem Sieniawskiego z dwudziestoma chorągwiami jazdy, a dnia 15 sierpnia wyjechał na Śląsk za główną siłą polską, prowadzoną przez Jabłonowskiego.

Powitany w Bytomiu przez władze cesarskie, dnia 21 stanął w obozie, rozłożonym w Górach Tarnowskich i odbył przegląd swych szyków. Nazajutrz pożegnał się z żoną i, zabierając z sobą szesnastoletniego królewicza Jakóba, w listach do żony pieszczotliwie nazywanego Faufanikiem, ruszył w dalszą drogę.

Wojsko polskie kroczyło dwoma szlakami, które schodziły się w Ołomuńcu.

Sieniawski szedł na Białą, Cieszyn, Ołomuniec, Wischau, Nikolsburg, Jabłonowski na Gliwice, Raciborz, Opawę, Ołomuniec, a stąd miał kroczyć śladami Sieniawskiego. Król w Raciborzu odłączył się od sił głównych i, rozkazawszy Jabłonowskiemu przebywać po cztery mile dziennie, zabrał z sobą 3.000 lekkiej jazdy, aby co prędzej połączyć się z Sieniawskim. Obawiał się, by hetman polny, wzywany gwałtownie przez Karola Lotaryńskiego, nie przybył sam do armji cesarskiej i by ks. Karol, wzmocniony na siłach, nie przedsięwziął jakiegoś kroku, nie czekając na przybycie wszystkich wojsk polskich. Więc szybko odbywał drogę. Dążąc przez Piotrowice, Opawę, Ołomuniec, Wischau, Brünn, a przebywając nieraz jednego dnia 70 kilometrów, 31 sierpnia za Nikolsburgiem pod Hollabrun dopędził Sieniawskiego. Pomimo wielkiego pośpiechu miał czas, by po drodze nieustannie przyjmować deputacje, słuchać niezliczonych oracyj i błogosławieństw, oglądać różne „dziwy” i o wszystkim uwiadamiać ukochaną małżonkę. W listach wychwalał kraj „cudownie wesoły”, piękne miasta, lud dobry i serdeczny, wszędzie witający Polaków, jak zbawców. Widać z tych listów, że cały czas zachowywał wielką pogodę umysłu i najlepszej był myśli.

Zaledwie król połączył się z Sieniawskim, gdy do obozu w towarzystwie grona wyższych oficerów nadjechał ks. Karol Lotaryński. Naczelny wódz wojsk cesarskich spieszył się, by powitać Jana III, przedstawić się słynnemu wojownikowi i odebrać od niego rozkazy. Ujrawszy króla, zsiadł z konia i kilkadziesiąt kroków szedł pieszo na spotkanie. Uprzejmy król również zsiadł z konia i serdecznie uściskał gościa przed frontem czterech chorągwi husarskich. Ks. Karol z ciekawością „przypatrował się” wojsku polskiemu. Nic dziwnego. Miał przed sobą owych sławnych husarzy, którzy, według Duponta, z fantazją zwykli mawiać, że „gdyby sklepienie niebios runęło na ziemię, tobyśmy je wstrzymali swemi kopjami...”

Tymczasem rozbito namioty...

Siedział w Sobieskim szlachcic polski, serdeczny, wesoły, gościnny, a że Lotaryńczyk od pierwszego wejrzenia przypadł mu do serca, więc podejmował go po polsku naprędce zaimprovizowaną ucztą. Tego się ks. Karol „nie spodziewał, bo wozy dopiero nadchodziły”, a wojsko stało w polu, gdzie nie było „wody, drew i ognia”. Doskonale przecież udało się wszystko i król rad był swym gościom. A wielce charakterystyczne jest dla Sobieskiego to czysto polskie przyjęcie, jakie okazał cudzoziemcom. Sam wesołego usposobienia, nie gardzący przy stole kielichem, z typową przechwałką szlachecką opisywał później Marji Kazimierze, jak to Lotaryńczyk nie chciał pić innego wina, jeno lekkie mozelskie i to z wodą, ba! lejąc do kielicha „wody barzo siła”, jak go wreszcie król rozochocił i jak wstrzemięźliwy ksiązę, zaniechawszy owego niecnotliwego zwyczaju z wodą, zaczął pić później „węgierskie”, no i pił coraz lepiej. Zaraz też

pod wpływem węgryzna zaczął się uczyć po polsku, nazywać Sobieskiego ojcem, siebie synem, a otocze nie królewskie braćmi. W ten sposób księżę Karol i towarzyszący mu „grzeczni kawalerowie” poznali i zaprzyjaźnili się z Polakami.

— „Niepodobna to,—pisał Jan III,—wyrazić takiej wesołości, takiego ukontentowania, jako ci ludzie pokazowali”. Nic dziwnego: dobrze wszystkim ze łba musiało się kurzyć, skoro król, opisując tę ucztę, z zadowoleniem pisał, że goście jego „nie tylko się najedli, ale się i popili i dobrze”.

W tymże liście do żony nie bez humoru a z dużym darem obserwacyjnym odmalował Sobieski swego współzawodnika do tronu.

Opisawszy twarz, oczy, nos, postawę ks. Karola, tak ciągnął dalej:

— „Suknia na nim szara, bez wszystkiego, guziki tylko złote szmuklerskie, dosyć nowe, kapelusz bez piór. Buty żółte były przed dwoma miesiącami, albo trzema, napiętki z korków. Koń niezły, siedzenie stare, uzdy na koniu proste, rzemienne, złe arcy i stare. Z tem wszystkim nie ma miny kupca, ani Włocha, ale uczciwego człowieka z kondycją. Dyskurs bardzo dobry, w co go tkniesz. Skromny, niewiele mówiący i zda się być właśnie pocziwy człowiek: i wojnę rozumie bardzo dobrze i do niej się aplikuje. Peruka blond niecnotliwa, znać, że całe o strój nie dba. Owo zgoła jest człowiek, z którego się fantazją moja bardzo łącno godzi i godzien daleko większej fortuny...”

Ze swej strony ks. Karol, ujęty serdecznością sławnego wodza, od pierwszej chwili aż do końca okazywał Sobieskiemu najgłębszy szacunek i najżarliwiej

spełniał wszystkie jego rozkazy. Dnia 3 września na zamku w Stetteldorfie odbyła się pod przewodnictwem króla wielka rada wojenna, w której wzięli udział: ks. Karol Lotaryński, elektor saski Jan Jerzy III (ojciec późniejszego króla polskiego Augusta II), dowodzący wojskiem saskim generał Goltz, margrabia Herman Badeński, naczelnny wódz wojsk posiłkowych Rzeszy ks. Waldeck, dowódca wojsk bawarskich generał Degenfeld, hetmani Jabłonowski i Sieniawski, generał artylerji Kątski, generałowie cesarscy Capra, Lesle, Rabata, Gondola, ks. Salm oraz wielu młodszych książąt i wojskowych, zaproszonych przez króla. Wojska cesarskie zajmowały stanowiska w odległości trzech mil, wojska polskie, które prowadził Jabłonowski, były o półtora dnia marszu, lecz wojska Rzeszy i elektorów znajdowały się najdalej i dopiero za kilka dni można było przybycia ich oczekiwać. Na naradzie tej różne odzywały się głosy w sprawie dalszych działań. Wodzowie niemieccy byli zdania, że wydawanie bitwy Turkom, przeważającym niezmiernie sprzymierzoną armję, byłoby krokiem wielce niebezpiecznym. Radzili tedy posunąć się wszystkimi siłami lewym brzegiem Dunaju do Pressburga, zagrozić komunikacjom tureckim i w ten sposób zmusić nieprzyjaciela do odwrotu z pod Wiednia. Hetmani polscy byli za natychmiastowem uderzeniem na Turków, gdy tylko połączą się z sobą sprzymierzone siły. Nie obawiali się przewagi liczebnej, przykładami dowodząc, jak często odnosili Polacy zwycięstwa nad wielokrotnie liczniejszym nieprzyjacielem. Do opinji hetmanów przychylił się ks. Karol Lotaryński, a Jan III, którego zdanie rozstrzygnęło o wszystkim, wypowiedział się za najszybszem działaniem i stoczeniem wal-

nej bitwy z całą siłą turecką, oblegającą stolicę cesarską.

Wiedeń gonił sił ostatkami, jak o tem wymownie świadczyły doniesienia, które oblężonym udało się przesyłać ks. Karolowi Lotaryńskiemu. Jedyne szybkie działanie mogło zapobiec katastrofie.

Jan III przystąpił do wykonania swych planów. Zadanie miało być utrudnione ze względu na różnorodność wojsk i ambicje poszczególnych książąt. Skarżył się też na „ciągłe komplementy, witania, konferencje”, na „nieszczęsne ceremonie”, nakazujące nieustannie pamiętać o etykiecie, by nikogo nie obrazić, każdemu wyznaczyć właściwe miejsce, zgodnie z tytułem, stanowiskiem i panującymi zwyczajami. Wydawanie rozkazów temu świetnemu zgromadzeniu książąt i wodzów również było niesłychanie utrudnione. Potrafił przecież Sobieski uporać się z trudnościami, powagą i uprzejmością swoją zjednać sobie wszystkich i wszystkich zachęcić do zgodnego działania.

Dnia 6 września wojska polskie przeszły przez mosty na Dunaju i, stanąwszy na drugim brzegu między miastem Tulnem a górami Lasu Wiedeńskiego (Wienerwaldu), zbliżyły się do obwołu działań wojennych Kara-Mustafy. Tak więc w ciągu dni piętnastu, licząc od wyruszenia z gór Tarnowskich, główne siły polskie wraz z artylerją, piechotą i bagażami przebyły mil 50. Był to pochód niezwykle szybki i bardzo rzadko w dziejach wojen notowany. Następnymi dniami przepłynęły przez Dunaj wojska cesarskie, a potem saskie, bawarskie i posiłkowe niemieckie pod dowództwem ks. Waldecka.

Dnia 8 września odbyło się „u mostu pod Tulnem” uroczyste nabożeństwo na intencję zwycięstwa. Mszę

świętą odprawiał kapucyn ojciec Marek d'Aviano, wysłany do boku cesarskiego przez papieża. Ksiądz ten słynął ze swoich cnót i rozumu, a było w nim coś uderzającego, coś, co budziło podziw i szacunek. Dumny Leopold słuchał go i stosował się do jego wskazań, a i na Sobieskim uczynił skromny zakonnik duże wrażenie. Pisał o nim, że „prawdziwie to jest człowiek złączony z Panem Bogiem, nie prostak i nie bigot”. Od Marka d'Aviano dowiedział się Jan III, że cesarz Leopold, któremu w Tulnie przygotowywano kwatery, nie przyjedzie do obozu, bo mu d'Aviano ani na wojnę iść, ani do wojska zbliżyć się nie kazał. Sobieski rad był z tej wiadomości, bo z przybycia cesarza wróżył sobie tylko nowe kłopoty, a umysł miał zaprzątnięty sprawami wojny i spieszył się bardzo, gdyż załoga Wiednia, zmalawszy do 4.000 żołnierzy i 3.000 uzbrojonych mieszczan, gwałtownie wzywała pomocy.

Siły, pod wodzą Sobieskiego zgromadzone, obliczano na 65.000 do 82.000 głów*). Wojska tureckie Kara-Mustafy, znajdujące się w owej chwili pod Wiedniem, wynosić miały 140.000 do 180.000 żołnierzy, a więc były dwukrotnie liczniejsze od całej sprzymierzonej armji. Sam Sobieski na 300.000 ludzi obliczał zgromadzonych pod Wiedniem Turków.

Kara-Mustafa uprzedzany był przez Tatarów o zbliżaniu się pod Wiedeń znacznych sił nieprzyjacielskich, ale nie wierzył w przybycie króla polskiego i nie przerywał na chwilę oblężenia. Zaufany w swe liczne a waleczne pułki, nie przeszkodził przejściu wojsk

*) Wojska cesarskie liczyły 18.000, saskie 10.000, bawarskie 11.000, ks. Waldecka 9.500, polskie około 30.000.



Kara Mustapha Bassa Turcarum Imperatoris Minister Primarius.

Wielki wezyr Kara-Mustafa, według portretu
w Teatrum Europaeum.

przez Dunaj i nie przedsięwziął żadnych środków ostrożności. Dzięki tak lekkomyślnemu postępowaniu wodza tureckiego, dnia 9 września armja sprzymierzona bez przeszkód rozpoczęła marsz przez góry Lasu Wiedeńskiego. Dnia następnego, przed zachodem słońca, król, znajdujący się przy środkowej kolumnie wojsk niemieckich, wjechał w towarzystwie ks. Karola na górę, wznoszącą się przed Klosterneuburgiem i pilnie badał okolice. Ujrzawszy szczyty Kalenbergu, ocenił jednym rzutem oka doniosłość tej góry i dla zajęcia jej wysłał natychmiast swoją przyboczną chorągiew husarską i kilka bataljonów piechoty saskiej. Dnia 11 września przed wieczorem, w otoczeniu wodzów cudzoziemskich, ze szczytu Kalenbergu przypatrywał się obozowi tureckiemu i pilnie lustrował przyszłe pole bitwy. Teraz dopiero przekonał się, że mylnie był informowany o właściwościach terenu i że trudności do pokonania będą znacznie większe, niż przypuszczał na zasadzie otrzymywanych wiadomości. Przestrzeń, pokryta lasem, a poprzeryznana licznymi wąwozami, z dużą łatwością pozwalała Turkom bronić się i nie dopuszczać do rozwinięcia i użycia w boju znaczniejszych sił nieprzyjacielskich. Te obserwacje skłoniły króla do zmiany całego szyku i, jak się wyraził, „maniery wojny”, ale nie zmieniły jego decyzji, by nazajutrz rozpocząć bitwę.

Niektórzy z towarzyszących Sobieskiemu wodzów, wskazując olbrzymią przestrzeń, zajęłą przez obóz turecki, wyrażali trwożliwą wątpliwość, azali można uderzyć z powodzeniem na tak olbrzymią potęgę nieznanymi stosunkowo siłami.

Jan III, pewien zwycięstwa, odpowiedział na to:

— „Ten wódz, który, pomimo zbliżenia się wojsk naszych, nie skupił swej armji, nie okopał się i obozuje tak, jakbyśmy byli o sto mil od niego, przeznaczony jest na zgubę!...”

I dodał z mocą: — „Pobijemy go przy pomocy Boga!”

Ufność króla udzieliła się jego otoczeniu. Z wysokości zajmowanej góry wszyscy spoglądali na rozległy widok, rozścielający się przed oczyma, widok przy zapadającym mroku groźny i zarazem wspaniały. Na otwierającej się przed Wiedniem płaszczyźnie ciągnęło się olbrzymie miasto białych namiotów, wśród których właśnie rozpalano ogień. Krwawe, migotliwe światło rozlewało się coraz szerzej, bo biwakujący poza namiotami żołnierze tureccy również wzniecali ogniska. Rozbłysły przeciwległe do patrzących wzgórza, zaróżowiły się lasy, ogrody, winnice—i cała przestrzeń od Dunaju aż za Schönbrun stanęła w morzu płomieni. A w pobliżu wałów miejskich, ustawione półkolem baterje tureckie raz wraz słały ku miastu pociski i cały ten płomienisty obszar wypełniały złowrogami echami swych grzmotów.

Wiedeń bronił się rozpaczliwie.

Na wystrzały tureckie odpowiadał nieustanną kanonadą, grzmiał, dymił, błyskał, a cały pławił się i tonął w czarnych dymach, przez które przeświecały tylko purpurowym blaskiem olbrzymie łuny pustoszących miasto pożarów. Snać ostatka sił dobywała oblężona załoga, bo z wieży św. Stefana ciągle unosiły się smugi zapalanych rakiet, przeszywały kurzawę dymów i, błysnąwszy złotemi śladami na ciemniejącem niebie, gasły, jak meteory. Były to umówione sygnały, które wojsku, śpieszącemu z odsieczą, dawał komen-

dant Wiednia, hr. Starhemberg, na znak, że jest w niebezpieczeństwie i nowego szturmowi nie będzie już w stanie odeprzeć.

Na szczęście dla Wiednia i jego załogi, naczelny wódz armii sprzymierzonej nie poszedł za głosem tych, co nie radzili ryzykować walnej bitwy z Turkami i nie tracił czasu. Zaraz po opuszczeniu góry Sobieski zwołał radę wojenną i zgromadzonym wodzom przedstawił plan bitwy. Następnego dnia o świcie, projektował król, piechota wszystkich wojsk wraz z działami na całej linii ruszy naprzód i wypierać będzie nieprzyjaciela z poprzerywanego stoku gór na równinę. Za kolumnami piechoty i artylerją posunie się jazda, trzymając się przecież w takiej odległości, by nie narażać się na ogień nieprzyjacielski, ale zarazem tak, by tam, gdzie teren na to pozwoli, wspierać częściowymi atakami idącą naprzód piechotę. Dopiero gdy wróg wyparty zostanie na równinę, wtedy przez odstępy pomiędzy poszczególnymi regimentami wypadnie jazda i rozpocznie bitwę generalną. Przewidywał król, że Turcy bronić się będą zacięcie, wobec czego cały dzień może upłynąć na zdobywaniu zajętych przez nich pozycji. To też walną rozprawę zapowiadał dopiero na dzień 13 września. Prawe skrzydło od Rosskopsu do Dreimarksteinu tworzyły wojska polskie z hetmanami Jabłonowskim i Sieniawskim po bokach, a chorągwiami husarji oraz piechoty królewskiej po środku. Stojąc najdalej od obozu tureckiego, Polacy najdłuższą drogę mieli do przebycia. Skrzydło lewe, zajmujące Kalenberg, prowadzili elektor saski Jan Jerzy III i ks. Karol Lotaryński, a środek, mieszczący się na Vogelsangu — elektor bawarski Max Emanuel

i ks. Waldeck. Atak miało rozpocząć skrzydło lewe, najbardziej wysunięte ku nieprzyjacielowi.

Plan Sobieskiego zyskał uznanie podwładnych mu wodzów, którzy patrzyli teraz w króla, jak w tęczę i żarliwie słuchali jego dyspozycji. Książę Karol Lotaryński, obaj elektorowie i książę Waldeck pozostawili nawet przy namiocie królewskim swoich oficerów, by, w razie potrzeby, w każdej chwili móc odebrać nowe rozkazy. Wszyscy wodzowie przejęci byli powagą chwili i w uroczystem skupieniu przygotowywali szyk bojowy, który król nakreślił własną ręką w języku francuskim.

Zaświtał wreszcie pamiętny w dziejach dzień 12 września 1683 roku.

Po wysłuchaniu mszy św., odprawionej przez ks. d'Aviano, król, znajdujący się na lewym skrzydle, dostrzegł, że przodowe oddziały tureckie, szczególnie dokoła góry Nussberg, wzmocnione zostały liczną piechotą. Świadczyło to, że Kara-Mustafa zaczyna się liczyć z grożącym mu niebezpieczeństwem i przedsięwzięcie środki ostrożności. Wyparcie wojsk tureckich na równinę stawało się zadaniem trudnym. Pomimo to o 6-ej rano ze szczytów Kalenbergu zagrzmiało pięć umówionych strzałów armatnich, dając wszystkim oddziałom sygnał, by przystąpiły do nakazanych im działań.

Walkę, zgodnie z planem króla, rozpoczęło lewe skrzydło. Stojąca na Kalenbergu piechota ruszyła ku stanowiskom tureckim na Nussbergu, a przed piechotą posuwała się artylerja. Raz po raz działa dawały ognia. Wtedy cała linja piechoty zatrzymywała się w marszu i czekała, aż puszkarze na nowo nabiją armaty, poczem znowu atakujące kolumny szły na-

przód. Zbyt powolnym wydał się królowi ten pochód. Rozkazał więc stojącym na zboczach Kalenbergu baterjom wspomóc swym ogniem przedsięwziętą akcję i wysłał na plac boju posiłki. Żwawiej ruszyli się Niemcy—i po gorących utarczkach o godz. 8-ej rano zdobyli Nussberg. Po przerwie, podczas której przywrócono porządek w szeregach, lewe skrzydło znowu ruszyło naprzód i po ciężkich walkach zdobyło w południe Heiligenstadt, silnie bronioną pozycję na prawem skrzydle tureckiem.

Lecz król, widząc duże trudności w wypieraniu nieprzyjaciela od strony Dunaju, postanowił zaatakować co prędzej lewe skrzydło tureckie od Sieveringu i Dornbachu, dokąd z Rosskopfu zdążali Polacy. Rozkazał tedy wojskom cesarskim i saskim zatrzymać się w Heiligenstadt, a sam, zeszedłszy pieszo z gór kalenberskich, dosiadł konia i pomknął na spotkanie hetmana Sieniawskiego. Wyprowadził niebawem z lasów piechotę, za którą, między przerwami, zostawionemi dla wypadów jazdy, ukazały się chorągwie sławnej a podziwianej przez całą armję sprzymierzoną husarji.

Na widok orlich skrzydeł i barwnych proporców polskich, okrzyk entuzjazmu wyrwał się z piersi wojsk, zajmujących Heiligenstadt. Zadrżało od rozgłośnych okrzyków powietrze i cała masa zgromadzonych tutaj sił, nie czekając rozkazów, ze straszliwym krzykiem potoczyła się, jak lawina, ku nieprzyjacielskim pozycjom. Zapał był tak wielki, że oficerowie musieli płazować żołnierzy, by szyk utrzymać i pohamować tych, co bez opamiętania rwali się naprzód. Na szczęście podążyły w porę kolumny centrum od Vogelsangu i połączyły lewe skrzydło armji sprzymierzonej z woj-

skami polskimi. Utworzyła się duża półkulista linja bojowa i z wzrastającym zapalem sunęła na obóz turecki. Oficerowie i żołnierze, według wyrażenia króla, szli, jak do tańca.

Sobieski na wielkim bułanym rumaku przejeżdżał z krańca w kraniec linję bojową, dając na wszystko baczenie. Ubrany był w niebieski kontusz i biały żupan jedwabny, a na głowie zamiast hełmu miał kotpak z czaplem piórem. Poprzedzał go chorąży z proporcem królewskim i drugi jeździec z wysoką włócznią, na której zatknięte było skrzydło sokole: oznaka naczelnego wodza. Królowi towarzyszył stale syn Jakób w hełmie i zbroi, z szablą w ręce i koncerzem polskim u siodła. Widok Sobieskiego wszędzie wywoływał entuzjazm, całemu wojsku dodawał otuchy i we wszystkich sercach budził wiarę w zwycięstwo. Jakoż cała armja sprzymierzona znakomicie spełniała swą powinność.

Ciężkie zadanie wypadło szczególnie Polakom, bo Kara-Mustafa, dostrzegłszy nareszcie wielkie niebezpieczeństwo, skierował przeciw nim pułki janczarów. Jednocześnie coraz silniejszy ogień rozwijała artylerja turecka, a że ostrzeliwanie miasta na chwilę nie ustało, więc wśród wielkiego huku i nieustannych grzmotów toczyła się bitwa coraz gorętsza i coraz zażartsza. Zdołali Turcy zatrzymać na pewien czas, a nawet odrzucić środkowe kolumny niemieckie, przez co i postęp wojsk polskich musiał być zahamowany, bo lewy ich flank został odsłonięty. Ale król, czuwający nad wszystkim, wsparł Niemców własną piechotą i, przełamawszy przeszkody, znowu uruchomił całą linję bojową. Pomimo strat i wzmagającego się oporu, powoli, ale ciągle naprzód posuwała się armja

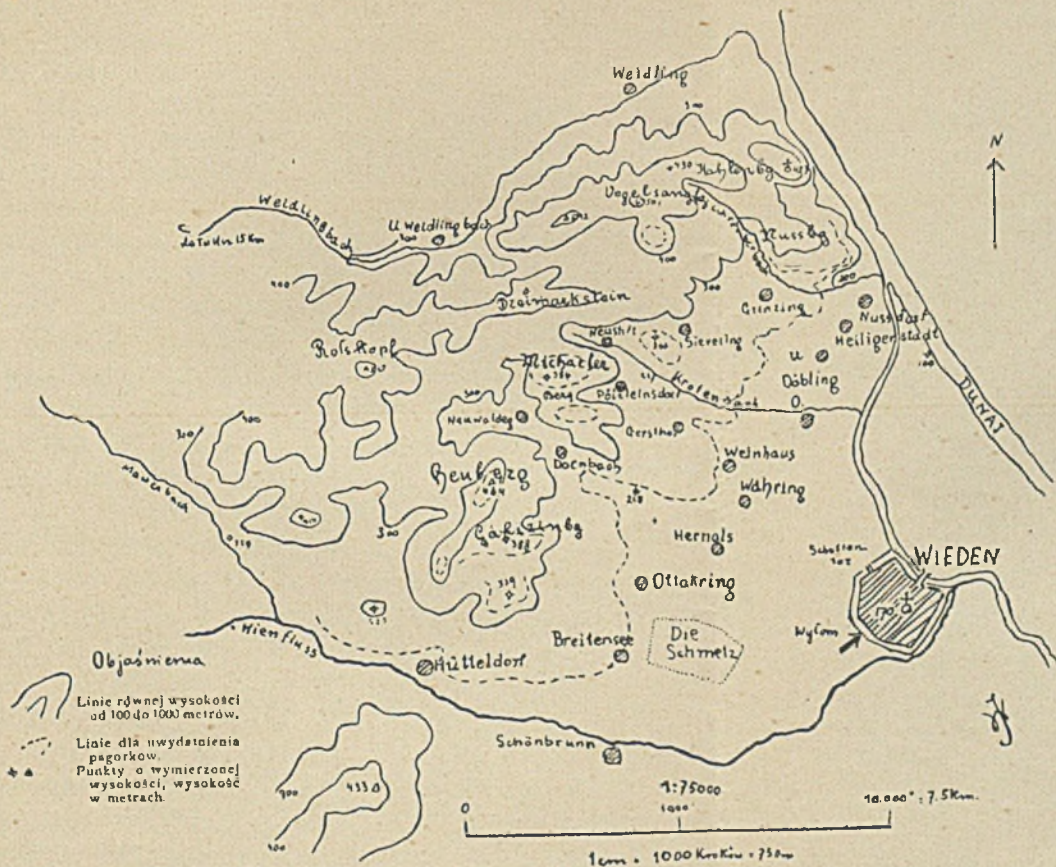
sprzymierzona wśród wzgórz i wąwozów, przedzierała się przez obsadzone dużymi siłami nieprzyjaciół winnice i zbliżała się nieustannie ku równinie, na której rozpościerało się olbrzymie miasto namiotów.

Zadanie, które na ten dzień wyznaczył Sobieski, zbliżało się ku końcowi. Lecz była dopiero godzina piąta po południu, a wszystkie wojska, ożywione wielkim zapalem, rwały się niecierpliwie naprzód. Natomiast Turcy, zaskoczeni niespodziewanem powodzeniem armji chrześcijańskiej, zaczęli tu i ówdzie bez boju opuszczać zajmowane pozycje i w obawie odcięcia, cofać się pośpiesznie. Dostrzegł to król i natychmiast zdecydował stoczyć walną bitwę. Stojąc w owej chwili na czele 26 chorągwi swej jazdy, dowodzonej przez Prusinowskiego i, znajdując się w samym środku armji sprzymierzonej, rozesłał wszędzie rozkazy, by wszystkie kolumny w dalszym ciągu posuwały się naprzód, a sam, patrząc na obóz turecki, płonął ogniem i, uniesiony wielkością chwili, jak lew szykował się do śmiertelnego skoku.

Dotychczas niemal wyłącznie walczyła piechota, teraz przyszła kolej na jazdę, a główne zadanie przypadło w udziale Polakom.

Gdy wojska dosięgły równiny, Sobieski, chcąc się przekonać, czy nieznany mu teren nie przedstawia poważniejszych przeszkód dla ataków jazdy, wskazał strażnikowi Zbrożkowi ogromne masy konnicy tureckiej, wśród której rozbijano właśnie purpurowy namiot dla wielkiego wezyra. W kierunku tego namiotu rozkazał Zbrożkowi uderzyć na czele husarji. Strażnik skoczył do swojej chorągwi i powtórzył jej rozkaz królewski. W jednej chwili żelazny zastęp jeźdźców stoczył się z lekkiej pochyłości na równinę i ruszył

we wskazanym przez króla kierunku. Skrzydlaci husarze pochylili kopje, i mknąc coraz szybciej, z okrzykiem: „Jezus! Marja!” wpadli w gęstwinę nieprzyjaciół i zniknęli patrzącym z przed oczu. Zakotłowały się szeregi tureckie, spiętrzyła się fala ludzi i koni, aż po dłuższej chwili z rozkołysanej masy wychylili się znowu husarze i pędem wracali ku linii wojsk polskich. Z przeraźliwym wrzaskiem gnali tuż za nimi zwinni spahowie, ale wstrzymani przez hufce niemieckie i polskie, po krótkiej walce zawrócili konie i pomknęli ku swoim. Chorągiew Zbrozka straciła czwartą część swoich ludzi, ale król się upewnił, że teren pozwala na rzucenie do boju wielkich mas jazdy. Więc uznał, że nadeszła chwila rozstrzygająca i wszystkim chorągwiom husarskim i pancernym rozkazał formować się do ataku. Tymczasem Kara-Mustafa, zrozumiałwszy, skąd grozi mu największe niebezpieczeństwo, trzy czwarte sił zgromadził przeciw Polakom i na prawe skrzydło polskie gotował się uderzyć. Z wojsk swoich, zajmujących równinę od Weinhausu przez Währing i Harnals do Ottakringu, a wypieranych przez lewe skrzydło chrześcijańskie, ściągał rozbitków i wzmacniał nimi swe potężne zastępy, osłaniające główny obóz turecki na Schmelzu. Na północny zachód od tego obozu stanęły olbrzymie masy konnicy tureckiej, ustawione w trzy linje szerokim frontem a w głębokim szyku. Jednocześnie liczne działa zwracali Turcy paszczami ku wojskom polskim, by krzyżowym ogniem armatnim ostrzeliwać przestrzeń przed frontem głównych sił swojej jazdy. Wielki wezyr Kara-Mustafa zajmował stanowisko poza linią jazdy, a nad szkarłatnym jego namiotem wysoko powiewała zielona chorągiew Mahometa.



Szkiec topograficzny do bitwy pod Wiedniem, według Soldiera.

Przemożne hufce tureckie starły się najpierw z prawym skrzydłem polskim, dowodzonym przez hetmana Jabłonowskiego, a znajdującym się już na południe od Dornsbachu.

Sobieski przez lunetę lustrował pole bitwy i ruchy nieprzyjaciół. Jazda polska, skupiona w tej chwili przy nim, a zajmująca znaczną przestrzeń w okolicy Dornsbachu, obliczana była na 7.000 koni. Na czele stała husarja, a w drugim szeregu między dzielącami ją odstępami szykowały się do sprawy chorągwie pancerne. Całą tę jazdę postanowił Sobieski osobiście poprowadzić w ogień i ostatnim śmiertelnym ciosem rozstrzygnąć los bitwy. Gdy tedy rotmistrze ukończyli formowanie szyków, rozkazał dać sygnał do boju. Rozległ się potężny łoskot kotłów, zagrzmiały przeciągle trąby. Król spiał konia i, z wyciągniętą ku obozowi tureckiemu buławą, rzucił się naprzód. Wszystkie chorągwie zerwały się z miejsca, ruszyły zrazu klusem, potem wzięły pęd największy i z furkotem proporców a chrzęstem skrzydeł i zbroic pomknęły ku pozycjom tureckim. Uniesienie ogarnęło pędzących za królem rycerzy, a genjusz zwycięstwa wstąpił w ich piersi i wiódł ku nieśmiertelnej chwale.

Cała armja sprzymierzona zrozumiała, że od tego ataku zawisły losy Wiednia i cesarstwa. Wszyscy z zapartym oddechem patrzyli, co się stanie, kawalerja zaś lewego skrzydła i centrum, porwana widokiem jakby na skrzydłach lecącej husarji, ruszyła na wsparcie Polaków.

Ryknęły działa tureckie, a ogromna masa ciężkiej jazdy wezyrskiej i spahów porwała się na spotkanie sunącej na nią lawiny. Śród ogłuszających grzmotów i świstu pocisków, poprzez wznieconą kopytami koni

kurzawę i kłęby wijących się dymów, wiódł Sobieski swe szyki, kierując się wprost na szkarłatny namiot wielkiego wezyra. Dwie olbrzymie ławice ludzi i koni pędziły na siebie, jak dwie lecące po ziemi chmury, gnane przeciwnymi wichrami. Straszliwa husarja, pochyliwszy kopje, dosięgała już wroga, gdy król skinął na rotmistrza Zbierchowskiego, by pierwszy uderzył. Zbierchowski dowodził chorągwią husarską imienia królewicza Aleksandra. Chorągiew ta liczyła zaledwie 149 koni, ale dumna, że król ją wyróżnił, natychmiast wysunęła się naprzód i uderzyła tak potężnie, że przednie szeregi tureckie, usiłujące ją wstrzymać, rozstały się i pękły, jak wrota, rozwalone pociskiem armatnim. Za Zbierchowskim runęły inne chorągwie. Starcie było straszne. Na 2.500 kopij husarskich, wymierzonych w pierś wroga, dwadzieścia zaledwie się nie skruszyło. Czołowa ściana jeźdźców tureckich legła pokotem, a husarja, dobywszy koncerzy, zwała się swym druzgocącym ciężarem na następne szeregi i, pracując je przed sobą, sunęła wciąż naprzód z niczem niewstrzymaną mocą. Uniesieni szablem bojowym rycerze, rwali się jedni przez drugich, ale wszystkich wyprzedził wkrótce znaczny zastęp husarzy, na których czele mknął sam Jan III na swym bułanym bachmacie. Król pędził, jak huragan, a na sam widok potężnego męża, ołoczonego szumiąciami skrzydłami żelaznych olbrzymów, wszystko pierzchało z drogi i z okrzykami przerażenia rzucało się do ucieczki. Szaleństwo popłochu ogarnęło Turków. Cała jazda Kara-Mustafy, zasławszy gęstym trupem ziemię, a nigdzie nie zdoławszy oprzeć się żywiołowemu natarciu Polaków, zemknęła z placu boju i w rączności swych koni szukała ocalenia. Za przykładem

jazdy poszła piechota i, opuszczając swe stanowiska, uciekała na złamanie karku. Sam wielki wezyr, dumny Kara-Mustafa, gnany strachem, wściekłością i rozpaczą, rozkazawszy wymordować jeńców, opuścił swój namiot i, dopadłszy konia, umykał z pod Wiednia. Nie wiedział, że jego okrutnych rozkazów nikt już nie mógł wykonać, bo oprócz mnóstwa kobiet tureckich, dzieci i jeńców, wszystko, co żyło, rzuciło się śladem uciekającego w rozsypce wojska. Wielka armja ottomańska, powiada inżynier francuski Dupont, „w jednej chwili znikła z przed oczu.” Lekkie chorągwie polskie rozpoczęły pogoń.

Bitwa była skończona.

Bronili się jeszcze przed murami Wiednia pozostawieni swemu losowi janczarowie, ale tych po zaciętej walce wyparł, wyrąbał lub wziął do niewoli ks. Karol Lotaryński przy pomocy Hieronima Lubomirskiego.

Wiedeń był wolny.

Na drugi dzień Jan III pisał do swej żony z namiotu Kara-Mustafy:

— „Bóg i Pan nasz na wieki błogosławiony dał zwycięstwo i sławę narodowi naszemu, o jakiej wieki przeszłe nigdy nie słyszały. Działa wszystkie, obóz wszystek, dostatki nie oszacowane dostały się w ręce nasze. Nieprzyjaciel, zasławszy trupem aprosze, pola i obóz, ucieka w konfuzji... Wojska wszystkie, które dobrze bardzo czyniły swoją powinność, przyznały Panu Bogu, a nam tę wygraną potrzebę...”

Niesłychana radość zapanowała w sprzymierzonej armji. Zaledwie Turcy całą masą rzucili się do ucieczki, nadbiegli do Sobieskiego elektor bawarski Max Emanuel, książę Waldeck i w przystępie radości rzucili się królowi na szyję, ściskając go a „całując w gębę”.

A generałowie całowali ręce i nogi królewskie, zaś „żołnierze, oficerowie i regimenty wszystkie kawalerji i infanterji”, wołały w uniesieniu:

— Ach, unser brave König!...

Tymczasem zapadała noc. Król „pod gardłem” zakazał jeździe zsiadać z koni, a piechocie opuszczać swe regimenty. Chciał zachować wszelką ostrożność, gdyby nieprzyjaciel nagłym powrotem zapragnął powetować klęskę. Przewrotny wódz obawiał się nadto, by zwycięskie wojsko nie rzuciło się na rabunek i nie zagubiło się w olbrzymim labiryncie namiotów. Sam, acz strudzony niezmiernie, spędził noc pod golem niebem, wybrawszy na nocleg miejsce pod suchym dębem poza obrębem tureckiego obozu.

Nazajutrz o świcie przybiegli do Sobieskiego z powinszowaniem ks. Karol Lotaryński i elektor saski. Radości i czułościom nie było końca. Wszyscy pragnęli widzieć zwycięskiego wodza, wszystko rzucano się ku królowi, ścisnęło go, całowało, cisnęło się do kolan, padało do nóg, nazywało go bohaterem i zbawcą. Bez końca rozlegały się pełne triumfu wiwaty. Umiała swego wodza ocenić cała sprzymierzona armja bez względu na rodzaj broni i narodowość. Książę anhaltski Jan Jerzy w liście, wysłanym nazajutrz po bitwie do elektora brandenburskiego, pisał: „Król polski sprawował naczelne dowództwo, a znajdował się wszędzie, gdzie był ogień największy”.

Wodza i żołnierza czcili w Sobieskim wszyscy podkomendni.

Radość ze zwycięstwa była tem większa, że w opuszczonym nagle obozie tureckim znajdowały się nieprzebrane skarby. Cała artylerja, licząca zgórą dwieście armat, olbrzymie składy prochu, amunicji i wszelkiej

broni, dziesiątki tysięcy przepysznych koni, wielbłądów, mułów, bydła, bogate zbroje, siodła, sajdaki, buńczuki, wielka ilość srebrnych i złotych przedmiotów, najpyszniejsze dywany, kilimy, tkaniny, nieprzebrane zapasy żywności, wszystko to stało się łupem nie tylko żołnierzy, ale i ludności Wiednia. Mnóstwo mieszkańców wyzwolonego miasta przesadziło wały i gęstą masą zalało obóz, łupiąc przepyszne namioty z nagromadzonemi w ich wnętrzach skarbami. Każdy brał, co chciał i ile chciał, a niektórzy obywatele stolicy naddunajskiej tak się obłowili, że za złupione kosztowności nie tylko odbudowali swe zrujnowane w czasie oblężenia domy, ale doszli do bogactwa. Wszakże najcenniejsze łupy dostały się rycerstwu polskiemu, które stało najbliżej obozu i pierwsze rzuciło się na jego plondrowanie.

Król stał się „sukcesorem” całego bogactwa i „wszystkich splendorów” Kara-Mustafy. Wspaniała to była sukcesja, gdyż same namioty wielkiego wezyra były „tak obszerne, jako Warszawa albo Lwów w murach”, miały ogród, fontanny, harem, łaźnie, a nawet piękny zwierzyńiec.

— „Mam, — donosił Sobieski swej Marysienie, — wszystkie znaki jego wezyrskie, które przed nim noszą, chorągiew mahometańską, którą mu dał cesarz jego na wojnę i którą dziś że jeszcze posłałem do Rzymu ojcu świętemu... Namioty, wozy wszystkie dostały mi się i mnóstwo jego przedmiotów, bogatych i pięknych, ale przebogatych, lubo się jeszcze siła rzeczy nie widziało. Niema porównania z łupami, wziętemi pod Chocimem! Kilka samych sajdków rubinami i szafirami sadzonych, stoją kilku tysięcy czerwonych złotych. Nie rzekniesz mnie tak, moja duszko,

jako więc tatarskie żony mawiać zwykły mężom, bez zdobyczy wracającym, „żeś ty nie junak, kiedyś bez zdobyczy powrócił”, bo ten, co zdobywa w przedzie być musi”. Nie bez znacznych strat odniesione zostało to sławne zwycięstwo i to strat, szczególnie dotkliwych dla Polaków.

— „Ślubuję,—pisał w jednym z późniejszych listów Sobieski, — żeśmy dobrze krwią szlachecką oblali tę przysługę cesarską i całego chrześcijaństwa, a ich wojska tak szczęśliwe, że takiej szkody nie mają”.

Straty armji sprzymierzonej nie zostały dobrze obliczone i ścisłych cyfr ustalić się dziś nie da. Poległych chrześcijan rachowano na 600 do 2.000 ludzi, a zabitych Turków znacznie więcej: na pięć, sześć, osiem, a nawet czterdzieści tysięcy. Zgodnie przecież pamiętnikarze polscy i niemieccy stwierdzają, że z wojsk sprzymierzonych największe straty poniosły wojska polskie. Padło wielu zacnych i sławnych lub piękną przyszłość rokujących rycerzy, jak Stanisław Potocki, rotmistrz chorągwi husarskiej swego ojca Andrzeja, podskarbi nadworny Modrzejowski, podkomorzy lubelski Zbąski, porucznik Tatomir, pułkownik piechoty Aswerus i wielu innych dzielnych a zasłużonych waleczników. Wielu też ogromną okryło się sławą. Obok obu hetmanów koronnych Jabłonowskiego i Sieniawskiego zwrócili na siebie uwagę: strażnik koronny Zbrożek, rotmistrze Złotnicki, Zbierzchowski, Łasko, Boratyński, stary a znany już z potrzeby podhajeckiej pułkownik Wilczkowski, dzielni pułkownicy, rotmistrze i porucznicy Żaboklicki, Rzewuski, Łącki, Denhof, Szczuka, chorąży Sołtyk, zawsze dzielny i sprawny generał artylerji Marcin Kątski, brat królowej kawaler Maligny i wielu innych,

a między nimi młodziutki królewicz Jakób, cały czas towarzyszący ojcu i śmiało wystawiający się na niebezpieczeństwa. Główną zasługę zwycięstwa przypisywał Jan III, jak zresztą w pierwszej chwili po skończonej bitwie wszyscy cudzoziemcy, wojskom polskiem, ale chwalił bardzo wszystkie bez wyjątku wojska, a ze szczególnem uznaniem odzywał się o doświadczonym i mężnym ks. Karolu Lotaryńskim. Sam też przez wszystkich pod niebiosa był wynoszony.

Ale ten entuzjazm dla króla i rycerstwa polskiego trwał bardzo krótko.

Już na drugi dzień po zwycięstwie przekonał się Sobieski, że nie może liczyć na uznanie tych, którzy mieli najwięcej do wdzięczności powodów. Cesarz Leopold I, błagający niedawno króla polskiego o ratunek, teraz, gdy stolica była uwolniona, podniósł dumnie głowę i uczuł się wyższym nad swego wybawcę. Już na pierwszą wiadomość o zwycięstwie wysłał rozkazy, aby nikt nie wjeżdżał przed nim do oswobodzonej stolicy. Nie chciał triumfów dla Sobieskiego. Gdy wszakże król po zwiedzeniu podkopów tureckich i wałów obronnych, wyraził życzenie obejrzenia miasta, hr. Starhemberg, bohaterski komendant Wiednia, nie śmiał sprzeciwić się życzeniu zwycięzcy. Więc triumfalnie z orszakiem rycerstwa wjechał Jan III do stolicy cesarskiej. Przed królem niesiono wielką chorągiew turecką, dwa buńczuki i złocistą szablę wezyrską, a za nim prowadzono w pełnym rynsztunku przepyszny konia Kara-Mustafy. Skierował się Sobieski ku najbliższemu kościołowi jezuitów „am Hof”, a potem w kościele augustjanów wysłuchał mszy świętej.

Przez całą drogę cisnął się ku zwycięzcy wdzięczny lud wiedeński, całował nogi i szaty króla, zachwycał się jego wspaniałą postawą, gdzie niegdzie wznosił nawet wiwaty, ale trwożliwie i nieśmiało, bo oficerowie i urzędnicy cesarscy tłumili objawy radości. Król dostrzegł, że na budzący się entuzjazm „krzywo patrzono”.

— „Dlatego, — pisał, — zjadłszy tylko obiad u komendanta, wyjechałem z miasta tu do obozu, a popółstwo, ręce wznosząc, prowadziło mnie aż do bramy”...

Jeszcze większej przykrości doznał Sobieski przy spotkaniu się z cesarzem. Najpierw wynikły kwestje etykiety. Ocalony Habsburg uważał, że król obieralny nie może zajmować miejsca po jego prawej ręce. Sobieski, gość cesarza i jego wybawca, nie mógł się zgodzić na taki pogląd. Ale że nie przywiązywał wagi do drobnostek i nie był małostkowy, sam zaproponował, by tak on, jak cesarz z dwu przeciwnych stron, każdy od swego wojska wyruszyli konno naprzeciw siebie, a wtedy i owa kwestja „prawej ręki” przestanie istnieć.

Tak się też stało.

Dnia 14 września Jan III posunął się wraz z wojskiem wzdłuż Dunaju ku Węgrom. Nazajutrz nastąpiło spotkanie na polu pod Szwechat.

Cesarz z elektorem bawarskim a w otoczeniu dostojników państwowych i świty dworskiej jechał konno ku królowi, a król, mając przy sobie królewicza Jakóba, hetmanów i senatorów, jechał naprzeciw cesarza.

Zbliżywszy się ku sobie, obaj zatrzymali konie.

— „Przywitaliśmy się tedy, — opisywał później tę scenę Jan III, — dosyć ludzko. Uczyniłem mu kompli-



Cesarz Leopold, wedlug portretu W. Vaillanta.

ment kilką słów po łacinie. On tymże odpowiedział językiem dosyć dobrymi słowami. Stanąwszy tedy przeciwko sobie, prezentowałem mu syna swego, który się mu, zbliżywszy, uklonił. Nie pociągnął cesarz nawet ręką do kapelusza, na co ja patrząc, ledwom nie strętwiał”...

Ta sama wzgarda spotkała hetmanów i senatorów, a nawet wojewodę bełskiego, ks. Konstantego Wiśniowieckiego, pomimo że tego ostatniego łączyło powinowactwo z cesarzem. Jan III głęboko był dotknięty czarną niewdzięcznością Leopolda, ale „aby się świat nie skandalizował, nie cieszył, albo nie śmiał”, przemówił jeszcze słów kilka, poczem zawrócił konia i rozstał się ze swoim sojusznikiem.

Po takim rozstaniu się Leopold wyraził życzenie, by mu pokazano wojsko polskie. Więc ku stojącym opodal szykom poprowadził go hetman wielki koronny Stanisław Jabłonowski. Lecz i teraz wyniosły Habsburg zachował się sztywno, zimno, nie uznał za stosowne wyrazić swej wdzięczności, jakby to nie jego, Polacy, ale on uratował Polaków. Więc okrutnie wyrzekało rycerstwo, że „przynajmniej kapeluszem tak wielkiej ich pracy i straty nie nagrodził”.

Sobieski, oburzony postępowaniem cesarza, gorzko się skarżył na niego w listach do swojej Marysieńki ale nie zdobył się na to, by to oburzenie dać poznać Leopoldowi.

A dwór wiedeński, widząc, że król polski pozwala się lekceważyć, od przykrości przeszedł do szykan, od szykan do okazywania największej wzgardy Polakom.

— „Wszystko się odmieniło, jakby nas nigdy nie znano”, — żalił się żonie Jan III.

Dla oswoobodzicieli Wiednia zabrakło żywności, dla rannych — pomieszczeń.

— „Chorzy nasi, są słowa króla, na gnojach leżą i niebożęta postrzeleni, których barzo siła, a ja na nich nie mogę uprosić szkuty jednej, abym ich mógł do Pressburga spuścić i tam ich swoim sustentować kosztem”. Co więcej! bohaterów, którzy dali swe życie w obronie stolicy cesarskiej, nie pozwolono chować na cmentarzach wiedeńskich, a gdy się o to Polacy upominali, pokazywano im pole, albo „spalone po przedmieściach, pełne trupów pogańskich cmentarze”. Przepelnione żalem i goryczą listy wysyłało rycerstwo do Polski. Grzymułtowskiemu donosił jeden ze znajomych, że „gdziekolwiek się tylko oddalił od wojska towarzyszy, albo pacholek wojskowy, bez pochyby zginąć musiał”. Przeciwny sojuszowi z cesarzem wojewoda dodawał od siebie: „może o nich mówić owo z historii: kto nie miał nieprzyjaciół, zginął przez przyjaciół”. I w tem, co pisał Grzymułtowski, nie było wiele przesady, skoro sam król skarżył się, że wojskowi cesarscy napadają jego żołnierzy, odzierają ich z płaszczów, rabują im wozy i że pomimo skarg swoich nie otrzymuje zadośćuczynienia za to haniebne, a dyktowane zgóry postępowanie.

Tak cesarz wywdzięczał się królowi za uratowanie Wiednia.

A kierowała Leopoldem nie tylko duma, ale i względy polityczne. Sobieski już nazajutrz po zwycięstwie układał plan marszu na Budę, gdzie Kara-Mustafa gromadził rozbitków z pod Wiednia i organizował armję. Dwór wiedeński obawiał się tego marszu, wiedząc o wielkich dla Węgrów sympatjach Sobieskiego i o nadziejach, jakie Węgrzy w nim pokładają. Wódz

powstańców węgierskich Tököly za pośrednictwem króla chciał dojść do porozumienia z cesarzem, prosił Jana III o pośrednictwo, zgóry godząc się na wszystko, co ten przedsięwzięcie. Ale Węgrzy, okazując Sobieskiemu największe zaufanie, wiedzieli dobrze, co trzymać o polityce dworu wiedeńskiego, nienawistnej dla nich i obłudniejszej, niż polityka Wysokiej Porty. Więc pocichu wzywali do siebie króla i prosili go, by połączył się z powstańcami i bronił ziemi węgierskiej tak przeciw Turkom, jak Niemcom. Ofiarowywali mu lub królewiczowi Jakóbowi tron węgierski, a wszystko świadczyło, że wkroczenie wojsk polskich na Węgry uczyni Sobieskiego panem położenia: z koroną węgierską mógł wrócić Jan III do Polski.

Ale pomimo gorącej sympatji dla Węgrów i przedstawień, jakie czynił w ich sprawie, rzetelność sojusznicza wstrzymywała Sobieskiego od kroku, który byłby ciosem dla cesarza. Tymczasem obłudna, wiarotłomna, daleka od wszelkiej uczciwości polityka dworu wiedeńskiego własną swą miarą mierzyła intencje sprzymierzeńca. Więc czyniono wszystko, by skłonić swego zbawcę do najszybszego powrotu do kraju, pomimo że Turcy nie przestali jeszcze zagrażać posiadłościom cesarskim.

— „Jesteśmy tu, — skarżył się król, — jako błędni jacy. Spodziewaliśmy się, że to tak należało, że mię pytają, albo spytać każą, jako dalej prowadzić tę wojnę? Aliści ani pytano, ani przysłano...”

Nawet wywierający wielki wpływ na Leopolda ks. Marek d'Aviano nie mógł zmienić postępowania cesarza.

— „D'Aviano, — donosił Jan III, — święty i poczciwy człowiek płacze, patrząc na te rzeczy, a czyni, co może w Wiedniu.”

Ale i on nic nie mógł wskórać.

— „Gdyby powiedzieli, że nas nie potrzebują... tobym ja też poszedł urwać co na swoją stronę!”

Tak pisał Sobieski. Co chciał „urwać” i komu? Może myślał o Wołoszczyźnie, na nic przecież bez zgody cesarza zdecydować się nie mógł. Dobroduszny Polak, krzywdzony i szykanowany, traktowany, jak natrętny przybłęda, poczuwał się do obowiązku spełnić do końca swoje zadanie. Dumie i pysze niemieckiej ustępowała z drogi poczciwość polska. Szlachcic, wyniesiony na tron, pozwalał się lekceważyć „dziezicznemu monarsze”. Zamiast pokazać kły i pazury, a przynajmniej wyrazić oburzenie z powodu doznanego przyjęcia i natychmiast wracać z wojskiem do kraju, czekał pokornie, aż cesarz nie wyrazi życzenia, by wojował dalej i krew polską za jego sprawę przelewał.

Elektor saski już 15 września odszedł ze swemi hufcami do Saksonji, w dwa dni później wymaszerował ks. Waldeck, odjechał niebawem do Nikolsburga elektor bawarski Max Emanuel, a wojskom swoim rozkazał wracać do Bawarii, oddając tylko piechotę na usługi Habsburga. Jeden Sobieski pozostał na niegościnniej i niewdzięcznej ziemi i czekał, aż Leopold raczy mu oznajmić swą wolę. Nieochybnie ludził się nadzieją, że stosunki się zmienią, wyjaśnią, polepszą i że tak upragnione przez niego i przez królową małżeństwo Jakóba z jedną z arcyksiężniczek będzie mogło być omówione. Ale całe postępowanie dworu przeczyło tym nadziejom. Wprawdzie Leopold tłumaczył się, że nie odpowiedział ukłonem Jakóbowi, bo w tej, właśnie chwili wyciągał ku królowi rękę,

więc nie zdążył już sięgnąć do kapelusza; w kilka dni potem przysłał królewiczowi w podarunku bogatą szpadę i zapraszał go na swój dwór cesarski, upewniając, że mu się „to wszystko nagrodzi i że wielkie mu będą oddawane honory”. Tak przynajmniej pisał Sobieski do Marji Kazimiery, usprawiedliwiając swe postępowanie. Ale snać niebardzo wierzył w dobrą wolę Leopolda i zapewnienia jego wysłańców, albo też forma owych zaprosin była nie do przyjęcia, bo Jakóba na dwór cesarski nie posłał, a o tem wszystkim uwiadamiiał żonę dopiero dnia 15 października, odpowiadając na jej wymówki i żądania, by wracał niezwłocznie do Polski.

Tymczasem pobity sromotnie Kara-Mustafa gromadził swe wojska, a za porażkę mścił się okrutnie na podległych mu baszach i bejach. Ibrahima-baszę we własnych oczach rozkazał udusić, a ta sama kara spotkała kilku innych wodzów tureckich. Wielki wezyr trząsł się na wspomnienie Sobieskiego. „Wszystek gniew i furja na naród nasz polski”, pisał król, dobrze powiadamiiany o tem, co się dzieje w obozie tureckim.

I nie bacząc na szemranie swego rycerstwa, na dochodzące go z Polski głosy z wezwaniem do powrotu, nie zważając na zachowanie się cesarza, pociągnął wraz z wojskiem jego na Węgry przeciw gromadzącej się armji tureckiej. Żywił najwidoczniej nadzieję, że pomiędzy Węgrami a cesarzem doprowadzi do ugody i że sam z tego odniesie jakąś korzyść, bo był w korespondencji z księciem siedmiogrodzkim Apaffim, porozumiewał się ciągle z Tökölym i naga-
bywał Leopolda w sprawie węgierskiej.

Jakoż na wieść o pochodzie króla polskiego poruszyli się Węgrzy i broń przeciw Turkom podnieśli.

— „Węgrowie, — pisał król 28 września 1683 roku, — którzy byli rebelizowali, osobliwie, co po tej stronie Dunaju, od Styrji wszedłszy, Turków biją, a do nas z poddaństwem i posłuszeństwem przysyłąją”...

Na wymówkę Marji Kazimiery, że jest rozkochany w buntującym się przeciw cesarzowi wodzu węgierskim, Tökölym, w tymże liście odpowiedział:

— „W Tökölym, moja duszo, ja się nie kocham, ale nad narodem węgierskim mam wielkie miłosierdzie, bo są okrutnie utrapieni”...

Ale losy pokrzyżowały dobre chęci i plany węgierskie Sobieskiego. Cesarz, wierny swej zaborczej polityce, a pragnący siłą brutalną zdusić ruch narodowy węgierski, czekał na zakończenie wojny z Turcją, by rzucić się na Węgrów: ironja dziejowa chciała, że ta nowa wyprawa Sobieskiego przysłużyła się i pomogła zamiarom polityki cesarskiej.

Początek tej wyprawy zaczął się od nieszczęścia.

Dnia 7-go października przednia straż polska, spotkawszy niespodzianie pod Parkanami znaczniejsze siły tureckie, wdała się nieopatrznie w bitwę, do której wmieszał się idący opodal z dragonją hetman Jabłonowski. Gdy okazało się, że Turcy wielokrotnie przewyższają Polaków, wezwano na ratunek króla. Sobieski, nie oczekujący bitwy, ruszył natychmiast z samą jazdą, bez piechoty i artylerji, pozostającej w tyle. Niestety, nie zdołał zapobiec katastrofie. Przeciw 5.000 Polakom stanęło kilkadziesiąt tysięcy Turków, a gdy król przybył na plac boju, w wojsku zastał „wielką konfuzję”. Hetman Jabłonowski przypadł do Sobieskiego i błagał go, by się zawczasu salwował, bo ta

bitwa źle skończyć się musi. Ale król uznał, że nie godzi mu się uchodzić przed niebezpieczeństwem. Poślano do księcia Lotaryńskiego, aby przysyłał posiłki, ale nie miano się ich doczekać. Turcy trzykrotnie uderzyli na pułki Jabłonowskiego i za trzecim razem zdołali okrążyć hetmana. Król na czele husarji skoczył ku nieprzyjacielowi, zachodzącemu tyły Jabłonowskiemu, gdy pozostała jazda, bynajmniej nieatakowana, całkiem niespodzianie rzuciła się do ucieczki. Na ten widok wszystko zaczęło umykać z placu boju. Sobieski, widząc wielkie niebezpieczeństwo, wysłał przodem królewicza Jakóba, a sam, zostawszy na miejscu, czynił nadzwyczajne wysiłki, by opanować płoch, który udzielił się całemu wojsku. „Wołał, krzyczał, zawracał, jako tylko mógł”, ale spłoszona jazda nie słuchała nawoływań, nie poznawała króla, popychała go w szalonym pędzie, poturbowała, poraniła, tak iż nieszczęsny wódz w towarzystwie siedmiu zaledwie wiernych mu towarzyszy pozostał na placu bitwy. Rzuciło się ku Sobieskiemu kilku Turków, na szczęście jakiś rajtar, wstrzymany rozpaczliwym okrzykiem znajdującego się obok króla Matczyńskiego, zatrzymał konia, zmierzył zaraz z muszkietu do najbliższego napastnika i, „jak strzelił, tak Turczyn z dymem spadł”. Zaraz potem dzielny rajtar zwrócił się przeciw nadbiegającej kupie i sam jeden rozpoczął z nią walkę.

Sobieski uszedł z życiem, a ocalenie swoje nazwał „cudem nad cudami”. Wszyscy sądzili, że zginął i wieść ta rozeszła się już wśród wojska, gdy niespodzianie zjawił się w obozie. Zaraz też rozkazał szukać owego rajtara, co tak dzielnie stanął w jego

obronie. Ale szukano nadaremnie: nieznamy rajtar najwidoczniej poległ, bo nie zdołano go odszukać.

A wojsko cesarskie, zwłaszcza wyżsi wojskowi, z wyjątkiem rycerskiego ks. Karola, cieszyli się z tej porażki Polaków i nawet nie taili swego zadowolenia. Nieszczęśliwy król, pomimo że srodze poturbowany zaledwie siedział na koniu, chciał natychmiast sprawić szyki, iść przeciw Turkom i pomścić porażkę. Ale ks. Lotaryński radził, by w pierw zgromadzić wszystkie siły i Jan III, ochłonawszy z uniesienia, usłuchał tej rady. Cała noc upłynęła w największym smutku i jeszcze cały dzień następny stało wojsko smutne i upokorzone. A starszyzna polska przypuściła szturm do króla i gwałtem się domagała, by nie zczynając nowej, a niepewnej bitwy, wracał ze swem wojskiem do domu. Szczególniej gorąco przemawiał za tem Stefan Czarniecki, pisarz polny koronny, niegdys marszałek konfederacji gołabskiej. Ale Sobieski z oburzeniem odrzucił tę radę. Honor żołnierza i wodza nie pozwalał mu na odwrót po doznanej klęsce. Nie przemawiały mu do przekonania argumenty o odmianie fortuny. Z wielką energją, która zawsze cechowała Sobieskiego w sprawach wojennych, wołał do swych wodzów:

— „Tę radę w was strach sprawuje! Lubo wojsko wczora podrwiło, jutro się poprawi... A co o fortunie mówicie, zdepcę ją, jako małą, a Boga przeprosiwszy, obaczycie jutro odmianę!...”

I dotrzymał słowa: zdeptana „jako mała fortuna” uśmiechnęła się znowu królowi i całej armji, którą dowodził.

Kara-Mustafa, na wieść o odniesionem zwycięstwie, wszystkie wojska wysłał wzdłuż obu brzegów

Dunaju z rozkazem, aby ścigały pobitego nieprzyjaciela i zniosły go doszczętnie. Żądał również od Tököly'ego, by całą siłą wspomógł działania wojsk tureckich.

Dnia 9 października przyszło do drugiej bitwy pod Parkanami, równie świetnej i zwycięskiej, jak bitwa, stoczona pod murami Wiednia. Nie dosięgające 30.000 głów wojska polskie i cesarskie poraziły na głowę dwukrotnie liczniejszych nieprzyjaciół. Ucieczką przez most na Dunaju usiłowały ratować się resztki wojsk sułtańskich. Ale gdy pod celnymi strzałami artylerji Kątskiego most się załamał, nieszczęśliwa dla Turków bitwa stała się katastrofą. 9.000 ludzi znalazło śmierć w nurtach rzeki, reszta legła na placu boju lub dostała się do niewoli. Młody i waleczny Kara-Mehmet basza, dowodzący w tej bitwie, uszedł ranny, zaledwie 2.000 ludzi uprowadzając z sobą.

Cała potęga turecka, wyprowadzona na podbój chrześcijaństwa, przestała istnieć.

Do ostatniego zwycięstwa przyczynił się Tököly, który nie dopisał Turkom i pomimo że znajdował się z dość znaczną siłą w pobliżu placu boju, nie wziął udziału w bitwie.

Ale wódz węgierski zawiódł się w nadziejach, jakie pokładał w Sobieskim. Wprawdzie król całą zimę pragnął spędzić na ziemi węgierskiej, lecz musiał zaniechać tego zamiaru. Rycerstwo, trapiione przez głód i choroby, rwało się do domów, z kraju dochodziły wieści o niepokojących intrygach stronnictwa francuskiego i niezadowoleniu, które budził przedłużający się pobyt króla na ziemiach cesarskich. Trzeba było zdecydować się na odwrót. Dnia 27-go października poddali Turcy na imię króla ważną twierdzę Gran

(Strygonjum), „najprzedniejszą fortecę całego królestwa węgierskiego”, następnie zdobył król Szczin (Szesceny) i przez ziemię węgierską, należącą do cesarza, szedł ku granicom Rzeczypospolitej. Zawiedzeni Węgrzy wrogo witali rycerstwo polskie. Czynili zasadzki i strzelali do żołnierzy, a nawet mordowali rannych, wiezionych ztyłu za wojskiem. Pod Preszowem Atanazy Miączyński stoczył ułarczkę z kawalerją węgierską, a samo miasto, które zamknęło przed Polakami swe bramy, trzeba było brać siłą przy pomocy artylerji.

Dnia 14 grudnia stanął król w Lubowli, skąd wyruszył do Starego Sącza. Tutaj spotkał się z królową. W wilję Bożego Narodzenia, dnia 24 grudnia 1683 r. wjechał do Krakowa, triumfalnie witany przez ludność i władze starej stolicy.

Żaden Polak nie zdobył tak wielkiej sławy, jaka w całym świecie otoczyła imię Sobieskiego. Niestety, tylko sława spadła na Jana III. Wszystkie korzyści z wiekopomnego dzieła z najwidoczniejszą dla sojusznika krzywdą odniósł cesarz Leopold.

XI. ZMIERZCH BOHATERA.



dsiecz wiedeńska rozwiała urok niezwalczonej potęgi, otaczający padyshacha. Na wyprawę pod Wiedeń Turcja wyteżyła wszystkie swe siły, zgromadziła nie tylko najlepsze swe wojska, ale i owe olbrzymie zasoby, które Kara-Mustafa zostawił w ogromnym obozie, a które nawet dla Wysokiej Porty były bardzo trudną do powetowania stratą. Pod wpływem ciosu, zadanego wojskom tureckim pod murami Wiednia, w całym świecie zbladła gwiazda Mahometa IV, a w ludach, przez niego uciśnionych, zbudziły się nadzieje, że zrzucenie jarzma tureckiego jest tylko kwestją czasu. Przegrane przez Turków bitwy pod Wiedniem i Parkanami stały się punktem zwrotnym w stosunkach Turcji do państw ościennych. Te bitwy nie zakończyły prowadzonej przez Portę wojny z państwami chrześcijańskimi, ale charakter tej wojny zmienił się zasadniczo. Turcja nie potrafiła już odzyskać swojej nad temi państwami przewagi. W ciągu lat szesnastu odniosła jeszcze niejedno zwycięstwo, ale ze stanowiska zaczepno-zaborczego zmuszona była przejść do wojny obronnej, i z państwa, grożącego

światu chrześcijańskiemu, stała się sama państwem zagrożonym.

Bez obniżania zasług wodzów i wojsk, które brały udział w bitwie pod Wiedniem, bezstronny sąd historii Janowi III i jego rycerstwu przypisał w głównej mierze ów wielki przewrót na widowni dziejowej. I ten fakt był najważniejszą dla Polski zdobyczą. Okazało się, że Rzeczpospolita, skazana już przez sąsiadów na zagładę, a budząca obawę o swój byt w sercach zatroskanych obywateli, stanowi jeszcze siłę tak poważną, że może wywierać wpływ na losy państw i narodów. Wprawdzie opinja ówczesna jakby się sprzyścięła, by obedrzeć Jana III i jego ojczyznę z uroku zwycięstwa. W Wiedniu przypisywano pogrom Turków papieżowi Inocentemu XI, w Rzymie bohaterem zwycięstwa czyniono Leopolda, w Parwzu i w Berlinie starano się pomniejszyć zasługę Sobieskiego, a różnemi kierowano się pobudkami, byle tylko zaćmić bohaterstwo króla i nie pozwolić Polsce utrzymać się na szczytach sławy, ku którym ją wyniosła wiekopomna bitwa pod Wiedniem. Szczególniej Leopold dokładał wysiłków, aby zatrzeć pamięć bezcennej usługi, którą mu wyświadczył Jan III. Pamiątkowe medale, bite na rozkaz cesarza, głosiły przede wszystkim jego własną sławę, w niektórych zabrakło miejsca na nazwisko Sobieskiego, w innych potraktowany został narówni ze swymi podkomendnymi. W dziesiątą rocznicę pamiętnej odsieczy Max Steinle wyrzeźbił statwę, w której pogromcą, trującym Turków, jest nie król Jan, ale cesarz Leopold. Po stu latach dopiero stanął w Łazienkach pomnik Sobieskiego na tych samych motywach osnuty.

Ale opinja świata nie dała się oszukać.

Dzięki genjuszowi Sobieskiego i męstwu Polaków, Rzeczpospolita prócz sławy zdobyła pod Wiedniem ogromny kapitał moralny, który pozwalał jej znowu zająć należne miejsce wśród państw Europy. Pod tym kątem widzenia błąd, za jaki w ciągu wieków uważano odsiecz wiedeńską, mógł przestać być błędem i stać się wypadkiem, przynoszącym Polsce bardzo poważne korzyści. Albowiem największym błędem w polityce międzynarodowej jest obojętność na wydarzenia dziejowe i zachowywanie bierności wobec burz, wstrząsających światem. A skoro Sobieski nie złączył się z Francją, to nie pozostawało mu nic innego, jak zawrzeć sojusz z cesarzem lub też całkowicie wykreślić Rzeczpospolitą z widowni politycznej Europy.

Ale doświadczenia, wyniesione z odsieczy wiedeńskiej, wymownie pouczyły króla, że dalszy związek z tak nierzetelnym i obłudnym sojusznikiem, jak cesarz Leopold, grozi narodowi niebezpieczeństwem, że w tym związku Polska może być tylko wyzyskiwana i krzywdzona, że cesarz nadal wymagać będzie usług od króla, ale w razie nieszczęścia nie poda mu ręki pomocnej i nie dotrzyma swych zobowiązań.

Urok Sobieskiego był w owym czasie tak wielki nad Bosforem, imię jego taką grozą przejmowało Krym, iż w razie podjęcia rokowań z Portą, wszystko zapowiadało, że Turcja za cenę wycofania się Polski z sojuszu z cesarzem gotowa będzie zwrócić Kamieniec i zrzec się pretensyj do Podola. A Ludwik XIV, mający urazę do Sobieskiego za jego zwrot ku dworowi wiedeńskiemu, zbyt wytrawnym był politykiem i zbyt wielkie znaczenie przypisywał Polsce, by nie powitać z radością nowego zwrotu w polityce króla.

Lecz Jan III trwał w wierności dla swej idei walki ze światem muzułmańskim. Zraziło go postępowanie Leopolda, niezadowolony był z zachowania się Rzymu, który nie okazywał mu uznania, obojętnie traktował jego życzenia, wiele żądał, ale sam nic nie dawał. Jednakże pomimo gorzkich doświadczeń, Sobieski nie stracił jeszcze zaufania do swego sojusznika i wierzył, że w dalszej wojnie z Turcją nie tylko Austria, ale i Polska odniesie korzyści. Więc idąc drogą, która zaprowadziła go pod Wiedeń, uczynił krok nowy, okropny w swych następstwach dla Polski, ale konsekwentnie wypływający z jego poglądów, wierzeń i usposobień.

Sobieski dał się ugłaskać zdawkowemi uprzejmościami, jakie po pewnym czasie zaczął otrzymywać z Wiednia i z Rzymu, a nadzieja na ożenek Jakoba z córką Habsburga pogodziła go z samolubnym Leopoldem. Więc nie tylko nie wycofał się z przymierza, ale zgodził się to przymierze rozszerzyć: w kwietniu 1684 roku stanął nowy traktat, zawarty przez Wenecję, Polskę i cesarza. Pod patronatem papieża trzy państwa zawarły Ligę Chrześcijańską, zwaną też Ligą Świętą, której zadaniem była dalsza wojna z Turcją.

Według wspólnie ułożonego planu wojska cesarskie miały tegoż roku szturmować Budę, flota wenecka zagrozić wybrzeżom Morei, a Jan III odebrać Kamieniec, co było gorącym życzeniem narodu. Prawie całe Podole, dzięki kasztelanowi krakowskiemu Andrzejowi Potockiemu było już wyzwolone w czasie wyprawy Sobieskiego na Wiedeń, ale Kamieniec i inne zamki pozostawały jeszcze w rękach tureckich. W tym samym czasie mianowany przez króla hetmanem za-

poroskim Kunicki zdołał zebrać kilka tysięcy Kozaków, wpaść do Mołdawji i po odniesieniu zwycięstwa nad Turkami, osadzić na gospodarstwie Petryczejkę, który się oddał pod opiekę królowi polskiemu. Lecz Turcy, skutkiem zdrady Wołochów, odzyskali wkrótce swoją przewagę w tym kraju. Petryczejko umknął, a jego miejsce zajął Dymitraszko, jako gospodar z ramienia Porty Ottomańskiej.

Otóż Sobieski postanowił zdobyć Kamieniec i wypędzić Turków z Mołdawji.

W sierpniu 1684 roku Jan III z wojskiem koronem i litewskim ruszył na Podole. Towarzyszyli mu hetmani: wielki koronny Jabłonowski, polny Andrzej Potocki, (wyniesiony na tę godność po zmarłym z trudów wyprawy wiedeńskiej Sieniawskim) i litewski Kazimierz Sapieha. W obozie znajdowała się królowa, ambasadorowie: austriacki, wenecki, hiszpański i wielu znakomitych cudzoziemców. Była to chwila, gdy Sobieski stał u szczytu swej sławy. Wszyscy byli pewni, że wyprawa skończy się nowym króla triumfem: Jakoż początek potwierdził tę nadzieję. Po dwóch dniach oblężenia Jazłowca dwutysięczna załoga turecka kapitulowała i oddała zamek królowi. Goście cudzoziemscy opuścili wojsko, by głosić sławę Jana III po świecie. Tymczasem na tem powodzeniu skończyła się wyprawa. Olbrzymie roztopy i wylewy rzek sprawiły, że Kamieniec siedział „jako kaczka” w wodzie. Pomimo to starszyzna domagała się, by Kamieniec oblegać. Lecz król, widząc niemożliwość dobywania silnej warowni w istniejących okolicznościach, postanowił przejść Dniestr i maszerować ku Dunajowi. Ale budowa mostu szła oporem, rycerstwo było zmęczone, a znaczne siły tatarskie i wojska tureckie, po-

dążające od Cecory ku Chocimowi, pokrzyżowały zamiary Sobieskiego. Rycerstwo pogromiło kilkakrotnie Tatarów, ale ostrożny Soliman-basza nie odważył się stoczyć bitwy z Sobieskim.

Jan III wrócił do stolicy, nie zdobywszy Kamieńca.

Budząca wiele nadziei wyprawa zawiodła oczekiwania. Fortuna, uśmiechnąwszy się królowi na widowni dziejowej, opuściła go w Polsce.

Po niepowodzeniu wojennem wiele przykrości doznał król w czasie obrad sejmu, zwołanego na luty 1685 r. do Warszawy. Sejm ten, według konstytucji 1673 roku, powinien był odbywać się w Grodnie, ale ze względu na zagrożone granice zwołany został przez króla do Warszawy. Już to jedno dało powód nieprzyjaciołom Sobieskiego do gwałtownych na niego ataków. Ogromny hałas wywołało także oddanie po zmarłym Krzysztofie Pacu pieczęci wielkiej litewskiej Marcjanowi Ogińskiemu. Cały ród Paców uczuł się dotkniętym, a Paweł Michał Pac starosta żmudzki wygłosił tak nieprzyzwoitą mowę, że Sobieski do kor-da się porwał, chcąc ukarać śmiałka. Nie podobało się również magnatom wyniesienie na podkanclerstwo koronne biskupa Michała Radziejowskiego, spokrewnionego z królem. Opozycja podnosiła głowę i zwartą ławą szła przeciw Sobieskiemu.

Jednakże pomimo wielkiej niechęci i głośnego sarkania na politykę Jana III, sejm, w myśl jego życzeń uchwalił utrzymać siłę zbrojną w myśl uchwały 1683 roku i kontynuować wojnę z Portą Ottomańską.

Lecz nową wyprawa przeciw Turkom, podjęta w 1685 roku, w której z powodu złego stanu zdrowia król nie uczestniczył, a na której czele stanął hetman Jabłonowski, zakończyła się znowu niepowodzeniem.



Papież Inocenty XI, według współczesnego medaljonu.

Natomiast wielkie korzyści z tych wypraw odniósł cesarz Leopold. Wojska polskie, rozdzielając siły Turcji, pozwalały armji cesarskiej wypierać załogi tureckie na Węgrzech, ogniem i żelazem tłumić ruch narodowy węgierski i na pięknej ziemi nieszczęśliwego narodu utwierdzać panowanie Habsburga. Dzięki dywersjom Polaków i Wenecjan, Leopold rósł w siły, a czuł się tak potężnym, że wspierał wielki aljans, tworzący się w r. 1686-ym przeciw Ludwikowi XIV, a uzbrajający przeciw niemu połowę Europy. W takiej chwili utrzymanie przymierza z Rzeczpospolitą było dla cesarza sprawą pierwszorzędnej wagi. Wiedziano w Wiedniu, że w Polsce przymierze to ma wielu przeciwników, że dwór królewski jest oburzony na Leopolda, że tak Jan III, jak Marja Kazimiera zwracają znowu swe myśli ku Francji. Więc dyplomacja wiedeńska uknuła nową intrygę, by skłonić Sobieskiego do dalszej wojny z Turcją, a zarazem by do tej wojny wciągnąć Moskwę, choćby z największą krzywdą dla interesów Polski.

Nuncjusz papieski Pallavicini i ambasador austriacki Waldstein pracowali usilnie nad rozżarzeniem przygasającego w Sobieskim zapału, a gdy ich wysiłki nie odnosiły skutku, użyli do przekonania króla księdza Voty. Był to jezuita, Włoch rodem, człek uczony, zręczny, układny, znający doskonale naturę ludzką, a wiedzący, jak i czem każdemu najłatwiej się przypodobać. Umiał ks. Vota pozorami dobroduszości zamaskować swą chytryść i swe właściwe intencje. Przedstawiony Janowi III niby przypadkiem, potrafił bardzo szybko zjednać sobie jego łaski, widywać się z nim coraz częściej, stać się nieodłącznym króla towarzyszem, doradcą, a wkońcu spowiednikiem. Nic

nie mówiąc o swojej misji, umiał on ze sprawy ligi świętej uczynić kwestję sumienia i w Sobieskim, który wyrósł „w przyrodzonej do pogan antypatji”, rozżarzać zapal do wojny z wrogami krzyża.

Ze swej strony Leopold, opanowawszy krwawym terorem ziemię węgierską, zachęcał Jana III do zawojowania Mołdawji i Wołoszczyzny dla syna Jakóba, a pomoc własnych wojsk przy zdobywaniu obu ho-spodarstw obiecywał.

Pod wpływem tych projektów zbudziła się w Sobieskim nadwątlona niepowodzeniami lat ostatnich energia. Odżyły jego marzenia o marszu na Konstantynopol, o wyrzuceniu Turków z Europy, o zwaleniu nad Bosforem półksiężycy i triumfie krzyża! A gdy do tych marzeń dołączyło się pragnienie zapewnienia synowi księstwa, z którego już tylko jeden krok był do odziedziczenia tronu polskiego, starzejący się król zapłonął gorączką czynu.

W takim stanie rzeczy przymierze z Moskwą, do którego usilnie namawiali Sobieskiego sojusznicy, nabrało wielkiej wagi. Jakoż pomiędzy Polską a Moskwą przyszło do zawarcia nowego traktatu, który dla Rzeczypospolitej stał się najopłakańszem w swych skutkach wydarzeniem.

W czasie pochodu wojsk polskich ku Wiedniowi Moskwa przygotowywała swe siły, by w razie klęski Jana III wtargnąć w granice Rzeczypospolitej i nowemi zaborami na Polsce powiększyć swe posiadłości. Stwierdził to Krzysztof Grzymułtowski, wyprawiony przez króla w roku 1683-im na układy z Moskwą. Nawet po odniesieniu zwycięstw pod Wiedniem i Parkanami czekali jeszcze Moskale, czy Sobieskiemu nie powinie się noga na Węgrzech, by uskutecznić swoje

zaborcze zamiary. W tymże miesiącu pisał Grzymułtowski do Benedykta Sapiehy:

— „Strzeż, Boże, jakiego wypadku w Węgrzech. Obawiać się trzeba, aby nas nie zaczepili Moskwa wojną, jakoż tak się zda odpowiadać położeniu ich: dla uciszenia domowego wyprowadzić wojska na wojnę zewnętrzną”...

Z takim sąsiadem trudno było dojść do porozumienia.

Więc posłowie polscy powrócili z niczem. Lecz w końcu roku 1685-go król wysłał znowu wielkie poselstwo z Krzysztofem Grzymułtowskim i Marcjanem Ogińskim na czele. Tym razem po kilku miesiącach pertraktacyj z potężnym w owym czasie Golicynem doszło pomiędzy Moskwą a posłami polskimi do ugody. A ta ugoda, zwana w historii polskiej traktatem grzymułtowskim, była aktem wstydu, hańby i poniżenia Rzeczypospolitej.

Za miraż wieczystego pokoju i bardzo wątpliwej wartości przymierze przeciw Tatarom Grzymułtowski odstępował Moskwie po wieczne czasy Kijów z pięciomilowym obwodem, Smoleńsk, Dorohobuż, Czernihów, Starodub, a więc ogromny pas ziemi, obłany krwią pokoleń i okupiony wielu zwycięstwami. Granice Polski zaczynały się od Pawołoczy i Białej Cerkwi. Sicz oddana została pod władzę carską. Zastrzegając dla ludności ziem odstąpionych wolność religij, co w stosunku do tej ludności było warunkiem zrozumiałym, pozwolił Grzymułtowski na domiar hańby do podobnegoż zastrzeżenia ze strony Moskali w stosunku do ziem polskich, nie będących przedmiotem układu. W ten sposób utrwalona została w oczach świata przewaga Moskwy nad Polską, przewaga tak

wielka, że pozwalała carom wtrącać się do wewnętrznych spraw Rzeczypospolitej.

Po oburzającym lekceważeniu Polski przez ocalonego jej wysiłkiem cesarza przychodziła z kolei nowa zniewaga ze strony drugiego sąsiada.

W takich to okolicznościach w sierpniu 1686 roku Sobieski, nie zatwierdziwszy traktatu z Moskwą, na czele poważnej siły zbrojnej, bo obliczanej na 30.000 ludzi, przekroczył Prut i skierował się ku Cecedorze. Prawnuk hetmana Żółkiewskiego musiał doznawać niezwykle silnych wzruszeń, gdy mijał pobojoiska, zasłane kośćmi praojców i owo straszne miejsce, na którym Regina Żółkiewska rozkazała wznieść pomnik swemu małżonkowi. Dnia 14-go sierpnia rycerstwo polskie stanęło w okopach cecorskich, bronionych niegdyś przez wojowników, których do boju prowadził Żółkiewski. Odprawiono uroczyste nabożeństwo za rycerzy, co legli w pamiętnej wyprawie, lecz mimo smutnych wspomnień, serca pełne były otuchy. Marzono o zwycięstwach, puszczano cugle fantazji i mówiono o triumfalnym pochodzie na Konstantynopol. Przecudna pogoda przyświecała tym marzeniom: z jasnego nieba lały się potoki słońca, szeroki step kwitnął i nęcił oczy rycerstwa bujnem a wesołem życiem. W najlepszej myśli przygotowywało się wojsko do czekających je bitew i zwycięstw, bo nie wątpiono, że ta wyprawa nową sławą otoczy oręż polski.

I król był pełen otuchy. Liczył na swoich sojuszników, a więc na przysłanie przyobiecanych przez Leopolda posiłków i dywersję moskiewską na Krymie. Spodziewał się, że w razie powodzenia zdobędzie dla syna Wołoszczyznę, utwierdzi swe wpływy w Siedmiogrodzie i, powróciwszy do kraju, jako zwycięzca, od-

mówi zatwierdzenia haniebnego traktatu, który Grzy multowskiemu podyktowali pewni siebie Moskale.

Z obozu pod Cecorą wyruszył wraz z hetmanami i wspaniałą świtą do Jass. Przyjmował go tutaj uroczyście metropolita, witali bojarowie, a tłumy ludności wysypały się, by ujrzeć głośnego w świecie bohatera. Lecz hospodara, który miał współdziałać z Polakami, nie było. Sobieski powrócił do obozu i z całym wojskiem ruszył w dalszy pochód. Z powodu braku paszy i wody trzymano się bujnych wybrzeży Prutu, a nigdzie nie natrafiano na opór. Czasem tylko przednie straże opadli z wyciem Tatarzy i, zakłóciwszy spokój, ginęli w stepach. W dniu 30 sierpnia wojsko przeszło na drugi brzeg rzeki, kierując się ku Saracie. Król otrzymał wiadomość, że Moskale nie łądotrzymali zobowiązania i nie podjęli zapowiedzianej wyprawy na Krym. Tatarzy coraz większymi watahami zaczęli krążyć wkoło wojsk polskich, a znaczne wojska tureckie dążyły ku Felszti. Król cofnął się ku Jassom, dokąd Szczęsny Potocki przyprowadził nieznaczne posiłki. Tatarzy szli trop w trop za rycerstwem, napadali tylne straże, raz po raz, jakby dla stoczenia bitwy, ustawiali się w szyku bojowym, ale gdy tylko wojsko polskie stawało do sprawy, natychmiast rzucali się do ucieczki i nikli w pustynnych przestrzeniach. Sobieski skierował się ku granicy siedmiogrodzkiej, postanowiwszy doczekać się obiecanych posiłków cesarskich. Wzdłuż Seretu ciągnęło wojsko polskie ku Suczawie, staczając ciągłe utarczki z Tatarami. Oczekiwano bitwy, ale Turcy, acz podążali za Polakami, nie śmieli mierzyć się z Sobieskim. Tymczasem brak paszy, głód, nieświadomość położenia, wreszcie znoje i trudy długiego

pochołu coraz bardziej dawały się we znaki żołnierzom, ciągnącym przez bezdroża górzystego kraju. Z powodu suszy wyschły strumienie i źródła. A Tatarzy ze wszystkich stron zaczęli podpalać lasy i trawy, opasując zmęczone rycerstwo pierścieniem olbrzymich pożarów. Płonęły stepy i wzgórza. Olbrzymie łuny krwawo świeciły w parne noce na niebie. Żołnierz nieustannie oddychał żarem, modlił się o bitwę, a iść musiał o głódzie, w niewiadomym celu, wśród ciągłej spiekoty. A posiłki cesarskie, na które oczekiwano, by zwrócić się przeciw nieprzyjacielowi, nie przybywały. Szemrało zniechęcone rycerstwo, opadły ramiona królowi. Trzeba było zatrzeć na odwrót. Wojsko skierowało się ku granicom Polski wyczerpane, złorzeczące, trapiące z kolei wielkimi ulewami i prześladowane nieustannie przez podjazdy tatarskie.

Wyprawa, przygotowana wielkim nakładem sił i środków, skończyła się zupełnem niepowodzeniem, wzbudziła niezadowolenie w kraju i zachwiała wiarę w szczęście wojenne króla.

Ale cesarz Leopold odniósł wielkie korzyści. Książę Karol Lotaryński zdobył Budę, której Turcy i Tatarzy, zajęci niepokojącą wyprawą polską, nie mogli przyjść z odsieczą. Drugi sprzymierzeniec, Wenecja opanowała Moreę.

Sobieski, strapiony i rozczarowany, zaraz po powrocie zastał we Lwowie poselstwo moskiewskie, które przyjechało po odbiór uroczystej przysięgi na haniebnym traktacie grzymułtowski. Piorun za piorunem walił się na głowę króla. Na radzie senatu odezwały się głosy, by odrzucić umowę, jako zawartą przez Grzymułtowskiego bez odpowiednich pełnomocnictw. A właśnie zgłaszali się Tatarzy z propozycją pokoju

i przymierza przeciw Moskwie. Ale nie ufano Tatarom, a przemogła obawa, że Moskale prędzej, niż Polacy ułożą się z niewiernymi. Więc rada senatu wypowiedziała się ostatecznie za ratyfikacją traktatu, a Sobieski nie znalazł w sobie dość mocy ducha, by odwrócić od narodu hańbę. Zapłakał tylko gorzko nad nieszczęściami kraju i własną swą niedolą, lecz przysięgę złożył.

W roku 1687 wojna z Turcją również skończyła się niepowodzeniem. Tatarzy, wpałszy na Ruś Czerwoną, złupili dobra królewskie, a wyprawa pod Kamieniec, prowadzona tym razem ku oburzeniu wielu panów i starszyny wojskowej przez królewicza Jakóba, zawiodła oczekiwania. Moskale i w tym roku nie dopełnili swych zobowiązań. Wprawdzie zebrali znaczne siły, złożone przeważnie z Kozaków, a mające Krym zawojować, lecz bez zetknięcia się z nieprzyjacielem zaniechali wyprawy.

Wzmagala się potęga cesarza i cara kosztem krwi polskiej, a Rzeczpospolita, oszukiwana, krzywdzona i wyzyskiwana przez wiarołomnych sojuszników, traciła wskrzeszoną orężem Sobieskiego powagę.

Z upadkiem tej powagi upadał w narodzie i autoritet króla.

Śród możnych rodów polskich, zaszczerpiona za czasów Ludwiki Marji trucizna intryg, matactw i szaleństw, na chwilę nie traciła swej niszczącej siły. Ale świetne zwycięstwa Sobieskiego, jego wielka sława i wiązane z jego imieniem nadzieje tłumili przez pierwszych dziesięć lat panowania rosnącą opozycję i poskramiały jego nieprzyjaciół. Obecnie, po nieszczęsnych wyprawach, po zaprzysiężeniu traktatu grzymułtowskiego, rozwiął się urok, otaczający boha-

tera. Sam król zniechęcił się, upadł na duchu i coraz bardziej tracił energję.

Skorzystała z tego Marja Kazimiera, wysunęła się na plan pierwszy i w życiu kraju zaczęła odgrywać coraz wybitniejszą rolę. Wtrącając się we wszystko, kupcząc urządami, sprzedając dostojenstwa, dając dowody bezprzykładnej chciwości, przerzucała się od stronnictwa austriackiego ku francuskiemu, kłóciła Radziwiłłów z Sapiehami, a będąc w ciągłej wojnie ze wszystkimi, odzierała dwór królewski z resztek powagi, siała zamęt i chaos, ośmielała opozycję do coraz ostrzejszych wystąpień i coraz bezpieczniejszych knowań przeciw dworowi. Jak za czasów Jana Kazimierza, potworzyły się faksje, działające na własną rękę w porozumieniu z przedstawicielami państw zagranicznych. Powtarzała się historia intryg i spisków, w których przed laty brał udział Sobieski hetman i marszałek, a które teraz godziły w Sobieskiego króla. Pomawiano go, jak niegdyś Jana Kazimierza o dążenia do władzy absolutnej, o chęć tyranizowania szlachty i przygotowywanie zamachu na wolną elekcję. A ten ostatni zarzut o tyle nie był pozbawiony podstawy, że Sobieski istotnie pragnął tron polski zapewnić najstarszemu synowi. W obawie przed zamachem stanu ze strony Jana III uknuli przeciw niemu nowy spisek magnaci, a zwracali się do obcych mocarstw o pomoc i środki, w celu zgniebienia bezsilnego w swych dążeniach monarchicznych króla.

W knowaniach tych brali udział panowie, mieniający się stronnikami dworu, jak biskupi Załuski i Radziejowski, jak hetman Jabłonowski oraz przysięgli króla wrogowie, jak Sapiehowie na Litwie i ich adherenci. Z ramienia tego spisku porozumiewano się

z elektorem i cesarzem, prosząc ich o czynną pomoc przeciw Sobieskiemu. Jakoż skutkiem tych knowań Prusy, Austrija i Szwecja związały się umową, obowiązującą te państwa do przeciwstawienia się wszelkim zakusom na wolną w Rzeczypospolitej elekcję. Lecz spiskowcy nie poprzestali na tem. Chcąc skompromitować króla w oczach ogółu szlacheckiego, rozpuszczali o nim najnikczemniejsze plotki i potwarze, to pomawiając go o chęć zgubienia wojska w ostatniej wyprawie, to o zmoży z Tatarami na zgubę Polski, to wdzierając się w życie rodzinne wielkiego wojownika, dla całej jego rodziny starali się zbudzić w narodzie nienawiść. Mali ludzie snuli wielkie intrygi, posuwali się nawet do zdrady ojczystego kraju, byle załatwić swe porachunki z Sobieskim. Wytwarzała się w całej Polsce niebezpieczna dla każdego państwa atmosfera podejrzeń, w której najłatwiej lęgną się wszelkie występki i zbrodnie.

W takiej atmosferze w styczniu 1688 roku zebrał się sejm, zwołany do Grodna.

Sobieski na ten sejm wybrał się z synem Jakóbem. Sama obecność królewicza wystarczyła niechętnym, by z faktu tego wysnuć nieprzyjazne dla Jana III wnioski i spowodować wybuch niezadowolenia. Marszałek Stanisław Lubomirski, jeden z głównych spiskowców i zarazem jeden z najzawziętszych nieprzyjaciół króla, ujrzawszy idącego przed ojcem Jakóba, zniżył swą łaskę ku ziemi i zawołał złośliwie:

— „Ta jutrzienka tylko przed słońcem!”

I taką rozpętano burzę, że królewicz zmuszony był wyjechać z Grodna i opuścić Litwę.

Śród wrzasków i hałasów sejm ten, niebywałym dotąd zwyczajem, rozpadł się przed wyborem marszał-

ka i rozpoczęciem właściwych obrad. Tymczasem wojska, stojące na straży kresów, opuściły swe stanowiska, szukając sobie leż wygodniejszych. Skorzystali z tego Tatarzy, przekroczyli granice Rzeczypospolitej i niszczącymi zagonami pomknęli aż pod Brody, Zbaraż, Wiśniowiec i Dubno.

A zwołana po zerwanym sejmie rada senatu stała się polem bitwy zwalczających się wzajem senatorów. Król nie tylko nie zdołał załagodzić waśni, ale sam był przedmiotem zażartych ataków. Wojewoda poznański Leszczyński zarzucał mu, że chce zniszczyć wolną elekcję i dowodził, że lepsza jest wolność, choćby prowadziła do zguby, niż bezpieczne poddaństwo. A Jan Pieniążek, obsypany dobrodziejstwami, wyniesiony przez króla na godność wojewody sieradzkiego, widział w swym bezsilnym dobroczyńcy tyrana i ciemiężyciela. Słuchając tych zarzutów, a nie mogąc zapobiec coraz silniejszym wybuchom namiętności, Sobieski z rozpaczą myślał o przyszłości, czekającej naród. Żal wezbrał w sercu króla i podyktował mu pamiętne słowa, zwrócone do poważnionych senatorów.

— „Cały świat, — mówił ze wzruszeniem, — zdumiewać się będzie nad nami i radami naszymi... Całe pokolenia nie będą mogły wyjść z podziwienia, że po tylu zwycięstwach i triumfach, wśród sławy, rozbrzmiewającej szeroko po świecie, staczamy się w przepaść wiekuistej hańby i ponosimy niepowetowane szkody, nie znajdując środków, ni rady i w bezradności trwając”.

Zaprzeczał, jakoby dążył do pogńębienia wolności, przestrzegał przed następstwami, jakie spowodować może istniejący stan rzeczy, twierdził, że Polacy po-

zbawieni są instynktu samozachowawczego, że pożera ich jakaś niepojęta namiętność szkodzenia samym sobie.

I przypomniał groźnie brzmiące słowa proroka:

— „Nie przejdzie dni czterdzieści i Niniwa będzie zniszczona!”

Smulkiem i goryczą przepojone było zakończenie mowy, świadczące, że Sobieski wiedział dobrze o kno- waniach swych nieprzyjaciół:

— „Okaze się kiedyś zapomocą Boga, który przeni- kania najskrytsze tajniki serca, o czem to mówi się i myśli za życia króla... Gdzie każdy na wszystko ważyć się może, gdzie przeciw ołtarzowi wznosi się ołtarze, tam grzmi już zemsta Boża!”

Nie zdołali poruszyć sumień pełne grozy i rozpa- czy słowa królewskie. Zaciekłość stronnictw wzięła górę nad rozwagą. Ucichły głosy patriotyzmu, wszech- władna intryga zapanowała w życiu publicznem. Wo- bec złej woli możnych panów Sobieski był bezsilny. Nie mógł dla braku środków prowadzić wojny z Tur- cją, a nie miał odwagi zawrzeć z nią pokoju, mimo że Ludwik XIV następcą się z pośrednictwem. Ale nowa obelga ze strony cesarza wyczerpała bezdenną cierpliwość Sobieskiego i zbliżyła go na czas krótki do Francji.

W roku 1687-ym zmarł Ludwik Hohenzollern; syn elektora Fryderyka Wilhelma, ożeniony z Ludwiką Karoliną Radziwiłłówną. Młoda, bo zaledwie lat dwa- dzieścia licząca wdowa, pani olbrzymich majątków na Litwie, przeznaczona w swoim czasie przez króla najstarszemu synowi, była teraz wolna. Na dworze królewskim odnowiono projekt uniemożliwionego w swoim czasie małżeństwa. Wielki elektor Fryderyk

Wilhelm już nie żył, a jego następca Fryderyk III niejednokrotnie wyrażał chęć utrzymania najlepszych z Polską stosunków. Ze względu na doniosłość polityczną małżeństwa, do Berlina wysłany został dla wybadania sprawy starosta malborski Franciszek Bieliński. Gdy Bieliński grunt należycie przygotował, do Berlina przyjechał incognito królewicz Jakób, poznał się z wdową i, mile przez nią widziany, zapewnił sobie jej rękę. Narzeczeni wymienili pierścionki i portrety, a Ludwika Karolina nawet pisemnie zobowiązała się poślubić Jakóba pod rygorem utraty wszystkich dóbr swoich na Litwie. Elektor zgodził się ze swej strony na ułożony związek.

Znękany Sobieski uradował się wielce, że przynajmniej ten jeden plan jego dochodzi do skutku. W Żółkwi zaczęto już nawet czynić przygotowania do uroczystości weselnych. Ale radość króla była przedwczesna. Młodą wdowę, panią olbrzymiej fortuny, cesarz Leopold pragnął pozyskać dla swego szwagra, ks. Karola Filipa Neoburskiego, a poselstwo cesarskie w Berlinie dokładało starań, by uczynić zażość życzeniu swego pana. Zaledwie tedy królewicz wyjechał z Berlina, zjawił się tam młody ks. Karol, słynący z urody i siły. Na przyjęciach, wydawanych przez posła cesarskiego, poznał się z Ludwiką Karoliną i potrafił sobie zyskać jej względy. Jakoż w dwa tygodnie po zaręczynach Ludwiki z Jakóbem młoda para wzięła tajemny ślub w pałacu hr. Sternberga, ambasadora cesarskiego w Berlinie.

Ten haniebny podstęp ze strony sprzymierzeńca do żywego poruszył króla, a stał się głośnym w Europie skandalem. I królowa w najwyższym stopniu była oburzona. Wykorzystała ten stan rzeczy dyploma-

cja francuska, dokładając starań, by rozerwać sojusz Polski z cesarzem. Hr. Bethune zaczął znowu na ziemiach polskich werbować zaciągi dla wzmocnienia powstania na Węgrzech.

Chan proponował swe pośrednictwo celem zawarcia pokoju z Turcją. Mówiono o najeździe na Śląsk i Prusy Książęce. Na dworze królewskim obmyślano środki, by w Berlinie i Wiedniu dać odczuć, że przebrała się miara cierpliwości polskiej. Ojciec królowej, stary markiz d'Arquien, bawiący w owym czasie w Polsce, doradzał, by Jakób wyzwiał na pojedynek ks. Karola, ale królowa sprzeciwiła się temu i rada została odrzucona. Postanowiono natomiast całą sprawę wytoczyć przed najbliższym sejmem. W uniwersałach na sejmiki, zwołujących sejm na grudzień 1688 roku, król umieścił propozycję konfiskaty dóbr radziwiłłowskich, stanowiących posag wiarołomnej wdowy. Jednocześnie wysłał list do papieża, przedstawiając obłudę dworu wiedeńskiego i skarżąc się na Leopolda.

Cała uczciwa opinja kraju stanęła za królem.

Wieść o nastrojach w Polsce i wojowniczych zamiarach dworu warszawskiego zarówno w Berlinie, jak w Wiedniu wywołała niepokój. Fryderyk III usprawiedliwiał się gorąco i, mówiąc o swych przyjaznych uczuciach dla Sobieskiego, solennie obiecywał staroście Bielińskiemu, że, w razie bezkrólewia w Polsce, użyje wszystkich swych wpływów, by koronę polską otrzymał królewicz Jakób. Uniewinnił się również cesarz Leopold i cesarzowa, siostra ks. Karola. Oboje upewniali dwór warszawski, że nic nie wiedzieli o staraniach swego szwagra i brata, a zawarcie małżeństwa przypisywali jedynie nierozwadze i krewkości młodej pary.

Jak widać z tego, sama wieść o oburzeniu opinii publicznej w Polsce wystarczyła, aby zaniepokoić oba dwory sąsiedzkie, skłonić je do wyjaśnień i przeprosin. Ale Sobieski nie wytrzymał w wojowniczych zamiarach. Pierwsze uniesienie przeminęło szybko, a gdy nuncjusz papieski Cantelmi zaczął łagodzić umysł króla, skłonności pojednawcze wzięły w nim górę. Jak w swoim czasie o Prusy, tak teraz o Śląsk nie śmiał się kusić.

Natomiast oba stronnictwa: cesarskie i francuskie mobilizowały swe siły, by stoczyć walną batalję na najbliższym sejmie. Krzatali się żywo popierani przez Marję Kazimierę Francuzi, nie zasypiali sprawy cesarz i elektor. Ten ostatni za 60.000 złotych reńskich zjednał sobie Sapiehów, odgrywających coraz większą rolę na Litwie. Przekupni magnaci zobowiązali się nie dopuścić do konfiskaty dóbr radziwiłłowskich i żadnej przeciw elektorowi uchwały.

Rzeczpospolita stawała w obliczu nowych walk wewnętrznych.

XII. U SCHYŁKU PANOWANIA.



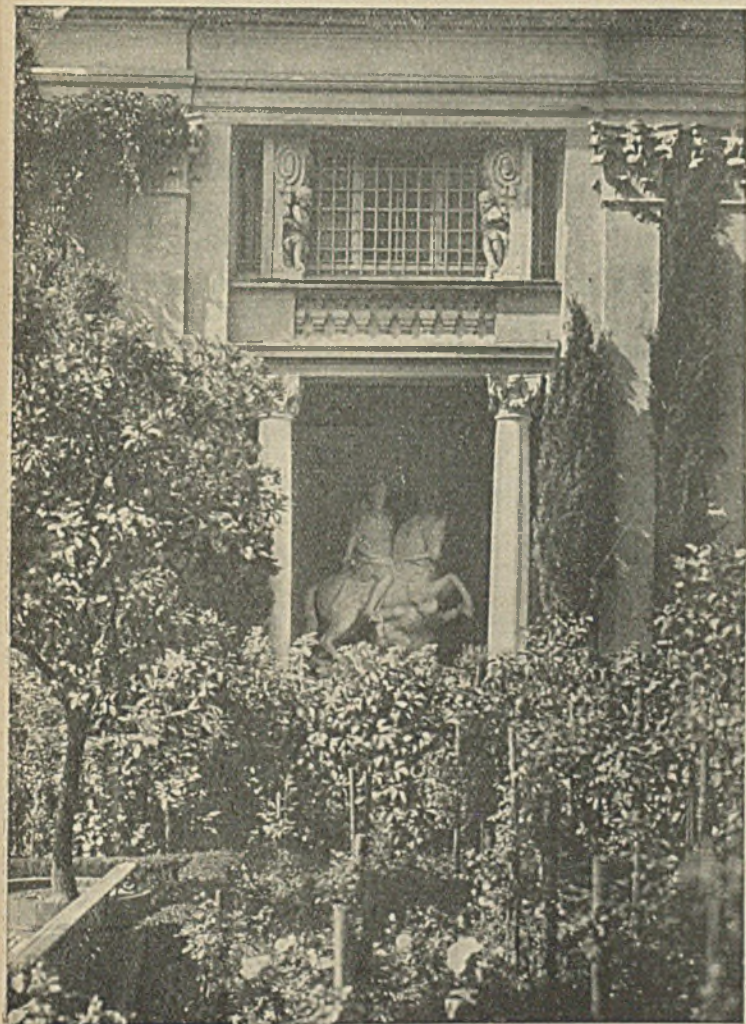
Sejm, rozpoczęty 17 grudnia 1688 roku, był jaskrawym obrazem niemocy, rozkładu i anarchji, która podminowywała Rzeczpospolitą i z roku na rok zastraszające czyniła postępy. Każde ze zwalczających się stronnictw było dość silne, by największe szkody przyczynić państwu, żadne nie miało dość siły, by wziąć górę nad przeciwnikami i mocną dłońią pochwycić ster rządu. W życiu publicznem dominowała niepewność. Nikt nie mógł wiedzieć, co przyniesie jutro, jak wielkie koła zatoczy intryga, przeciw komu i czemu skierują się namiętności, dokąd popłyną i jakie w kraju wytworzą położenie. Sejm, przestając być środowiskiem pracy twórczej, stawał się, skutkiem demoralizacji obradujących stanów, źródłem, z którego płynęły na kraj cały klęski i nieszczęścia. Każdy z sąsiadów mógł, stosownie do swych widoków, zamącić obrady i w razie potrzeby sejm zerwać, każdy poseł, wiedząc, że opinja publiczna, jako siła moralna przestała w kraju istnieć, mógł na własną rękę stanąć w poprzek najważniejszej sprawie państwowej i bezkarnie ją unicestwić. Dla złej woli

nie było już w Rzeczypospolitej tamy, ni hamulca. W oczach lepszych, niepozbawionych sumienia jednostek, patrzących z lękiem w przyszłość, sejm polski stawał się przyczyną wszelkich niedomagań, wiodących kraj ku zagubie. Wespazjan Kochowski, poeta owych czasów, pisał:

Od kogoż ginie Polska? uważać to chciejmy,
Gdy zwierzęta i ptactwo rozrywają sejmy.
Zgubie Polski wartość dosyć jedna głowa,
Nie życzę sroki uczyć „nie pozwalam” słowa!

W gruncie rzeczy zło tkwiło nie w sejmie, ale w demoralizacji ogółu, w plugawych przekupstwach wielu senatorów i posłów, w intrygach i spiskach możliwych panów, w obojętności powszechnej na klęski i nieszczęścia ojczyzny. Sejm był tylko wiernym obrazem społeczeństwa. Sobieski z przerażeniem spoglądał na to, co się dokoła niego dzieje i już w maju 1688 roku pisał z najgłębszym smutkiem:

„Owych w Grodnie odkrytych zawziętości i spisków już rzetelne następują skutki. Sejmiki czerski i łęczycki złośliwie zerwane, warszawski limitowany, a to wszystko na to, żeby bez obrony mieć i zostawić Rzeczpospolitą”. Wspominając o skierowanych przeciw sobie knowaniach, dodawał: „My to wszystko w ranach Zbawiciela naszego utopiłbyśmy chcieli: zemsty z największych naszych nie pragniemy i nie potrzebujemy nieprzyjaciół. Ojczyzny tylko tej, w której się urodzili i wychowali, nas dusza boli, że ją te intrygi w nierozplątany wprowadzą labirynt. Sławy przytem całego narodu tego, która upadać poczęła, żałujemy, gdy się stawamy pośmiewiskiem narodów, obrzydzeniem i wzgardą ludu... Kurfirst brandenburski umarł 9 maja. Dobra i teraz była okazja wy-



Statua Jana Sobieskiego w pałacu wilanowskim.

targować cokolwiek na panu nowym, ale któż jest ze śmiertelnych, co nas teraz za co mieć może, przy takiej naszej niezgodzie, niesforoności i dyfidencjach z marnych podejrzeń pochodzących”.

Nieszczęśliwy król nie znajdował zakłęcia, by zbudzić sumienia rodaków. Tracąc wiarę w możliwość poprawy, upadając na siłach, sam coraz bardziej chwiał się i wahał, coraz częściej nie wiedział, co począć i jak wybrnąć z trudności, których obręcz ze wszystkich stron bezlitośnie go opasywała. Zato Marja Kazimiera, wywierająca zawsze potężny wpływ na króla, wtrącała się teraz do wszystkich spraw państwa i wszechwładnie zapanowała nad umysłem męża.

Sejm 1688 roku z jej powodu zaczął się od niesnasek.

Wakowały dwie pieczęci koronne: wielka po zmarłym Wielopolskim i mniejsza po Radziejowskim, wyniesionym na godność prymasa. Pierwszą obiecał król biskupowi kijowskiemu Załuskiemu, ale królowa przyrzekła ją biskupowi kamienieckiemu Denhofowi. Jan III był już tak zawojowany przez swoją Marysieńkę, że sam zwrócił się do Załuskiego z prośbą, by zechciał zrezygnować z kanclerstwa. Załuski wzruszył się nieszczęściami domowemi króla i zwolnił go z obietnicy. W ten sposób kanclerzem został biskup Denhof. Pieczęć mniejsza dostała się wojewodzie lubelskiemu Tarle.

Miesiąc czasu upłynął na hałasach, krzykach, pretensjach, nim sprawa wakansów została załatwiona.

Weszła wreszcie pod obrady roznamiętniająca opinię sprawa dóbr radziwiłłowskich. Poseł podlaski Niemira zgłosił wniosek, aby elektorowi brandenburskiemu odebrać lenno pruskie i ogłosić je za wakujące. Inni

posłowie, ujmując się za obrażonym honorem króla i Rzeczypospolitej, w gwałtowny sposób napadali na cesarza i elektora, wołając, że bezpieczeństwo Polski zostało zagrożone. Dla pomszczenia obelgi posłowie ci ofiarowywali swe życie i mienie, wzywając króla, by śmiało sobie poczynał. Jan III, wzruszony okazanemi mu dowodami życzliwości, zaproponował, aby dochody z dóbr radziwiłłowskich przeznaczyć na potrzeby wojny. W myśl tej propozycji marszałek sejmowy Stanisław Szczuka ułożył projekt konstytucji, lecz podburzeni przez Sapiehów posłowie litewscy nie dopuścili nawet do odczytania projektu. Dziesięć dni trwały zacięte spory. Wygłoszono wiele mów przeciw królowi. Wojewoda poznański Rafał Leszczyński, niezadowolony, że brat jego nie otrzymał żadnej z wakujących pieczęci, gwałtownie krytykował cały dwór królewski. Mówiąc o Marji Kazimierze, litował się ironicznie nad jej trudami i domagał się, by ze względu na zdrowie oszczędzała swe siły. Królowi wymawiał, że zamiast myśleć o zdobywaniu łupów na Turkach, myśli o łupach na księżnej neoburskiej.

Stawało się jasnym, że jeżeli zwolennicy króla obstawać będą za konfiskatą dóbr radziwiłłowskich, to sejm zostanie zerwany i Rzeczpospolita znajdzie się bez żadnych środków obrony. Otóż za cenę uchwalenia tych środków Sobieski zdecydował się wycofać z pod obrad sprawę konfiskaty. Ale sejm, wytracony ze swojej kolei, wrzał, huczał, kłócił się, roztrząsał coraz to inne materje i dzielił się nieustannie na dwa walczące z niesłychaną zaciętością obozy. Przyjaciele króla zaczęli mu doradzać, by rozwiązał sejm i, wezwawszy pospolite ruszenie, utworzył konfederację. Śród ciągłych kłótni i hałasów największą wrzawę po-

trafił wywołać swem wystąpieniem biskup chełmiński Kazimierz Opaliński. Niespokojny a namiętny dygnitarz postępowaniem nad wyraz gwałtownem obruszył na siebie pospólstwo miasta Torunia. Biskup ten nie liczył się z nikim. Przed niedawnym czasem wystosował tak nieprzyzwoity list do prymasa, że na żądanie wszystkich biskupów musiał go przeproszać. Starając się o biskupstwo warmińskie, zabiegał o łaski Jana III, denuncjując magnatów, knujących przeciw niemu spiski. Ale gdy zawiódł się w swoich nadziejach, z pochlebcy stał się wrogiem Sobieskiego. Ołóż pod pozorem skargi na przewlekające się sądy królewskie w sprawie rozruchów toruńskich, z całą swą namiętnością zaatakował króla na posiedzeniu senatu. Gorącą i nieprzyzwoitą mowę zakończył zwróconym do Jana III okrzykiem:

— Albo sądz sprawiedliwie, albo przestań panować!

Oburzenie ogarnęło senatorów. Powstał prymas i zgromił Opalińskiego, a inni biskupi potakiwali naganie. Lecz oddany królowi wojewoda bełski Matczyński ruszył do tronu i piętnując Opalińskiego, zawołał w najwyższem uniesieniu, że wszystkich biskupów, jako burzycieli, należy wygnać z senatu i odesłać do Rzymu. Wszczęła się straszliwa wrzawa. Jedni krzyczeli na Opalińskiego, drudzy najostrzejszemi słowami rozprawiali się z Matczyńskim. Opaliński chciał się usprawiedliwiać, lecz krzyki, sykania i obelgi zmusiły go do opuszczenia sali. Za królem ujął się nuncjusz papieski i zażądał od biskupa, aby przeprosił Sobieskiego. Ale Rafał Leszczyński, wielce rad z upokorzenia króla, odmówił hardego biskupa od tego aktu pokory. Jakoż Opaliński chyłkiem wyjechał z War-

szawy, a mowę swą w licznych odpisach zaczął rozsyłać po kraju.

Zgnębiony król, czując swój bezwład, a znajdując się pod okropnym wrażeniem doznanej obelgi, myślał o złożeniu korony i postanowił nawet o zamiarze abdykacji zawiadomić przez kanclerza sejmujące stany. Lecz przyjaźnie dla Sobieskiego usposobieni senatorowie wyperswadowali mu ten krok, podyktowany uczuciem goryczy oraz świadomością swej własnej niemocy. Stary towarzysz broni króla, Stefan Bidziński, kasztelan sandomierski był raczej za utworzeniem konfederacji.

— „Rzeczpospolita, — mówił stary wojak, — jest w malignie, trzeba jej krwi upuścić!”

Sobieski odstąpił od swego zamiaru, ale chcąc podnieść własną powagę, postanowił chwycić się innego środka. Miał on w swych rękach listy i dokumenty, świadczące o knowaniach, prowadzonych przeciw niemu przez Sapiehów, wojewodów Pieniążka i Leszczyńskiego, podskarbiego Zamoyskiego oraz innych panów. Po naradzie z gronem przyjaciół, postanowił pójść tą samą drogą, na którą wkroczył już w roku 1683-im i spiskowców oskarżyć przed sejmem. Liczył, że jak wówczas, tak i teraz zdyskredytuje swych nieprzyjaciół i tamę położy ich podstępnyim działaniom.

W myśl tej decyzji hetman wielki koronny Stanisław Jabłonowski zawiadomił senat o istnieniu spisku i dokumentach, które to istnienie stwierdzają. Do zbadania sprawy wyłoniono komisję z 12-u senatorów pod prezydencją prymasa. Ale środek tym razem zawiódł. Gdy sprawa weszła na forum publiczne, podskarbi litewski Sapieha, korzystając z tego, że w dokumentach wina oskarżonych nie została całkowicie

udowodniona, śmiało głos zabrał i przyznał, że związek tajemny istnieje rzeczywiście. Słuchacze ciekawie nadstawili uszu, ale chytry Sapieha oświadczył zaraz, że związek nie ma na celu żadnych przeciw królowi knowań. Na dowód zaś tego odczytał prawdziwy, czy też umyślnie w tym celu sporządzony akt, którym związkowi zobowiązywali się bronić wolnej elekcji i obstawać za wyłączeniem od tronu Piasta.

Ten akt, wymierzony wyraźnie przeciw dążeniom króla i królowej, pragnących, by koronę polską syn ich odziedziczył, nie zawierał w sobie nic takiego, coby za spisek przeciw królowi uchodzić mogło.

Efekt obliczony był dobrze. Kłoby śmiało krytykować związek, musiałby niejako krytykować wolną elekcję, a występować przeciw tej „żrenicy” wolności szlacheckich było niebezpiecznie. W ten sposób zadrwiwszy sobie z króla i jego przyjaciół, Sapiehowie uratowali siebie i swoich stronników. Ale nie rozwiali podejrzeń. Grono posłów zgłosiło projekt nowej konstytucji. Projekt ten zabraniał magnatom wszelkich bezpośrednich stosunków z mocarstwami zagranicznymi, nie dozwalał na posługiwanie się w korespondencji szyfrowanymi znakami oraz wskazywał inne środki, mające zapobiec wzajemnym podejrzewaniom. Projekt spotkał się z gwałtowną opozycją. Wtedy wnioskodawcy zaczęli namawiać Sobieskiego, aby w razie dalszego trwania tej opozycji zakończył obrady sejmu i zawezwał szlachtę do utworzenia konfederacji w obronie króla i wolności. Lecz Jan III nie mógł zdecydować się na krok tak stanowczy. Zamęt doszedł do szczytu. Prymas zapewniał Sobieskiego, że skłoni Litwinów do głosowania za projektowaną konstytucją i do pomyślnego załatwienia sprawy dóbr ra-

dziwiłłowskich, byle tylko król zechciał Sapiehom przebaczyć. Droga przebaczenia zdawna była drogą, doskonale wyjeżdżoną w Polsce. Cóż miał począć Sobieski? Nie mogąc karać, bo wymiar kary zawsze należał w Rzeczypospolitej do zadań najtrudniejszych, a bezkarność stała się systemem, zgodził się puścić wszystko w niepamięć. Oświadczył tedy kanclerz od tronu, że król, przekładając ojczyznę nad swoją cześć, a dobro publiczne nad sławę swoją, nie chce poniżać nieprzyjaciół, ani też korzystać z ofiar i usług przyjaciół, lecz póki mu życia i sił starczy, pragnie ze wszystkimi pospołu pracować dla dobra i bezpieczeństwa Rzeczypospolitej. Ostrzega przecież król, że jeśli by „synowie złości” nadal trwali w swych występnych zamiarach, natenczas nie będzie w stanie odwrócić nieszczęść, jakieby mogły z takiego stanu rzeczy wyniknąć.

Benedykt Sapieha został poufnie zawiadomiony, że Jan III wybaczy mu wszelkie urazy, byle nie przyjeżdżał do Warszawy.

Wtedy Sapiehowie obiecali nie sprzeciwiać się projektowanym konstytucjom.

Na takich warunkach stanęła zgoda.

Zdawaćby się mogło, że obrady sejmu potoczą się już sprawnie i dobiegną szczęśliwie do końca. Lecz Sapiehowie, otrzymawszy wszystko, czego sobie życzyli, nie zapomnieli o zobowiązaniach względem elektora. W obawie, by uchwała sejmu nie zwróciła się przeciw Fryderykowi III, postanowili sejm zerwać. Roli tej podjął się poseł litewski Szotkowski. Dnia 31 marca wygłosił on swoją protestację i wyniósł się z izby poselskiej. Szukano go po całej Warszawie, ale daremnie. Benedykt Sapieha, zapytany, gdzie się

Szotkowski ukrywa, odpowiedział cynicznie słowami Kaina:

— Alboż ja jestem stróżem brata swego?!

Nazajutrz, dnia 1-go kwietnia w sali sejmowej हुआ, jak w ulu. Śród podniecenia obecnych krzyżowały się prośby i groźby, a słowa padały ciężko, jak kamienie. Już mrok zapadał, lecz nie zapalano światel, bo prawo nie pozwalało na obrady przy świecach. Coraz większe zdenerwowanie ogarniało sejmujące stany. W takiej chwili starosta żmudzki Grotus przypadł do posła Dąbrowskiego, piastującego mandat z Litwy i na miłość kraju zaczął go zaklinać, by powiedział, gdzie się Szotkowski znajduje.

— Powiedz raczej, — krzyknął Dąbrowski, — na miłość króla!...

Wtedy biskup wileński Brzostowski zawołał:

— Wy zawsze naoslep przeciw królowi jesteście!

— A wy, — odpalił Dąbrowski, — zawsze frymarczycie królem.

Uniósł się biskup i krzyknął:

— Łzesz waść!...

Na te słowa Dąbrowski skoczył ku biskupowi z podniesionymi groźnie pięściami. Brzostowski w mig zorientował się, co mu grozi, zerwał się z miejsca i, szczęśliwie uniknąwszy ciosu, przypadł do tronu pod opiekę króla. Nowa wrzawa zatrzęsa izbą sejmową. Błysnęły dobyte szable i omal do powszechnej rąbaniny nie przyszło. Wielu posłów, widząc, że sejm już zerwany, zwróciło się ku wyjściu, by opuścić salę. Ale król, nie tracąc jeszcze nadziei, że Szotkowski się znajdzie, rozkazał swej gwardji zastąpić wychodzącym drogę. Pod wpływem spokoju Sobieskiego opamiętali się krzykacze i porządek na chwilę został przywrócony.

Wtedy prymas Radziejowski zabrał głos i zapowiedział, że za targnięcie się na biskupa rzuca interdykt na całe miasto i przez trzy dni nie pozwoli otwierać w Warszawie kościołów.

Szukano jeszcze Szotkowskiego w dniu następnym, ale bez skutku.

W taki sposób zerwany został pamiętny sejm 1688/9 roku.

Rzeczpospolita pozostała bez wszelkich środków obrony.

Na szczęście dla kraju, wysiłki Turcji skierowane zostały w tym roku przeciw cesarzowi. Mianowany na miejsce uduszonego z rozkazu sultana Kara-Mustafy, nowy wezyr Mustafa Kiupruli, zorganizowawszy na nowo armję turecką i natchnąwszy ją lepszym duchem, odniósł szereg zwycięstw nad wojskami cesarza. I Ludwik XIV walczył zwycięsko z całą koalicją, a dyplomaci jego w Polsce, margrabia Bethune i Granvelle, pracowali gorliwie nad zerwaniem przymierza pomiędzy cesarzem a Rzeczpospolitą.

Stronę Francji trzymała teraz królowa, a wspierała ją hetman Jabłonowski. I król zaczął się przechylać ku widokom polityki francuskiej, słusznie powiadając, że z własnych swoich pleców zdzierał szaty, by okryć niemi niewdzięcznego sąsiada. Lecz w miarę niepowodzeń wojennych Leopolda wzrastała w Polsce agitacja na rzecz utrzymania sojuszu z cesarzem i dalszej wojny z Turcją. Na sejmie roku 1690 górę wzięli biskupi, doprowadzili do uchwalenia na wojnę z Turcją podatków i odnieśli stanowcze nad stronnikami Francji zwycięstwo. A cesarz Leopold, chcąc utrwalić w Polsce swe wpływy, doprowadził do skutku małżeństwo między królewiczem Jakóbem a siostrą swej żony,

a zarazem siostrą ks. Karola Filipa, księżniczką Jadwigą Neoburską. W ten sposób królówic Jakób został szwagrem cesarza oraz królów hiszpańskiego i portugalskiego. Za rękę ubogiej i płochliwej Niemki, za spowinowacenie się z domem Habsburgów dwór królewski nie tylko oddalił się od Francji, ale zacieśnił swój stosunek z wiarołomnym sąsiadem.

Wkrótce po ślubie zjawił się poseł cesarski hr. Thun i imieniem Leopolda ofiarował królowi posiłkowe wojsko na zdobycie Mołdawji i Wołoszczyzny.

Raz jeszcze dał się wyzyskać Jan III i wraz z królówiczami Jakóblem oraz dorastającym Aleksandrem pociągnął w końcu sierpnia 1691 roku do Suczawy na czele nielicznej armji. Dnia 12 września na polach Pereryty przyszło do bitwy pomiędzy Polakami a przeważającymi siłami Turków i Tatarów. Po raz ostatni w tej bitwie odniósł Sobieski zwycięstwo. Nieprzyjaciel, porażony na głowę, zasłał trupami pobojowisko i uciekł w popłochu. Król, zdobywszy kilka pomniejszych zamków, skierował się ku granicy Siedmiogrodu, skąd spodziewał się nadejścia przyobiecanych przez cesarza posiłków. Ale Leopold nie myślał o dotrzymaniu swego przyrzeczenia. Sobieski, odciągawszy znaczne siły tureckie od głównego teatru wojny, raz jeszcze przyczynił się do triumfu sojusznika, ale sam nic nie wskórał. Daremne wyczekiwanie wśród deszczów i głodu zdemoralizowało rycerstwo. Zaczęły się zimna, a wylew rzek i rozłopy nie pozwoliły Polakom posunąć się dalej. Wojsko cierpiało od niewygód i chorób, coraz bardziej trapiących szeregi. Sobieski, nakazawszy odwrót, poprowadził ku granicom Polski przez lasy bukowińskie armję ludzi zgłodnia-

łych, schorowanych, obdartych, jakby armję straszyleł i upiorów.

Tak skończyła się ostatnia wyprawa wojenna Sobieskiego.

Król myślał ciągle o odebraniu Turkom Kamieńca, ale nie mając sił dostatecznych, by zdobywać szturmem tę silną twierdzę, zarządził jej blokadę. Dla niszczenia zboża w okolicach i przejmowania transportów tureckich założył o dwie mile nad Dniestrem Okopy św. Trójcy, jak nazwano obóz warowny, którego załoga miała spełniać oba zadania.

Latem następnego roku raz jeszcze nadarzyła się Sobieskiemu sposobność wybrnięcia z kłopotów wojennych i zawarcia z Turcją korzystnego pokoju. Oto w lipcu 1692 roku do rezydencji królewskiej w Jaworowie przyjechał poseł chana tatarskiego i imieniem nie tylko chana, ale i Wysokiej Porty za wystąpienie z Ligi Chrześcijańskiej ofiarowywał Polsce Kamieniec oraz zrzeczenie się wszelkich pretensyj Turcji do Ukrainy i Podola. Ponadto chan proponował królowi swą przyjaźń i zobowiązywał się, w razie potrzeby Rzeczypospolitej, stanąć każdego czasu w 100.000 szabel. Poseł chana, „dziwnie rozumny” Tatar, przekładając na konferencji, jak wielki pożytek odniosą z takiego pokoju Polacy, zwracał uwagę, że Moskwa stale dotąd oszukiwała Polskę, zabierała jej całe prowincje, a sama nie wypełniła ani jednego ze swych zobowiązań. Radził tedy uderzyć na Moskali a upewniał, że Tatarzy w ciągu dwóch lat swemi szablami dopomogą Polsce do odebrania zaborów moskiewskich. Wykazywał dalej, że, z powodu położenia Rzeczypospolitej, Turcy i Tatarzy, walcząc z Austrią i Polską, przeciw tej ostatniej muszą wyprowadzać w pole głów-

ne swe sily. Skutkiem takiego stanu rzeczy Polacy nie mogli w ciągu ostatnich kilku lat wojny poszczycić się ważniejszą zdobyczą, natomiast wszystkie korzyści odnosił cesarz, obojętny na los swego sojusznika i nie dopełniający obowiązków, jakie wkładało na niego zawarte z Rzeczpospolitą przymierze.

Ów poseł chana, którego rozum wychwala pismo, przesłane do posła polskiego w Wiedniu, przytaczał argumenty ważkie, świadczące o doskonałym zorjentowaniu się w sytuacji politycznej Polski, a mówił tak przekonywująco, że trudno było nie przyznać mu słuszności.

Po raz ostatni miał Sobieski możność zerwania z niegodnym sojusznikiem i zainicjowania nowej polityki w stosunku do czyhających na zgubę Polski sąsiadów. Ale czy wierność względem sprzymierzeńców, czy wstręt do sojuszu z sułtanem i chanem, czy też niewiara, by proponowany pokój dał się utrwalić i zjednał opozycję, dość, że rozumny Tatar nie mógł dojść z królem do porozumienia.

Następstwa odrzucenia tych korzystnych propozycji niedługo kazały na siebie czekać.

W październiku 1692-go roku obrażony chan rzucił na Ruś Czerwoną swe hordy, które spustoszyły wielką część bezbronnego kraju i z olbrzymim jassyrem powróciły do Krymu. Nieszczęśliwy król, trapiiony najazdami i niemożnością bronięcia swej ojczyzny, żył już wśród ciągłych kłopotów i zgryzot. Na sejm, zwołany do Warszawy na grudzień 1693 roku, nie mógł przybyć z powodu choroby. Więc przysłał uniwersał z usprawiedliwieniem swej nieobecności, a prymas Radziejowski prosił o zastępstwo. Ale Sapiehowie

nie dopuścili do obrad i sejm rozszedł się, nic nie postanowiwszy.

Wielki wojownik z największym bólem patrzył, co się dzieje w kraju.

Wyzyskiwany niemiłosiernie przez cesarza i cara, krzywdzony i szarpany przez złe języki rodaków, przeżywał chwile czarnej rozpacz. Anarchja w całej Rzeczypospolitej święciła istne orgje. Oto hetman wielki litewski Kazimierz Sapieha, wojując z biskupem wileńskim Brzostowskim, bezprawnie zarządził postój wojsk w dobrach duchownych jego diecezji. Protestował biskup, chciał skarżyć hetmana przed sejmem, ale że sejmy nie dochodziły do skutku, więc gwałtowniejszych chwycił się środków. Najpierw zagroził Sapieżę klątwą, a gdy to nie pomogło, uniósł się do tego stopnia, że dnia 18 kwietnia (1694 r.) w katedrze wileńskiej, wyliczywszy zbrodnie Sapiehy, rzucił z ambony zapaloną świecę, wołając, aby tak, jak ta świeca „zgasła i zaśmiargła w pieklach dusza wielkiego hetmana”. Na to Sapieha odpowiedział tegoż dnia wydaniem na Antokolu hucznego bankietu, w czasie którego grzmiały nieprzerwanie na wiwat salwy za salwami, a wrzawa trąb i kotłów na chwilę nie ustawała.

Za Sapiehą ujął się prymas Radziejowski i zniósł klątwę, ale w obronie Brzostowskiego stanął nuncjusz papieski Santa Croce, arcybiskup Seleucji i zniósł wyrok prymasa. Sprawa oparła się o papieża. Inocenty XII zawiesił ekskomunikację Sapiehy na trzy miesiące, polecając ostateczne załatwienie całej sprawy Radziejowskiemu oraz nuncjuszowi. Wtedy Sobieski zawezwał obie strony przed radę senatu, na której dokładał starań, aby kres położyć gorszącemu skan-

dalowi. Ale Sapieha nie chciał słyszeć o zgodzie. Gdy nalegania stały się zbyt natarczywe, opuścił obrady i wyjechał na Litwę. Sprawa oparła się o sejm, zwołany do Warszawy w styczniu 1695 roku. Na ten sejm zjechał hetman wielki litewski hucznie i wystawnie, prowadząc ze sobą liczne a wyborowe hufce.

Prymas Radziejowski potrafił doprowadzić do zgody między nuncjuszem a hetmanem Sapiehą, ale ten ostatni na ugodę z Brzostowskim przystać później nie chciał, że zaś sejm miał rozpatrywać sprawę, więc sejm zerwali Sapiehowie.

Już od czterech lat sejmy nie dochodziły do skutku, podatki nie wpływały, wojsko nie otrzymywało zapłaty, granice były niestrzeżone, wojna z Turcją trwała, Tatarzy bezkarnie pustoszyli ziemie graniczne, mnóstwo ważnych spraw państwowych czekało decyzji, a sejmujące stany rozchodziły wśród hałasów i piekielnej wrzawy, zobojętniałe na ruiny i oplakaną dolę ojczyzny.

— „Stan kraju, — powiada Załuski, — łatwiej było opisać łzami, aniżeli piórem”.

Król po zerwaniu sejmku zwołał radę senatu. Nadaremnie jednak na miłość ojczyzny zaklinał hetmana i biskupa, aby się pogodzili. Senatorowie nic innego nie umieli doradzić, jak zwołanie pospolitego ruszenia lub wezwanie województw, aby się same broniły. A Sapiehowie godzili się na jedno i drugie. Widzieli opuszczenie i upadek sił zgnębnego króla, a snuli plan wyniesienia swego rodu na wysokość tronu: hetman wielki litewski nikczemny Kazimierz Sapieha był gotowym kandydatem do korony polskiej.

Rzeczpospolita, dźwignięta z upadku mieczem Sobieskiego, zaczęła znowu kroczyć ku przepaści.

* * *

Do klęsk i nieszczęść publicznych, trapiących nieustannie starzejącego się króla, przybywały nieustannie nieszczęścia domowe. A przecież wszystkie dane posiadał Sobieski, aby stworzyć sobie szczęście rodzinne. Najczulszy małżonek, troskliwy ojciec, miał pogodne dobroduszne usposobienie, wiele wyrozumienia dla wad i słabostek ludzkich, wiele wdzięku i prostoty, która pociągała ku niemu ludzi i jednała serca.

W stosunkach domowych, w całym swym życiu prywatnym ujawniał Sobieski dużo typowych cech szlachcica polskiego swej epoki. Skory do korda i kielicha, łatwo wybuchający gniewem, równie łatwo wpaadał w rozczenie i serce swe, niby wrota, prowadzące do dworu szlacheckiego, otwierał naścieżaj. Kochał się w koniach, lubił psy, miał żyłkę łowiecką i myśliwską, podobnie jak szlachcic folwarczny wyrzekał na deszcze, susze, nieurodzaje, na niepowodzenia i straty w gospodarstwie, które po szlachecku „kłopotarstwem” nazywał. Rad przecież wyjeżdżał w pole i rozmarzonym okiem wodził po uprawnej roli, po złotych obszarach łąnów pszenicznych, po łąkach, jeziorach i lasach. Własną ręką sadił drzewa i z upodobaniem pielęgnował kwiaty. Odczuwał piękno krajobrazu, a choć wszcz i wzdłuż zwiedził Europę, najpiękniejszym widokiem zawsze były dla niego strony rodzinne. Zachwycał się Rusią Czerwoną, a w jednym ze swych listów pisał, że „tak ślicznego i obfitego kraju szukać po świecie trzeba”.

Uprzejmy i dostępny dla braci szlacheckiej, nie miał pogardy dla włościan, jaką żywił w swym sercu szlachcic polski XVII stulecia. Niejednokrotnie to-

warzysze broni sarkali na „konfidencję” Sobieskiego z chłopami. Nie zrażał się tem znakomity wódz, często odwoływał się do pomocy włościan, wzywał ich do obrony kraju i ważne miewał od nich usługi, a w sławnem zwycięstwie podhajeckiem i w walkach z Tatarami wiele chłopom zawdzięczał. Ze wszystkich rodzajów broni największą słabość miał do dragonji, która w czasie boju najczęściej zsiadała z koni i walczyła pieszo, a głównie rekrutowana była z chłopów dóbr królewskich i duchownych. Cenił również piechotę i nieraz użalał się nad jej losem, a sam wielką cieszył się miłością wśród regimentów pieszych, tych zwłaszcza, których kadry stanowili chłopci. Kiedy po pierwszej bitwie pod Parkanami rozeszła się wieść, że Sobieski zginął, największym żalem wybuchnęła piechota.

— „Żołdacy niebożęta w regimentach pieszych, — pisał król, — kiedy im dano znać, że ja już nie żyję, krzyknęli na oficerów swych: A cóż już po nas, kiedyśmy ojca stracili, prowadźcie nas, niech tam pomrzemy wszyscy!”

Różniący się stosunkiem do chłopów od szlachcica owego czasu, był poza tem w każdym calu szlachcicem. Nawet jego humor i fantazja były iście szlacheckie i często nie licowały z majestatem królewskim. Lubił król gościa upoić lub spletać mu figla, a odzywał się nieraz, niczem pan Pasek. Staremu pułkownikowi Polanowskiemu, który, rozchorowawszy się przed wyprawą wiedeńską, chciał z Gliwic jechać do Częstochowy, tłumaczył król, że „tak daleko do nieba ze Śląska, jako i z Polski”. Gdy w roku 1688 odwiedził Sobieskiego w Żółkwi podkanclerzy litewski, Dominik ks. Radziwiłł i, otrzymawszy audjencję,

domagał się drugiej, znudzony król zaprowadził księcia do winnicy, kazał podać kielichy, a gdy gościowi ze łba zaczęło się kurzyć, polecił przyprowadzić konie, charty i razem ze swym petentem wyruszył w pole. Tymczasem księżę, acz pijany, nie dawał za wygraną i, kiwając się na koniu, nieustannie o audjencję się dopominał.

— „Mówilem po kilkakroć,—opisywał później ten figiel Sobieski,—żem teraz psom gończym dał audjencję, nie to nie pomagało”. I żalił się, że nie udał mu się wybieg, bo księżę Dominik trzeźwy, czy pijany, ciągle mu audjencją grozi.

Z siedzib swoich, które posiadał w różnych stronach Rzeczypospolitej, najczęściej bawił w Żółkwi i w Jaworowie, rad zaglądał do Pielaskowic, a pod koniec życia przywiązał się do Wilanowa, który z wielką miłością upiększał, dbając zarówno o otoczenie, jak wewnątrz pięknego pałacyku, pełnego dzieł sztuki i trofeów wojennych.

Dzięki przyrodzonym zdolnościom, niepospolitej pamięci, znajomości języków i ogromnemu zamiłowaniu do lektury, posiadał Sobieski duży zasób wiedzy, chętnie też rozprawał o historii, o sztukach pięknych, filozofji, teologii, żywo interesował się astronomją. Bawiąc w roku 1677-ym w Gdańsku, odwiedzał często obserwatorjum głośnego astronoma Jana Heweljusza, sam robił obserwacje, a uczonemu wyznaczył 1000 złp. dożywotniej pensji. Dostał też zaszczytu, że jeden z gwiazdozbiorów otrzymał nazwę: Scutum Sobiescii. Kochał się w książkach, woził je z sobą na każdą wyprawę, miał w swych siedzibach biblioteki, bogato zaopatrzone w dzieła wojskowe, matematyczne, filozoficzne, historyczne i prawne.

W Wilanowie założył szkołę malarską, sprowadził do Polski Marcina Altomonti'ego, na dworze jego gościli znani artyści Ferdynand Kessel, Andrzej Schlüter, Aleksander Franciszek Desportes. Jego opiece zawdzięczał rozwój swego talentu głośny w owym czasie malarz Jerzy Semiginowski, znany pod nazwiskiem Eleutera. Znakomitego wodza, a protektora sztuk i umiejętności portretowali z upodobaniem głośni w owym czasie artyści, jak Francuz L'Armessin, Holendrzy Roman Hooghe i Hugo Allard, Polacy Semiginowski i Trzycki Jan, wspomniany już Włoch Altomonti, Niemiec Kessel i inni.

Pogodnego usposobienia, dobrego serca, posiadał Sobieski wszystkie dane, aby zaznać szczęścia rodzinnego i po burzach publicznych zakosztować słodkiej ciszy domowego ogniska. Losy zrzędziły inaczej. Nieszczęśliwy w zawodzie politycznym, był równie nieszczęśliwy wśród swojej rodziny. Zwłaszcza pod koniec życia piekłem stał się dom króla. Marja Kazimiera wojowała ciągle z najstarszym synem Jakóbcem i jego żoną, cichą, potulną Niemką, wierną cesarzowi, swemu szwagrowi. Królowa, która zienawidziła dom cesarski i pragnęła w owych latach związania polityki polskiej z widokami Ludwika XIV, starała się uzbroić przeciw Jakóbowi drugiego z kolei syna Aleksandra. Również Aleksandrowi chciała po śmierci ojca zapewnić tron polski. Na tem tle dochodziło do ciągłych kłótni i niesnasek. Niepohamowana Francuzka o usposobieniu plotkarskiej wojowniczej kumoszki, intrygami swemi, chciwością, wtrącaniem się we wszystkie sprawy państwowe, sprzedawaniem urzędów, wreszcie wojną domową, zatruwała wszystkie wolne chwile sławnego wojownika. Klóciła się z dzieć-

mi, ze służbą, z rezydentami. Potrafiła wpaść do gabinetu króla i w jego oczach rzucić z hukiem o ziemię biust marmurowy królewicza Jakóba, zdobiony biurko ojcowskie. Ze swej strony ścigany nienawiścią Jakób tracił cierpliwość, odpłacał pięknem za nadobne, klócił się ciągle z matką i braćmi, Aleksandrem i Konstantym.

A Sobieski nie umiał poskromić niesfornej rodziny. Podobno nieraz miał mawiać:

— „Łatwiej mi bić nieprzyjaciół, niż zgodę utrzymać we własnym domu!

Ukochaną swą córkę Teresę Kunegundę wydał w roku 1694-ym za księcia Maksymiljana Emanuela bawarskiego, a z trzech synów, Jakóba, Aleksandra i Konstantego, nie miał pociechy. Pomimo to skrzętnie gromadził dla nich majątek i pod koniec życia stał się bardzo skąpym. Osamotniony w życiu publicznym, osamotniony wśród członków własnej rodziny, gorzkniał coraz bardziej, posępnie spoglądał na świat i ludzi i obojętniał na sprawy publiczne. Ojciec Vota, lekarze O'Connor i żyd Jonasz stanowili najczęściej jego towarzystwo. Olbrzymim majątkiem królewskim zarządzał spekulant Betsal. Tego, jako faworyta króla, dla wyrządzenia Sobieskiemu przykrości, oskarżono na sejmie r. 1693 o bluźnierstwo i chciano spalić na stosie, jak oskarżonego w r. 1689 o ateizm szlachcica Łyszczyńskiego. Raz jedyny udało się w Polsce dokonać auto da fé, lecz po raz drugi sztuczka zawiodła. Betsal, cieszący się zaufaniem króla, nadal odgrywał wielką rolę na jego dworze, jako skarbnik i administrator olbrzymiej fortuny.

Na wiosnę roku 1696-go podupadły na zdrowiu Jan III bawił w Wilanowie.

Śród niesnasek i swarów rodzinnych, w atmosferze ciągłych intryg Marji Kazimiery, samotny wojownik, trapiiony cierpieniami wieku i puchliną wodną, dogorywał powoli. W czerwcu czuł się tak źle, że biskup Załuski, namówiony przez Marję Kazimierę, starał się oswoić myśl starca ze śmiercią i nakłonić go do napisania testamentu.

Ale Sobieski nie chciał o tem słyszeć. Skarżył się na grzechy, zdradę i złość ludzką. Twierdził, że testament jest niepotrzebny, bo nikt się do jego woli nie zastosuje.

— „Widzisz przecie, — zawołał z goryczą, — że za życia nie chcą mię słuchać, będąż po śmierci?!”

Dnia 17 czerwca uczuł nagły upadek sił. Ujrzawszy biskupa Załuskiego, rzucił pytanie:

— „Co słyszać w Warszawie?”

Biskup odpowiedział, że ludność we wszystkich kościołach modli się o długie panowanie króla, jako w rocznicę jego elekcji. *) I zapytał gasnącego Jana, czy z racji tej rocznicy nie zechciałby się wypowiedzieć. Sobieski zrozumiał, o co chodzi, ale spowiedź odłożył na dzień następny. Po obiedzie, czując się lepiej, rozmawiał kilka godzin. Nagle chwycił go atak apoplektyczny. Myślano, że umarł, lecz król odzyskał przytomność, pytał, co się z nim stało, wreszcie sam zażądał spowiednika. O godzinie 8-ej wieczorem powtórzył się atak — i Jan Sobieski skonał.

A nad zwłokami zmarłego bohatera rozpętała się burza rodzinna.

*) Nie była to właściwie rocznica, ale dzień św. Trójcy, w którą to uroczystość Sobieski został obrany królem.

Królewicz Jakób pośpieszył do Warszawy, odebrał od gwardji królewskiej przysięgę, poczem zawiadomił matkę, by nie ważyła się wstępować na zamek królewski, bo jej tam nie wpuści.

Następnego dnia wyruszył z Wilanowa orszak żałobny ku Warszawie. W otoczeniu senatorów szła za zwłokami męża Marja Kazimiera, lecz gdy zbliżono się do zamku, gwardja królewska zatarasowała wejście. Ku zgorszeniu wszystkich obecnych, leżący w trumnie Jan III czekał na otwarciu bramy, zamkniętej przez syna.

— „Uczyńcie miejsce królowi!”—wołała Marja Kazimiera, a tłum poruszony szemrał nieprzyjaźnie i gorzyszył się niesłychanym widokiem.

Na szczęście, spostrzegł się królewicz, rozkazał otworzyć podwoje i zwłoki królewskie wniesiono uroczyście na zamek. A za trupem męża wtargnęła do komnat zamkowych Marja Kazimiera. Jakób przeprosił królową, ale niebawem doszło do nowych, jeszcze bardziej gorszących scen między matką a synem. Gdy ubierano nieboszczyka, a Jakób zażądał korony, królowa odmówiła temu żądaniu, w obawie, aby tej korony nie zdarł z głowy trupa znienawidzony przez nią, a pnący się do tronu królewicz. Wtedy towarzyszy broni Sobieskiego Matczyński włożył na głowę sławnego zwycięzcy hełm rycerski, oznakę jego wiekopomnej sławy.

Po tych scenach niepodobna się dziwić, że król nie wierzył, by rodzina spełniła jego wolę przedśmiertną, że pobladłemi usty, na których śmierć kładła już swe dłonie, skarżył się przed biskupem Załuskim na powszechne zepsucie i upadek obyczajów.

Przestał wierzyć w prawość charakterów i zacność serc polskich.

Mylił się przecież Jan III. Był jeszcze w Polsce człowiek dobrego serca, gdy wypowiedział te słowa. Ale ten człowiek spoczywał teraz w zamku królewskim na marach.

Zwłoki Sobieskiego złożono w kościele Kapucynów w Warszawie. Dopiero w roku 1733 im spoczęły w katedrze królewskiej na Wawelu.

ZAKOŃCZENIE.



bdarzony bogato przez naturę, uwieńczony przez rodaków koroną, posiadał Sobieski wiele danych, by w dziejach Polski i Europy odegrać znacznie większą rolę, niż ta, która mu przypadła w udziale. Spadkobierca najpiękniejszych tradycji, dziedzic olbrzymiej fortuny, umysł rozległy, ukształcony, światły, wojownik genialny i szczęśliwy, nie miał, niestety, tej siły moralnej, którą w dziejach narodu zajaśniał jego pradziad Żółkiewski. Brak tej siły sprawił, że Sobieski nie oparł się rozkładowym wpływom środowiska. Niestety chcieli, że kiedy wstępował na widownię życia publicznego, w kraju, szarpanym wewnętrzną rozterką, walczyły z sobą nie idee, które tworzą postęp i doskonałą społeczność, lecz nędzne spiski i nieczne intrygi, które wytwarzają atmosferę nieufności, rozżegają zawziętość przeciwników, preradzają wolność obywatelską w swywołę, a upadlają charaktery i serca. Prawnuk Żółkiewskiego poddał się odrazu zabójczym wpływom tej atmosfery i popłynął z falą. Świadczy o tem jego zachowanie się w czasie najazdu Szwedów, jego poczynania za cza-

sów Ludwiki Marji i króla Michała, jego udział w występnych knowaniach prymasa Prażmowskiego, wreszcie dobrowolna, a wysoce upokarzająca od Ludwika XIV zależność. Na królu Janie III mściła się nieustannie przeszłość polityczna marszałka i hetmana Sobieskiego. Z wysokości tronu innemi oczyma spoglądał butny szlachcic polski na zadania i obowiązki obywatela Rzeczypospolitej. Lecz własna przeszłość, jak cień snuła się za nim po komnatach królewskich, krępowała mu ręce i kładła się zaporą na drodze jego odrodzeńczych dążeń i zamiarów. Z więzów tej przeszłości już do końca życia nie mógł się wyzwolić. Ta przeszłość sprawiła, że nie danem mu było wznieść się w dziejach narodu do wspaniałej roli, jaką mógł odegrać przy mocniejszym charakterze i większej odporności na przemożne wpływy otoczenia. Spełnił swe zadanie, jako wódz, nie spełnił, jako najwyższy sternik nawy państwowej.

Zasługi Sobieskiego dla Polski są głównie zasługami wielkiego wojownika. Zaden z najslawniejszych wodzów polskich nie przewyższył Sobieskiego genjuszem, żaden nie miał za sobą takiego nieprzerwanego pasma świetnych zwycięstw, jakie odniósł bohater z pod Wiednia. Od roku 1667-go, kiedy po raz pierwszy sam jeden wziął na swoje barki obronę Rzeczypospolitej aż do odsieczy wiedeńskiej, dokonywał czynów, które budziły podziw świata i imponowały najznakomitszym w Europie wodzom. Już potrzeba podhajecka, jedno z najświetniejszych dzieł jego miecza, zapewniłaby Sobieskiemu w dziejach wojennych Polski miejsce poczesne. A przecież był to dopiero świetny początek. Po Podhajcach nastąpiła nad wyraz śmiała wyprawa w roku 1671-ym, bohaterski po-

grom czambułów w roku 1672-im, a potem Chocim, a potem walki w roku 1674-ym, a potem jeszcze obrona Lwowa i boje żórawińskie, wreszcie odsiecz wiedeńska i walne zwycięstwo w drugiej bitwie pod Parkanami.

Posiadał Sobieski w najwyższym stopniu wszystkie zalety wielkich wojowników. W swoim czasie chcieli pomniejszyć sławę Sobieskiego cudzoziemcy, ale w wieku XIX-ym nawet generał pruski, słynny teoretyk wojskowy Clausewitz nie zawahał się zaliczyć Jana III do największych wodzów w dziejach nowożytnych. Na polu bitwy miał miążdzącą, jakby żywiołową pewność siebie i straszną, bo nieodgadnioną zuchwałość genjuszu. Potężny w chwili, gdy uderzał, był równie pewny siebie i nieugięty, gdy odpierał szturmy młoduszności swoich podkomendnych, stawiał czoło burzy zwątpienia, walczył z nędzą, głodem i upadkiem ducha we własnych szeregach. Był świetnym organizatorem wszystkich rodzajów broni, znał doskonale ich wartość i sposób użycia, potrafił poszczególne jednostki bojowe skłonić do harmonijnego współdziałania i wszystkich żołnierzy natchnąć zapalem, który płonął w jego własnej piersi i przez zwycięstwa prowadził do zwycięstw.

Widział doskonale braki organizacji wojskowej w Polsce i pragnął zapewnić osaczonej nieprzyjaciółmi ojczyźnie siłę obronną, zdolną w każdej chwili stawić czoło najazdowi wroga. Stutysięczna armja narodowa, wysiłkami wszystkich warstw narodu stworzona, ten ideał Sejmu Czteroletniego, na sto lat zgórą przedtem był ideałem Sobieskiego. Żądaniu otoczonego blaskiem chwały wojennej króla sejmujące stany nie śmiały odmówić. Niestety, Polacy, jak to w jednej

z mów swoich powiedział Jan III, byli już pożerani przez niepojętą namiętność szkodzenia samym sobie. Szlachta, zatraciwszy instynkt samozachowawczy, unicestwiła dzieło wielkiej reformy, w obawie, że siła zbrojna stanie się w rękę króla narzędziem do ograniczenia odwiecznych przywilejów i swobód. Pod hasłami obrony wolności, pewnym krokiem zdążyła Polska ku niewoli, której groźne widmo wyłaniało się z mroków przyszłości i, potrząsając kajdanami, już od lat wielu stało przed oczyma dalej patrzących statystów. I Sobieski widział to widmo, ale, obciążony grzechami przeszłości, nie umiał na straszne zjawisko otworzyć oczu rodaków.

Bezsilny we własnym kraju, nie mógł Jan III czuć się mocnym w polityce na terenie międzynarodowym. I tu mściły się na nim dawne związki z intrygami zagranicznymi królowej Ludwiki Marji i tu jego przeszłość utrudniała mu położenie. Genjalny wódz nigdy zresztą nie był wielkim dyplomatą. Dobroduszny szlachcic, pomimo korony na swej głowie, nie uważał się za równego dziedzicznym monarchom i pozostał na tronie szlachcicem. Marząc o świetnej paranteli dla swego potomstwa, nieraz skutkiem tych marzeń narażał się na upokorzenia i ponosił klęski polityczne. Bystrości, pomysłów, odwagi i rozmachu brak było jego wystąpieniom nazewnątrz. Tkwił w Sobieskim przedziwny kontrast, polegający jakby na rozdwojeniu pierwiastków jego woli. Wobec uzbrojonego wroga ta wola wybuchała z żywiołową siłą, natomiast pod wpływem zręcznych ciosów dyplomacji chwiała się i gięła, lub stawała w miejscu, jakby rażona paraliżem. Pełen inicjatywy twórczej w polu, nigdy nie miał tej inicjatywy, jako dyplomata i nigdy nie umiał

w polityce brać szturmem pozycji, którą zdobyć pragnął. Prawda, że na wojnie, pomimo niesubordynacji podwładnych mu wodzów, był panem siebie i wydawał rozkazy, gdy w polityce musiał słuchać opinii i liczyć się nieustannie z wolą magnatów i szlachty. Ale nawet wtedy, gdy jak pod Wiedniem miał pewność, że stanie za nim kraj cały, nie umiał pokazać pazurów i nakazać należnego sobie szacunku. Był wiernym sojusznikiem, lecz nie potrafił wiarołomnym sprzymierzeńcom wpoić przekonania, że może stać się niebezpiecznym wrogiem. Skutkiem tego nawet najgłośniejsze z jego zwycięstw przyniosło mu w swoich następstwach porażki. Nie miał dość siły, by zerwać z chytrym Habsburgiem, choć dalszy sojusz był krzywdą dla kraju i chociaż świetny odwrót przygotowała mu dyplomacja francuska. Tak samo z ujmą dla powagi Rzeczypospolitej cofnął się przed elektorem brandenburskim, a za chimere pomocy w walce z Tatarami ustąpił przed natarczywą zaborczością Moskwy. Marzył o marszu na Konstantynopol, a drapieżny sąsiad zagarniał mu Kijów i Smoleńsk.

I w polityce wewnętrznej również cofał się często przed piętrzącymi się przeciwieństwami. Wielki wódz nie miał owego bojowego charakteru, co kładzie się w poprzek panującej w masach opinii, bije w nią piorunami swej woli, przekształca, zmienia i na nowe pcha tory. To też Sobieski, jako obywatel i statysta nie tworzył w życiu narodu epoki, lecz epoka na swój obraz i podobieństwo urabiała Sobieskiego. Pomimo to niejednokrotnie wznosił się ponad ludzi i czasy, w których przyszło mu działać. Bo choć ulegał otaczającej go atmosferze, był najświetlejszym w swej epoce umysłem i najlepszym obywatelem. W ciężkich

chwilach niebezpieczeństw, sam jeden wznosił się na wyżyny ofiar i poświęceń, sam jeden wśród obojętności powszechnej wykazywał wolę i zdolność do czynu. Z biegiem lat brały w nim górę lepsze jego natury pierwiastki. Ale im wyżej się wznosił, im lepiej zaczynał widzieć okropne położenie Polski, im bardziej oddalał się od wad i przesądów ogółu, tem silniej był napastowany i tem szybciej tracił w kraju swe wpływy.

Po odsieczy wiedeńskiej z każdym rokiem powiększała się przepaść między królem a narodem.

U schyłku swego życia bohater z pod Wiednia był najniezwyklejszym w Polsce człowiekiem. Wielki wojownik z rozpaczą zwracał oczy ku ziemiom granicznym Rzeczypospolitej, najeżdżanym przez łupieckie ordy. Własne jego dobra ogniem i mieczem pustoszyły Tatarzyn, a w ludnem, słynącym z dzieł rycerskich państwie nie było już szabel do obrony. Dziśki łupieżca, który niedawno drżał na sam dźwięk jego imienia, deptał teraz bezkarnie honor głośnego w świecie wodza i żołnierza. Daremnie stary król wołał o ratunek. Głos jego ginął bez echa we wrzawie anarchji, szalejącej wszczęd i wzdłuż całego kraju. Opuszczony przez wszystkich, narażony na największe przykrości ze strony własnej rodziny, bezczeszczone i szarpane przez złe języki, bezsilny, przytłoczony bezmiarem nieszczęść, zastygał w bólu i beznadziejnie smutnemi oczyma spoglądał w przyszłość. Posępny starzec przechodził największą tragedję wielkiego człowieka: wśród krzyków nienawiści, zniewag i szyderstw, przeżywał samotny samego siebie i swoją sławę. Nic już nie pozostawało mu w życiu. Do jego łoża skradała się śmierć, a ojczyznę, którą tylokrotnie otoczył chwałą,

a którą miał pożegnać na zawsze, widział w konwulsjach anarchji, na łasce złych i niebezpiecznych sąsiadów. Toż z północy padał już na Polskę ponury cień Piotra Wielkiego, a na tronie Jagiellonów miał zasiąść niebawem król przedawczyk i zdrajca. Zbliżały się czasy saskie, najsmutniejsza w dziejach narodu epoka.

W porównaniu z temi czasami dziesięć pierwszych lat panowania Jana III-go, to doba świetności. Już za obu jego poprzedników Rzeczpospolita odarta została z wszelkiej w oczach świata powagi i staczała się w przepaść. Zwycięstwa Sobieskiego nie tylko nad tą przepaścią zatrzymały Polskę, ale okryły ją blaskiem i w promieniach sławy wprowadziły z powrotem na widownię polityczną Europy. A wiekopomna odsiecz wiedeńska, aczkolwiek jej bezpośrednio następstwem były nieszczęścia i klęski, wysoko podniosła w świecie urok państwa polskiego i na wiek cały oddaliła spełnienie się złowróżbnych przepowiedni Jana Kazimierza.

Sława, którą zdobył Sobieski, przez całe stulecie stała na straży Rzeczypospolitej, a po jej upadku niejednokrotnie krzepiła serca polskie w latach niewoli



L I T E R A T U R A.

W książce niniejszej, mającej udostępnić życiorys Jana Sobieskiego, autor opierał się wyłącznie na materiale źródłowym, ogłoszonym już drukiem oraz na opracowaniach do dziejów Sobieskiego i jego biografji. Materiał ten przedstawia taką obfitość, że, ze względu na rozmiary pracy, nie wszystkie źródła i opracowania, nieraz bardzo cenne i ważne, ale wnikające w szczegóły, mogły być wykorzystane.

W cytatach, przytaczanych w tekście, słowa cudzoziemskie zastąpione zostały polskimi.

Poniżej wykaz źródeł i opracowań, które zużytkował autor przy pisaniu niniejszej książki.

I. Listy Jana Sobieskiego do żony Marji Kazimiry wraz z listami tej królewskiej rodziny i innych znakomych osób przez Jerzego Samuela Bandtkiego z oryginałów... przepisane. Uporządkował i... pomnożył Antoni Zygmunt Helcel. W Krakowie R. P. 1860 nakładem zapisu Świdzińskiego.—Acta historica res gestas Poloniae Illustrantia: a) Pisma do wieku i spraw Jana Sobieskiego zebrał i wydał Franciszek Kluczycki. W Krakowie, 1880-81 Nakł. Akad. Um. b) Archiwum spraw zagranicznych francuskie do dziejów Jana Trzeciego opracował dr Kazimierz Waliszewski. W Krak. 1879-84. Nakł. Akad. Umiej. c) Akta do dziejów króla Jana III-go sprawy roku 1683-go a osobliwie wyprawy wiedeńskiej wyjaśniające. Wydał Franc. Kluczycki. W Krakowie, 1883. Nakł. Akad. Umiej.—Scriptores rerum polonicarum:

Archiwum Komisji Historycznej: Ulryka Verduma diarjusz wyprawy Jana Sobieskiego z roku 1671. Wydał dr X. Liske. Kraków, 1878.—Ojczyście spominki w pismach do dziejów dawnej Polski, z rękopisów zebrane przez Ambrożego Grabowskiego. Tom I i II. W Krakowie, 1845.—Listy z czasów Jana III i Augusta II wydane przez G. B. U. i Wl. Skrzydłkę. W Krakowie, 1870.—Janina zwycięskich triumfów, dziełami i heroicznem męstwem Jana III króla polskiego etc. przez Jakóba Kazimierza Rubinkowskiego. W Supraślu, 1739.—Źródła do dziejów polskich wydawane przez M. Malinowskiego i Aleks. Przeździeckiego. Wilno, 1844.—Herby rycerstwa polskiego przez Bartosza Paprockiego. Wyd. J. Turowskiego. Kraków, 1858.—Instrukcja Jakóba Sobieskiego, Kasztel. Krak. W Warszawie, 1784.—Jakób Sobieski królewicz: Diarjusz wyprawy wiedeńskiej w 1683 roku wydał T. Wierzbowski. Warszawa, 1885.—Sumarjusz okazji wiedeńskiej (przez Mikolaja Djakowskiego). Wilno, 1829.—Źródła do poselstwa Jana Gnińskiego... w latach 1677-78. Wydał Fr. Pułaski. Warsz., 1907. Nakładem Ordynacji Krasin-skich. Diarjusz wojewody witebskiego J. Ant. Chrapowickiego. Wyd. p. J. Rusieckiego z Trojanki. Warszawa, 1845.—Porto-
 folio królowej Marji Ludwiki, czyli zbiór aktów urzędowych, listów etc. wydany przez hr. E. Raczyńskiego. Poznań, 1844.—
 Andreae Chrysostomi in Zuluskie Zaluski: Epistolarum Historico-familiarum. Tomus I i II. Brunbergae A.-Sal. 1709-10.—
 Les anecdotes de Pologne ou mémoires secrets du Regne de Jean Sobieski (Daleyraca) A Amsterdam MDCXCIX.—
 F. Dupont. Mémoires pour servir à l'histoire de Jean Sobieski. Bibl. Ord. Kras. Warszawa, 1885.—
 Latopisiec albo kroniczka Joachima Jerlicza. Warszawa, 1853.—
 Pamiętniki Jana Chryzostoma Paska. Sanok, 1856.—
 Historja panowania Jana Kazimierza z Klimakterów Wespazjana Kochowskiego. Poznań, 1859.—
 Roczników polski klimakter IV, obejmujący dzieje Polski pod panowaniem Króla Michała przez Wespazjana z Kochowa Kochowskiego. Lipsk, 1853.—
 Pisma Stanisława Żółkiewskiego. Wydał Aug. Bielowski. Lwów, 1861.—
 Pamiętnik o Marji Wesslównie królewiczowej Konstantowej Sobieskiej przez Sabinę z Gostkowskich Grzegorzewską.—
 Pamiątki miasta Żółkwi zebrał ks. Sadok Barącz. Lwów, 1852.—
 J. U. Niemcewicz. Zbiór pamiętników o dawnej Polsce.

Tom IV. Lipsk, 1838-1840. — K. Kantecki. Spisek w roku 1688 (List Sobieskiego z d. 20 maja 1688 roku) Przewodnik Naukowo-Literacki, 1787.

II. Tadeusz Korzon. Dola i niedola Jana Sobieskiego, 1629-1674. Tomów 3 Naki. Akad. Umiej. Kraków, 1898.— N. A. de Salvandy. Hist. de Pologne avant et sous le roi Jean Sobieski. Paris, 1829.— M. l'Abbé Coyer. Histoire de Jean Sobieski roi de Pologne. Amsterdam, 1761.— Kazimierz Konarski. Polska przed odsieczą wiedeńską. Warsz., 1914.— Dr Wiktor Czermak. Młodość Jerzego Lubomirskiego w studjach historycznych. W Krakowie, 1901.— Tenże. Z czasów Jana Kazimierza. Lwów, 1895.— Ludwik Kubala. Wojna szwedzka w roku 1655 i 1656. Lwów, bez roku wyd.— Tenże. Wojna brandenburska i najazd Rakoczego. Lwów, bez roku wyd.— Józef Kazimierz Plebański. Jan Kazimierz Waza. Marja Ludwika Gonzaga. Warszawa, 1862.— Tadeusz Korzon. Dzieje wojen i wojskowości w Polsce. Tom II i III. Kraków, 1912.— (Karol Wyrwicz). Konfederacja Gołąbska... przez niewiadomego pisarza. W Poznaniu, 1855.— Konstanty Górski. Wojna Rzeczypospolitej Polskiej z Turcją w latach 1672-1675. Bibl. Warsz., 1890.— Tenże. Bitwa pod Wiedniem. Ateneum, 1893.— Tenże. Jan III pod Żórawnem. Bibl. Warsz., 1896.— Franciszek Kluczycki. Wyprawa wiedeńska roku 1683. W Krakowie, 1883.— Tenże. Żórawińska r. 1676. W Krakowie, 1876.— Leon Chrzanowski. Odsiecz Wiednia. Warszawa, 1886.— Soldier. Odsiecz wiedeńska 1683. Przegląd Historyczny, 1910.— Dr Aleksander Czołowski. Wojna polsko-turecka 1675 r. Lwów, 1894.— C. Clausevitz. Strategische Beleuchtung mehrerer Feldzüge von Sobieski. Berlin, 1837.— Antoni Zygmunt Helcel. O dwukrotnem zamęściu księżniczki Ludwiki Karoliny Radziwiłłówniej. W Krakowie, 1857.— Karol Szajnocha. Opowiadania o królu Janie III. Żytomierz, 1860.— Juljan B. Jan Sobieski do dwudziestego roku życia. Kijów, 1884.— K. Jarochowski. Przyczynek do dziejów bezkrólewia po Michale Wiśniowieckim i pierwszych miesięcy panowania Jana Sobieskiego. (Opowiadania i studja historyczne). Warszawa, 1877.— Tenże. O Sobieskich. (Opowiadania i studja historyczne). Tom II. Poznań, 1863.— Tenże. Wyprawa i odsiecz wiedeńska. (Opowiadania i studja

histor.). Poznań, 1884. — Tenże. Z dziejów przedkrólewskich Jana Sobieskiego. Pierwotna polityka króla Jana III. (Rozprawy hist.-krytyczne). Poznań, 1889. — (Jonsac). Życie Stanisława Jabłonowskiego, przełożone z francuskiego na język polski. Poznań, 1868. — Ernest Łuniński. Wspominki. (Ostatnie chwile Jana III). Warszawa, 1910.—Dr Jan Leniek. Książka pamiątkowa ku uczczeniu trzechsetnej rocznicy założenia gimnazjum św. Anny. Kraków, 1888.—Stanisław Łukas. Dyplomacja Sobieskiego. Ateneum, 1881. — J. J. S. Sękowski. Collectanea z dziejopisów tureckich rzeczy do historii polskiej służących. Warszawa, 1824-1825. — Józef Szujski. Dzieje Polski. Tom III i IV. W Krakowie, 1894.—K. Waliszewski. Marysieńka Marie de la Grange d'Arquien 1641-1716. Paris. 1898.—J. W. Zinkeisen. Geschichte des osmanischen Reiches in Europa. Tom IV i V. Gotha 1854-57.—Bronisław Gubrynowicz. Malarze na dworze Jana III. Lwów, 1896

BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH
Nr. _____

P O R T R E T Y.

S. R.

I.	JAN SOBIESKI, według portretu L'Armessina, przed kartą tytułow.	
II.	JAN KAZIMIERZ. według portretu w klasztorze kamedulów na Bielanych pod Krakowem	33
III.	KRÓLOWA LUDWIKA MARJA, według portretu w zbiorach ord. Krasińskich w Warszawie.	49
IV.	MARJA KAZIMIERA, według portretu w Muzeum Narodowem w Warszawie	97
V.	MICHAŁ WIŚNIOWIECKI, jak wyżej	105
VI.	BISKUP TRZEBICKI, według portretu w kościele Franciszkanów w Krakowie.	152
VII.	PRYMAS PRAŻMOWSKI, według portretu w ga- lerji łowickiej z dzieła: „Arcybiskupi gnieźnieńscy”	161
VIII.	POMNIK SOBIESKIEGO we Lwowie	209
IX.	ELEKTOR FRYDERYK WILHELM.	225
X.	LUDWIK XIV, według portretu Mignarda w zbio- rach ks. K. Lubomirskiego.	241
XI.	KARA MUSTAFA, według portretu w Teatrum Europaeum.	257
XII.	CESARZ LEOPOLD, według portretu Vaillanta .	272
XIII.	PAPIEŻ INOCENTY XI	289
XIV.	STATUA SOBIESKIEGO w Wilanowie.	305
—		
	Mapka do wojny z Turcją w latach 1672—3.	137
	Plan bitwy pod Chocimem	169
	Szkic topograficzny do bitwy pod Wiedniem	265
—		

T R E Ś Ć.

	STR.
PRZEDMOWA.	5
I. MŁODOŚĆ SOBIESKIEGO.	13
II. W SIECIACH INTRYGI I MIŁOŚCI	34
III. ZWYCIĘSTWO PODHAJECKIE	64
IV. MARJA KAZIMIERA	87
V. WALKA Z KRÓLEM MICHAŁEM. ZWYCIĘSTWO SOBIESKIEGO W ROKU 1671-YM. WYPRAWA NA CZAMBUŁY TATARSKIE W ROKU 1672 .	107
VI. DWIE KONFEDERACJE. ZWYCIĘSTWO CHO- CIMSKIE	146
VII. SOBIESKI KRÓLEM.	177
VIII. OBRONA LWOWA. BOJE POD ŻÓRAWNEM .	197
IX. STOSUNKI Z FRANCJĄ I SOJUSZ Z CESARZEM	219
X. ODSIECZ WIEDEŃSKA	245
XI. ZMIERZCH BOHATERA	283
XII. U SCHYŁKU PANOWANIA	303
ZAKOŃCZENIE	326
LITERATURA.	333

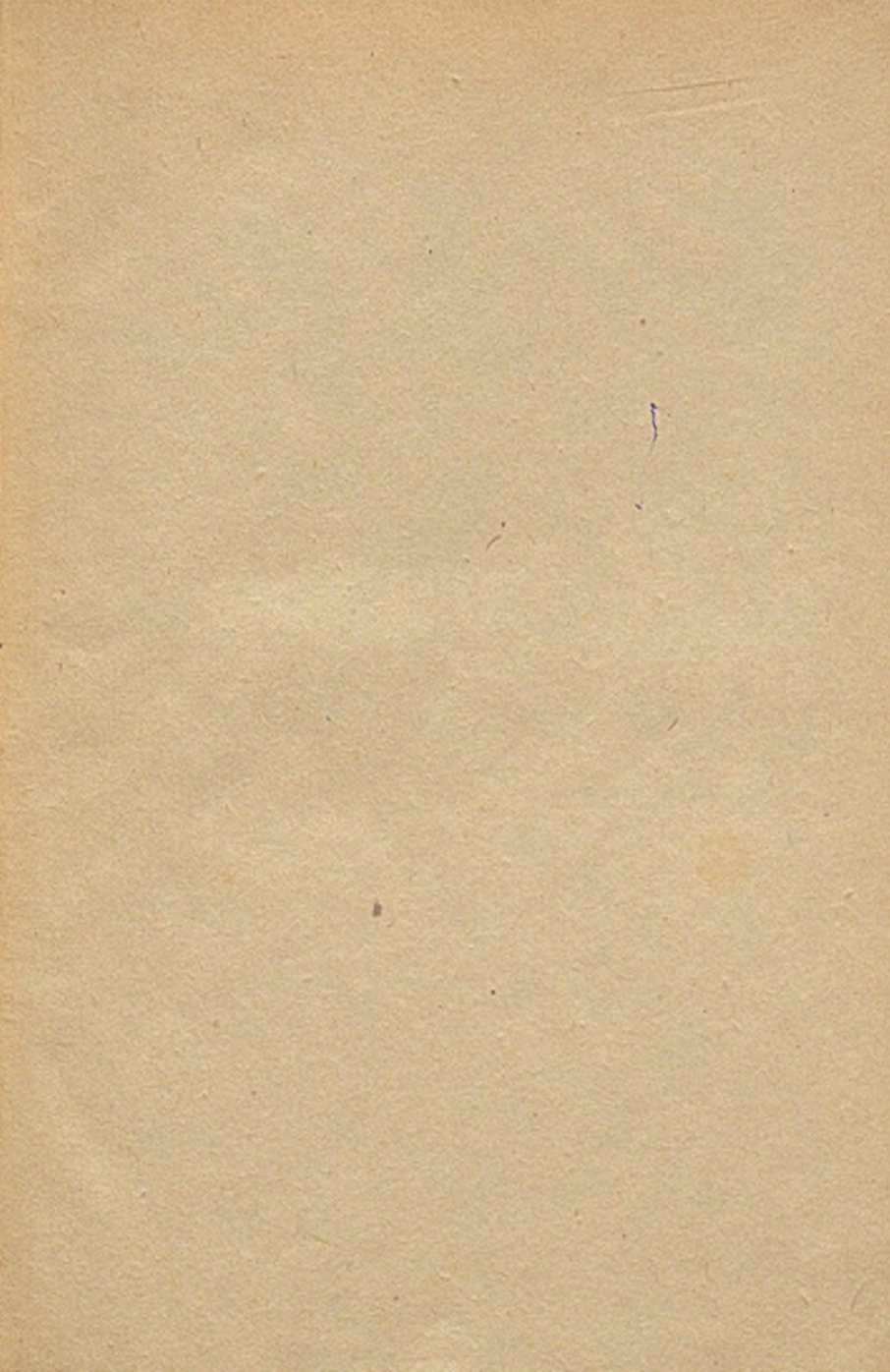
DOSTRZEŻONE OMYŁKI DRUKU.

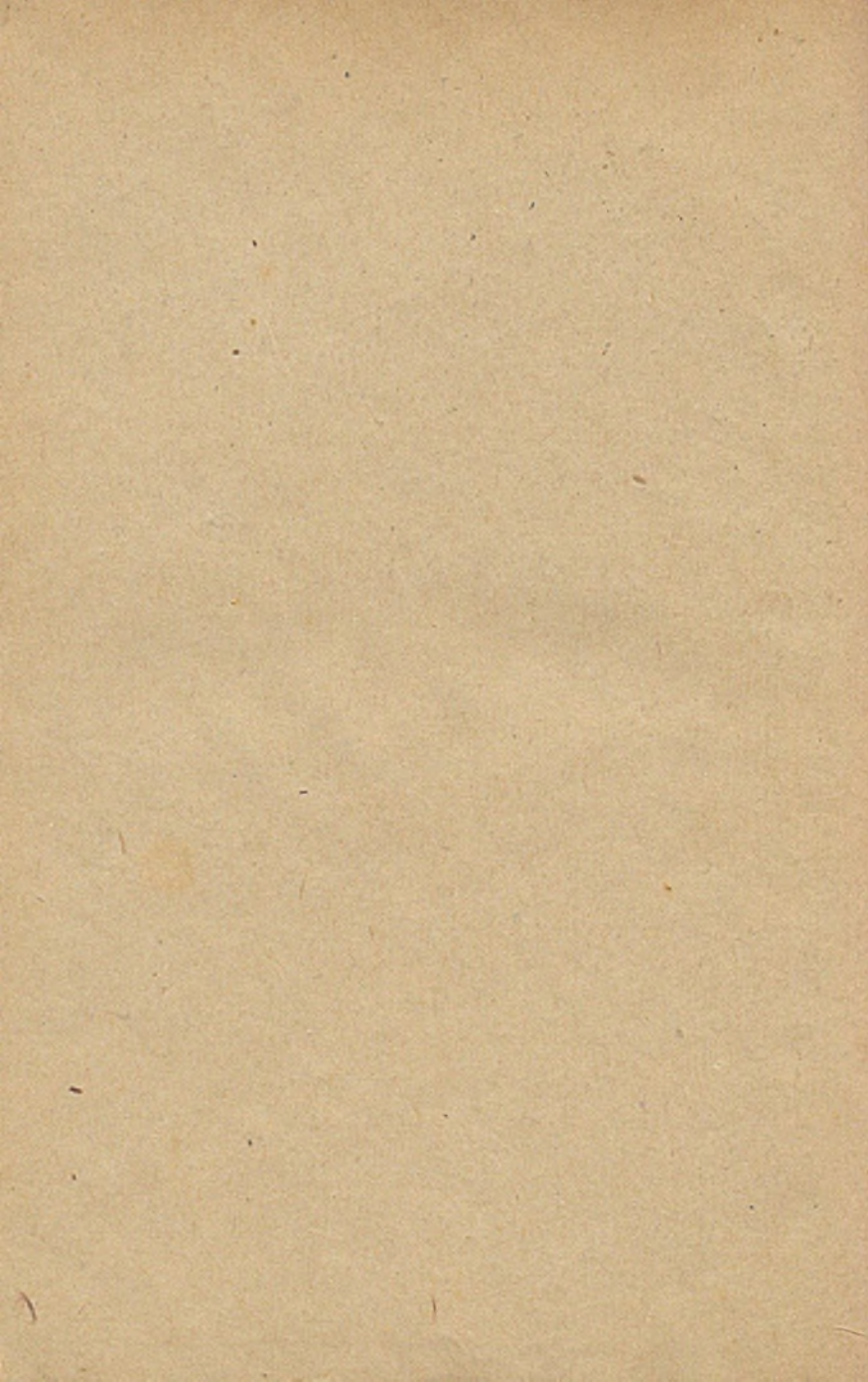
Wydrukowano:	Powinno być:
Str 239. 14 wiersz od góry Michał Sieniawski	Mikołaj Sieniawski
„ 250. 15 wiersz od góry ani myślał usłuchać	ani myślał zaraz usłuchać



THE UNIVERSITY OF CHICAGO

PHYSICS DEPARTMENT
5712 S. UNIVERSITY AVE.
CHICAGO, ILL. 60637
TEL. 773-707-5200
WWW.CHICAGOEDU.EDU





1997-01-1

91.05.1999

2009-05-03

2011-10-6

2013-09-11

STUDIUM NAUCZYCIELSKIE
w GLIWICACH

K 19134